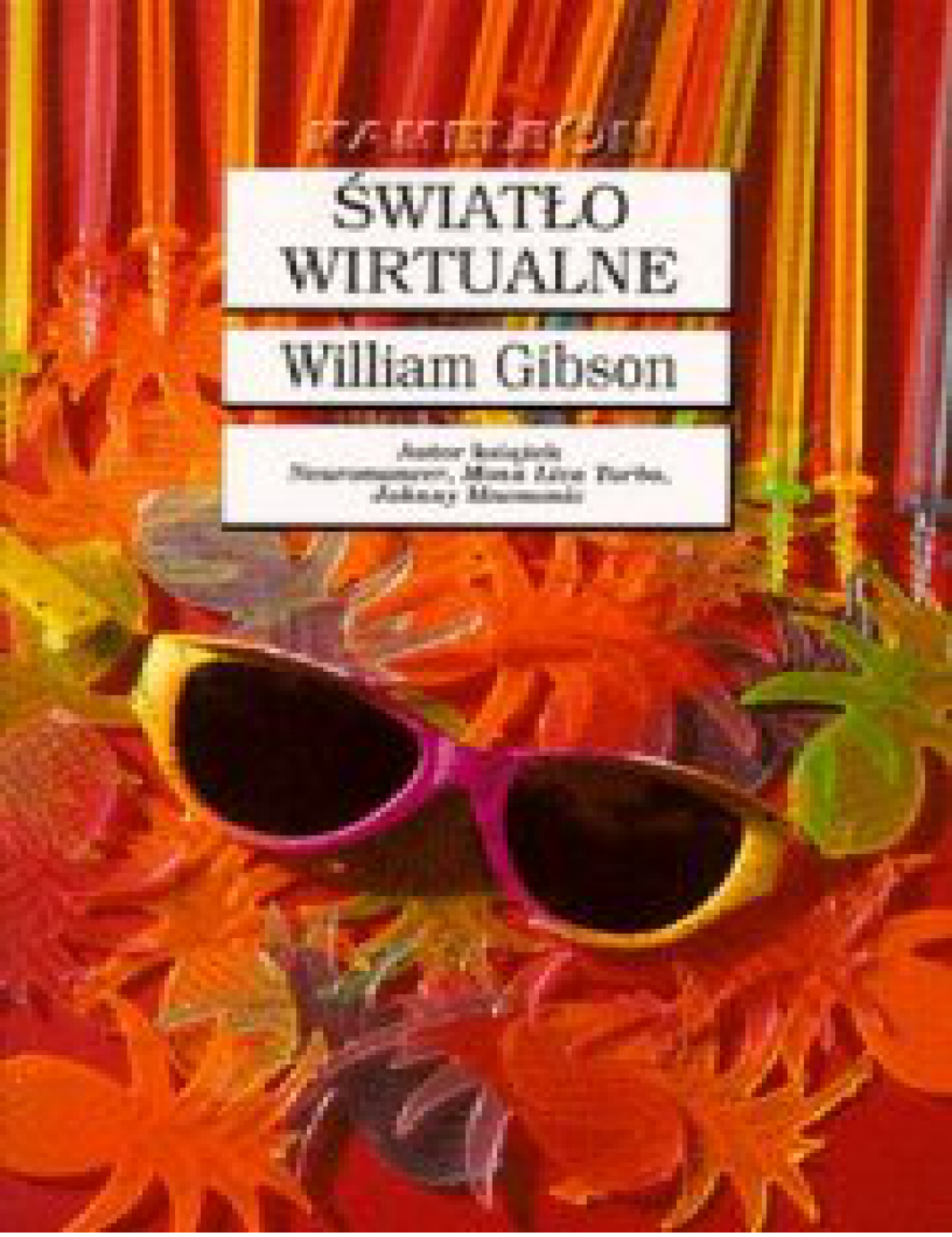
ŚWIATŁO
WIRTUALNE
William Gibson

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Rok 2005, dwa siostrzane stany NoCal i SoCal powstałe w miejscu dawnej Kalifornii. Minione tysiąclecie pozostawiło nielicznych ocalałych i oszołomionych mieszkańców. Berry Rydell pracuje teraz dla łowcy nagród; Chevette Washington pod wpływem nagłego impulsu kradnie niewinnie wyglądające okulary. Jest to produkt bardzo zaawansowanej technologii. To, co przez nie widać, może uczynić człowieka bogatym lub martwym.

- William Gibson
  -
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
  - 5
  - 6
  - 7
  - 8
  - 9
  - 10
  - 11
  - 12
  - 13
  - 14
  - 15
  - 16
  - 17
  - 18
  - 19
  - 20
  - 21
  - 22
  - 23
  - 24
  - 25
  - 26
  - 27
  - 28
  - 29
  - 30
  - 31

- 32
- 33
- 34
- 35
- 36
- 37
- 38
- 39
- Podziękowania

William Gibson
Światło wirtualne

Dla Gary'ego Gaetano Bandiery, wspaniałego faceta, naszego przyjaciela

1
Lśniące ciała olbrzymów

Kurier przyciska czoło do warstw szkła, argonu, przeciwudarowego plastiku. Patrzy na patrolowiec, jak polująca osa przecinający w oddali niebo nad miastem, ze śmiercią podwieszoną pod odwłokiem w gładkim, czarnym kokonie.

Kilka godzin wcześniej na północne przedmieścia spadły rakiety; siedemdziesiąt trzy ofiary, jeszcze nikt nie przyznał się do zamachu. Tymczasem tutaj lustrzane zikkuraty przy Lazaro Cardenas błyskają jak lśniące ciała olbrzymów, posyłając nocne salwy snów czekającym avenidas — biznes jak zwykle, świat bez końca. Powietrze za oknem otacza każde źródło światła słabą wątrobianą otoczką, niepostrzeżenie przechodzącą w brązowawą poświatę. Drobne suche płatki brudnego śniegu, kłębiącego się nad ściekami, osiadły na soczewkach nocy.

Zaniknąwszy oczy, zapada w cichy szum klimatyzatora. Wyobraża sobie, że znajduje się w Tokio, a ten pokój jest w jakimś nowym skrzydle starego hotelu „Imperial". Widzi się na ulicach Chiyoda-ku, pod cicho wzdychającymi pociągami. Czerwone papierowe lampiony obramowują uliczkę.

Otwiera oczy. Mexico City wciąż tu jest.

Osiem pustych buteleczek, plastikowych miniaturek, stoi równym rzędem na skraju stolika do kawy; japońska wódka „Come Back Salmon", o nazwie bardziej drażniącej niż pozostawiany przez nią smak. Na ekranie nad konsolą czekają na niego pticzki, zastygłe kremowe ciała. Kiedy podnosi pilota zdalnego sterowania, wydatne kości policzkowe kobiet zakrzywiają się w przestrzeni za jego oczami. Ich młodzi kochankowie, jak zawsze, biorą je od tyłu, noszą czarne skórzane rękawiczki. Słowiańskie rysy, przywołujące fragmenty niechcianych wspomnień z dzieciństwa: smród ścieków, stal łomocząca o stal pod rozkołysanym pociągiem, wysokie stare sufity mieszkania z widokiem na skuty mrozem park. Dwadzieścia osiem peryferyjnych ekranów otacza kopulujących z powagą Rosjan; na jednym dostrzega postacie znoszone z czarnego od dymu pokładu azjatyckiego promu. Otwiera kolejną buteleczkę.

Teraz pticzki, poruszając głowami jak tłokami dobrze naoliwionej maszyny, obciągają swym aroganckim, egoistycznym kochankom. Ujęcia przypominają lata świetności sowieckiej kinematografii socrealistycznej. Przesuwa spojrzenie na prognozę pogody NHK. Front niskiego ciśnienia przechodzi nad Kansas. Obok jakaś upiornie niema, islamska stacja w nieskończoność powtarza imię Boga kaligraficznym pismem opartym na grafice fraktali.

Pije wódkę. Ogląda telewizję.

Po północy, na skrzyżowaniu Liverpool i Florencia, spogląda na różową strefę z tylnego siedzenia białej łady, chroniąc twarz nanoporowym szwedzkim respiratorem, który drażni mu świeżo ogolony podbródek. Każdy mijający go ma zamaskowaną twarz, wargi i nozdrza ukryte pod filtrami. Niektóre, z okazji Dnia Zmarłych, przypominają srebrno-paciorkowate szczęki szczerzących zęby czaszek. Jakąkolwiek przyjmują formę, wszyscy ich wytwórcy wygłaszają te same wątpliwe i kłamliwe zapewnienia o zabezpieczeniu przed wiroidami. Chciał uciec przed rutyną, może znaleźć coś pięknego lub interesującego, ale tutaj są tylko zamaskowane twarze, jego strach i światła.

Z Avenida Chapultepec powoli wyjeżdża stary amerykański samochód, wykasłując kłęby tlenku węgla spod naderwanego zderzaka. Cały jest pokryty żywicą barwy coli i kawałeczkami potłuczonych luster; widać tylko przednią szybę, czarną i szklistą, nieprzejrzystą jak plama atramentu, przypominającą mu śmiercionośny kokon patrolowca. Czuje narastający strach, bezsensowny, nieuzasadniony, jaki budzi w nim ten jarmarczny duch cadiiiaca, tego spalającego ropę zabytku w widmowej szacie barwy przydymionego srebra. Dlaczego pozwalają mu zanieczyszczać i tak już brudne powietrze? I kto tam siedzi w środku, za tą czarną szybą? Drżąc, obserwuje przejeżdżający pojazd.

— Ten wóz…

Stwierdza, że odruchowo pochyla się i zwraca do kierowcy o mocnym karku i wielkich uszach, przedziwnie kojarzących się z reprodukcjami zabytkowych naczyń reklamowanych na jednym z kanałów hotelowej telewizji.

— *El coche* — mówi kierowca bez maski, odwracając się, jakby dopiero teraz dostrzegł kuriera. Ten widzi, jak pokryty lustrami cadiiiac rozbłyska raz, na krótko — odbitym rubinem lasera nocnego klubu — i znika.

Kierowca patrzy z uwagą. Kurier każe mu wracać do hotelu.

Budzi się ze snu pełnego metalicznych głosów rozbrzmiewających w wyniosłych halach jakiegoś europejskiego lotniska, odległych postaci dostrzeżonych podczas odprawiania niemych rytuałów odlotu.

Ciemność. Syk klimatyzatora. Miękkość bawełnianej pościeli. Telefon pod poduszką. Odgłosy ulicznego ruchu stłumione przez wypełnione gazem okna. Opuszcza go całe napięcie i strach. Przypomina sobie o barze w atrium. Muzyka. Twarze. Ma poczucie wewnętrznego ukojenia, niezwykle rzadkiego stanu równowagi. Tylko tyle może zaznać spokoju.

Och, tak, okulary są tutaj, obok telefonu. Wyjmuje je i otwiera oprawkę, z przyjemnością obarczoną poczuciem winy, której nie może pozbyć się od Pragi. Kochają od blisko dziesięciu lat, chociaż nie myśli o tym w taki sposób. Jednak nigdy nie kupił innego software'u i czarna plastikowa oprawka straciła połysk. Numer na kasecie jest już nieczytelny, wytarty do białości dotykiem jego rąk. Tyle pokoi takich jak ten. Od dawna wolał cieszyć się nią w ciszy. Nie używał ryczących mokrosłuchawek. Nauczył się podkładać własny tekst, szepcząc do niej, pospieszając przez nieporadne nazwy i oblane światłem księżyca wyżyny czegoś, co nie jest Hollywood ani Rio, lecz jakąś nieostrą cyfrową ekstrapolacją obu.

Ona czeka na niego, zawsze, w białym domku przy drodze biegnącej kanionem. Świece. Wino. Czarna suknia z dżetami kontrastuje z idealnie białą skórą, udo opięte gładko i ściśle jak brzuch węża.

Daleko, pod bawełnianą pościelą, jego ręce zaczynają się poruszać. Później, gdy zapada w sen zupełnie innej jakości, telefon pod jego poduszką odgrywa cichą i krótką melodyjkę.

— Tak?

— Potwierdzam rezerwację na lot do San Francisco — mówi ktoś, kobieta lub maszyna. Naciska klawisz, zapisując numer lotu, mówi dobranoc i zamyka oczy przed upartym światłem sączącym się przez czarne bariery zasłon.

Obejmują go jej białe ramiona. Wieczna jasnowłosa. Zasypia.

2
Krążąc Gunheadem

Pojazdy IntenSecure pucowano co trzy zmiany. Robiono to w tej wielkiej myjni samochodowej niedaleko Colby; dwadzieścia warstw ręcznie wcieranej „Wet Honey Sienna" sprawiało, że wyglądały jak nowe.

Tego listopadowego wieczoru, gdy Republika Żądzy zakończyła jego karierę w zbrojnej ochronie, Berry Rydell przybył tam trochę wcześniej. Lubił unoszący się w środku zapach. To ten różowy preparat, który dodawali do wody, żeby zmyć warstwę kurzu; ta woń przypominała mu letnią pracę w Knoxville, przed ostatnim rokiem nauki w szkole. Wykańczali luksusowe apartamenty w skorupie wielkiego starego budynku Safeway przy Jefferson Davis. Architekci chcieli, żeby betonowe ściany wyglądały w pewien szczególny sposób; by miały szarą barwę, lecz ze śladami starej, różowej farby w pęknięciach i wgłębieniach. Byli z Memphis i nosili czarne garnitury oraz białe, bawełniane koszule. Te koszule najwidoczniej kosztowały więcej niż garnitury, albo przynajmniej tyle samo, a oni nigdy nie nosili krawatów ani nie rozpinali guzików pod szyją. Rydell uznał, że właśnie tak ubierają się architekci; teraz mieszkał w LA i przekonał się, że miał rację. Podsłuchał, jak jeden z nich wyjaśniał brygadziście, że to, co robili, jest: „ukazaniem integralności przejścia materiału przez czas". Uznał, że to prawdopodobnie bzdura, ale spodobało mu się brzmienie tych słów.

W rzeczywistości praca polegała na zdejmowaniu nadmiaru tej gównianej starej farby z wielu tysięcy metrów kwadratowych równie gównianego betonu za pomocą oscylującej dyszy umieszczonej na końcu długiej rękojeści z nierdzewnej stali. Jeśli brygadzista nie patrzył, mogłeś wycelować w innego chłopaka, puścić koguci ogon kłującej tęczy i zmyć mu z twarzy krem z filtrem. Rydell i jego koledzy nosili australijskie kombinezony o zdecydowanych barwach, więc było widać, gdzie trafiasz. Jednak musiałeś dobrze ocenić odległość, bo z bliska strumień cieczy mógł zedrzeć chrom ze zderzaka. Rydell i Buddy Crigger zostali w końcu za to wylani, a wtedy przeszli przez Jeff Davis do piwiarni i Rydell spędził noc z dziewczyną z Key West — wtedy po raz pierwszy spał z kobietą.

Teraz był w Los Angeles, jadąc sześciokołowym hotspurem hussarem pokrytym dwudziestoma warstwami ręcznie polerowanego lakieru. Hussar był opancerzonym land roverem, który mógł wyciągnąć sto czterdzieści na prostej, gdybyś znalazł wolny odcinek i zdążył przyspieszyć. Hernandez, dowódca jego zmiany, mówił, że

Anglikom nie należy powierzać konstruowania niczego bardziej skomplikowanego od kapelusza, o ile ma to działać w razie potrzeby; twierdził, że IntenSecure powinna kupować wozy izraelskie lub przynajmniej brazylijskie, a poza tym, czy do zaprojektowania wozu bojowego potrzeba Ralpha Laurena?

Rydell nie potrafił na to odpowiedzieć, ale te liczne warstwy farby były zdecydowanym przeciągiem. Podejrzewał, że miały kojarzyć się ludziom z wielkimi brązowymi ciężarówkami United Parcel, a jednocześnie wyglądać jak coś, co widuje się w kościele episkopalnym. Nie rzucające się w oczy logo firmy. Powściągliwe.

Ludzie pracujący w myjni byli przeważnie emigrantami z Mongolii, którzy jako nowo przybyli nie znaleźli lepszej pracy. Pracując, podśpiewywali gardłowo, nie poruszając ustami, a on lubił tego słuchać. Nie miał pojęcia, jak to robią; dźwięk przypominał odgłosy wydawane przez żaby nadrzewne — dwie jednocześnie. Teraz przecierali rzędy chromowanych wypukłości na burtach. Te wybrzuszenia miały podtrzymywać elektryczną siatkę przeciw demonstrantom, i pokryto je chromem tylko dla fasonu. Pojazdy w Knoxville również były zelektryfikowane, dodatkowo wyposażone w system zraszania zapewniający wilgotność burt, a tym samym znacznie silniejszy wstrząs.

— Podpisz tu — powiedział szef personelu, cichy czarny chłopak nazwiskiem Andersen. Był studentem medycyny — w dzień — i zawsze wyglądał tak, jakby nie spał przez dwie ostatnie noce.

Rydell wziął notatnik oraz pióro świetlne i złożył podpis. Andersen wręczył mu kluczyki.

— Powinieneś trochę odpocząć — rzekł Rydell. Andersen uśmiechnął się słabo. Rydell podszedł do Gunheada, wyłączając alarm. Ktoś napisał w środku — Gunhead — zielonym pisakiem na panelu nad przednią szybą. Nazwa przyjęła się, głównie dlatego, że podobała się Sublettowi. Sublett był Teksańczykiem, uchodźcą z jakiegoś upiornego obozowiska przyczep kempingowych zajmowanych przez wideosektę. Mówił, że jego matka szykowała się, by sprzedać jego tyłek kościołowi — cokolwiek miało to oznaczać. Sublett nie palił się, żeby o tym mówić, ale Rydell doszedł do wniosku, że ci ludzie uznali wideo za ulubiony środek przekazu Pana, a ekran za rodzaj wiecznie gorejącego krzewu.

— On jest w szcze-gółach — powiedział kiedyś Sublett. — Trzeba go tylko dobrze poszukać.

Jakąkolwiek formę przybierała ta wiara, Sublett niewątpliwie obejrzał więcej programów telewizyjnych niż ktokolwiek ze znanych Rydellowi osób, głównie starych filmów na kanałach nie nadających niczego innego. Sublett powiedział, że Gunhead to nazwa automatycznego pojazdu opancerzonego w japońskim filmie o

potworach. Hernandez uważał, że Sublett sam wypisał tę nazwę. Sublett zaprzeczał. Hernandez kazał zetrzeć napis. Sublett zignorował polecenie. Napis pozostał, ale Rydell wiedział, że Sublett jest zbyt wielkim legalistą, aby popełnić taki akt wandalizmu, a poza tym atrament pisaka mógł go zabić.

Sublett miał paskudną alergię. Był uczulony na rozmaite środki czyszczące i rozpuszczalniki, dlatego nigdy nie odwiedzał myjni samochodowej. Alergia wywoływała również światłowstręt, więc musiał chronić oczy tymi lustrzanymi szkłami kontaktowymi. One, razem z czarnym mundurem IntenSecure i włosami jasnoblond, nadawały mu wygląd jakiegoś klanera albo nazistowskiego robota. Mogło to skomplikować sprawy w sklepach na Sunset, powiedzmy o trzeciej nad ranem, kiedy chciał tylko kupić wodę mineralną i colę. Jednak Rydell zawsze chętnie widział go na swojej zmianie, ponieważ facet był zdecydowanie najmniej skłonnym do przemocy najemnym gliniarzem, jakiego znał. I chyba nawet nie był stuknięty. Rydell uważał to za dwie zdecydowane zalety. Jak chętnie przypominał Hernandez, w SoCal ostrzejsze przepisy regulowały nawet to, kto może i nie może być fryzjerem.

Podobnie jak Rydell, wielu członków personelu IntenSecure było dawnymi policjantami, niektórzy nawet służyli kiedyś w Los Angeles, a jeśli ich stosunek do przepisów firmy, zakazujących noszenia prywatnej broni, uznać za znaczącą wskazówkę, to u jego współpracowników można było znaleźć wszystkie możliwe rodzaje uzbrojenia. W drzwiach pokoju dla personelu były wykrywacze metali, więc Hernandez zazwyczaj miał pełną szufladę noży sprężynowych, nunczaku, paralizatorów, kastetów, butów z ukrytym ostrzem i wszystkiego, co wykryła bramka. Zupełnie jak w piątkowy ranek w szkole średniej w South Miami. Hernandez wszystko oddawał po zmianie, lecz ruszając na wezwanie, mieli radzić sobie jedynie glockami i miazgaczami.

Glocki były standardową bronią policyjną, liczącą co najmniej dwadzieścia lat, której całą ciężarówkę IntenSecure zakupiła od policji przechodzącej na amunicję bezłuskową. Zgodnie z przepisami glocki powinny tkwić w plastikowych kaburach, a te należało przymocować taśmą samosczepną do głównej konsoli pojazdu. W razie potrzeby odrywało się kaburę z pistoletem od konsoli i przyczepiało do łaty naszytej na mundurze. Tylko po odebraniu wezwania wolno było wysiąść z bronią z pojazdu.

Miazgacz nawet nie był bronią palną, przynajmniej w świetle prawa, jednak dziesięciosekundową serią z niewielkiej odległości mógł zmasakrować twarz. To izraelskie urządzenie do rozpraszania tłumu, działające na zasadzie wiatrówki, wystrzeliwało małe sześciany z uzyskanej w wyniku recyklingu gumy. Wyglądało jak rezultat niezbyt

udanej fuzji między karabinkiem szturmowym a przemysłową zszywarką, tyle że robiono je z jasnożółtego plastiku. Po naciśnięciu spustu wysyłało strumień gumowych pocisków. Kiedy nabrało się wprawy, można było ustrzelić przeciwnika ukrytego za węgłem: wystarczyło odbić je od jakiejś twardej powierzchni. Taka seria z bliska przecinała na pół arkusz sklejki, a na trzydzieści metrów pozostawiała na ciele wielkie sińce. Zgodnie z teorią nie zawsze spotyka się uzbrojonych przeciwników, a użycie miazgacza niosło mniejsze ryzyko uszkodzenia subskrybenta lub jego własności. W razie napotkania uzbrojonego napastnika pozostawał glock. Jednak przeciwnik prawdopodobnie używał bezłuskowej amunicji i broni superautomatycznej — a to już nie było częścią teorii. Tak samo jak to, że tak dobrze uzbrojony napastnik zazwyczaj bywa naćpany pląsem, a więc zarówno nieludzko szybki, jak i patologicznie psychotyczny.

W Knoxville było mnóstwo pląsu i przez to Rydell został zawieszony w obowiązkach. Wszedł do mieszkania, w którym mechanik Kenneth Turvey przetrzymywał swoją przyjaciółkę z dwojgiem małych dzieci, domagając się rozmowy z prezydentem. Turvey był biały, chudy, nie myty od miesiąca i miał na piersi wytatuowaną „Ostatnią Wieczerzę". Tatuaż był całkiem świeży; jeszcze nie zaczął się goić. Przez cienką warstewkę zasychającej krwi Rydell zauważył, że Jezus nie ma twarzy. Tak samo jak wszyscy apostołowie.

— Do diabła — powiedział Turvey na widok Rydella. — Chcę mówić tylko z prezydentem.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami, nagi, na kanapie przyjaciółki. Na kolanach trzymał coś w rodzaju kawałka rury owiniętej taśmą izolacyjną.

— Próbujemy to załatwić — rzekł Rydell. — Przykro nam, że to trwa tak długo, ale musimy uporać się z formalnościami.

— Niech to szlag — powiedział ze znużeniem Turvey — czy nikt nie rozumie, że spełniam bożą misję?

Nie był zły, po prostu znużony i zniechęcony. Przez uchylone drzwi jedynej w tym mieszkaniu sypialni Rydell widział jego przyjaciółkę. Leżała na plecach, na podłodze i chyba miała złamaną nogę. Nie widział jej twarzy. Kobieta nie ruszała się. Gdzie dzieci?

— Co tu masz? — zapytał Rydell, wskazując przedmiot na podołku Turyeya.

— To broń — odparł Turvey — i właśnie dlatego muszę porozmawiać z prezydentem.

— Nigdy nie widziałem czegoś takiego — zaryzykował Rydell.

— Czym to strzela?

— Puszkami soku grejpfrutowego — rzekł Turvey. —

Napełnionymi cementem.

— Nie żartujesz?

— Patrz — powiedział Turvey i podniósł rurę . Miała zamontowany zamek, bardzo starannie wykończony, układ spustowy przypominający część kombinerek oraz kilka elastycznych przewodów. Rydell zauważył, że te ostatnie biegły do wielkiej butli z gazem, z rodzaju tych, których nie ruszy się bez podnośnika, leżącej na podłodze obok kanapy. Klęcząc na brudnym poliestrowym dywanie, patrzył na wylot zataczającej łuk rury. Była dostatecznie szeroka, żeby włożyć w nią pięść. Zobaczył, jak Turvey wycelował przez otwarte drzwi sypialni, w szafę.

— Turvey — usłyszał swój głos — gdzie te przeklęte dzieciaki?

Mechanik nacisnął dźwignię spustu i wybił w drzwiach szafy otwór wielkości puszki soku grejpfrutowego. Dzieci były w środku. Na pewno wrzeszczały, chociaż Rydell tego nie słyszał. Później prawnik Rydella argumentował, że w tym momencie jego klient był nie tylko głuchy, ale w stanie sonicznie wywołanej katalepsji. Wynalazek Turveya był zaledwie kilka decybeli cichszy od granatów ogłuszających używanych przez SWAT. Jednak Rydell nie pamiętał, tego. Nie pamiętał, jak strzelił Kennethowi Turveyowi w głowę ani niczego, do chwili gdy obudził się w szpitalu. Była tam kobieta z „Gliniarzy w opałach", ulubionego programu Rydella, ale powiedziała, że nie może z nim porozmawiać, dopóki nie spotka się z jego agentem. Rydell przyznał, że nie ma żadnego. Powiedziała, że wie o tym, ale trzeba jakiegoś wezwać.

Rydell leżał, myśląc o tym, ile razy oglądali z ojcem „Gliniarzy w opałach".

— O jakich opałach mówimy? — zapytał w końcu.

Kobieta tylko uśmiechnęła się.

— Wszelkich, jakie tylko przyjdą ci na myśl, Berry.

Zmrużył oczy. Była dość ładna.

— Jak się nazywasz?

— Karen Mendelsohn.

Nie wyglądała na mieszkankę Knoxville, a nawet Memphis.

— Jesteś z „Gliniarzy w opałach"?

— Tak.

— Co dla nich robisz?

— Jestem prawnikiem — odparła. Rydell nie przypominał sobie, żeby kiedyś spotkał któregoś z nich, ale po tym wypadku poznał ich wielu.

Wyświetlacze Gunheada były niepozornymi prostokątami płynnych kryształów; ożyły, gdy Rydell włożył kluczyk, wystukał kod bezpieczeństwa i sprawdził działanie podstawowych systemów.

Najbardziej lubił kamery pod tylnym zderzakiem; dzięki nim naprawdę łatwo można było zaparkować — człowiek widział, gdzie się cofa. Połączenie z Gwiazdą Śmierci nie działało, kiedy byli w myjni, ponieważ ściany budynku zawierały zbyt wiele stali, ale Sublett powinien utrzymywać kontakt przez mikrosłuchawki. W pokoju personelu IntenSecure wisiał plakat przypominający, że nie jest to oficjalna nazwa używana w firmie, ale i tak wszyscy nazywali ją Gwiazdą Śmierci, nawet policjanci LAPD. Urzędowo brzmiało to: Geostacjonarny Satelita Sił Porządkowych Południowej Kalifornii.

Obserwując ekrany konsoli, Rydell ostrożnie wycofał wóz z budynku. Bliźniacze ceramiczne silniki Gunheada były dostatecznie nowe, żeby nie robić nadmiernego hałasu; słyszał pisk opon na mokrej betonowej podłodze. Sublett czekał na zewnątrz, w jego srebrnych oczach odbijały się tylne czerwone światła przejeżdżających wozów. Za nim zachodziło słońce, a barwy nieba świadczyły o bogatszym niż zwykle koktajlu dodatkowych składników. Cofnął się przed wyjeżdżającym pojazdem, unikając kontaktu z nawet najmniejszą kropelką pryskającą spod kół. Rydell również uważał; nie chciał znów taszczyć Teksańczyka do szpitala, gdyby Sublett znowu padł ofiarą uczulenia.

Zaczekał, aż partner włoży parę jednorazowych rękawiczek.

— Cześć — powiedział Sublett, gramoląc się na fotel. Zamknął drzwi i zaczął zdejmować rękawiczki, ostrożnie zwijając je do hermetycznie zamykanego woreczka.

— Tylko niczego nie dotknij — rzekł Rydell, obserwując ostrożne ruchy Subletta.

— Śmiej się do woli — odparł spokojnie Sublett. Wziął paczkę przeciwalergicznej gumy do żucia i wyjął jedną z opakowania. — Jak tam stary Gunhead?

Rydell przejrzał wyświetlacze i odrzekł z zadowoleniem:

— Całkiem nieźle.

— Mam nadzieję, że dziś wieczór nie otrzymamy wezwania z żadnego z tych cholernych ukrytych domów.

Tak zwane ukryte domy zajmowały pierwsze miejsce na liście niepożądanych wezwań Subletta. Mówił, że powietrze w nich jest toksyczne. Rydell uważał, że to nonsens, ale miał dość sporów na ten temat. Ukryte domy były większe od tych zwyczajnych oraz bardziej kosztowne i Rydell uważał, że właściciele zapłaciliby każdą cenę, aby utrzymać w nich czyste powietrze. Sublett twierdził, że każdy, kto buduje sobie taki dom jest paranoikiem i zawsze trzyma szczelnie zamknięte okna, co uniemożliwia jakikolwiek ruch powietrza, które z czasem ulega skażeniu. Jeżeli w Knoxville były jakieś ukryte domy, to Rydell nic o nich nie wiedział. Uznał, że spotyka się je tylko w Los Angeles. Sublett, który pracował dla IntenSecure od prawie dwóch lat,

głównie na dziennych patrolach w Venice, był pierwszym, który wspomniał o nich Rydellowi. Kiedy ten w końcu dostał wezwanie do jednego z nich, nie wierzył własnym oczom; to miejsce opadało w dół bez końca, wydrążone pod czymś, co wyglądało jak zbombardowana pralnia chemiczna. A w środku same odsłonięte dźwigary, białe tynki, tureckie dywany, wielkie obrazy, parkiety, meble, jakich jeszcze nigdy nie widział. Jednak wezwanie było trochę dziwne; Rydell sądził, że chodziło o domową awanturę. Mąż uderzył żonę, ona nacisnęła guzik, a teraz oboje udają, że to nieporozumienie. Tymczasem to nie mogła być pomyłka, ponieważ ktoś nacisnął guzik i nie podał hasła w odpowiedzi na zapytanie, które otrzymał trzy i osiem dziesiątych sekundy później. Pewnie ta kobieta doskoczyła do telefonu, pomyślał Rydell, i nacisnęła guzik. Tamtej nocy jeździł z „Wielkim George'em" Kechakmadze i Gruzinowi (z Tbilisi, nie z Atlanty) również nie spodobało się to.

— Widziałeś tych ludzi, to subskrybenci, człowieku; nikt nie krwawi, więc zabierasz swój tyłek, no nie? — powiedział później Wielki George. Jednak Rydell pamiętał napięcie w oczach kobiety i sposób, w jaki przytrzymywała pod szyją kołnierz luźnego białego szlafroka. Jej mąż miał taką samą podomkę, grube owłosione nogi i drogie szkła. Coś tam było nie tak, ale Rydell nigdy nie dowiedział się, co. Podobnie nigdy nie zrozumiał, jak naprawdę żyją, niby Życiem podglądanym w telewizji, ale w istocie całkiem innym.

Kiedy tak na to patrzeć, to LA było pełne niespodzianek. Nieustannych. Jednak polubił po nim jeździć. Nie w jakimś konkretnym celu, ale po prostu krążyć Gunheadem. Teraz skręcał w La Cienega, a mały zielony kursor na desce rozdzielczej robił to samo.

— *Zakaźna strefa* — powiedział Sublett. — Herve Villechaize, Susan Tyrell, Marie-Pascal Elfman, Viva.

— Viva? — zapytał Rydell. — Viva co?

— Viva. Aktorka.

— Kiedy to nakręcili?

— W 1980.

— Jeszcze nie było mnie na świecie.

— Czas w telewizji zawsze stoi w miejscu, Rydell.

— Człowieku, sądziłem, że zamierzasz pozbyć się balastu twego wychowania.

Rydell wyłączył lustrzane odbicie szyby, żeby lepiej przyjrzeć się rudowłosej dziewczynie mijającej go w różowym daihatsu sneakerem z opuszczonym dachem.

— W każdym razie nie widziałem tego filmu.

Właśnie nadeszła ta wieczorna godzina, kiedy zarówno kobiety w samochodach, jak i całe Los Angeles, prezentowały się wspaniale. Ministerstwo zdrowia usiłowało zakazać używania kabrioletów,

twierdząc, że zwiększają zachorowalność na raka skóry.

— *Endgame*. Al Cliver, Moira Chen, George Eastman, Gordon Mitchell. 1985.

— No cóż, miałem wtedy dwa latka — odparł Rydell — ale tego też nie widziałem.

Sublett zamilkł. Rydellowi zrobiło się głupio. Teksańczyk nie znał innego sposobu nawiązania rozmowy, a jego starzy z obozowiska przyczep kempingowych znaliby wszystkie te filmy i jeszcze wiele innych.

— No cóż — zaczął Rydell, próbując kontynuować konwersację — zeszłej nocy oglądałem taki stary film…

Sublett ożywił się.

— Jaki?

— Nie wiem — odparł Rydell. — Facet jest w LA i właśnie spotkał dziewczynę. Potem podnosi słuchawkę w budce telefonicznej, bo ktoś dzwoni. W środku nocy. To jakiś gość z silosu rakietowego, który wie, że właśnie odpalono rakiety w Rosjan. Próbuje zadzwonić do ojca, brata lub kogokolwiek. Mówi, że wkrótce nastąpi koniec świata. Wtem facet, który odebrał telefon, słyszy, że żołnierze zastrzelili tamtego. Mam na myśli tego, który dzwonił.

Sublett zamyka oczy, przeglądając swój bank pamięci.

— Tak? I jak kończy się ten film?

— Nie wiem — odparł Rydell. — Poszedłem spać.

Sublett szeroko otwiera oczy.

— A kto w nim grał?

— Tu mnie masz.

Puste srebrne oczy Subletta spoglądają z niedowierzaniem.

— Jezu, Berry, nie powinieneś oglądać telewizji, jeżeli nie poświęcasz jej uwagi.

Po zastrzeleniu Kennetha Turveya nie przebywał w szpitalu długo — zaledwie dwa dni. Jego prawnik, sam Aaron Pursley, uważał, że powinni zatrzymać go tam na dłużej, aby lepiej ocenić skutki wstrząsu pourazowego. Jednak Rydell nienawidził szpitali, a poza tym czuł się całkiem nieźle; po prostu nie mógł sobie przypomnieć, co dokładnie zaszło. Ponadto liczył na Karen Mendelsohn, która miała go wspierać w różnych sprawach oraz nowego agenta, Wellingtona Ma, umiejącego postępować z ludźmi z „Gliniarzy w opałach", nie tak miłymi jak Karen, która miała piękne, ciemnobrązowe włosy. Wellington Ma był Chińczykiem, mieszkał w Los Angeles i Karen twierdziła, że jego ojciec należał do gangu Wielkiego Kręgu — chociaż radziła Rydellowi, żeby zachował to w tajemnicy.

Wizytówka Wellingtona Ma była ośmiokątnym kawałkiem różowego syntetycznego kwarcu, w którym laserem wypalono jego

nazwisko, nazwę „Ma-Mariano Agency", adres przy Beverly Boulevard oraz rozmaite cyferki i adresy e-mailowe. Przybyła do GlobExu w małej kopercie z szarego zamszu, kiedy Rydell był jeszcze w szpitalu.

— Wygląda, jakby można się nią było pokaleczyć — stwierdził Rydell.

— Niewątpliwie tak jest — powiedziała Karen Mendelsohn — a jeśli włożysz ją do kieszeni i usiądziesz, rozsypie się.

— No to po co ją daje?

— Masz jej dobrze pilnować. Nigdy nie dostaniesz drugiej. Rydell nie spotkał Wellingtona Ma, a przynajmniej jeszcze nie wtedy, jednak Karen przyniosła walizeczkę z wideotelefonem i Rydell porozmawiał z nim w jego biurze w LA. To była najlepsza wideokonferencja, jaką kiedykolwiek odbył i zdawało mu się, że naprawdę tam był. Widział okno, z którego mógł dostrzec odwróconą piramidę w kolorze słoika z noxzemą. Zapytał Wellingtona Ma, co to takiego, a on odparł, że to dawny ośrodek badawczy, a obecnie tanie centrum handlowe, który Rydell powinien odwiedzić po przybyciu do LA — a więc bardzo szybko.

Przyjaciółka Turveya, Jenni-Rae Cline podjęła szereg przemyślnie zazębiających się działań przeciwko Rydellowi, policji, miastu Knoxville oraz singapurskiej kompanii będącej właścicielem budynku, w którym mieszkała. Łączna suma roszczeń sięgała dwudziestu milionów. Rydell, zostawszy gliną w opałach, z przyjemnością stwierdził, że „Gliniarze w opałach" to program dosłownie stworzony dla takich jak on. Na początek wynajęli Aarona Pursleya, a Rydell dobrze wiedział, kim jest ten facet. Miał siwe włosy, niebieskie oczy, nos nadający się do rąbania drew; nosił dżinsy, buty Tony'ego Lama, zwykłą, białą, kowbojską koszulę oraz skórzany krawat ze srebrną zapinką Nawajów. Był sławny i bronił takich gliniarzy jak Rydell przed oskarżeniami takich ludzi jak przyjaciółka Turveya i jej prawnik.

Adwokat Jenni-Rae Cline twierdził, że Rydell wcale nie powinien wchodzić do mieszkania, a robiąc to, sprowadził niebezpieczeństwo na nią i dzieci oraz spowodował śmierć Kennetha Turveya, którego opisywał jako zdolnego fachowca, dobrego pracownika, kochającego ojca małego Rambo i Kelly'ego, odrodzonego chrześcijanina, zrywającego z nałogowym zażywaniem 4-tiobuskaliny i jedynego żywiciela rodziny.

— Zrywającego? — zapytał Rydell Karen Mendelsohn, przebywając w apartamentach lotniska. Właśnie pokazała mu faks od prawnika Jenni-Rae.

— Najwyraźniej właśnie w tym dniu wziął udział w sesji — odparła Karen.

— I co tam robił? — zapytał Rydell, przypominając sobie

„Ostatnią Wieczerzę” pod warstwą zasychającej krwi.

— Według zeznań naszego świadka na oczach wszystkich zażył łyżkę swojej ulubionej substancji, wdarł się na podium, po czym wygłosił trzyminutowe przemówienie na temat majtek prezydent Millbank i prawdopodobnego stanu jej genitaliów. Potem obnażył się, masturbował, nie ejakulując i opuścił podziemia Pierwszego Kościoła Baptystów.

— Jezu — powiedział Rydell. — To było jedno z tych spotkań dla narkomanów, coś jak zebrania Anonimowych Alkoholików?

— Zgadza się — odparła Karen Mendelsohn — chociaż występ Turveya najwyraźniej wywołał falę spontanicznych powrotów do nałogu. Oczywiście, wyślemy tam zespół doradców, którzy zajmą się osobami uczestniczącymi w tamtym spotkaniu.

— To ładnie.

— Dobrze wyglądałoby w sądzie — odrzekła — gdybyśmy, co mało prawdopodobne, przed nim stanęli.

— On z niczym nie zrywał — rzekł Rydell. — Nawet nie doszedł do siebie po ostatniej porcji, jaką wepchnął sobie do nosa.

— Masz całkowitą rację. Jednak był także członkiem Dorosłych Ofiar Satanizmu i oni również zaczęli interesować się tą sprawą. Tak więc zarówno pan Pursley jak i pan Ma uważają, że powinniśmy się stąd zwinąć jak najszybciej, Berry. Ty i ja.

— A co z sądem?

— Jesteś zawieszony w obowiązkach, jeszcze o nic nie zostałeś oskarżony, a twoim adwokatem jest Aaron-przez-dwa „a” Pursley. Zjeżdżasz stąd, Berry.

— Do Los Angeles?

— Właśnie tam.

Rydell spojrzał na nią. Pomyślał o Los Angeles zapamiętanym z telewizji.

— Spodoba mi się?

— Od razu — powiedziała. — I jemu też natychmiast się spodobasz. Tak jak mnie.

I w ten sposób poszedł do łóżka z prawniczką — pachnącą jak milion dolarów, klnącą jak woźnica, wygadaną i noszącą bieliznę z Mediolanu, który leżał we Włoszech.

— *The Kill-Fix*. Cyrinda Burdette, Gudrun Weaver, Dean Mitchell, Shinobu Sakamaki. 1977.

— Nigdy go nie widziałem — stwierdził Rydell, wysysając resztki dużej bezkofeinowej kawy na zimno z dodatkową warstewką lodu na dnie plastikowego, termoizolującego kubka.

— Mama widziała Cyrindę Burdette. W tym sklepie przy Waco. I dostała jej autograf. Trzymała go na telewizorze obok chusteczek

modlitewnych i hologramu wielebnego Wayne'a Fallona. Miała chustkę modlitewną na każdą cholerną okazję. Jedną na czynsz, inną chroniącą przed AIDS czy gruźlicą…

— Tak? I jak je używała?

— Trzymała je na telewizorze — wyjaśnił Sublett i wypił ostatni łyk poczwórnie destylowanej wody z niewielkiej, przezroczystej butelki. Mieli ją tylko w jednym sklepie przy Sunset, ale Rydell nie miał nic przeciwko temu; obok znajdował się bar, w którym sprzedawali kawę na wynos, a przed warsztatem na rogu można było zaparkować wóz. Facet prowadzący warsztat zawsze chętnie ich widział.

— Chustki modlitewne nie zapobiegną AIDS — powiedział Rydell. — Zaszczep się jak wszyscy. I namów mamę na szczepienie.

Przez odlustrzoną szybę Rydell widział uliczną kapliczkę J.D. Shapely'ego, pod betonowym murem będącym jedyną pozostałością budynku, który tu niegdyś stał. W West Hollywood widywało się ich sporo. Ktoś jaskraworóżową farbą napisał na murze SHAPELY BYŁ PEDALSKIM LACHOCIĄGIEM, wielkimi literami zakończonymi rysunkiem olbrzymiego różowego serca. Pod nimi, przyklejone do muru, były pocztówki Shapely'ego i zdjęcia ludzi, którzy musieli umrzeć. Jeden Bóg wie, ile milionów zginęło. Na chodniku pod murem leżały zeschnięte kwiaty, ogarki świec, różności. Na widok tych pocztówek Rydell poczuł ciarki na plecach; facet wyglądał na nich jak skrzyżowanie Elvisa z jakimś katolickim świętym, chudzielec ze zbyt dużymi oczami.

Obrócił się do Subletta.

— Człowieku, jeśli jeszcze nie zaszczepiłeś swojego tyłka, to zawdzięczasz to wyłącznie swojej paskudnej ignorancji typowej dla białej biedoty.

Sublett skrzywił się.

— To gorsze od żywych zarazków, człowieku. Przecież to po prostu inna choroba!

— Jasne — przytaknął Rydell — ale nic ci nie zrobi. A wciąż zdarzają się przypadki zachorowań. Moim zdaniem szczepienie powinno być obowiązkowe.

Sublett zadrżał.

— Wielebny Fallon zawsze mówił…

— Pieprz wielebnego Fallona — rzekł Rydell, włączając zapłon.

— Ten skurwysyn po prostu zbija forsę, sprzedając chusteczki modlitewne takim ludziom jak twoja mama. Przecież wiedziałeś, że to wszystko bzdury, prawda, inaczej nie przyjeżdżałbyś tutaj.

Wrzucił bieg i włączył Gunheada w strumień pojazdów jadących Sunset. Kiedy jechałeś hotspurem hussarem, inni kierowcy prawie zawsze cię przepuszczali.

Sublett jakby lekko wciągnął głowę w ramiona, przez co wyglądał jak zaniepokojony, stalowooki sęp.

— To nie jest takie proste — powiedział. — Przecież to zaprzeczenie wszystkiego, w czym zostałem wychowany. Chyba nie są to same bzdury, co?

Rydell zerknął na niego i ulitował się.

— Nie — odparł. — Pewnie nie wszystko i niekoniecznie, ale po prostu…

— A na kogo ciebie wychowywano, Berry?

Rydell zastanowił się.

— Na republikanina — rzekł w końcu.

Karen Mendelsohn wydawała się najlepszą z wielu rzeczy, do których Rydell chętnie przyzwyczaiłby się. Podobnie jak do latania pierwszą klasą lub posiadania karty MexAmeriBanku otrzymanej od „Gliniarzy w opałach". Za pierwszym razem, w apartamentach lotniska Knoxville, nie mając przy sobie niczego, próbował pokazać jej świadectwa szczepień (wymaganych przez wydział, inaczej nie mogli cię ubezpieczyć). Roześmiała się i powiedziała, że niemiecki nanotech poradzi sobie ze wszystkim. Potem pokazała go Rydellowi przez przezroczystą pokrywę urządzenia podobnego do małego szybkowaru na baterie. Rydell słyszał o nich, ale nigdy żadnego nie widział; ponadto wiedział, że kosztują tyle, co mały samochód. Czytał gdzieś, że należy je przechowywać w temperaturze ciała.

Wydawało się, że mogłoby się samo poruszać. Blada, meduzowata rzecz. Zapytał Karen, czy to prawda, że one są żywe. Powiedziała mu, że właściwie nie, ale prawie, a reszta to wymysły i mechanizmy subkomórkowe. Nawet nie będzie wiedział, że to tam tkwi, ale ona nie ma zamiaru wkładać go na jego oczach.

Poszła z tym do łazienki. Kiedy wróciła w bieliźnie, dowiedział się, gdzie leży Mediolan. I chociaż rzeczywiście nie wyczuwał obecności tej rzeczy, wiedział jednak, że ona tam jest; mimo wszystko bardzo szybko zapomniał o tym fakcie — prawie.

Następnego ranka wyczarterowali zmiennopłat do Memphis i polecieli Air Magellan do LAX. Pierwsza klasa oznaczała głównie lepsze gadżety w oparciu fotela i faworytem Rydella natychmiast stał się odbiornik teleprezentacyjny, który można było dostroić do poruszanych serwomotorami kamer na kadłubie samolotu. Karen nienawidziła używać małego virtufaxu, który nosiła w torebce, więc połączyła się ze swoim biurem w LA i kazała im przesłać całą poranną pocztę na ekran komputera w oparciu fotela. Energicznie zabrała się do pracy, rozmawiając przez telefon, wysyłając faksy i pozostawiając Rydellowi ochy i achy nad widokami z kamer. Fotele były większe niż wtedy, kiedy latał na Florydę zobaczyć się z ojcem, jedzenie lepsze, a

drinki darmowe. Rydell wypił trzy lub cztery, zasnął i obudził się dopiero gdzieś nad Arizoną.

Powietrze w LAX było dziwne, a światło inne. Kalifornia była o wiele bardziej zatłoczona, niż oczekiwał i znacznie głośniejsza. Czekał na nich człowiek z „Gliniarzy w opałach", trzymając kawałek pogiętego białego kartonu z napisanym czerwonym flamastrem nazwiskiem MENDELSOHN, w którym tylko „S" było napisane wspak. Rydell uśmiechnął się, przedstawił i wymienił uścisk dłoni. Tamtemu najwyraźniej spodobało się to; powiedział, że ma na imię Siergiej. Kiedy Karen zapytała go, gdzie jest ten pierdolony samochód, poczerwieniał i odparł, że ściągnie go tu za minutę. Karen powiedziała nie, dzięki, pójdą z nim na parking, gdy tylko odbiorą bagaże, bo nie ma zamiaru czekać tutaj, w tym zoo. Siergiej kiwnął głową. Usiłował zwinąć karton i wepchnąć go do kieszeni marynarki, ale papier był za duży. Rydell zastanawiał się, co tak nagle rozdrażniło Karen. Może była zmęczona podróżą. Mrugnął do Siergieja, ale to tylko jeszcze bardziej zdenerwowało tamtego.

Kiedy odebrali bagaże, dwie czarne skórzane walizki Karen i miękką niebieską samsonite, którą Rydell kupił, używając nowej karty kredytowej, razem z Siergiejem zanieśli je przed budynek. Powietrze na zewnątrz było podobne, tylko bardziej rozgrzane. Przez głośnik powtarzano komunikat, że oznaczone na biało miejsca służą tylko do załadunku i wyładunku. Wokół przejeżdżały najróżniejsze pojazdy, płakały dzieci, a ludzie opierali się na stertach bagażu, ale Siergiej wiedział, dokąd zmierza — do garażu po drugiej stronie ulicy. Jego samochód był długi, czarny, niemiecki i wyglądał tak, jakby ktoś właśnie dokładnie go wyczyścił ciepłą śliną i chusteczkami higienicznymi. Kiedy Rydell chciał zająć fotel obok kierowcy, Siergiej znów zaczął się jąkać i usadowił go na tylnym siedzeniu obok Karen. To ją rozśmieszyło, więc Rydell poczuł się lepiej.

Kiedy wyjeżdżali z garażu, Rydell dostrzegł dwóch gliniarzy stojących obok wielkiego napisu z nierdzewnej stali, głoszącego: METRO. Nosili klimatyzowane hełmy z przezroczystymi plastikowymi wizjerami. Szturchali pałkami jakiegoś starca, chociaż nie wyglądało na to, żeby je włączyli. Stary miał dziury na kolanach dżinsów i wielkie kawały plastra na obu policzkach, co niemal zawsze oznacza raka skóry. Miał tak spalone ciało, że trudno było powiedzieć, czy to biały, czy kolorowy. Tłum ludzi płynął po schodach za starcem i gliniarzami, pod napisem METRO, omijając ich.

— Witamy w Los Angeles — powiedziała. — Ciesz się, że nie jedziesz metrem.

Tego wieczoru zjedli kolację z samym Aaronem Pursleyem, w teksańsko-meksykańskiej restauracji przy Norm Flores Street, która według Karen należała do Hollywood. Mieli tam najlepsze teksańsko-

meksykańskie żarcie, jakie Rydell kiedykolwiek kosztował. Mniej więcej miesiąc później próbował zabrać tam Subletta z okazji urodzin, żeby poprawić mu humor domowym posiłkiem, ale portier nie wpuścił ich.

— Komplet — powiedział.

Rydell widział przez szybę wiele pustych stolików. Było wcześnie i lokal ział pustkami.

— A co z tym? — spytał, wskazując na wszystkie te wolne stoliki.

— Zarezerwowane — odparł portier.

Sublett stwierdził, że ostre przyprawy i tak by mu nie posłużyły.

Krążąc Gunheadem, najbardziej lubił jeździć po wzgórzach i kanionach, szczególnie w jasne księżycowe noce. Czasem widywało się tam takie rzeczy, że człowiek nie był potem pewny, czy naprawdę je widział. W jedną taką noc Rydell skręcił Gunheadem za róg i chwycił w światła reflektorów nagą kobietę, zastygłą jak drżący jeleń na wiejskiej drodze. Stała tam tylko przez sekundę, dostatecznie długo, aby Rydellowi wydało się, że miała na głowie srebrne różki albo jakiś kapelusik z półksiężycem i była Japonką, co natychmiast uznał za najdziwniejsze. Gdy go dostrzegła — zauważył to od razu — uśmiechnęła się. A później zniknęła.

Sublett też ją zobaczył, ale to tylko wprawiło go w jakiś rodzaj rozgadanej, religijnej ekstazy, łączącej wszystkie straszliwe horrory, jakie oglądał w telewizji, z tyradami wielebnego Fallona o wiedźmach, czcicielach szatana i potężnej mocy diabła. Zużył całotygodniowy zapas gumy, gadając bez przerwy, aż w końcu Rydell powiedział mu, żeby się, kurwa, zamknął. Ponieważ teraz, kiedy już zniknęła, chciał o niej pomyśleć. Jak wyglądała, co mogła tu robić i gdzie się podziała. Podczas gdy Sublett ponuro milczał na fotelu obok, Rydell usiłował przypomnieć sobie, jak zdołała tak doskonale i nagle zniknąć. A najzabawniejsze było, że widział to jakby dwukrotnie, podczas gdy wcale nie pamiętał, jak zastrzelił Kennetha Turveya, chociaż tyle razy słyszał, jak mówili o tym asystenci reżysera i prawnicy sieci telewizyjnej, że zdawało mu się, jakby to oglądał — przynajmniej w wersji „Gliniarzy w opałach” (nigdy nie nadanej). Przypominał sobie, że po prostu oddaliła się w dół zbocza obok drogi, chociaż nie potrafił powiedzieć, czy zbiegła tam, czy spłynęła. Jednocześnie pamiętał, że przeskoczyła — choć to niezbyt odpowiednie słowo — na szczyt zbocza po drugiej stronie drogi, jakimś cudem przelatując nad wysrebrzoną kurzem i blaskiem księżyca roślinnością, żeby zniknąć w niewiarygodny sposób, pokonawszy jednym susem dwunastometrową odległość. I czy Japonki miewają takie długie, kręcone włosy? I czy cienista kępka jej włosów nie wyglądała jak wygolona w kształcie wykrzyknika?

W końcu kupił Sublettowi cztery paczki tej jego specjalnej gumy

w całonocnej rosyjskiej aptece przy Wilshire, zdumiony ceną, jaką za nią zapłacił.

Widział w tych kanionach również inne rzeczy, szczególnie kiedy przypadała mu ostatnia zmiana. Najczęściej ogniska, maleńkie, w miejscach gdzie nie mogło ich być. A czasami światełka na niebie, ale Sublett nasłuchał się w tym swoim obozowisku tylu głupot o kontakcie, że kiedy Rydell zauważał czasem jakieś błyski, wolał o tym nie wspominać. Jednak czasem, kiedy tam jeździł, myślał o niej. Wiedział, że nie ma pojęcia, czym była, i w pewien przedziwny sposób nie dbał o to, czy była człowiekiem, czy nie. Jednak nie czuł też, aby uosabiała zło — była po prostu inna.

Teraz jechał, gadając o duperelach z Sublettem, na nocnej zmianie, która miała okazać się jego ostatnim patrolem w IntenSecure. Ani śladu księżyca, tylko niezwykle czyste niebo z kilkoma gwiazdami. Pięć minut do pierwszej rutynowej kontroli, a potem zawrócą do Beverly Hilis. Rozmawiali o tej sieci japońskich sal gimnastycznych zwanych „Body Hammer". Nie uprawiano w nich tradycyjnej gimnastyki; prawdę mówiąc, wprost przeciwnie. Uczęszczały tam głównie dzieciaki, którym podobał się pomysł wstrzykiwania sobie brazylijskich tkanek płodowych i wzmacniania szkieletu czymś, co w ogłoszeniach nazywano „materiałami wspomagającymi".

Sublett orzekł, że to dzieło Szatana.

Rydell stwierdził, że japońska koncesja.

Gunhead oznajmił:

— Wielokrotne zabójstwo, wzięto zakładników, prawdopodobnie nieletnie dzieci subskrybenta. Benedict Canyon. Macie zezwolenie IntenSecure na użycie wszelkich, powtarzam, wszelkich środków.

Sprawy potoczyły się tak, że Rydell nie zdążył przywyknąć do Karen Mendelsohn, biletów pierwszej klasy ani innych takich rzeczy.

Karen mieszkała na n-tym piętrze Century City II, inaczej „Gluta", które wyglądało jak wysmukły, półprzeźroczysty zielony cycek i było trzecią co do wysokości budowlą w LA. Przy odpowiednim oświetleniu można było niemal przejrzeć je na wylot i dostrzec trzy gigantyczne, podtrzymujące konstrukcję rozpory o tak ogromnej średnicy, że mógłbyś wepchnąć do niej zwykły wieżowiec i jeszcze zostałoby miejsce. Wewnątrz tego trójnoga znajdowały się szyby wind biegnące pod kątem; do tego Rydell także nie zdążył się przyzwyczaić. Cycek miał starannie skorodowany miedziany sutek, podobny do jednego z tych chińskich kapeluszy, którym można by nakryć kilka boisk piłkarskich. Tam znajdował się apartament Karen, tuż pod nim, razem z setką równie drogich mieszkań, klubem tenisowym, barami i restauracjami oraz centrum handlowym, do którego opłacało się wstęp

przed dokonaniem zakupów. Mieszkała na samym skraju i miała wielkie wygięte okna osadzone w zielonej ścianie. Wszystko tam miało różne odcienie bieli, oprócz jej ubrań, które zawsze były czarne; walizek, również czarnych; oraz powiewnych szlafroków frotte w kolorze suchych płatków owsianych. Karen wyjaśniła, że to agresywne retro lat siedemdziesiątych, którym zaczyna być lekko znużona. Rydell doskonale ją rozumiał, ale uznał, że postąpiłby nieuprzejmie, gdyby o tym powiedział.

Sieć załatwiła mu pokój w hotelu „West Hollywood", wyglądającym jak zwyczajny budynek mieszkalny, ale nie spędzał tam wiele czasu. Zanim wybuchła ta afera z zabójstwami w Pooky Bear w Ohio, przeważnie przebywał u Karen.

Odkrycie pierwszych z trzydziestu pięciu ofiar w Pooky Bear wywarło ogromny wpływ na karierę Rydella jako gliniarza w opałach. Bynajmniej nie pomogło mu to, że policjantki, które pierwsze przybyły na miejsce zbrodni, sierżant China Valdez i kapral Norma Pierce, były bodaj dwoma najładniejszymi kobietami w szeregach policji Cincinnati („cholernie telegeniczne" — powiedział jeden z asystentów reżysera, chociaż Rydell uznał, że w tych okolicznościach takie stwierdzenie brzmi trochę dziwnie). Potem ofiar zaczęło przybywać, aż w końcu zrobiło się ich więcej niż w przypadku jakichkolwiek zarejestrowanych dotychczas seryjnych zabójstw. Później ujawniono, że wszystkie ofiary były dziećmi. Wtedy sierżant Valdez pod wpływem szoku wkroczyła do knajpy w centrum miasta i przestrzeliła oba kolana znanemu pedofilowi — temu zdumiewająco odrażającemu facetowi noszącemu ksywę „Galareta", który nie miał nic wspólnego z morderstwami w Pooky Bear.

Aaron Pursley już leciał do Cincinnati samolotem, w którym nie było ani odrobiny metalu, Karen włożyła okulary i rozmawiała z co najmniej sześcioma osobami jednocześnie, a Rydell siedział na skraju jej wielkiego białego łóżka, zaczynając pojmować, że coś się zmieniło.

Kiedy w końcu zdjęła okulary, po prostu siedziała tam, wpatrując się w białą farbę na ścianie.

— Mają podejrzanych?

Karen spojrzała na niego tak, jakby nigdy wcześniej go nie widziała.

— Podejrzanych? Mają już przyznanie się do winy…

Rydell zauważył, jak staro wyglądała w tym momencie i zaczął się zastanawiać, ile naprawdę miała lat. Karen wstała i wyszła z pokoju.

Pięć minut później wróciła w świeżym czarnym stroju.

— Pakuj się. Nie możesz tu zostać.

I wyszła, bez pocałunku, bez pożegnania, bez niczego.

Wstał, włączył telewizor i po raz pierwszy zobaczył zabójców z

Pooky Bear. Wszystkich trzech. Wyglądali, pomyślał, dokładnie tak samo jak każdy, a więc tak jak zazwyczaj wyglądają w telewizji ludzie, którzy dopuszczają się takich świństw. Siedział tam w jednym z jej owsianoszarych szlafroków, kiedy bez pukania weszli dwaj najemni gliniarze. Mieli czarne mundury i takie same czarne, wysokie buciory SWAT, jakie Rydell nosił na patrolach w Knoxville, te z kewlarowymi wkładkami na wypadek, gdyby ktoś zapadł się pod ziemię i próbował postrzelić cię w podeszwę. Jeden z nich jadł jabłko. Drugi miał w ręku elektryczną pałkę.

— Hej, koleś — powiedział pierwszy z pełnymi ustami — mamy cię stąd wyprowadzić.

— Miałem takie buty — powiedział Rydell. — Zrobione w Portland, w Oregonie. Dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów w CostCo.

Ten z pałką uśmiechnął się.

— Spakujesz się sam?

Rydell zrobił to, zbierając wszystko, co nie było czarne, białe lub owsianoszare, i wrzucając do swojej niebieskiej samsonite.

Gliniarz z pałką obserwował go, podczas gdy drugi kręcił się wokół, kończąc jabłko.

— Dla kogo pracujecie? — zapytał Rydell.

— IntenSecure — odparł ten z pałką.

— Dobra firma? — Rydell zapiął walizkę.

Gliniarz wzruszył ramionami.

— Z Singapuru — powiedział drugi, zawijając ogryzek jabłka w pomiętą chusteczkę higieniczną wyjętą z kieszeni spodni. — Wszystkie duże budynki, ogrodzone osiedla, takie rzeczy.

Ostrożnie włożył ogryzek do kieszeni nieskazitelnie czarnego munduru, na piersiach, pod mosiężną odznakę.

— Masz forsę na metro? — zapytał Rydella pan Pałka.

— Jasne — rzekł Rydell, myśląc o swojej karcie kredytowej.

— To jesteś w lepszej sytuacji niż większość dupków, których stąd wyprowadzamy.

Dzień później sieć zablokowała jego konto w MexAmeriBanku.

Hernandez mógł się mylić w ocenie angielskich pojazdów SWAT, pomyślał Rydell, włączając napęd na wszystkie sześć kół i czując, jak Gunhead przywiera do nawierzchni jak dwusilnikowa, trzy tonowa pijawka. Jeszcze nigdy nie nadepnął tak mocno na gaz. Sublett jęknął, gdy pasy zacisnęły się automatycznie, wyrywając go ze zwykłej drzemki. Rydell skierował Gunheada na pobocze porośnięte zakurzonymi, zastygłymi chwastami, wyprzedzając siedemdziesiątką muzealnego bentleya, w dodatku z nieprzepisowej strony. Migawkowy widok przerażonej twarzy pasażerki, a potem Sublettowi udało się

wcisnąć czerwony przycisk uruchamiający migacze i syrenę. Długi prosty odcinek. Żadnych pojazdów. Rydell wjechał na środkową linię i trzymał się jej. Sublett wydawał zawodzący dźwięk, dziwnie zsynchronizowany z ceramicznym skowytem dwóch bliźniaczych silników Kyocera; Rydell doszedł do wniosku, że Teksańczyk zupełnie zwariował pod wpływem napięcia i śpiewa w jakimś języku obozowiska przyczep kempingowych, zrozumiałym tylko dla błogosławionych wyznawców wielebnego Fallona.

Jednak nie — kiedy na niego zerknął, zobaczył, że Sublett, poruszając wargami, gwałtownie przeszukuje dane ukazujące się na ekranach konsoli, wytrzeszczając srebrne oczy, jakby miały mu za chwilę wyjść z oczodołów. A czytając, już ładował swojego pościeranego glocka z drugiej ręki, całkiem spokojnie poruszając długimi białymi palcami, jakby robił sobie kanapkę albo składał gazetę.

I właśnie to było przerażające.

— Gwiazda Śmierci! — wrzasnął Rydell. Sublett powinien przez cały czas mieć słuchawki w uszach i nasłuchiwać satelitarnego przekazu kontrolującego świat prawdziwych gliniarzy.

Sublett obrócił się, z trzaskiem wpychając magazynek w rękojeść qlocka; twarz miał tak bladą, że zdawała się odbijać kolory lampek konsoli równie wyraźnie jak puste stalowe kręgi jego oczu.

— Służba nie żyje — powiedział — a troje dzieci przetrzymują w pokoju dziecinnym.

Jego głos brzmiał tak, jakby mówił o interesującym programie telewizyjnym, na przykład o kiepskiej przeróbce starego, lubianego filmu, drastycznie przykrojonego do potrzeb jakiejś etnicznej propagandy.

— Mówią, że je zabiją, Berry.

— A co na to pieprzeni gliniarze? — wrzasnął Rydell, w gwałtownym przypływie gniewu i frustracji waląc pięścią w obciągniętą miękką pianką kierownicę.

Sublett dotknął palcem prawego ucha. Wyglądał tak, jakby miał zaraz zacząć wrzeszczeć.

— Głucho — rzekł.

Prawy przedni błotnik Gunheada ściął starannie zgalwanizowaną wiejską skrzynkę pocztową Searsa z mniej więcej 1943 roku, niewątpliwie nabytą za ciężkie pieniądze na Melrose Avenue.

— Nie mogli się wyłączyć — powiedział Rydell — przecież to pieprzona policja.

Sublett wyjął z ucha słuchawkę i podał ją Rydellowi.

— Tylko szum…

Rydell spojrzał na konsolę. Kursor Gunheada był zieloną włócznią przeznaczenia, śmigającą bladozielonym kanionem ku jasnobiałemu

kręgowi wielkości ślubnej obrączki. Na ekranie po prawej widział odczyty funkcji życiowych trojga dzieci subskrybenta. Miały przyspieszony puls. W okienku poniżej widniał śmiesznie nieruchomy, widziany w podczerwieni obraz frontowej bramy. Wyglądała masywnie. Skaner zarejestrował, że była zamknięta i uzbrojona.

Chyba właśnie wtedy postanowił spróbować.

Mniej więcej tydzień później, kiedy wszystko już wyjaśniono, Hernandez wyraził mu swoje współczucie w związku z całą tą historią. Rozumiecie, nie był zachwycony, ponieważ zdarzyła się na jego zmianie, ale uznał, że w tych okolicznościach nie może mieć do Rydella pretensji.

Rydell słyszał, że IntenSecure ściągnęła cały samolot ludzi z głównej kwatery w Singapurze, żeby trzymać prasę z daleka i wypracować jakiś rodzaj ugody z subskrybentami — Schonbrunnami. Nie miał pojęcia, na czym polegała ta ugoda, i cieszył się z tego; nie istniał taki program jak „Najemny gliniarz w opałach", a sama frontowa brama Schonbrunnów była zapewne warta kilka tuzinów jego miesięcznych wypłat. Oczywiście, IntenSecure mogła wymienić tę bramę na nową, bo i tak oni ją zainstalowali. Była to niezła brama, z jakiejś japońskiej blachy wzmocnionej włóknem szklanym, utwardzonym termicznie do konsystencji betonu i sprawdziła się doskonale, ścierając większość tej Wet Honey Sienna z przedniego zderzaka Gunheada. Ponadto zniszczenia samego domu, głównie okien salonu (przez które wjechał) i mebli (po których przejechał).

A to jeszcze nie wszystko, wyjaśniał Hernandez. Schonbrunnowie muszą dostać coś jeszcze za straty moralne, powiedział, nalewając Rydellowi filiżankę zimnej, paskudnej kawy z wielkiego stalowego termosu. Do termosu była przyczepiona magnetyczna wywieszka głosząca JA NIE JESTEM OK, TY NIE JESTEŚ OK — JEDNAK, HEJ, TO JEST OK.

Minęły dwa tygodnie od tamtej nocy, była dziesiąta rano i Rydell miał pięciodniową brodę, drobno plecioną panamę stetsona, workowate i wyblakłe lub sprane spodnie, podkoszulek z napisem KNOXVILLE POLICE DEPARTMENT, który na ramionach zaczynał pękać w szwach, czarne buty SWAT od munduru IntenSecure oraz nadmuchiwany, przezroczysty opatrunek na lewej ręce.

— Straty moralne — powtórzył.

Hernandez, niemal tak szeroki jak jego biurko, podał Rydellowi kawę.

— Mogę tylko powiedzieć, że i tak miałeś szczęście.

— Straciłem pracę, mam złamaną rękę i miałem szczęście?

— Mówię poważnie, człowieku — odparł Hernandez — przecież mogłeś zginąć. A w policji LA zabiliby cię za coś takiego. Państwo

Schonbrunn okazali się bardzo mili, zważywszy na kłopoty i przykrości pani Schonbrunn. Twoja ręka ucierpiała, przykro mi z tego powodu…

Hernandez wzruszył potężnymi ramionami.

— W każdym razie nie jesteś zwolniony, człowieku. Po prostu nie możemy ci teraz pozwolić jeździć. Jeśli chcesz, żebyśmy przenieśli cię do pilnowania rezydencji, nie ma problemu.

— Nie, dzięki.

— Ochrona mienia? Chcesz pracować wieczorami w „Encino Fashion Mali”?

— Nie.

Hernandez zmrużył oczy.

— Widziałeś kociaka, który tam pracuje?

— Nie.

Hernandez westchnął.

— Człowieku, a co z tym całym gównem, w które wdepnąłeś w Nashville?

— W Knoxville. Wydział wystąpił o trwałe zawieszenie. Wkroczenie bez nakazu i odpowiedniego wsparcia.

— A ta suka, która cię zaskarżyła?

— Słyszałem, że ona i jej syn zostali przyłapani podczas próby obrobienia sklepu w Johnson City…

Teraz z kolei Rydell wzruszył ramionami, tyle że zabolała go przy tym ręka.

— Widzisz — rozpromienił się Hernandez — miałeś szczęście.

Przejeżdżając Gunheadem przez zamkniętą i uzbrojoną bramę Schonbrunnów przy Benedict Canyon, Rydell doświadczył przelotnego wrażenia czegoś bardzo wzniosłego, bardzo czystego i klinicznie pustego, związanego z działaniem bez zastanowienia; uniesienie wywołane niesamowitym przypływem adrenaliny i utratą wszelkich kłopotliwych wątpliwości.

A było to — jak przypominał sobie później zmagania z kierownicą, kiedy przelatywał przez japoński ogródek, patio, a potem uderzył w membranę zbrojonego szkła, która zniknęła jak senna mara — uczucie bardzo podobne do tego, jakiego doznał wtedy, gdy wyjął broń i nacisnął spust, rozbryzgując wnętrze czaszki Kennetha Turveya po pozornie nieskończonej płaszczyźnie białego podkładu ściany, której nikt nie pofatygował się pomalować.

Rydel pojechał do Cedars, odwiedzić Subletta. IntenSecure załatwiła prywatną izolatkę, żeby ochronić Subletta przed węszącymi wszędzie dziennikarzami. Teksańczyk siedział na łóżku, żując gumę i patrząc w mały, ciekłokrystaliczny ekran odtwarzacza kompaktowego,

który położył sobie na piersi.

— *Warlords of the 21st Century* — powiedział, kiedy Rydell wcisnął się do środka. — James Wainwright, Annie McEnroe, Michael Beck.

Rydell uśmiechnął się.

— Kiedy go nakręcili?

— W 1982. — Sublett ściszył odtwarzacz i popatrzył na gościa. — Oglądałem go już kilka razy.

— Byłem w firmie i widziałem się z Hernandezem, człowieku. Mówi, że nie musisz się martwić o pracę.

Sublett spojrzał na Rydella pustymi, srebrnymi oczami.

— A co z twoją, Berry?

Rydella zaswędziala ręka pod gipsem. Pochylił się i wyjął plastikową słomkę z białego kosza na śmieci stojącego obok łóżka. Wepchnął słomkę pod opatrunek i poruszał nią.

— Przeszedłem do historii. Nie pozwolą mi jeździć.

Sublett patrzył na słomkę.

— Nie powinieneś dotykać niczego w tym szpitalu.

— Niczym się od ciebie nie zarażę, Sublett. Jesteś jednym z najczyściejszych popaprańców na świecie.

— I co będziesz robił, Berry? Przecież musisz z czegoś żyć, człowieku.

Rydell wrzucił słomkę z powrotem do kosza.

— No, jeszcze nie wiem. Jednak wiem, że nie zamierzam pilnować posiadłości ani żadnych sklepów.

— A co z tymi hackerami, Berry? Myślisz, że złapią tych, którzy nas wrobili?

— Nie. Jest ich zbyt wielu. Republika Żądzy istnieje już jakiś czas. Federalni mają listę około trzystu znanych „zwolenników", ale nie dadzą rady zgarnąć wszystkich i ustalić, kto to zrobił. Chyba, że któryś z nich zakapuje innego, co dość często się zdarza.

— Tylko dlaczego nam to zrobili?

— Do diabła, Sublett, skąd ja mam wiedzieć?

— Zwyczajne świństwo.

— No pewnie, a Hernandez mówi, że LAPD uważa, że ktoś chciał przyłapać panią Schonbrunn bez majtek.

Ani Sublett, ani Rydell nie widzieli pani Schonbrunn, bo — jak się okazało — siedziała w pokoju dziecinnym. Natomiast dzieci wcale tam nie było, ponieważ wybrały się z ojcem polatać sobie nad trzema nowymi wulkanami w stanie Waszyngton.

Żadna z informacji podanych przez Gunheada tamtej nocy, po opuszczeniu myjni samochodowej, nie była prawdziwa. Ktoś dobrał się do komputera pokładowego hotspura hussara i wprowadził do niego zbiór starannie opracowanych i całkowicie fałszywych danych,

odcinając Rydella i Subletta od IntenSecure oraz Gwiazdy Śmierci (która, oczywiście, nie wyłączyła się). Rydell podejrzewał, że kilku z tych miłych starych Mongołów w myjni mogło coś o tym wiedzieć.

I może w tej krótkiej chwili niesamowitego olśnienia, kiedy pogięty przód Gunheada wciąż próbował wspiąć się na potrzaskane resztki dwóch skórzanych kanap, a on przypomniał sobie śmierć Kennetha Turveya, Rydell doszedł do wniosku, że ten szalony poryw, ta chęć działania, jest czymś, czemu nie zawsze można w pełni zaufać.

— Człowieku — powiedział Sublett, jakby do siebie — przecież oni zabiją te dzieci.

Z tymi słowami odpiął pasy i z glockiem w ręku wyskoczył z wozu, zanim Rydell zdążył cokolwiek zrobić. Dojeżdżając na miejsce, Rydell kazał mu wyłączyć syrenę i migacze, ale teraz wszyscy w tym domu wiedzieli już, że przybyli faceci z IntenSecure.

— Wkraczam do akcji — usłyszał swój głos Rydell, przyczepiając kaburę z glockiem do munduru i łapiąc miazgacz, który ze względu na siłę rażenia był zapewne najlepszą bronią, jakiej można by użyć w pokoju pełnym dzieci. Kopnięciem otworzył drzwi i wyskoczył, przebijając buciorami gruby szklany blat stolika do kawy. (Rana wymagała dwunastu szwów, ale była płytka.) Nigdzie nie widział Subletta. Chwiejnie ruszył naprzód, przyciskając do piersi żółty miazgacz, niejasno uświadamiając sobie, że nie czuje lewej ręki.

— Stój, kutasie! — wrzasnął najdonośniejszy głos na świecie.

— Tu LAPD! Rzuć to gówno albo odstrzelimy ci dupę!

Rydell znalazł się w kręgu niespodziewanej i kompletnie oślepiającej jasności, światła tak jaskrawego, że paliło jego oczy jak roztopiony metal.

— Słyszysz mnie, kutasie?

Krzywiąc się, osłaniając dłonią oczy, Rydell odwrócił się i ujrzał bulwiaste, opancerzone cielsko nadlatującego patrolowca. Podmuch rozpłaszczał w japońskim ogródku wszystko to, po czym nie przejechał Gunhead.

Rydell upuścił miazgacz.

— Pistolet też, dupku!

Rydell kciukiem i palcem wskazującym chwycił rękojeść glocka. Broń oderwała się razem z kaburą, z cichym lecz wyraźnym trzaskiem rzepów, jakimś cudem słyszalnym przez pomruk wyciszonego do akcji silnika helikoptera.

Upuścił glocka i podniósł ręce do góry. A raczej próbował. Lewa była złamana.

Znaleźli Subletta piętnaście stóp od Gunheada. Twarz i dłonie napuchły mu jak jasnoróżowe baloniki i najwyraźniej dusił się. Gospodyni Schonbrunnów, Bośniaczka, użyła środka zawierającego

ksylen i chlorowęglowodory do wyczyszczenia śladów kredek z blatu dębowego stołu.

— Co mu się stało, do cholery? — zapytał jeden z gliniarzy.

— Ma alergię — powiedział Rydell przez zaciśnięte zęby; skuli mu ręce na plecach i bolało go jak diabli. — Musicie zabrać go do szpitala. Sublett otworzył oczy, a przynajmniej usiłował.

— Berry…

Rydell przypomniał sobie tytuł tego filmu, który oglądał w telewizji.

— *Cudowna mila* — powiedział.

Sublett zmrużył oczy.

— Nigdy go nie widziałem — powiedział i zemdlał.

Tego wieczoru pani Schonbrunn zabawiała się z polskim architektem zieleni. Policjanci znaleźli ją w pokoju dziecinnym. Oniemiała z wściekłości, miała na sobie kilka interesujących, kosztownych fatałaszków z angielskiej gumy, prawdziwej skóry oraz parę zabytkowych kajdanków Smith Wesson, które ktoś troskliwie wyczyścił i pooksydował na czarno — natomiast ogrodnik najwidoczniej ruszył w siną dal, gdy tylko usłyszał, jak Rydell zaparkował Gunheada w salonie.

3
Niemiłe przyjęcie

Chevette nigdy niczego nie kradła, przynajmniej nie ludziom i zdecydowanie nie wtedy, kiedy rozwoziła przesyłki. Oprócz jednego pechowego poniedziałku, kiedy zwinęła okulary przeciwsłoneczne temu kompletnemu dupkowi, tylko dlatego, że po prostu jej podpadł.

Stała sobie pod oknem na dziewiętnastym piętrze, spoglądając na most, na szare skorupy wielkich sklepów, gdy podszedł do niej. Już prawie zdołała dostrzec mieszkanie Skinnera, wysoko wśród lin, kiedy dotknął jej nagich pleców czubkiem palca. Wsadził rękę pod kurtę Skinnera i pod podkoszulek.

Nosiła tę kurtkę wszędzie, jak jakąś zbroję. Wiedziała, że jeżdżąc o tej porze roku, powinna nosić tylko nanoporowe wdzianka, ale wolała tę starą katanę Skinnera z paskowymi kodami Allied na klapach. Kuleczki łańcuszków przy zamkach błyskawicznych zakołysały się, gdy obróciła się na pięcie, by odtrącić ten palec. Przekrwione oczy. Twarz wyglądająca tak, jakby zaraz miała się rozpłynąć. W zębach trzymał krótkie, cienkie, zielonkawe cygaro, ale nie zapalił go. Wyjął je z ust, zanurzył wilgotny koniec w szklaneczce z przejrzystym płynem i pociągnął. Wyszczerzył się do niej. Jakby wiedział, że nie pasowała do tego miejsca, takiego przyjęcia w starym, lecz niezwykle drogim hotelu przy Geary.

Jednak to była ostatnia przesyłka tego dnia, paczka dla prawnika, a tak niedaleko płonęły kosze na śmieci Tenderloin z kulącymi się wokół nich ludźmi, których opuściło szczęście. Twarze oświetlone nikłym blaskiem cienkich szklanych rurek. Oczy pełne tej strasznej, przelotnej satysfakcji. Ten widok niezmiernie wywoływał u niej dreszcze, zawsze. Włączywszy blokadę i alarm roweru w głucho dudniącym, podziemnym parkingu hotelu „Morrisey", wjechała windą dla personelu do holu, gdzie faceci z ochrony usiłowali odebrać jej przesyłkę, ale nie zdołali. Miała ją oddać tylko panu Garreau z pokoju 808, co wyraźnie głosił napis na paczce. Przesunęli skanerem po kodzie paskowym jej odznaki Allied, prześwietlili rentgenem paczkę, sprawdzili ją wykrywaczem metali i machnięciem ręki przepuścili do windy z różowymi lustrami osadzonymi w grubym jak drzwi bankowego sejfu brązie. Wjechała na ósme i poszła korytarzem, cichym niczym las ze snu. Znalazła pana Garreau w koszulce z krótkim rękawem i krawacie barwy świeżo przetopionego ołowiu. Podpisał kwit, nie nawiązując kontaktu wzrokowego; z paczką w ręku zamknął jej przed nosem opatrzone trzema mosiężnymi cyframi drzwi. Sprawdziła fryzurę w lśniącym jak lustro, wybitym kursywą zerze.

Kucyk z tyłu sterczał jak należy, ale nie była pewna, że z przodu uczesano ją równie dobrze. Szpice wciąż były trochę za długie. I jakby zbyt cienkie. Ruszyła z powrotem korytarzem, pobrzękując hardwarem przy kurtce Skinnera, wbijając podeszwy butów w świeżo odkurzony dywan barwy mokrej od deszczu terakoty.

Drzwi windy otworzyły się i wypadła z nich ta japońska dziewczyna. Albo prawie wypadła, bo Chevette złapała ją pod pachy i oparła o framugę drzwi.

— Gdzie przyjęcie?

— Co na to twoi starzy? — zapytała Chevette.

— Dziewiąte piętro! Duże przyjęcie!

Oczy dziewczyny składały się z samych źrenic, były szkliste jak z plastiku.

I tak Chevette, z prawdziwym kieliszkiem pełnym prawdziwego francuskiego wina w jednej i najmniejszą kanapką, jaką kiedykolwiek widziała w drugiej ręce, zaczęła się zastanawiać, ile pozostało jej czasu, zanim hotelowy komputer zauważy, że jeszcze nie opuściła terenu. Jednak nie przypuszczała, żeby przyszli szukać jej tutaj, ponieważ ktoś najwidoczniej sporo zapłacił, żeby wydać takie przyjęcie.

Niektórym było bardzo wesoło, ponieważ w ciemnej łazience wdychali lód przez delfina z dmuchanego szkła, o obłych kształtach rozświetlanych trzepoczącym niebieskawym języczkiem zapalniczki. A bawiono się nie tylko w jednym pomieszczeniu, ale w wielu połączonych ze sobą pokojach. Ponadto było tu mnóstwo ludzi; mężczyźni przeważnie w garniturach z kamizelkami na cztery guziki, wykrochmalonymi koszulami z żabotami, bez krawatów, lecz z kosztownymi zapinkami. Kobiety nosiły stroje, jakie Chevette widziała tylko w miesięcznikach. Bogaci ludzie, najwyraźniej, a w dodatku cudzoziemcy. Chociaż może bogaci są wszędzie cudzoziemcami.

Zdołała jakoś umieścić Japonkę w pozycji horyzontalnej na długiej zielonej kanapie, na której teraz chrapała, bezpieczna, o ile ktoś na niej nie siądzie. Rozejrzawszy się wokół, Chevette stwierdziła, że nie była jedyną źle ubraną osobą w tym towarzystwie. Na przykład ten facet w łazience, w luźnych żółtych szortach — ale to skrajny przypadek. Ponadto para dziewczyn, reprezentujących najstarszy zawód świata, które jednak mogły stanowić akceptowany element lokalnego folkloru, służący jakiemuś konkretnemu celowi.

A potem ten dupek tuż przed jej nosem, szczerzący się parszywym pijackim uśmiechem, więc położyła dłoń na małym składanym nożu, kolejnym eksponacie pożyczonym od Skinnera. W rączce była dziura, w którą wpychało się czubek kciuka, by z trzaskiem otworzyć nóż jedną ręką. Ostrze było zaledwie trzycalowe, szerokości łyżki, złowrogo ząbkowane i ceramiczne. Skinner mówił, że to nóż

fraktalowy, w rzeczywistości dwukrotnie dłuższy od samego ostrza.

— Zdaje się, że niezbyt dobrze się bawisz — mówi tamten. Europejczyk, jednak Chevette nie rozpoznała akcentu. Nie Francuz i nie Niemiec. Jego kurtka też jest ze skóry, ale nie takiej jak katana Skinnera. Z jakiegoś gruboskórnego zwierzęcia z włosiem jak gruby jedwab o barwie tabaki. Chevette wspomina zapach pożółkłych gazet w pokoju Skinnera, niektórych tak starych, że zdjęcia stały się tylko odcieniami szarości — podobnymi do widoku miasta oglądanego czasem z mostu.

— Całkiem nieźle, dopóki się nie pojawiłeś — mówi Chevette, myśląc, że czas już chyba iść, ten facet to złe wieści.

— Powiedz mi — mówi dupek, patrząc z uznaniem na jej kurtkę, podkoszulek i kolarki — jakie świadczysz usługi.

— O czym ty, kurwa, mówisz?

— Z pewnością — ciągnie tamten, wskazując na dziewczyny z Tenderloin po drugiej stronie pokoju — możesz zaproponować coś bardziej interesującego… — z lubością smakuje to słowo — …niż te dwie.

— Pieprzę to — mówi Chevette. — Jestem posłańcem.

Jego twarz przybiera zabawny wyraz, jakby coś do niego dotarło mimo pijackiego zamroczenia i dręczyło go. Potem odchyla głowę w tył i śmieje się jak z najlepszego żartu na świecie. Chevette dostrzega mnóstwo bardzo białych, wyglądających na niezwykle kosztowne, zębów. Skinner powiedział jej, że bogaci nigdy nie mają metalu w zębach.

— Powiedziałam coś śmiesznego?

Dupek ociera oczy.

— A więc coś nas łączy, ciebie i mnie…

— Wątpię.

— Ja też jestem posłańcem — powiada, chociaż zdaniem Chevette niewielki pagórek wystarczyłby, żeby ustawił się w kolejce po tlen. — Kurierem — uzupełnia, jakby sobie przypomniał.

— No to pędź stąd — mówi mu i obchodzi go z daleka, ale w tej chwili gaśnie światło i rozlega się muzyka — intro do *She's God's Girlfriend* Chrome Koran. Chevette, która ma słabość do kawałków Chrome Koran i puszcza je, jadąc na rowerze, ilekroć potrzebuje dopingu do pędu, teraz porusza się w jej rytmie, bo tańczą wszyscy, nawet lodziarze z łazienki.

Pozbywszy się dupka, a przynajmniej zapomniawszy o nim, zauważa, że ci ludzie wyglądają o wiele lepiej, kiedy tańczą. Naprzeciw niej wyrasta jakaś dziewczyna w skórzanej spódniczce i czarnych bucikach z brzęczącymi srebrnymi ostrogami. Chevette uśmiecha się; tamta odpowiada uśmiechem.

— Jesteś z miasta? — pyta dziewczyna, gdy kończy się *She's God's*

Girlfriend, i Chevette przez moment ma wrażenie, że tamta chce wiedzieć, czy jest gońcem municypalnym. Dziewczyna — kobieta — dojrzalsza niż wyglądała na pierwszy rzut oka, może po dwudziestce, ale zdecydowanie starsza od Chevette. Przystojna, ale nie wyglądająca na modelkę; ciemne oczy, krótko przycięte czarne włosy. — San Francisco?

Chevette kiwa głową. Następna melodia jest starsza od niej; zdaje się, że tego czarnego faceta, który rozjaśnił sobie karnację, a potem odpadła mu twarz. Rozgląda się, szukając swego kieliszka, ale wszystkie wyglądają tak samo. Ta japońska laleczka przesuwa się obok, kołysząc piersiami, ale w jej oczach nie pojawia się błysk rozpoznania na widok Chevette.

— Cody zwykle znajduje w San Francisco wszystko, czego potrzebuje — mówi kobieta zmęczonym głosem, jednocześnie zdradzającym, że uważa to za bardzo zabawne. Niemka, myśli Chevette, słysząc jej akcent.

— Kto?

Kobieta unosi brwi.

— Nasz gospodarz.

Jednak z jej twarzy nie znika szeroki, miły uśmiech.

— Ja po prostu weszłam…

— Chciałabym móc powiedzieć to samo! — śmieje się kobieta.

— Dlaczego?

— Ponieważ wtedy mogłabym wyjść.

— Nie podoba ci się tu?

Z bliska kobieta pachnie drogimi perfumami. Chevette nagle z niepokojem myśli o tym, jak sama pachnie, po całym dniu na rowerze, bez prysznica. Jednak kobieta bierze ją pod rękę i odprowadza na bok.

— Naprawdę nie znasz Cody'ego?

— Nie.

Chevette widzi pijaka, tego dupka, przez otwarte drzwi do drugiego pokoju, gdzie wciąż są zapalone światła. On patrzy prosto na nią.

— Myślę, że chyba już sobie pójdę, dobrze?

— Nie musisz. Proszę. Ja tylko zazdroszczę ci tej możliwości.

— Jesteś Niemką?

— Padwanką.

Chevette wie, że to część dawnych Włoch. Północna część, myśli.

— Kim jest ten Cody?

— Cody lubi przyjęcia, a to szczególnie sobie upodobał. Ono trwa już od kilku lat. Jeżeli nie tutaj, to w Londynie, Pradze, Makao…

Jakiś chłopiec przedziera się przez tłum, niosąc tacę pełną drinków. Nie wygląda na pracownika hotelu. Jego wykrochmalona koszula już nie jest nieskazitelna, ale rozpięta i wyciągnięta ze spodni.

Chevette dostrzega, że przez jedną brodawkę piersiową ma przewleczony kolczyk z małym stalowym dzwoneczkiem. Sztywny żabot rozpiął mu się z przodu i sterczy jak przekrzywiona aureola. Kiedy podsuwa jej tacę, kobieta bierze kieliszek białego wina. Chevette potrząsa głową. Na tacy leży biały talerzyk z tabletkami i czymś, co wygląda jak skręty pląsu.

Chłopak mruga do Chevette i odchodzi.

— Wydaje ci się dziwne?

Kobieta wypija wino i rzuca pusty kieliszek przez ramię. Chevette słyszy brzęk szkła.

— Hę?

— Przyjęcie Cody'ego.

— Tak. Chyba. Chcę powiedzieć, że po prostu weszłam…

— Gdzie mieszkasz?

— Na moście.

Jeszcze szerszy uśmiech, czekając na reakcję.

— Naprawdę? Wygląda tak… tajemniczo. Chciałabym tam pójść, ale nie ma wycieczek, a mówią, że to niebezpieczne miejsce…

— Wcale nie — mówi Chevette, a potem zastanawia się. — Po prostu… nie ubieraj się zbyt elegancko, dobrze? Tam nie jest bardziej niebezpiecznie niż w tej okolicy.

Myśli o tamtych wokół płonących koszów na śmieci.

— Tylko nie idź na Treasure Island. I nie próbuj dotrzeć aż do Oakland. Trzymaj się początku mostu.

— Podoba ci się tam?

— Cholera, tak. Nie chciałabym mieszkać nigdzie indziej.

Kobieta uśmiecha się.

— Myślę, że jesteś bardzo szczęśliwa.

— No cóż — mówi Chevette, czując się niezręcznie — muszę już iść.

— Mam na imię Maria…

— Chevette — mówi i podaje jej rękę. Prawie tak jak jej drugie imię. Chevette-Marie.

Wymieniają uścisk dłoni.

— Do widzenia, Chevette.

— Całkiem miłe przyjęcie, wiesz?

— To nie jest miłe przyjęcie.

Prostując ramiona w obszernej kurtce Skinnera, Chevette kiwa głową Marii i zaczyna przedzierać się przez tłum. Ten jest już kilkakrotnie gęstszy, może znajomi tego Cody'ego wciąż przybywają. Jest tu teraz więcej Japończyków, wszyscy w eleganckich garniturach; ich żony, sekretarki czy kimkolwiek są te kobiety, noszą perły. Jednak najwidoczniej to nie przeszkadza im wczuć się w atmosferę zabawy. Robi się coraz głośniej, bo goście są bardziej podochoceni. Słychać ten

nieustanny szum rozmów toczonych po kilku kieliszkach i Chevette chce jak najszybciej stąd wyjść. Utyka w pobliżu drzwi do łazienki, w której przedtem widziała lodziarzy, ale teraz są zamknięte. Grupka Francuzów rozmawia tam, wymachując rękami, ale Chevette słyszy, jak ktoś w środku wymiotuje.

— Chcę przejść — mówi do siwego, ostrzyżonego na rekruta mężczyzny w muszce i przepycha się obok niego, wylewając mu drinka. On rzuca za nią coś po francusku.

Chevette czuje się teraz jak ofiara klaustro, tak jak czasem w biurach, kiedy recepcjonista każe jej czekać na jakąś przesyłkę, a ona widzi tych wszystkich urzędników kręcących się tam i z powrotem, i zastanawia się, czy to ma jakiś sens, czy też oni po prostu robią to bez celu. A może tak działa na nią wino, troszeczkę, ponieważ rzadko pije i teraz nie zachwyca ją smak, jaki pozostawiło jej w ustach. I nagle dostrzega swojego pijaka, tego Euro z nie zapalonym cygarem, przysuwającego spocone czoło zbyt blisko apatycznookiej, lekko zaniepokojonej twarzy jednej z dziewcząt Tenderloin. Uwięził ją w kącie pokoju. W ścisku, tak blisko drzwi, korytarza i wolności, Chevette przez moment zostaje przyciśnięta do jego pleców, co nie przerywa potoku okropnych bzdur, jakie on wciska tamtej dziewczynie, jednak powoduje gwałtowny ruch jego łokcia, którym mocno szturcha Chevette w żebra, usiłując wywalczyć sobie więcej przestrzeni. A Chevette, zerkając w dół, zauważa coś sterczącego z kieszeni tabaczkowej skórzanej kurtki. W następnej chwili ma to w ręce, wpycha za kolarki i wychodzi, a ten dupek nawet niczego nie zauważa.

W nagłej ciszy korytarza, przy cichnących odgłosach przyjęcia, idąc do windy — ma ochotę biec. Ma też chęć wybuchnąć śmiechem, ale zaczyna się bać.

Idź.

Mijając stertę tac, brudnych szklanek i talerzy. Pamiętając o platfusach z ochrony, czekających w holu. To coś tkwi w jej spodenkach. W głębi bocznego korytarza dostrzega drzwi służbowej windy, szeroko otwarte i zapraszające. Młody Azjata ze stalowym wózkiem zachlapanym farbą i zastawionym płaskimi prostokątami telewizyjnych ekranów. Obrzucają czujnym spojrzeniem, kiedy wchodzi za nim do kabiny. Ma twarz o ostrych kościach policzkowych, bystre, głęboko osadzone oczy, a włosy podgolone wysoko w niemal pionowy czub — jeden z tych, jakie uwielbiają wszyscy ci faceci. Na przedzie czystej, szarej, roboczej koszuli ma przypięty identyfikator, a na szyi zawieszony na czerwonym nylonowym sznurze virtufax.

— Piwnica — mówi Chevette.

Jego faks brzęczy. Chwyta go, naciska guzik, zerka w okienko.

Ten przedmiot w jej spodniach wydaje się ogromny. Potem chłopak puszcza faks, mruga do niej i naciska przycisk oznaczony B-6. Drzwi zasuwają się z hałasem i Chevette zamyka oczy. Opiera się o miękkie poduchy ściany i marzy o tym, żeby być w pokoju Skinnera, nasłuchując skrzypienia lin. Podłogę tworzy warstwa desek ułożonych na skraju, w środku sterczy wybrzuszenie liny tkwiącej w jej stalowym siodle, a Skinner twierdzi, że ta lina składa się z 17 464 włókien. Każde ma grubość ołówka. Przy odpowiednim wietrze można przyłożyć do niej ucho i usłyszeć, jak most śpiewa. Winda bez powodu zatrzymuje się na czwartym. Kiedy drzwi otwierają się, nie ma za nimi nikogo. Chevette ma ochotę ponownie nacisnąć B-6, ale powstrzymuje się i czeka, aż wyręczy ją Azjata. B-6 nie jest garażem, w którym tak bardzo chciałaby się znaleźć, ale labiryntem wiekowych betonowych tuneli, wyłożonych popękanymi asfaltowymi płytami, z grubymi starymi rurami zwisającymi ze stalowych uchwytów pod sufitem. Chevette wymyka się z windy, podczas gdy chłopak majstruje przy jednym z kółek wózka.

Stuletni spacer wzdłuż rzędu zamkniętych na kłódki chłodni, pięćdziesięciu odkurzaczy ładujących akumulatory z szeregu ponumerowanych stanowisk, rolek dywanów poukładanych jak kłody. Znowu ludzie w roboczych ubraniach, niektórzy w białych kuchennych fartuchach, więc usiłuje przybrać minę i postawę posłańca, mając nadzieję, że wygląda, jakby doręczała jakąś przesyłkę. Znajduje wąskie schody i wchodzi po nich. Powietrze jest rozgrzane i gęste. Wykrywacze ruchu włączają dla niej światło na każdym kolejnym podeście. Czuje przytłaczający ciężar całego starego budynku. Jednak jej rower jest tam, na B-2, za filarem z odrapanego betonu.

— Trzymaj się z daleka — mówi, kiedy Chevette podchodzi na odległość pięciu stóp. Nie tak głośno jak samochód, ale równie poważnie.

Pod warstwą napylonej imitacji rdzy i zręcznie poprzylepianej taśmy izolacyjnej, geometria pustej w środku ramy z węglowego włókna sprawia, że uda Chevette zaczynają drżeć. Przesuwa lewą rękę przez pętlę identyfikującą za siodełkiem. Słyszy cichy podwójny trzask zwalnianej blokady cząstkowej i w następnej chwili już siedzi na rowerze i jedzie.

Nigdy nie czuła się lepiej, niż gnając poplamioną olejem rampą na zewnątrz.

4
Miejsca pracy

Współlokator Rydella, Kevin Tarkovsky, miał kość przewleczoną przez nos i pracował w butiku windsurfingowym nazywanym „Tylko mi dmuchaj". W poniedziałek rano, kiedy Rydell powiedział mu, że przestał pracować dla IntenSecure, Kevin zaproponował, że znajdzie mu pracę w handlu, coś związanego ze sportem.

— Zasadniczo masz odpowiednią budowę — rzekł Kevin, spoglądając na nagi tors i ramiona Rydella. Ten wciąż miał na sobie pomarańczowe spodnie, które włożył, idąc na spotkanie z Hernandezem. Pożyczył je od Kevina. Właśnie zdjął opatrunek, wypuścił z niego powietrze i wepchnął do pięciogalonowego plastikowego wiadra po farbie, pełniącego rolę kosza na śmieci. Wiadro miało z boku wielką, samoprzylepną stokrotkę. — Powinieneś tylko trochę bardziej regularnie ćwiczyć. I może zapuścić kucyk. Na znak przynależności do klanu.

— Kevin, nie mam pojęcia o surfingu, windsurfingu, niczym takim. Tylko parę razy wypłynąłem na ocean. Przeważnie w Tampa Bay.

Była prawie dziesiąta rano. Kevin miał wolny dzień.

— Sprzedawanie polega na wywieraniu wrażenia, Berry. Klient potrzebuje informacji, a ty ją dostarczasz. Jednak ponadto robisz na nim wrażenie.

Kevin poparł swoje słowa, stukając w kawałek gładkiej wołowej kości.

— A potem sprzedajesz im nowy sprzęt.

— Nie jestem opalony.

Skóra Kevina miała kolor i połysk pary ciemnobrązowych bucików Cole-Haan, które ciotka podarowała Rydellowi na piętnaste urodziny. Nie miało to nic wspólnego z genami czy przebywaniem na słońcu, lecz było rezultatem regularnych zastrzyków oraz stosowania rozmaitych pigułek i maści.

— No cóż — przyznał Kevin — opalenizna byłaby ci potrzebna.

Rydell wiedział, że Kevin nie uprawia windsurfingu i nigdy tego nie robił, ale przynosi do domu dyskietki ze sklepu i ogląda je przez wideogogle, analizując rozmaite ruchy. Nie wątpił, że Kevin może dostarczyć wszelkich możliwych informacji, jakich zażądałby potencjalny nabywca. A ponadto robił wrażenie: z tą utrwaloną opalenizną, wypracowaną ćwiczeniami sylwetką, zwracał na siebie uwagę. Przeważnie kobiet, chociaż nie robiło to na nim wielkiego wrażenia.

Kevin sprzedawał głównie odzież. Drogie stroje, które miały chronić przed UV i zanieczyszczeniami zawartymi w wodzie. W jedynej szafie stojącej w ich pokoju miał dwa kartony pełne takich ubrań. Rydell, który obecnie nie miał się w co ubrać, mógł w nich grzebać i wybierać sobie, co chciał. Jak się okazało, nie miał wielkiego wyboru, ponieważ stroje do surfingu najczęściej były z Day-Glo, czarnego nanoporu albo *mirrorflexu*. Kilka znośniejszych ciuchów miało logo „Tylko mi dmuchaj" ukazujące się pod wpływem UV, kiedy warstwa ozonowa była w szczególnie kiepskim stanie, co Rydell odkrył podczas ostatniej wyprawy na targowisko.

Dzielił z Kevinem jeden z pokoi niewielkiego mieszkania w Mar Vista, niby z widokiem na morze, którego nie było. Ktoś przegrodził pokój kilkoma gipsowymi płytami. Po stronie Rydella płytę pokrywały te same samoprzylepne stokrotki i kolekcja naklejek na zderzaki z takich miejsc, jak Magie Mountain, Nissan County, Disneyland i Skywalker Park. Mieszkanie dzielili z dwoma innymi lokatorami, a właściwie trzema, jeśli liczyć zajmującą garaż Chinkę (która przynajmniej miała tam własną łazienkę).

Za większą część swojej pierwszej wypłaty w IntenSecure Rydell kupił futon. Kupił go na targowisku; tam były tańsze, a kram nazywał się „Futon Mouth", co Rydell uznał za bardzo zabawne. Dziewczyna ze straganu wyjaśniła mu, że powinien wcisnąć kontrolerowi na peronie metra dwudziestaka, a wtedy będzie mógł wsiąść ze zrolowanym futonem, który mieścił się w zielonym plastikowym worku przypominającym śpiwór.

Później, czekając na zdjęcie opatrunku, spędził na tym futonie sporo czasu, wpatrując się w obrazki. Zastanawiał się, czy ten, kto je tu umieścił, naprawdę odwiedził wszystkie te miejsca. Hernandez raz proponował mu pracę w Nissan County. IntenSecure miała tam swoją filię. Rodzice Rydella pojechali w podróż poślubną do Disneylandu. Skywalker Park był tu, w San Francisco; przedtem nazywał się Golden Gate i Rydell pamiętał zamieszki, jakie wybuchły, kiedy go sprywatyzowano.

— Zarejestrowałeś się w którymś z biur pośrednictwa pracy, Berry?

Rydell potrząsnął głową.

— Ja stawiam — rzekł Kevin, podając mu hełm. Nie takie sprytne niewielkie okulary, jakie miała Karen, lecz białe plastikowe urządzenie podobne do gogli używanych przez dzieci do gier komputerowych. — Włóż je. Ja wybiorę numer.

— No cóż — rzekł Rydell — to ładnie z twojej strony, Kevin, ale nie powinieneś robić sobie tyle kłopotu.

Kevin dotknął kości tkwiącej w nosie.

— Hmm, chodzi mi też o czynsz.

No tak. Rydell włożył hełm.

— A teraz — powiedziała z ożywieniem Sonya — widzimy, że ukończyłeś szkołę policealną…

— Akademię — poprawił Rydell. — Policyjną.

— Tak, Berry, ale widzimy, że następnie byłeś zatrudniony tylko przez osiemnaście dni, a później zawieszony w obowiązkach.

Sonya wyglądała jak ślicznotka z kreskówek. Żadnych porów w skórze. Żadnych przebarwień. Jej zęby były bardzo białe i wyglądały jak sztuczne; coś, co można zdjąć z zaczepów, żeby dokładniej obejrzeć. Nie po to, by wyczyścić, bo nie było takiej potrzeby; przecież postacie z kreskówek nie jedzą. Jednak miała cudowne cycki; takimi cyckami Rydell obdarzyłby ją, gdyby był utalentowanym rysownikiem.

— No cóż — powiedział, myśląc o Turveyu. — Przydzielili mnie do patrolu i miałem kłopoty.

Sonya ze zrozumieniem pokiwała głową.

— Widzę, Berry.

Rydell zastanawiał się, co naprawdę widziała. I czy ten system, który używał jej jako marionetki, w ogóle mógł widzieć. I jak system komputerowy biura pośrednictwa pracy przedstawiał kogoś takiego jak Rydell? Niezbyt pozytywnie, pomyślał.

— Potem przeniosłeś się do Los Angeles, Berry, po czym mamy dziesięć tygodni zatrudnienia w sekcji ochrony rezydencji IntenSecure Corporation. Kierowca z umiejętnością posługiwania się bronią.

Rydell pomyślał o pęku rakiet podwieszonym pod śmigłowiec LAPD. Zapewne mieli tam również jedno z tych działek sekwencyjnych.

— Yhm — przytaknął.

— I zrezygnowałeś z posady w IntenSecure.

— Chyba tak.

Sonya rozpromieniła się, jakby właśnie nieśmiało wyznał, że ma doświadczenie polityczne lub dorobek naukowy.

— No cóż, Berry — powiedziała — daj mi chwilę pomyśleć!

Mrugnęła do niego i zamknęła swoje wielkie, zbyt niebieskie oczy.

Jezu, pomyślał Rydell. Próbował zerknąć w bok, ale hełm Kevina nie miał żadnych urządzeń peryferyjnych, więc niczego tam nie było. Tylko Sonya, pusty prostokąt jej biurka, kilka typowo biurowych detali i logo agencji pośrednictwa na ścianie za jej plecami. To logo nadawało jej wygląd komentatorki kanału telewizyjnego nadającego wyłącznie bardzo dobre wiadomości.

Sonya otworzyła oczy. Jej uśmiech stał się wręcz oślepiający.

— Jesteś z Południa — powiedziała.

— Yhm.

— Plantacje, Berry. Magnolie. Tradycja. A także pewien mrok. Trochę dreszczyku. Faulkner.

Faw…

— Hę?

— „Nightmare Folk Art”; Berry. Ventura Boulevard, Sherman Oaks.

Kevin patrzył, jak Rydell zdejmuje hełm i zapisuje adres oraz numer telefonu na okładce „People” z zeszłego tygodnia. Gazeta należała do Moniki, chińskiej dziewczyny mieszkającej w garażu; zawsze drukowała ją, pomijając doniesienia o skandalach i nieszczęściach, natomiast z poszerzoną kroniką towarzyską, szczególnie o wszelkie aktualne wzmianki dotyczące angielskiej rodziny królewskiej.

— Mają coś dla ciebie, Berry? — spytał z nadzieją Kevin.

— Może — odparł Rydell. — To miejsce jest w Sherman Oaks. Zadzwonię tam i sprawdzę.

Kevin bawił się kością w nosie.

— Mogę cię podwieźć — rzekł.

W witrynie „Nightmare Folk Art” był wielki obraz *Wniebowzięcia*. Rydell widywał takie obrazy na chrześcijańskich furgonetkach, zaparkowanych przy centrach handlowych. Mnóstwo okrwawionych wraków samochodów i nieszczęścia, oraz wszystkie te zbawione dusze ulatujące na spotkanie z Jezusem o niepokojąco bystrym spojrzeniu. Ten obraz zawierał o wiele więcej szczegółów. Każda ze zbawionych dusz miała własną twarz, jakby naprawdę należała do jakiejś konkretnej osoby, a kilka z nich przypominało mu rysy sławnych ludzi. Pomimo to obraz wyglądał, jak namalowany przez piętnastolatka lub starszą panią.

Kevin wysadził go na rogu Sepulveda, skąd Rydell przeszedł jeszcze parę ulic, szukając wskazanego adresu, mijając grupkę robotników w kaskach z daszkami, którzy wylewali betonową donicę pod drzewo palmowe. Rydell zastanawiał się, czy przed wirusem przy Ventura rosły prawdziwe palmy; sztuczne były teraz tak popularne, że ludzie chcieli sadzić je wszędzie.

Ventura była jedną z tych ulic Los Angeles, które ciągnęły się w nieskończoność. Wiedział, że z pewnością niezliczoną liczbę razy przejeżdżał Gunheadem obok „Nightmare Folk Art”, ale ulice wyglądały zupełnie inaczej, kiedy się po nich spacerowało. Po pierwsze, człowiek był zupełnie sam; po drugie, dostrzegałeś, jak popękane i brudne są te budynki. Puste lokale za brudnymi szybami, ze stertą żółknących przesyłek reklamowych na podłodze i czasem kałużą czegoś, co nie mogło być deszczówką, więc zaczynałeś

zastanawiać się, co to takiego. Mijałeś parę takich witryn, a potem trafiałeś na sklep sprzedający okulary przeciwsłoneczne w cenie sześciokrotnie wyższej od miesięcznego czynszu za połowę pokoju w Mar Vista. Sklepu z okularami pilnował najemny gliniarz, wpuszczający klientów po naciśnięciu dzwonka.

„Nightmare Folk Art" była właśnie taka, wciśnięta między nieczynny zakład fryzjerski a podupadające biuro obrotu nieruchomościami, które na boku sprzedawało polisy ubezpieczeniowe. „NIGHTMARE FOLK ART — POŁUDNIOWY DRESZCZYK", ręcznie malowane litery, niezgrabne i cienkie jak nóżki komara z kreskówki, białe na czarnym tle. Jednak przed nią parkowało kilka drogich samochodów: srebmoszary range rover podobny do Gunheada, wypucowany jak na paradę i jeden z tych małych, zabytkowych, dwuosobowych porsche, które zawsze wydawały się Rydellowi zabawkami nakręcanymi na kluczyk. Obszedł porsche szerokim łukiem, takie samochody zazwyczaj miały hiperczuły, a także hiperagresywny system antywłamaniowy. Zza szyby z pancernego szkła patrzył na niego najemny gliniarz; nie z IntenSecure, ale innej firmy. Rydell pożyczył od Kevina parę odprasowanych spodni. Były trochę ciasne w pasie, ale o wiele lepsze od tamtych pomarańczowych. Włożył też czarną mundurową koszulę IntenSecure z odprutymi naszywkami, stetson i buty SWAT. Nie był pewien, czy czarny kolor pasuje do khaki. Nacisnął przycisk. Najemny gliniarz wpuścił go do środka.

— Mam spotkanie z Justine Cooper — powiedział Rydell, zdejmując okulary.

— Ma klienta — rzekł glina. Wyglądał na trzydziestolatka z jakiejś farmy w Kansas czy gdzieś. Rydell spojrzał ponad jego ramieniem i dostrzegł chudą kobietę o ciemnych włosach. Rozmawiała z grubym mężczyzną, który w ogóle nie miał włosów. Wyglądało na to, że próbuje mu coś sprzedać.

— Zaczekam — powiedział Rydell.

Farmer nie odpowiedział. Prawo stanowe głosiło, że nie mógł posiadać broni, jedynie przemysłowy ogłuszacz w wytartej plastikowej kaburze, ale zapewne i tak ją miał. Jedną z tych małych rosyjskich zabawek z pociskami, którymi można przestrzelić silnik czołgu. Rosjanie, ze swoją paranoją na punkcie bezpieczeństwa, opanowali rynek specjałów sobotniej nocy.

Rydell rozejrzał się wokół. Zdecydował, że *Wniebowzięcie* doskonale pasowało do „Nightmare Folk Art". Jego ojciec zawsze twierdził, że tacy chrześcijanie są po prostu śmieszni. Oto kolejne tysiąclecie nadeszło i minęło, bez żadnego wniebowzięcia, a oni wciąż walą w ten sam bęben. Sublett i jego starzy w obozowisku przyczep w Teksasie, oglądający stare filmy zgodnie ze wskazaniami wielebnego

Fallona — oni przynajmniej mieli o czym gadać. Próbował podejrzeć, co ta kobieta próbuje sprzedać grubemu mężczyźnie, ale dostrzegła jego spojrzenie i zrezygnował. Przeszedł w głąb sklepu, udając, że ogląda towar. Był tam cały dział paskudnych, cienkich wianków za szkłem w wyblakłych złoconych ramkach. Wianki wyglądały tak, jakby spleciono je ze starych włosów. Były tam skorodowane dziecięce trumienki i w jednej z nich zasadzono bluszcz. Stały stoliki do kawy wyglądające jak zrobione z nagrobków, starych, o napisach tak zatartych, że nie sposób było je odczytać. Przystanął przy ramie łóżka zespawanej z kilku figurek murzyńskich dzieciaków, tych, których prawo zabraniało ustawiać na trawnikach w Knoxville. Wszystkie były świeżo pomalowane i miały szerokie, czerwonouste uśmiechy zjadaczy arbuzów. Łóżko było nakryte ręcznie wyszywaną kapą w barwach flagi konfederatów. Kiedy próbował znaleźć karteczkę z ceną, odkrył tylko żółtą naklejkę SPRZEDANE.

— Pan Rydell? Mogę mówić do pana Berry?

Szczęka Justine Cooper była tak wąska, że wydawało się wręcz niemożliwe, aby pomieściła komplet zębów. Włosy miała krótko ścięte: lśniący, brązowy hełm. Nosiła dwuczęściowy, ciemny i powiewny strój, który zapewne miał ukryć fakt, że była zbudowana jak patyczak. Jej akcent bynajmniej nie świadczył o tym, że urodziła się na Południu, a ponadto była spięta jak sprężyna.

Rydell zobaczył, jak grubas wychodzi i przystaje na chodniku, żeby zdezaktywować system obronny range rovera.

— Jasne.

— Jesteś z Knoxville?

Zauważył, że oddychała miarowo, jakby starając się unikać hiperwentylacji.

— Zgadza się.

— Nie masz wyraźnego akcentu.

— Hmm, chciałbym, żeby wszyscy tak uważali.

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedziała mu uśmiechem.

— A czy pańska rodzina pochodzi z Knoxville, panie Rydell?

O kurczę, pomyślał, przecież miałaś mówić mi Berry.

— Mój ojciec chyba tak. Rodzice mojej matki są z okolic Bristolu.

Czarne oczy Justine Cooper spoglądały na niego, ale wydawały się niczego nie zauważać. Odgadł, że zbliżała się do czterdziestki.

— Pani Cooper?

Drgnęła gwałtownie, jakby ją przestraszył.

— Pani Cooper, co to za wianki w tych starych ramkach? Wskazał ręką.

— Wianki żałobne. Południowo-zachodnia Wirginia, koniec dziewiętnastego i początek dwudziestego wieku.

Dobrze, pomyślał Rydell, niech mówi o swoim towarze. Podszedł

do ramek, żeby obejrzeć je z bliska.

— To wygląda jak włosy.

— Bo to są włosy. A z czego miałyby być?

— Ludzkie włosy?

— Oczywiście.

— Ma pani na myśli włosy nieboszczyków?

Teraz dostrzegł drobniutkie sploty, włosy poskręcane w maleńkie, kwiatopodobne węzły. Były matowe i bezbarwne.

— Panie Rydell, obawiam się, że marnuję pański czas. — Nieznacznie przysunęła się bliżej niego. — Kiedy rozmawiałam z, panem przez telefon, odniosłam wrażenie, że jest pan, no… znacznie bardziej południowcem…

— Co ma pani na myśli, pani Cooper?

— Oferujemy tutaj ludziom pewną wizję, panie Rydell. Głęboki mrok. Trochę dreszczyku.

Do diabła. Ta gadająca głowa z biura pośrednictwa wciskała mu słowo w słowo takie samo gówno.

— Podejrzewam, że nie czytał pan Faulknera?

Podniosła jedną rękę, żeby odgarnąć coś niewidocznego a unoszącego się tuż przed jej nosem.

Znów to samo.

— Nie.

— No, tak myślałam. Mam nadzieję znaleźć kogoś, kto pomoże mi oddać tę mroczną atmosferę, panie Rydell. Umysł południowca. Majaki zmysłów. — Rydell zamrugał oczami. — W panu nie wyczuwam tej atmosfery. Przykro mi.

Wyglądało na to, że ta niewidzialna pajęczyna wróciła na miejsce.

Rydell zerknął na najemnego gliniarza, lecz ten najwidoczniej wcale ich nie słuchał. Do licha, facet po prostu spał.

— Szanowna pani — powiedział spokojnie Rydell — myślę, że jest pani bardziej stuknięta od stada dupków.

Uniosła brwi.

— Właśnie — powiedziała.

— Co „właśnie”?

— Koloryt, panie Rydell. Ogień. Ponure werbalne polichromie w niemal niewyobrażalnym stopniu rozkładu.

Musiał to przemyśleć. Stwierdził, że patrzy na łóżko z Murzyniątek.

— Czy odwiedzający panią czarni ludzie nigdy nie zgłaszają zastrzeżeń do takiego towaru?

— Wprost przeciwnie — odparła ze świeżo obudzonym ożywieniem — robimy całkiem niezłe interesy z lepiej sytuowanymi obywatelami Południa. Oni przynajmniej mają poczucie humoru. Sądzę, że po prostu muszą.

Teraz będzie musiał iść pieszo do najbliższej stacji, wrócić metrem do domu i powiedzieć Kevinowi Tarkovsky'emu, że nie jest w dostatecznym stopniu południowcem.

Najemny gliniarz wypuścił go na ulicę.

— A skąd pani właściwie pochodzi, pani Cooper? — spytał na odchodnym Rydell.

— Z New Hampshire.

Stał na chodniku, za jego plecami zamykały się drzwi.

— Pieprzeni Jankesi — rzekł do porsche. Tak powiedziałby jego ojciec, ale Rydell niezbyt dobrze wiedział, pod czyim adresem to mówi.

Obok przejechała jedna z tych wielkich niemieckich ciężarówek na olej rzepakowy. Rydell nienawidził tych wozów. Ich spaliny śmierdziały smażonym kurczakiem.

5
Senne zmory

Sny kuriera są pełne wrzącego metalu, wrzeszczących i uciekających cieni, gór o barwie betonu. Są sierotami płonącymi na szczycie wzgórza. Plastikowymi, bladoniebieskimi trumnami. Chmurami na niebie. Oni nie widzą pierwszego pocisku spadającego z betonowych gór. Wywala dziurę we wszystkim: we wzgórzu, w niebie, niebieskiej trumnie i kobiecej twarzy. Dźwięk zbyt potężny, by mógł być rzeczywisty, a mimo to dało się słyszeć przezeń, dopiero po chwili, odległe wesołe popukiwanie moździerzy, schludne obłoczki dymu unoszące się nad szarym stokiem góry.

Siada, sam w wielkim łóżku, usiłując wykrzyczeć słowa w języku, jakiego już nie używa. Czuje ból głowy. Wypija łyk wody ze stalowej karafki na nocnym stoliku. Pokój kołysze się, zaciera, znów nabiera kształtu. Kurier gramoli się z łóżka, człapie nago do wysokich, staromodnych okien. Niezgrabnie rozsuwa ciężkie zasłony. San Francisco. Świt jak zaśniedziałe srebro. Jest wtorek. To nie Meksyk. W białej łazience, krzywiąc się w ostrym świetle, wciera zimną wodę w zdrętwiałą twarz. Sen odchodzi, ale pozostawia ślad. Kurier drży, czując nieprzyjemnie zimne kafelki posadzki pod bosymi nogami. Te dziwki na przyjęciu. Ten Harwood. Dekadencja. Kurier nie znosi dekadencji. Dzięki pracy ma kontakt z prawdziwym bogactwem, nie kwestionowaną władzą. Spotyka wpływowych ludzi. Harwood to potęga bez wpływów.

Gasi światło w łazience i ostrożnie wraca do łóżka w trosce o ból głowy.

Pod pasiastą kołdrą podciągniętą po szyję zaczyna porządkować wydarzenia ubiegłego wieczoru. Są luki. Znowu brak umiaru. Nienawidzi braku umiaru. Przyjęcie u Harwooda. Głos w telefonie nakazujący mu wziąć udział. Wypił już kilka drinków. Widzi twarz młodej dziewczyny. Gniew, pogarda. Jej krótkie włosy skręcone w kolce. Ma wrażenie, że oczy nie mieszczą mu się w oczodołach.Kiedy je trze, otaczają go jaskrawe, bolesne błyski światła. W żołądku przelewa się zimny ciężar wypitej wody. Pamięta, jak siedział za szerokim mahoniowym biurkiem, popijając. Przed rozmową, przed przyjęciem. Pamięta leżące przed nim dwa futerały, identyczne. W jednym trzymają. Drugi jest na to, co mu powierzono. Kosztowny, ale nie ma wątpliwości, że zawarta w nim informacja jest bardzo cenna. Składa grafitowe słuchawki i zatrzaskuje futerał. Potem dotyka tego, który kryje całą jej tajemnicę, biały domek na wzgórzu, przynoszone przez nią ukojenie. Wkłada oba futerały do kieszeni kurtki…

Jednak teraz zastyga pod kołdrą, czując, jak żołądek ściska mu się w przypływie niepokoju. Włożył tę kurtkę na przyjęcie, którego prawie nie pamiętał. Ignorując łupanie w głowie, gramoli się z łóżka i znajduje kurtkę rzuconą na podłogę obok krzesła. Serce wali mu jak młotem.

Jest. Ten, który ma doręczyć. Zapięty w wewnętrznej kieszeni. Jednak boczne kieszenie są puste. Nie ma jej. Przetrząsa inne ciuchy. Na czworakach, czując pulsujący ból pod czaszką, zagląda pod krzesło. Nie ma. Jednak można ją zastąpić nową, przypomina sobie, wciąż klęcząc, z kurtką w dłoniach. Znajdzie handlarza takim software'em. Teraz musi przyznać, że ostatnio zaczęła siadać rozdzielczość.

Myśląc o tym, patrzy, jak jego ręce rozpinają wewnętrzną kieszeń, wyciągają futerał zawierający przesyłkę, ich własność, którą musi doręczyć. Otwiera futerał. Odrapane pudełko z czarnego plastiku, etykieta na kasecie zatarta i nieczytelna, pożółkła przejrzystość słuchawek. Słyszy cienki pisk, który dobywa mu się z głębi gardła. Bardzo podobny do tego sprzed wielu lat, kiedy spadł pierwszy pocisk.

6
Most

Starając się dokładnie wyliczyć trzydziestoprocentowy napiwek, Yamazaki zapłacił za przejazd i opuścił wyświechtane tylne siedzenie taksówki. Kierowca, który uważał, iż wszyscy Japończycy są bogaci, ponuro przeliczył podarte i brudne banknoty, po czym wrzucił trzy pięciodolarowe monety do popękanej zakrętki od termosu z Nissan County, przyklejonej taśmą do wyblakłej deski rozdzielczej. Yamazaki, który nie był bogaty, zarzucił torbę na ramię, odwrócił się i poszedł w kierunku mostu. Jak zwykle, ten widok poruszył go, w porannym słońcu ukośnie przeświecającym przez plątaninę przybudówek.

Integralności przęseł pilnowano równie rygorystycznie jak praw autorskich, jednak wokół nich wyrosła nowa rzeczywistość, rządząca się własnymi prawami. Nastąpiło to stopniowo, nie według konkretnego planu, przy użyciu wszelkich wyobrażalnych technik i materiałów. Rezultatem była amorficzna, zdumiewająco organiczna budowla. W nocy, oświetlona bożonarodzeniowymi lampkami, regenerowanymi neonami i latarkami, epatowała dziwnie średniowieczną energią. W dzień, widziana z daleka, przypominała mu ruiny angielskiego Brighton Pier, oglądane przez jakiś popękany kalejdoskop stylów architektonicznych. Jej stalowe kości, naprężone ścięgna, ginęły pod wytworami rodem ze snów: salonami tatuażu, salami gier, słabo oświetlonymi straganami ze stosami żółknących gazet, sklepików z fajerwerkami, przynętą, punktów przyjmowania zakładów, barów sushi, nie licencjonowanych lombardów, zielarni, zakładów fryzjerskich i tawem. Wykwity komercyjnych snów, rozmieszczone na poziomach, po których niegdyś odbywał się ruch kołowy, podczas gdy nad nimi, sięgając aż po same szczyty wież podtrzymujących liny, wznosiły się pracowicie zawieszone gniazda, z ich niezliczoną populacją i strefami bardziej osobistych marzeń.

Po raz pierwszy zobaczył to w nocy, trzy tygodnie wcześniej. Stał we mgle, wśród sprzedawców warzyw i owoców, którzy porozkładali swój towar na kocach. Z bijącym sercem spoglądał na otwór tej jaskini. Para unosiła się z kotłów garkuchni, pod poszarpanym łukiem ściągniętego skądś neonu. Wszystko mieszało się, zamazywało, wtapiało w mgłę. Teleprezentacje dawały zaledwie przedsmak uroku i niezwykłości tego miejsca, więc z nabożnym podziwem powoli ruszył naprzód w tę neonową paszczę i karnawałowy kalejdoskop płaszczyzn wydartych przestrzeni. Baśniowa kraina. Wysrebrzona deszczem dykta, potrzaskany marmur ze ścian zapomnianych banków, pofałdowany plastik, polerowany mosiądz, cekiny, malowany brezent,

lustra, chromy zmatowiałe i obłażące w słonym powietrzu. Tyle rzeczy, zbyt wiele dla jego oszołomionych oczu — i wiedział już, że nie odbył tej podróży na próżno. Z pewnością nigdzie na Świecie nie znalazłby wspanialszego Thomassona.

Wszedł weń teraz, we wtorek rano, w ten znajomy już wir wozów z lodem i rybami, szczęk maszyn do robienia placków — i odnalazł drogę do kafejki, której wnętrze miało klimat starego promu, z pociemniałym i porysowanym lakierem na grubych deskach, jakby wyciętych ręcznie z jakiegoś wysłużonego publicznego środka transportu. Co jest możliwe, pomyślał, sadowiąc się przy długim barze; opodal Oakland, za nawiedzoną wyspą, bezskrzydły kadłub 747 mieścił kuchnie dziewięciu tajskich restauracji.

Młoda kobieta za ladą miała wytatuowane bransoletki w kształcie stylizowanych jaszczurek barwy indygo. Poprosił o kawę. Podano ją w grubej i ciężkiej porcelanowej filiżance. Nie było tutaj dwóch takich samych filiżanek. Wyjął z torby notebooka, otworzył go i wprowadził krótki opis filiżanki, drobnej siateczki pęknięć na jej glazurowanej powierzchni jak miniaturowej białej mozaiki. Popijając kawę, przewinął na ekranie notatki z poprzedniego dnia. Umysł Skinnera niezwykle przypominał ten most. Gromadził rozmaite rzeczy, wokół armatury o konkretnym przeznaczeniu, aż przekroczył punkt krytyczny i tworzył nowy program. Tylko jaki program?

Poprosił Skinnera, żeby wyjaśnił mu sposób narastania przybudówek prowadzący do obecnego stanu mostu. Jakie motywy kierowały poszczególnymi budowniczymi na każdym etapie jego powstawania? Notebook zapisał bezładną, pokrętną odpowiedź, wygładzając ją i tłumacząc.

Był taki facet, łowił. Zaczepił coś. Wyciągnął rower. Cały pokryty skorupiakami. Wszyscy się śmiali. Wziął ten rower i wybudował jadłodajnię. Zupa z małżów, gotowane omułki na zimno. Meksykański bar. Powiesił ten rower nad ladą. Miał tam tylko trzy stołki i przymocował to wielkie pudło klejem i klamrami. Ściany w środku pokrył pocztówkami. Jak gontami. W nocy spał za kontuarem. Aż pewnego ranka zniknął. Pęknięte klamry, kilka drzazg wciąż przyklejonych do ściany zakładu fryzjerskiego. Gdy spojrzałeś w dół, zobaczyłeś wodę pod nogami. Widzisz, za bardzo się wychylił.

Yamazaki patrzył na parującą kawę, wyobrażając sobie rower pokryty skorupiakami; sam w sobie Thomasson o sporym potencjale. Skinnera najwyraźniej zainteresował ten termin i notebook zarejestrował próbę wyjaśnienia mu przez Yamazakiego pochodzenia tego pojęcia oraz jego obecnego znaczenia.

Thomasson był amerykańskim zawodnikiem baseballu, bardzo przystojnym i niezwykle, silnym. W 1982 za znaczną sumę pieniędzy przeszedł do Yomiyuri Giants. Wtedy odkryto, że nie umie trafić w piłkę. Pisarz i artysta Gempei Akasegawa wykorzystał jego nazwisko jako synonim pewnych bezużytecznych i niewytłumaczalnych zjawisk, bezsensownych, lecz dziwnie atrakcyjnych cech miejskiego krajobrazu. Jednak później ten termin nabrał innego znaczenia. Jeśli chcesz, mogę znaleźć i przetłumaczyć dzisiejsze definicje w Gendai Yogo Kisochishiki, czyli w Podstawach wiedzy o współczesnych pojęciach.

Jednak Skinner — siwy, nie ogolony, z pożółkłymi białkami przekrwionych oczu, tylko wzruszył ramionami. Trzej mieszkańcy, którzy wcześniej zgodzili się udzielić wywiadu, wymieniali Skinnera jako oryginała, jednego z pierwszych na moście. Lokalizacja jego pokoju również wskazywała na pewien status, chociaż Yamazaki zastanawiał się, ilu ludzi skorzystałoby z szansy osiedlenia się na szczycie jednej z wież. Zanim zainstalowano elektryczne windy, wspinaczka na górę była prawdziwym wyzwaniem. Dzisiaj, ze swoim chorym biodrem, stary był właściwie inwalidą, skazanym na pomoc sąsiadów i dziewczyny. Oni przynosili mu żywność, wodę, dbali o sprawność chemicznej toalety. Yamazaki zakładał, że dziewczyna miała za to dach nad głową, chociaż stosunki między tych dwojgiem ludzi wydawały się nieodgadnione i bardziej skomplikowane. Jednak o ile Skinnera trudno było zrozumieć ze względu na wiek, osobowość lub z obu tych powodów, dziewczyna, z którą dzielił pokój, była nieprzenikniona w ten zwyczajny, ponury sposób, jaki Yamazaki łączył z młodymi Amerykanami. Chociaż być może tylko dlatego, że on, Yamazaki, był tu obcym — Japończykiem — i zadawał zbyt wiele pytań.

Spojrzał wzdłuż kontuaru, oglądając poranne profile pozostałych gości. Amerykanie. Fakt, że naprawdę siedział tutaj, pijąc kawę obok tych ludzi, wciąż go zdumiewał. Nadzwyczajne. Zapisał w notebooku, skrobiąc piórkiem po ekranie.

Apartament w wysokim wiktoriańskim domu, zbudowanym z drewna i bardzo starannie pomalowanym, w dzielnicy, gdzie nazwy ulic upamiętniają dziewiętnastowiecznych amerykańskich polityków: Claya, Scotta, Pierce'a, Jacksona. Dziś rano, we wtorek, opuszczając mieszkanie, zauważyłem na boku ostatniego słupka poręczy ślady zawiasów. Podejrzewam, że kiedyś podtrzymywały furtkę dla dzieci. Idąc po ulicy Scotta w poszukiwaniu taksówki, trafiłem na zamokniętą pocztówkę leżącą obrazkiem do góry. Chuda twarz męczennika Shapely'ego, świętego AIDS, z pęcherzami od deszczu. Bardzo

melancholijne.

— Nie powinni tego mówić. To znaczy o „Godzilli”.

Yamazaki stwierdził, że niepewnie wpatruje się w szczerą twarz dziewczyny za barem.

— Przepraszam?

— Nie powinni tego mówić. O „Godzilli”. Nie można się śmiać. My tutaj też przeżyliśmy trzęsienia ziemi, ale wy nie drwiliście z nas.

7
Chciałbym, żeby dobrze ci poszło

Hernandez przeszedł za Rydellem do kuchni. Miał na sobie szaroniebieski kombinezon bez rękawów i parę tych upiornych niemieckich sandałów plażowych, tych z tysiącem małych kolców masujących podeszwy stóp. Rydell jeszcze nigdy nie widział go bez munduru i przeżył lekki szok. Gość miał na bicepsach wielkie, stare tatuaże — rzymskie cyfry, znak przynależności do jakiegoś gangu. Stopy miał brązowe, szerokie, trochę podobne do niedźwiedzich łap.

Był wtorkowy ranek. Oprócz nich w domu nie było nikogo. Kevin pracował w „Tylko mi dmuchaj", a reszta gdzieś się wyniosła. Monika mogła być u siebie w garażu, ale i tak prawie nigdy się jej nie widziało. Rydell wziął z kredensu swoją torebkę płatków kukurydzianych i ostrożnie odwinął ją. Prawie wystarczy na jeden talerz. Otworzył lodówkę i wyjął plastikowy litrowy pojemnik z zatrzaskowym spustem oraz przyklejonym na boku kawałkiem taśmy. Grubym flamastrem napisał wcześniej na taśmie EKSPERYMENT MLECZNY.

— Co to? — spytał Hernandez.

— Mleko.

— Dlaczego tu jest napisane „eksperyment"?

— Żeby nikt go nie wypił. Wymyśliłem to w internacie akademii. Wsypał płatki do miseczki, zalał je mlekiem, znalazł łyżkę i zaniósł śniadanie na kuchenny stolik. Stół miał jedną nogę krótszą, więc trzeba było jeść, nie opierając łokci o blat.

— Jak ręka?

— Świetnie.

Rydell zapomniał, że nie powinien podpierać się łokciem. Mleko i płatki chlapnęły na podrapany biały plastik blatu.

— Masz. — Hernandez podszedł do szafki i oderwał gruby plik beżowych papierowych serwetek.

— To jednego z tych dwóch ktosiów — rzekł Rydell — a on bardzo nie lubi, kiedy mu je podbieramy.

— Eksperyment serwetkowy — powiedział Hernandez, rzucając plik Rydellowi.

Rydell wytarł mleko i większość płatków. Nie miał pojęcia, co Hernandez tu robi, ale też nigdy nie wyobrażał sobie, że może jeździć białym daihatsu sneakerem z ruchomym hologramem wodospadu na masce.

— Masz ładny samochód — powiedział Rydell, wskazując w kierunku parkingu i wkładając do ust łyżkę płatków.

— Należy do mojej córki. Rosy. Był w warsztacie.

Rydell przeżuł i połknął.

— Hamulce czy co?

— Ten pieprzony wodospad. Niby mają tam być te małe zwierzęta, które wychodzą z zarośli i jakby patrzą na ten wodospad, wiesz? — Hernandez oparł się o szafkę, poruszając palcami w plażowych sandałach. — Jakieś tam kostarykańskie zwierzątka. Taki ekologiczny motyw. Ona jest całkiem zwariowana na tym punkcie. Kazała nam zlikwidować resztki trawnika i zasadzić te rekultywujące ziemię rośliny, wyglądające jak szare pająki. Tymczasem warsztat nie może za nic zmusić tych pieprzonych zwierząt, żeby się pokazały, człowieku. Mamy gwarancję i wszystko, ale wiesz, to po prostu wrzód na dupie.

Potrząsnął głową. Rydell skończył płatki.

— Byłeś kiedyś w Kostaryce, Rydell?

— Nie.

— Tam jest cholernie fajnie, człowieku. Jak w Szwajcarii.

— Nigdy tam nie byłem.

— Nie, chodzi mi o to, co robią z danymi. To samo co Szwajcarzy z forsą.

— Mówisz o przechowywaniu?

— Właśnie. Oni są sprytni. Żadnej armii, floty, lotnictwa, tylko neutralność. I przechowują dane dla każdego.

— Obojętnie jakie.

— Hej, piątka z plusem. Spryciarze. I wydają te pieniądze na ekologię, człowieku.

Rydell zaniósł miskę, łyżkę i zwitek wilgotnych ściereczek do zlewu. Umył miskę i łyżkę, wytarł je serwetkami, a potem wepchnął ścierki najgłębiej jak mógł pod warstwę śmieci w worku pod zlewem. Prostując się, spojrzał na Hernandeza.

— Mogę coś dla ciebie zrobić, szefie?

— Wprost przeciwnie — uśmiechnął się Hernandez. Nie wiadomo dlaczego, nie był to uspokajający uśmiech. — Myślałem o tobie. O twojej sytuacji. Nie najlepsza. Kiepska, człowieku. Teraz już nie możesz być gliniarzem. Skoro zrezygnowałeś, nie mogę nawet przyjąć cię z powrotem do IntenSecure do ochrony posiadłości. Może mógłbyś nająć się jako regularny, żeby siedzieć w takiej małej klatce i pilnować sklepu monopolowego. Chciałbyś?

— Nie.

— To dobrze, ponieważ ktoś mógłby odstrzelić ci przy tym dupę. Mógłby wejść i rozwalić taką klatkę razem z tobą, człowieku.

— Obecnie próbuję sił w handlu.

— Pieprzysz? W handlu? Co sprzedajesz?

— Łóżka zrobione z żelaznych posążków. Obrazki ze stuletnich

ludzkich włosów.

Hernandez zmrużył oczy, oderwał się od szafki i przeszedł w kierunku pokoju. Rydell pomyślał, że wyjdzie, ale Hernandez tylko zaczął spacerować po kuchni. Często robił to w swoim biurze w IntenSecure. Teraz odwrócił się przed drzwiami do pokoju i znowu ruszył w stronę Rydella.

— Sam nie wiem, człowieku, czasem ciężko się z tobą gada. Powinieneś przestać się jeżyć i pomyśleć, że może chcę ci pomóc, no nie?

Znów zawrócił w kierunku pokoju.

— Po prostu powiedz mi, o co chodzi.

Hernandez przystanął, odwrócił się i westchnął.

— Nigdy nie byłeś w NoCal, prawda? W San Francisco? Znasz tam kogoś?

— Nie.

— IntenSecure ma także licencję na NoCal, wiesz? Inny stan, inne prawa, zupełnie odmienne warunki, równie dobrze mógłby to być inny pieprzony kraj, ale mieszamy i tam. Więcej biur, mnóstwo hoteli. Nie ma tyle chronionych rezydencji, chyba że wyjedziesz na obrzeża miast. Concord, Hacienda Business Center, takie rzeczy. Tłuczemy tam niezły szmal.

— Przecież to ta sama firma. Nie chcą mnie tutaj, więc i tam mnie nie wynajmą.

— Pieprzone pięć z plusem. Nikt nie mówi o wynajmowaniu ciebie. Chodzi o to, że mógłbyś zaczepić się u jednego faceta. Pracuje jako wolny strzelec. Kiedy firma ma jakieś problemy, czasem angażuje kogoś z zewnątrz. On nie jest z IntenSecure. To wolny strzelec. Tamtejszy oddział ma teraz kłopoty.

— Zaczekaj chwilę. O czym mówimy? O niezależnym ochroniarzu?

— Ten facet to łowca skalpów. Wiesz, kto to taki?

— Dopada ludzi próbujących umknąć przed wierzycielami, nie płacących czynszu, takie rzeczy?

— Albo, na przykład, zwiewających z dzieciakiem sądownie przyznanym drugiemu z małżonków. Jednak takich uciekinierów można dzisiaj przeważnie wyłapać poprzez sieć. Wystarczy wprowadzić ich dane do DatAmerica i w końcu się znajdą. A nawet — wzruszył ramionami — można z tym pójść do glin.

— Zatem taki łowca przeważnie… — podpowiedział Rydell, przypominając sobie jeden z epizodów „Gliniarzy w opałach”, oglądany razem z ojcem.

— Załatwia sprawę, nie mieszając w to glin.

— Ani licencjonowanej prywatnej agencji detektywistycznej.

— Właśnie.

Hernandez przyglądał mu się bacznie.

Rydell mijając go, wszedł do pokoju, słysząc, jak niemieckie sandały skrzypią za nim po matowych kafelkach kuchennej posadzki. Zeszłej nocy ktoś palił tutaj tytoń. Czuł jego zapach. Naruszenie warunków wynajmu. Gospodarz będzie się o to piekli. Był serbskim emigrantem, który jeździł piętnastoletnim bmw, nosił upiorne tyrolskie kapelusiki z piórkiem i nalegał, żeby nazywać go Wally. Ponieważ wiedział, że Rydell pracował dla IntenSecure, koniecznie musiał pokazać mu latarkę przypiętą pod deską rozdzielczą samochodu. Miała prawie pół metra długości i guzik, po naciśnięciu którego wyrzucała gęstą chmurę gazu pieprzowego. Zapytał Rydella, czy jego zdaniem „to wystarczy". Rydell skłamał. Powiedział mu, że ludzie, którzy — na przykład — zażyli potężną dawkę pląsu, po prostu lubią wdychać sobie gaz pieprzowy. Przeczyszcza im zatoki. Poprawia krążenie. Uwielbiają to. Teraz Rydell spojrzał pod nogi i po raz pierwszy zauważył, że dywan w tym pokoju w Mar Vista jest dokładnie taki sam jak ten, po którym czołgał się w mieszkaniu przyjaciółki Turveya w Knoxville. Może trochę czyściejszy, ale taki sam. Wcześniej tego nie zauważył.

— Słuchaj, Rydell, nie chcesz tego wziąć, to nie. Mam wolny dzień, ale przyjechałem tu, rozumiesz? Załatwili cię jacyś hackerzy, dałeś się wpuścić w maliny, wszedłeś za ostro — ja to rozumiem. Jednak stało się, człowieku, zapisano to w twoich aktach i nic nie mogę poradzić. Posłuchaj. Jeśli przysłużysz się firmie, może dojdzie to do tych w Singapurze.

— Hernandez…

— Mam wolny dzień…

— Człowieku, ja nie mam pojęcia o znajdywaniu ludzi…!

— Umiesz jeździć. Tylko tego chcą. Żebyś jeździł. Będziesz woził tropiciela, rozumiesz? On ma kłopoty z nogą i nie może prowadzić. Ponadto, to delikatna sprawa. Wymaga sprytu. Powiedziałem im, że moim zdaniem nadasz się. Tak zrobiłem. Powiedziałem im.

Należący do Moniki egzemplarz „People" leżał na kanapie, otwarty na artykule o Gudrun Weaver, tej aktorce po czterdziestce, która właśnie odnalazła Pana dzięki wielebnemu Fallonowi; w samą porę, żeby trafić do gazety. Całostronicowe zdjęcie ukazywało ją na kanapie w saloniku, spoglądającą z zachwytem na ścianę monitorów pokazujących ten sam stary film.

Rydell zobaczył siebie na futonie z „Futon Mouth", gapiącego się na te ponaklejane stokrotki i nalepki na zderzaki.

— Czy to legalne?

Hernandez klepnął się w szaroniebieskie udo. Odgłos przypominał huk strzału.

— Legalne? Mówimy o IntenSecure Corporation. Mówimy o

strasznym gównie. Próbuję ci pomóc, człowieku. Myślisz, że prosiłbym cię, żebyś zrobił coś nielegalnego?

— Tylko co mam robić, Hernandez? Po prostu pojechać tam i prowadzić samochód?

— Pieprzone pięć z plusem! Jeździć! Jeśli pan Warbaby powie jedź, zrobisz to.

— Kto?

— Warbaby. Lucius Warbaby.

Rydell podniósł „People" Moniki i znalazł zdjęcie Gudrun Weaver oraz wielebnego Wayne'a Fallona. Gudrun Weaver wyglądała jak aktorka po czterdziestce. Fallon przypominał oposa z implantami włosów i smokingiem za dziesięć tysięcy dolarów.

— Ten Warbaby, Berry, siedzi na samej górze tego gówna. Jest pieprzoną gwiazdą, człowieku. Inaczej by go nie wynajęli. Jeśli się zgodzisz, tylko zyskasz. Jesteś jeszcze młody. Możesz się czegoś nauczyć.

Rydell rzucił „People" na kanapę.

— Kogo trzeba znaleźć?

— Złodzieja hotelowego. Ktoś coś ukradł. My zabezpieczamy ten hotel. Tym z Singapuru, człowieku, naprawdę na tym zależy. Tyle wiem.

Rydell stał w ciepłym cieniu parkingu, spoglądając na lśniące głębie ruchomego wodospadu na masce sneakera należącego do córki Hernandeza, na mgłę unoszącą się wśród zielonych gałęzi dżungli. Kiedyś widział harleya pomalowanego tak, że wszystko, co nie było potrójnie chromowane, roiło się od owadów naturalnej wielkości. Skorpionów, stonóg, wszystkiego, co chcesz.

— Widzisz — powiedział Hernandez — widzisz tu, tę smugę? To ma być jakiś leniwiec, człowieku. Taki lemur, wiesz? Fabryczna gwarancja.

— Kiedy mam jechać?

— Dam ci numer telefonu — odparł Hernandez, wręczając mu świstek żółtego papieru. — Zadzwoń do nich.

— Dzięki.

— Hej, chciałbym, żeby dobrze ci poszło. Naprawdę. Życzę ci tego. — Dotknął maski sneakera. — Spójrz na to gówno. Pieprzona fabryczna gwarancja.

8
Nazajutrz

Chevette śniła, że pędzi folsomem, a silny boczny wiatr grozi zepchnięciem na lewy pas. Skręciła w lewo, w Sixth, poczuła wiatr w plecy, przejechała na czerwonym przez skrzyżowanie Howard i Mission, złapała zielone przy Market, nadepnęła na pedały i przecięła oba pasma.

Mocno przygięta nad kierownicą, pojechała po Taylor ku Nob.

— Tym razem to zrobię — powiedziała.

Pedałując zaciekle, czując na plecach silne podmuchy wiatru, wzywana czystym niebem nad szczytem wzgórza, przerzuca kciukiem bieg na jakąś wielką zębatkę, za dużą w stosunku do ramy jej roweru, czuje, jak lśniące zęby zaskakują, zwalnia tempo do miarowego deptania — i nagle zaczyna tracić szybkość. Staje na pedałach i zaczyna dusić, wrzeszcząc, a fala kwasu mlekowego rozlewa się po jej ciele. Wjeżdża na szczyt, podnosi…

Kolorowe światło wpada do pokoju Skinnera przez klinowate, barwne płytki okrągłego okna. Wtorek rano. Dwa najmniejsze fragmenty okna wypadły; otwory zatkano kawałkami szmat, rzucającymi cienie na wystrzępioną żółtą ścianę „National Geographics". Skinner siedział na łóżku, w starej kraciastej koszuli, z kocem i śpiworem podciągniętym pod brodę. Jego łóżkiem były ośmiopanelowe dębowe drzwi na czterech zardzewiałych kołpakach volkswagena, nakryte piankowym materacem. Chevette spała na podłodze, na węższym kawałku pianki, który co rano zwijała i chowała za długą drewnianą skrzynią pełną naoliwionych narzędzi. Czasem zapach smaru czuła nawet we śnie, ale nie przeszkadzało jej to. Wystawiła jedną rękę na listopadowy chłód i zgarnęła sweter z siedzenia zachlapanego farbą stołka. Wciągnęła go do śpiwora i wcisnęła się weń, obciągając do kolan. Kiedy wstała, sięgał jej do połowy łydek, a dekolt miał tak rozciągnięty, że co chwilę musiała nasuwać go z powrotem na ramię. Skinner nic nie powiedział; w ogóle rzadko się odzywał. Przetarła oczy, podeszła do zamocowanej na ścianie drabinki i weszła na pięć pierwszych szczebelków, po czym odsunęła zasuwkę klapy na dach, nawet na nią nie patrząc. Teraz wychodziła na górę niemal każdego ranka, zaczynając dzień od uzupełnienia wody, a potem spoglądała na miasto. Jeżeli nie padało lub nie było zbyt mglisto, bo wtedy była jej kolej napompować pomalowany na czerwono zbiornik Colemana, podobny do miniaturowej łodzi podwodnej. W pogodne dni robił to Skinner, ale gdy było mokro, przeważnie nie wychodził z łóżka. Mówił, że wilgoć

wchodzi mu w biodro. Wygramoliła się przez kwadratowy otwór i siadła na jego skraju, zwieszając nogi do środka. Słońce usiłowało wypalić srebrną szarość. W upalne dni rozgrzewało smołę na płaskim prostokącie dachu tak, że czuło się jej zapach.

Skinner pokazał jej zdjęcia dziobaków La Brea w „National Geographics", wielkich smutnych, wiecznie zmierzających gdzieś zwierząt, które dawno temu odeszły z LA. Właśnie tym była smoła, asfalt, nie tylko czymś, co wyrabiano gdzieś w fabryce. Lubił wiedzieć, skąd się biorą na tym świecie niektóre rzeczy.

Jego kurtka, ta, którą zawsze nosiła, pochodziła od Lewisa przy Great Portland Street. To było w Londynie. Skinner lubił mapy, a niektóre zeszyty „National Geographics" miały je w środku i wszystkie kraje były na nich wielkimi, pojedynczymi plamami koloru, od końca do końca. I nie było ich aż tak wiele, choć zdarzały się giganty jak żadne inne: Kanada, ZSRR, Brazylia. Teraz na ich miejscu powstało mnóstwo małych krajów. Skinner mówił, że Ameryka poszła tą samą drogą, nie przyznając się do tego. Nawet Kalifornia była kiedyś jednym wielkim stanem.

Dach Skinnera miał około sześć metrów na cztery. Wydawał się jakby mniejszy od pokoju pod nim, mimo że pod ścianami aż po sufit leżały rzeczy Skinnera. Na dachu nie było nic oprócz zardzewiałego metalowego wózka, dziecięcej zabawki, z ułożonymi w nim kilkoma rolkami wyblakłej papy. Spojrzała za trzy wieże-filary, w kierunku Treasure Island. Unosił się nad nią dym z ogniska na brzegu, w miejscu gdzie niski most, spowity mgłą, wybiegał do Oakland. Na najdalszym dźwigarze umieszczono rodzaj kopuły, wyglądającej jak pszczeli plaster z lśniącej miedzi, ale Skinner powiedział, że to tylko Mylar. Tworzyły go płyty dwa na dwa; mieli tam zainstalowane łącze satelitarne. Pewnego dnia zamierzała pójść tam i zobaczyć je. Obok przeleciała szara mewa, na wysokości jej oczu. Miasto wyglądało tak samo jak zawsze, wzgórza jak śpiące zwierzęta za wieżami biurowców, które znała na pamięć. Powinna stąd dostrzec ten hotel.

Poprzednia noc chwyciła ją za kark. Chevette nie mogła uwierzyć, że to zrobiła, że była taka głupia. Futerał, który wyciągnęła z kieszeni temu patafianowi, tkwił w kurtce Skinnera, na żelaznym wieszaku w kształcie głowy słonia. W środku nie było nic prócz pary okularów przeciwsłonecznych, wyglądających na drogie, ale tak ciemnych, że zeszłej nocy nic nie zdołała przez nie dostrzec. Platfusy z ochrony zeskanowali jej odznakę, kiedy wchodziła; według nich wcale nie opuściła hotelu. Ich komputer w końcu zacznie jej szukać. Gdyby pytali w Allied, powie im, że zapomniała się odmeldować po doręczeniu przesyłki i zjechała na dół służbową windą. Nie była na żadnym przyjęciu, a kto ją tam widział? Ten dupek. Być może zorientował się, że to ona buchnęła mu bryle. Może to poczuł albo

przypomniał sobie wszystko, kiedy wytrzeźwiał.

Skinner zawołał, że jest kawa, ale skończyły się jajka. Chevette zsunęła się z krawędzi i ześlizgnęła do środka, chwytając za najwyższy szczebelek drabinki.

— Jeśli je chcesz, musisz je przynieść — rzekł Skinner, spoglądając znad Colemana.

— Starczy mi kawa.

Naciągnęła parę czarnych bawełnianych legginsów i włożyła sportowe buty, nie fatygując się wiązaniem sznurowadeł. Podniosła klapę w podłodze i przeszła przez nią, wciąż martwiąc się tym dupkiem, jego okularami, swoją pracą. W dół po dziesięciu stalowych schodkach z boku starego dźwigu. Kosz czekał na nią tam, gdzie go zostawiła, wracając. Rower przypięty był do dźwigara, obok pary szpanerskich głośników Radio Shack. Weszła do sięgającego jej po pas kosza z żółtego plastiku i nacisnęła przycisk. Silnik zaskowyczał i wielkozęby kołowrót na samym dole zaczął opuszczać ją po stromiźnie. Skinner nazywał ten kosz swoją kolejką linową. Jednak nie on ją zbudował. Została skonstruowana specjalnie dla niego przez pewnego czarnoskórego gościa nazwiskiem Fontaine, kiedy Skinner zaczął mieć kłopoty z wchodzeniem. Fontaine mieszkał po stronie Oakland, z kilkoma kobietami i chmarą dzieci. Konserwował większość urządzeń elektrycznych na moście. Co jakiś czas pojawiał się w swoim długim tweedowym płaszczu, z torbami na narzędzia w obu rękach, aby sprawdzić i nasmarować windę. Chevette miała jego numer, pod który powinna zadzwonić, gdyby winda kiedyś się zepsuła, ale to jeszcze się nie zdarzyło. Kosz zadygotał, opadając na dno. Wygramoliła się na drewniany podest i poszła wzdłuż ściany z mlecznego plastiku, za którym były widoczne halogenowe cienie roślin i bulgotała hydroponika. Skręciła za róg, a potem zeszła po schodach w gwar i poranną krzątaninę mostu. Nigel podszedł do niej z jednym ze swych wózków, nowiutkim. Realizował dostawę.

— Vette. — Z szerokim głupawym uśmiechem. Tak ją nazywał.

— Widziałeś kobietę od jajek?

— Po stronie miasta — odparł, co zawsze oznaczało San Francisco, natomiast na Oakland zawsze mówiono „Land”. — Dobry, nie? — Z dumą konstruktora wskazał na swój wózek. Chevette zobaczyła ramę z prasowanego aluminium, tajwańskie piasty i koła wzmocnione grubymi, nowymi szprychami. Nigel naprawiał sprzęt innym posłańcom z Allied, tym, którzy nadal jeździli na metalu. Nie spodobało mu się, kiedy Chevette zdecydowała się na papierową ramę. Teraz z uznaniem przesunęła kciukiem po gładkiej rurze.

— Dobry.

— Ta japońszczyzna już rozlaminowała się pod tobą?

— Wcale nie.

— Zrobi to. Naciśniesz za mocno, pęknie jak szkło.

— Wtedy do ciebie przyjdę.

Nigel z politowaniem potrząsnął głową. Wyblakły drewniany spławik, zwisający mu z lewego ucha, zadrgał i zawirował.

— Wtedy będzie za późno.

Popchnął swój wózek w kierunku Oakland.

Chevette znalazła kobietę od jajek i kupiła trzy, charakterystycznie owinięte szerokimi źdźbłami suchej trawy. Czary. Wyglądały tak ładnie, że żal było ruszać, bo potem nie udawało się ich ponownie zawinąć ani dojść do tego, jak to zrobiono. Kobieta wzięła od niej piątaka i wrzuciła go do małego woreczka zawieszonego na chudej jaszczurczej szyi. Nie miała ani jednego zęba, a jej twarz była gniazdem zmarszczek zbiegających się przy wilgotnej szczelinie ust.

Skinner siedział przy stole, kiedy wróciła. Raczej była to półka niż stół. Pił kawę z pogiętej stalowej zakrętki termosu. Na pierwszy rzut oka nie zauważało się, jaki jest stary; był tylko potężny — ręce, ramiona, wszystkie kości miał po prostu ogromne. Siwe włosy nad czołem nie ukrywały kolekcji zbieranych przez całe życie blizn, szram i plamek przypominających tatuaże, w miejscach gdzie do ran dostał się brud.

Odwinęła jajka, niszcząc czar handlarki, po czym włożyła je do plastikowej miski. Skinner podniósł się z trzeszczącego krzesła, krzywiąc się z bólu, gdy opierał ciężar ciała na chorej nodze. Podała mu miseczkę, a on odwrócił się do Colemana. Robił jajecznicę bez tłuszczu, tylko na odrobinie wody. Mówił, że nauczył się tego od pewnego kucharza okrętowego. Jajecznica wychodziła nieźle, ale trudno było potem domyć patelnię, co należało do Chevette. Kiedy wbijał jajka, podeszła do wiszącej na wieszaku kurtki i wyjęła futerał.

Nie miała pojęcia, z czego jest zrobiony, co oznaczało, że jest drogi. Jakiś ciemnoszary materiał, jak wkład w ołówku, cienki jak skorupka jednego z tych jajek, ale pewnie można by przejechać po nim ciężarówką. Tak jak po jej rowerze. Poprzedniej nocy doszła do tego, jak się go otwiera; palec wskazujący tu, kciuk tam i już. Żadnego zatrzasku, żadnej sprężyny. A także żadnego znaku firmowego ani numeru patentu. Wnętrze wyścielone czymś podobnym do czarnego zamszu, ale uginającym się pod palcami jak pianka. W środku okulary. Wielkie i czarne. Tak jak ten Orbison na plakacie przyczepionym do ściany u Skinnera, czarny i biały. Skinner powiedział, że najlepszy sposób, żeby na zawsze przykleić plakat, to użyć zamiast kleju skondensowanego mleka. Takiego z puszki. Teraz już niczego nie sprzedawano w puszkach, ale Chevette wiedziała, o co mu chodzi, a wizerunek tego dziwnego faceta o wielkiej twarzy zasłoniętej czarnymi okularami był mocno przyklejony do pomalowanej na biało dykty w pokoju Skinnera.

Wyjęła je z czarnego zamszu, który natychmiast sprężyście wygładził swoją powierzchnię. Niepokoiły ją. Nie tylko dlatego, że je ukradła, ale że za dużo ważyły. Były o wiele za ciężkie jak na taki drobiazg, nawet z tymi grubymi zausznikami. Oprawki wyglądały jak wycięte z kawałków grafitu. Może tak było, pomyślała; wokół papierowego rdzenia ramy jej roweru był grafit — patent Asahi Engineering.

Grzechot kopyści, którą Skinner mieszał jajka.

Założyła okulary. Ciemność. Gęsta ciemność.

— Katherine Hepbum — powiedział Skinner.

Zdjęła je.

— Hmm?

— W takich dużych okularach.

Wzięła zapalniczkę, którą trzymał obok Colemana, pstryknęła nią i przytrzymała przed jednym ze szkieł. Nic.

— Do czego one są, do spawania?

Nałożył jej porcję jajecznicy do aluminiowej żołnierskiej miski z wybitą datą 1952. Postawił obok widelca i kubka z czarną kawą. Położyła okulary na stole.

— Nic nie widać. Tylko ciemność.

Przysunęła sobie taboret z klonowego drewna i usiadła, podnosząc widelec. Zabrała się do jedzenia jajecznicy. Skinner siedział, pochłaniał swoją i patrzył na Chevette.

— Sowieckie — powiedział, przełknąwszy łyk kawy.

— Hmm?

— Takie okulary robili w dawnych Sowietach. Mieli dwie fabryki okularów przeciwsłonecznych — jedna zawsze produkowała takie, których nikt nie kupował. Zarzuciła nimi sklepy, wszędzie leżały stertami. Wszyscy chcieli tylko te drugie, od konkurencji.

— Fabryka produkowała takie czarne szkła?

— Związek Sowiecki.

— Głupi, czy co?

— To nie takie proste… Skąd je masz?

Spojrzała na swoją kawę.

— Znalazłam.

Podniosła kubek i upiła łyk.

— Pracujesz dziś?

Podniósł się, wepchnął przód koszuli do dżinsów z zardzewiałą klamrą starego skórzanego pasa, przytrzymywaną spinaczami do papieru.

— Od południa do piątej.

Podniosła okulary i obróciła je w palcach. Były zbyt ciężkie jak na taki drobiazg.

— Muszę tu kogoś ściągnąć, żeby sprawdził zbiornik paliwa…

— Fontaine'a?

Nie odpowiedział. Włożyła okulary w czarny zamsz, zamknęła futerał, wstała, zaniosła naczynia do zlewozmywaka. Spojrzała przez ramię na leżący na stole futerał.

Lepiej je wyrzucę, pomyślała.

9
Gdy zawodzi dyplomacja

We wtorek Rydell wczesnym wieczorem wyleciał zmiennopłatem z Burbank. Facet z San Francisco zapłacił za lot; kazał nazywać się Freddie. Żadnych bajerów w oparciu siedzenia samolotu CalAir, a pasażerowie zdecydowanie kiepskiej kategorii. Płakały dzieci. Dostał miejsce przy oknie. Na szybie tęcza barw, w smudze olejku do włosów jakiegoś poprzedniego pasażera: Valley. Turkusowe głębie kilku ocalałych basenów, rozświetlona powierzchnia wody. Tępy ból ręki.

Zamknął oczy. Zobaczył ojca przy kuchennym zlewie *mobil home'u* na Florydzie, myjącego szklankę. W tym właśnie momencie z pewnością już dojrzewała w nim śmierć, co było nieuchronne po przekroczeniu pewnej granicy wieku. Ojciec mówił tak o swoim bracie, wuju Rydella, trzy lata młodszym i nieżyjącym od pięciu lat, który kiedyś przysłał mu podkoszulek z Afryki. Wojskowe znaczki na kopercie z miękką wyściółką. Jeden z tych dawnych bombowców, B-52 i GDY ZAWODZI DYPLOMACJA.

— Myśli pan, że to Coast Highway?

Otworzył oczy i zobaczył starszą panią nachylającą się nad nim, żeby zerknąć przez brudną szybę. Jak pani Armbruster w piątej klasie; starsza niż byłby teraz jego ojciec.

— Nie wiem — rzekł Rydell. — Możliwe. Wszystkie ulice Wyglądają dla mnie tak samo. Nie jestem stąd — dodał.

Uśmiechnęła się do niego, wpadając z powrotem w objęcia ciasnego fotela. Zupełnie podobna do pani Armbruster. Takie same koszmarne połączenie tweedu, oksfordzkiego szyku, płaszcza z koca w stylu Santa Fe. Te stare damy z ich solidnymi bucikami na grubych podeszwach.

— Jak my wszyscy. — Wyciągnęła rękę i poklepała go po opiętym khaki kolanie. — W dzisiejszych czasach.

Kevin powiedział, że może sobie zatrzymać spodnie.

— Uhm — powiedział Rydell, rozpaczliwie macając ręką w poszukiwaniu przycisku odchylającego fotel, tego wklęsłego stalowego guziczka czekającego, aby opuścić go do półleżącej pozycji. Zamknął oczy.

— Lecę do San Francisco, żeby asystować przy przenosinach mojego nieboszczyka męża do mniejszej komory kriogenicznej — powiedziała. — Jednej z tych, które oferują indywidualne moduły przechowywania. Prasa fachowa nazywa je „butikami", chociaż to brzmi śmiesznie.

Rydell znalazł przycisk i odkrył, że fotele CalAir pozwalają

zaledwie na dziesięciocentymetrowe odchylenie.

— Jest w krio już od dziewięciu lat, ale nigdy nie podobało mi się, że jego mózg wcisnęli między inne. Zawinięty w folię. Czy to nie kojarzy się z pieczeniem ziemniaków? — Rydell otworzył oczy. Usiłował wymyślić jakąś odpowiedź. — Albo suszeniem tenisówek — ciągnęła. — Wiem, że zamrażają je na kość, ale trudno to jakoś uznać za wieczny odpoczynek, prawda? — Rydell wpatrywał się w oparcie fotela. Gładki plastik. Szary. Nawet bez telefonu. — Oczywiście, te mniejsze firmy nie obiecują niczego nowego w dziedzinie ewentualnego przebudzenia. Jednak mam wrażenie, że zapewniają więcej godności. A przynajmniej tego, co ja uważam za godność. — Rydell zerknął w bok. Pochwyciła jego spojrzenie: orzechowe oczy, zagubione w labiryncie drobniutkich zmarszczek. — I na pewno nie będę świadkiem tego, jak go odmrożą, czy zrobią cokolwiek, co będą musieli. Nie wierzę w to. Wciąż się o to spieraliśmy. Myślałam o tych wszystkich milionach umarłych, corocznej liczbie zgonów w naprawdę biednych krajach. „Dawidzie — mówiłam — jak możesz myśleć o czymś takim, podczas gdy większość ludzi żyje w mieszkaniach bez klimatyzacji?”

Rydell otworzył usta i zamknął je.

— Ja jestem członkiem rzeczywistym „Końca o Północy”.

Rydell nie miał pojęcia, co w tym przypadku oznaczał termin „członek rzeczywisty”, ale „Koniec o Północy” było stowarzyszeniem zwolenników eutanazji, zdelegalizowanym w Tennessee. Mimo to działało i tam, a któryś z kolegów-policjantów mówił mu, że jego członkowie często zostawiali mleko i ciasteczka dla pracowników ambulansów. Przeważnie robili to w osiem lub dziewięć osób. KOP. Sanitariusze nazywali to „kopem”. Samobójcy zażywali mieszankę legalnie nabywanych leków. Bez szpasu i hałasu. Czyściutko.

— Pani wybaczy — rzekł Rydell — ale muszę się trochę zdrzemnąć.

— Nie krępuj się, młody człowieku. Wyglądasz na zmęczonego.

Rydell zamknął oczy, odchylił głowę w tył i pozostał w tej pozycji do czasu, aż wyczuł, że wirniki zwalniają przed lądowaniem.

— Tommy Lee Jones — powiedział czarnoskóry. Włosy miał przystrzyżone w kształcie odwróconej do góry dnem donicy, z wyciętą z boku spiralą. Coś jak fez Shrinera, tylko bez chwostu. Miał około metr osiemdziesiąt wzrostu, a za duża o trzy numery koszula sprawiała, że wydawał się równie szeroki w barach. Koszula była cytrynowożółta z nadrukiem ukazującym rozmaite pistolety w naturalnych barwach i rozmiarach. Nosił obszerne granatowe szorty sięgające mu dobrze za kolana, skarpetki Raidersów, adidasy z czerwonymi lampkami osadzonymi wzdłuż krawędzi podeszwy oraz

lustrzane okularki ze szkłami wielkości pięciodolarówek.

— Pomyłka-powiedział Rydell.

— Nie, człowieku, ale wyglądasz tak jak on.

— Jak kto?

— Tommy Lee Jones.

— Kto?

— To był taki aktor, człowieku.

Przez moment Rydell pomyślał, że facet jest od wielebnego Fallona. Nawet nosił okulary podobne do szkieł kontaktowych Subletta.

— Ty jesteś Rydell. Sprawdziliśmy cię za pomocą „Rozdzielonych po narodzinach".

— Jesteś Freddie?

„Rozdzieleni po narodzinach" to policyjny program używany w przypadku zaginięć. Skanowało się fotkę poszukiwanej osoby, wybierało pół tuzina podobnych do niej, znanych osobistości, a potem wypytywało się ludzi, czy widzieli ostatnio kogoś podobnego do A, B, C… Najdziwniejsze było to, że ta metoda dawała lepsze efekty, niż pokazywanie zdjęcia poszukiwanego. Instruktor akademii w Knoxville wyjaśnił klasie Rydella, że ta metoda odwołuje się do tej części mózgu, która przechowuje dane o znanych osobistościach. Rydell myślał o tym jako o mózgowym płacie gwiazd filmowych. Czy ludzie naprawdę mieli coś takiego? Może u Subletta był on bardzo dobrze rozwinięty. Jednak kiedy w akademii wprowadzono dane Rydella do tego programu, wyszło, że jest bliźniaczo podobny do Howiego Clactona, rozgrywającego z Atlanty — nie przypominał sobie żadnego Tommy'ego Lee Jonesa. Do Howiego Clactona też nie był podobny.

Ten cały Freddie wyciągnął bardzo miękką rękę i Rydell uścisnął ją.

— Masz bagaż? — zapytał Freddie.

— Tylko to. — Podniósł walizkę.

— Pan Warbaby jest tam — powiedział Freddie, ruchem głowy wskazując wyjście, gdzie umundurowany *chilanga* sprawdzał wychodzącym bilety. Opodal czekał inny czarnoskóry facet, równie barczysty jak Freddie, ale znacznie wyższy.

— Duży facet.

— Uhm — odparł Freddie — i lepiej nie każmy mu czekać. Boli go dziś noga, ale upierał się, żeby przyjść tutaj z parkingu i przywitać się.

Podchodząc do wyjścia i podając strażnikowi bilet, Rydell mierzył wzrokiem czekającego. Był ogromny, miał blisko dwa metry wzrostu, ale największe wrażenie wywierał otaczający go spokój, a także lekki smutek rysujący się na jego twarzy. Taki wyraz miała twarz czamoskómego księdza, którego ojciec kazał wezwać w ostatnich

chwilach życia. Patrzyłeś na tego kapłana i miałeś wrażenie, iż widział każdą cholernie smutną rzecz na tym świecie, więc prawie mógłbyś uwierzyć w to, co mówił. Przynajmniej tak zrobił ojciec Rydella — być może, chociaż troszeczkę.

— Lucius Warbaby — przedstawił się, wyjmując największe ręce, jakie Rydell widział w życiu, z głębokich kieszeni długiego oliwkowego płaszcza z nabijanego diamentami jedwabiu, głosem tak głęboko basowym, że sugerującym poddźwięki. Rydell spojrzał na podaną dłoń i zobaczył na niej jeden z tych staromodnych, złotych sygnetokastetów, z ułożonym szeryfowymi kapitalikami z diamencików napisem WARBABY.

Rydel uścisnął ją, kładąc palce na diamentach i złocie.

— Miło mi pana poznać, panie Warbaby.

Warbaby nosił czarny stetson, idealnie równo tkwiący na głowie, z mocno wywiniętym rondem, oraz okulary w grubych czarnych oprawkach. Jasne szkła, przezroczyste jak witryny sklepowe. Oczy za nimi mogły należeć do Chińczyka lub jakiegoś zwierzęcia: kocie, skośne, intensywnie złotobrązowe. Podpierał się jedną z tych regulowanych kuł, jakie dają w szpitalach. Jego lewa noga tkwiła w węglowej szynie, wyścielonej dużymi, ciemnoniebieskimi wkładkami z nylonu. Wąskie czarne dżinsy, zupełnie nowe i jeszcze nie prane, wpuścił w błyszczące jak lustro teksańskie buty w trzech odcieniach czerni.

— Juanito mówi, że jesteś niezłym kierowcą. — Warbaby powiedział to w taki sposób, jakby przekazywał najsmutniejszą wiadomość, jaką kiedykolwiek usłyszał. Rydell nie przypominał sobie, żeby ktoś tak nazywał Hernandeza. — Mówi, że nie znasz tego terenu…

— Zgadza się.

— Z drugiej strony — ciągnął Warbaby — nikt tutaj nie zna ciebie. Weź jego bagaż, Freddie.

Freddie z wyraźną niechęcią wziął miękką walizkę Rydella, jakby nie chciał, żeby ktoś zobaczył, że to robi.

Ręka z kastetem spoczęła na ramieniu Rydella. Pierścień zdawał się ważyć dwadzieścia funtów.

— Juanito poinformował cię, czym się tu zajmujemy?

— Mówił o kradzieży w hotelu. Powiedział, że IntenSecure zatrudnia nas na zasadzie kontraktu…

— Kradzież, tak.

Warbaby wyglądał tak, jakby trzymał na barkach cały moralny ciężar wszechświata i był zdecydowany udźwignąć go.

— Coś zginęło. A teraz… wszystko bardzo się skomplikowało.

— Dlaczego?

Warbaby westchnął.

— Człowiek, któremu to zginęło, nie żyje.

Jeszcze coś w tych oczach.

— Jak umarł? — spytał Rydell, gdy w końcu złoty ciężar spadł mu z ramienia.

— Zabójstwo — odparł Warbaby, cicho i spokojnie, ale bardzo wyraźnie.

— Zastanawiasz się nad moim nazwiskiem — odezwał się Warbaby z tylnego siedzenia czarnego forda patriota.

— Zastanawiam się, gdzie włożyć kluczyk, panie Warbaby — rzekł Rydell zza kierownicy, oglądając wielofunkcyjną konsolę. Amerykańskie wozy były jedynymi pojazdami na świecie, w których nadal umieszczano analogowe wskaźniki. Może dlatego nie było ich tak wiele. Tak jak tych harleyów z łańcuchowym napędem.

— Moja babka — zagrzmiał Warbaby jak płyta tektoniczna, odrywająca się i ruszająca w stronę Chin — była Wietnamką. Dziadek — chłopakiem z Detroit. Wojskowym. Przywiózł ją do domu z Sajgonu, ale potem zniknął. Mój ojciec, a jego syn, zmienił sobie nazwisko na Warbaby, rozumiesz? Taki gest. Sentymentalny.

— Umh — mruknął Rydell, uruchamiając wielkiego forda i sprawdzając obroty. Sajgon to miejsce, gdzie bogaci jeżdżą na wakacje.

Napęd na cztery koła. Ceramiczny pancerz. Opony Goodyear Streetsweepers, które można przestrzelić tylko z armaty. Przed kratką termowentylatora wisiał kartonowy odświeżacz powietrza mający kształt choinki.

— Natomiast nie potrafię ci wyjaśnić, dlaczego akurat Lucius.

— Panie Warbaby — powiedział Rydell, oglądając się przez ramię — dokąd mam pana zawieźć?

Pisk modemu na konsoli. Freddie, rozparty w miękkim fotelu obok Rydella, gwizdnął.

— O cholera, ale paskudnie!

Rydell odwrócił się do niego i spojrzał na wysuwający się faks: gruby mężczyzna, nagi, na mokrej od krwi pościeli. Całe kałuże krwi, w której rozbłyski fotograficznych fleszy zastygły jak miraże słońca.

— Co on ma pod brodą? — zapytał.

— Kubański krawat — odparł Freddie.

— Daj spokój, człowieku — rzekł Rydell odrobinę głośniej. — Co to takiego?

— Jego język — powiedział Freddie, oddzierając papier i podając go Warbaby'emu.

Rydell widział, jak trzęsie mu się przy tym ręka.

— Ci ludzie — mruknął Warbaby. — To straszne.

10
Taniec nowoczesny

Yamazaki siedział na niskim drewnianym taborecie, patrząc, jak Skinner się goli. Stary przysiadł na skraju łóżka, skrobiąc twarz jednorazowym ostrzem, spłukując je w pogiętej aluminiowej misce, którą trzymał między udami.

— Ostrze jest stare — powiedział Yamazaki. — Nie wyrzucasz go?

Skinner spojrzał na niego zza plastikowej maszynki.

— Rzecz w tym, Scooter, że po pewnym czasie one nie robią się już bardziej tępe.

Namydlił i ogolił górną wargę, po czym zamarł. Podczas kilku pierwszych wizyt Yamazaki był „Kawasakim". Teraz został „Scooterem". Wyblakłe stare oczy spoglądały nań obojętnie, osłonięte zaczerwienionymi powiekami. Yamazaki wyczuwał wewnętrzne rozbawienie Skinnera.

— Rozśmieszam cię?

— Nie dziś — rzekł Skinner, wrzucając jednorazówkę do miski z wodą, przy czym mydliny i siwe bokobrody zafalowały na powierzchni cieczy. — Nie tak jak wtedy, kiedy patrzyłem, jak uganiałeś się za łajnem.

Yamazaki spędził cały jeden ranek, usiłując sporządzić schemat układu rur kanalizacyjnych w domostwach, które uznał za „sąsiedztwo" Skinnera. Powszechne stosowanie przezroczystych pięciocalowych rur czyniło to zajęcie bardzo ekscytującym, podobnym do jakiejś dziecinnej gry, w trakcie której próbował prześledzić drogę poszczególnych porcji ścieków od jednego domostwa do drugiego. Rury opadały w dół wdzięcznymi, szerokimi łukami, splątanymi jak gangliony, spotykając się przy tysiącgalonowym zbiorniku pod najniższym poziomem. Kiedy ten był pełny, wyjaśnił Skinner, rtęciowy przełącznik w pływaku uruchamiał pompę tłoczącą nagromadzone nieczystości grubą rurą do kanalizacji miejskiej. Zanotował sobie, żeby rozważyć to połączenie jako rodzaj interfejsu między programami mostu i miasta, ale w tej chwili niewątpliwie ważniejsze było wyciągnięcie od Skinnera historii mostu. Przekonany, że Skinner posiada klucz do egzystencjalnego znaczenia mostu, Yamazaki zaniechał oględzin wtórnej struktury, żeby spędzić jak najwięcej czasu w towarzystwie starego. Co noc, w wynajętym mieszkaniu, wysyłał zebrany w ciągu dnia materiał na Wydział Socjologii Uniwersytetu w Osace.

Dzisiaj, wchodząc do windy, która miała zawieźć go do pokoju Skinnera, spotkał zdążającą do pracy dziewczynę, niosącą na ramieniu

rower. Była posłańcem w mieście.

Czy fakt, że Skinner dzielił mieszkanie z kimś, kto zarabia na życie, wykorzystując ten archaiczny splot informatyki i geografii, miał jakieś znaczenie? Biura, między którymi jeździła dziewczyna, były połączone elektronicznie — tworzyły jedną sieć, a dzielące je odległości były nieistotne wobec sprawności i szybkości komunikacji. A jednak ta właśnie sprawność, czyniąca tradycyjną pocztę kosztowną rzadkością, równie dobrze mogła być uznana za słaby punkt i w rezultacie stworzyć zapotrzebowanie na usługi wykonywane przez dziewczynę. Transportując osobiście fragmenty informacji dotyczące danych przesyłanych siecią, zapewniała ich najwyższy stopień zabezpieczenia. Mając notatkę w torbie dziewczyny, dokładnie wiedziałeś, gdzie jest; w innym przypadku przesyłana wiadomość mogła być wszędzie lub nigdzie.

Yamazaki uznał tę dziewczynę Skinnera za atrakcyjną w pewien dziwny, cudzoziemski sposób — z muskularnymi białymi nogami i zuchwałym, sterczącym kucykiem ciemnych włosów.

— Marzysz, Scooter? — Skinner odstawił miskę lekko drżącymi rękami i oparł ramiona o wilgotne poduszki. Ściana z pomalowanej na biało dykty cicho zaskrzypiała.

— Nie, Skinner-san. Jednak obiecałeś, że opowiesz mi o tamtej pierwszej nocy, kiedy postanowiliście zostać na moście…

Mówił łagodnie, celowo dobierając słowa tak, żeby zirytować rozmówcę i sprowokować go do wypowiedzi. Uaktywnił funkcję zapisu notatnika.

— Niczego nie postanawialiśmy. Mówiłem ci, że…

— Jednak tak się zdarzyło.

— Gówno się zdarza. A przynajmniej zdarzyło się tamtej nocy. Bez zapowiedzi, bez przywódcy, bez architektów. Myślisz, że to była polityka. Takie podchody, chłopcze, już się skończyły.

— Powiedział pan, że ludzie byli „gotowi”.

— Jednak nie na wszystko. Właśnie tego nie możesz zrozumieć, wiesz? Tego, że most tu był, ale wcale nie twierdzę, że czekał. Widzisz różnicę?

— Myślę…

— Gówno myślisz.

Notebook czasem miał problemy z idiomami Skinnera. Ponadto stary mówił niewyraźnie. System doradczy w Osace sugerował, że zapewne ma lekko uszkodzony układ nerwowy, może w wyniku używania narkotyków albo jednego czy dwóch niewielkich wylewów. Jednak Yamazaki uważał, iż Skinner po prostu był zbyt długo narażony na działanie tego dziwnego czynnika, który wpłynął na obecny kształt mostu.

— Nikt — powiedział Skinner, mówiąc powoli i wyraźnie, jakby z

naciskiem — nie wykorzystywał tego mostu do niczego. Nie po tej historii z „Little Grande", rozumiesz? Yamazaki kiwnął głową, patrząc, jak zapis mowy Skinnera przesuwa się po ekranie. — Trzęsienie ziemi spieprzyło wszystko na dobre, Scooter. Tunel pod Treasure zawalił się. Zawsze był niepewny… Najpierw powiedzieli, że go odbudują, ale po prostu nie mieli pieniędzy. Zagrodzili oba końce siatką oraz drutem kolczastym i postawili betonowe zapory. Potem przyszli Niemcy, chyba dwa lata później i sprzedali im nanomech oraz patent na budowę nowego tunelu. Będzie tani, przejadą nim samochody i jeszcze zostanie sporo miejsca na magazyny. Nikt nie wierzył, że tak szybko to zrobią, ale udało im się przeforsować projekt mimo sprzeciwu Zielonych. Jasne, biotechnologiczne lobby Zielonych doprowadziło do tego, że niektóre segmenty musieli hodować w Nevadzie. Jak dynie, Scooter. Potem przewozili je tutaj i zatapiali w zatoce. Połączyli je. Pod wodę wpuścili małe roboty, twarde jak diament; one połączyły je i bach! — jest tunel. A most po prostu stał.

Yamazaki wstrzymał oddech, oczekując, że Skinner straci wątek, jak już nieraz się zdarzało; podejrzewał, że stary robił to celowo.

— Pewna kobieta wciąż mówiła, żeby obsadzić cały most bluszczem, wirginijską pełzatką… Ktoś inny radził rozebrać go, zanim zrobi to kolejne trzęsienie ziemi. Jednak nie. W miastach wielu ludzi nie miało gdzie mieszkać. Tekturowe miasteczka w parkach, jeśli mieli szczęście, ale potem zaczęto ściągać z Portland te porowate rury i kłaść je pod ziemią. Sączyła się z nich woda, tak że nikt nie chciał się tam położyć. Paskudne miasto, to Portland. Wymyślić coś takiego… — Odkaszlnął. — Jednak pewnej nocy ludzie po prostu przyszli. Później opowiadano najróżniejsze historie o tym, jak to się stało. Lało wtedy jak z cebra. W taką pogodę nikt nie ma ochoty na zamieszki.

Yamazaki wyobraził sobie nieczynny most w zacinającym deszczu i gromadzące się tłumy. Widział, jak przechodzą przez płoty, barykady — takie tłumy, że siatki napinają się i pękają. Wspięli się na wieże, przy czym ponad trzydziestu spadło i zabiło się. Lecz gdy nadszedł świt, ocaleli nadal tam tkwili, a helikoptery prasowe okrążały ich w szarym brzasku jak cierpliwe ważki. Wracał do tego wiele razy, oglądając taśmy na uniwersytecie. Jednak Skinner tam był.

— Zebrało się z tysiąc ludzi po tej stronie. Drugi tysiąc w Oakland. Zaczęliśmy biec. Gliniarze wycofali się, w końcu czego mieli strzec? Dostali ogólnikowy rozkaz rozpraszania demonstracji, aby nie dopuścić do gromadzenia się tłumów. Latali w deszczu helikopterami i oświetlali nas reflektorami. Tylko ułatwiali nam sprawę. Miałem buty z kolcami. Podbiegłem do płotu, miał ponad cztery metry wysokości. Wskoczyłem na niego i zacząłem się wspinać. Na taki płot łatwo się wchodzi, jest o co zaczepić buty. W górę, człowieku, piąłem się w górę tak szybko, jakbym leciał. Na górze zwoje drutu kolczastego, ale

ludzie za mną podawali co popadnie: kawałki desek, płaszcze, śpiwory. Do położenia na drutach. I czułem się jak… w stanie nieważkości… — Yamazaki czuł, że jest blisko, bardzo blisko sedna sprawy. — Skoczyłem. Nie wiem, kto zrobił to pierwszy, po prostu rzuciłem się w dół. Spadłem na jezdnię. Ludzie krzyczeli. Do tej pory sforsowali już barykady w Oakland. Tamte były niższe. Widzieliśmy ich światła, gdy wybiegli na dźwigar. Policyjne helikoptery i te czerwone migacze, które mieli niektórzy ludzie. Biegli w kierunku Treasure. Nie było tam nikogo, odkąd wyniosła się stamtąd marynarka… My też ruszyliśmy w ich kierunku. Spotkaliśmy się gdzieś na środku i zaczęliśmy wiwatować… — Skinner wpatrywał się w dal. — Później śpiewali, hymny i inne gówno. Tylko kręcili się w kółko i zawodzili. Wariaci. Ja i kilku innych, byliśmy przygotowani. I widzieliśmy gliniarzy nadciągających z obu stron. Pieprzyć to.

Yamazaki przełknął ślinę.

— A potem?

— Zaczęliśmy się wspinać. Na wieże. Na tym draństwie są przyspawane szczebelki, żeby mogli wejść malarze. Pięliśmy się. Do tej pory telewizja przysłała już swoje helikoptery, Scooter. Byliśmy wiadomością dnia, ale nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Pewnie zazwyczaj tak jest. I gówno nas to obchodziło. Tylko wspinaliśmy się. Jednak to utrudniło życie gliniarzom — później. Bo, człowieku, niektórzy spadali. Facet przede mną miał buty owinięte czarną taśmą przytrzymującą podeszwy. Taśma namokła, puściła; zaczął się ślizgać. Tuż przed moim nosem. Nogi wciąż zsuwały mu się ze stopni i gdybym nie uważał, kopnąłby mnie piętą w twarz… Tuż przed samym szczytem obie nogi ześlizgnęły mu się jednocześnie. — Skinner zamilkł, jakby nasłuchując jakiegoś odległego dźwięku. Yamazaki wstrzymał oddech. — Kiedy uczysz się wspinać, tam na górze — powiedział Skinner — najpierw musisz zapamiętać, żeby nie patrzeć w dół. Po drugie, przez cały czas trzeba trzymać na moście jedną rękę i jedną nogę. Ten facet nie wiedział tego. A te jego podeszwy… Po prostu runął w tył. Nawet nie krzyknął. Jakby z… gracją. — Yamazaki zadrżał. — Jednak ja piąłem się dalej. Deszcz ustał, zaczęło się przejaśniać. Zostałem.

— I jak się czułeś? — spytał Yamazaki.

Skinner zamrugał oczami.

— Czułem?

— Co zrobiłeś potem?

— Zobaczyłem miasto.

Yamazaki zjechał do podnóża schodów żółtą windą Skinnera, przypominającą piknikowy koszyk porzucony przez olbrzyma. Teraz wszędzie wokół słyszał gwar wieczornego targowiska, a z otwartych

drzwi dobiegał trzask kart, kobiecy śmiech, donośne głosy mówiące po hiszpańsku. Zachód słońca różowy jak wino, a nad płatami plastiku łopoczącego jak żagle na wietrze woń smażonego tłuszczu, palonego drewna i słodki, oleisty zapach haszyszu. Chłopcy w obszarpanych skórzanych kurtkach przykucnęli nad jakąś grą, w której żetonami były pomalowane kamyki. Yamazaki przystanął. Stał nieruchomo, z ręką na drewnianej poręczy opryskanej srebrną, aerozolową farbą. Opowieść Skinnera zdawała się promieniować z tysiąca rzeczy, z nie mytych twarzy i kuchennych dymów, jak koncentrycznie rozchodzące się dźwięki jakiegoś ukrytego dzwonu, nastrojonego zbyt nisko dla obcego ucha.

Doszliśmy nie tylko do końca wieku, pomyślał, lecz do kresu czegoś innego. Ery? Paradygmatu? Wszędzie oznaki schyłku. Nadchodził kres nowoczesności. Tutaj, na moście, nastąpił już dawno. Teraz pójdzie w kierunku Oakland, smakując to nowe, dziwne uczucie.

11
Rozwożąc przesyłki

We wtorek nie była sobą. Bez wigoru. Nie mogła się skupić. Bunny Malatesta, dyspozytor, wyczuwał to, jego głos zabrzęczał jej w uchu.

— Chev, nie zrozum mnie źle, ale masz okres czy co?

— Odpieprz się, Bunny.

— Hej, chciałem tylko powiedzieć, że nie masz dziś tyle ognia, co zwykle. Nic więcej.

— Dawaj zlecenie.

— 655 Mo, piętnaście, w recepcji.

Odebrała, przewiozła pod 555 Cali, na pięćdziesiąte piąte piętro. Podpis i z powrotem na dół. Dzień szarzał po obiecującym poranku.

— 456 Montgomery, trzydzieści trzy, recepcja, wjedź towarową. — Zastygła z dłonią w pętli identyfikatora. — Dlaczego?

— Mówią, że posłańcy zostawiają graffiti w windach pasażerskich. Jedź towarową albo wyrzucą cię, zabronią wstępu, a Allied rozwiąże z tobą umowę o pracę.

Przypomniała sobie, że widziała znak Ringera pozostawiony na tabliczce jednego z dźwigów przy 456. Pieprzony Ringer. Oznaczył więcej wind niż ktokolwiek w historii. Nosił w tym celu specjalny zestaw narzędzi.

Z 456 posłano ją do l EC z kartonem większym niż powinna przyjąć, ale po to jest bagażnik i uchwyty, więc dlaczego miałaby dać zarobić tym od paczek? Bunny odezwał się po drodze i podał jej 50 Beale, kawiarnię na drugim piętrze. Odgadła, że to będzie kobieca torebka zawinięta w plastikową reklamówkę — i miała rację. Brązowa, z jakiejś jaszczurczej skóry. Kobiety zostawiają torebki, potem przypominają sobie, dzwonią, każą kierownikowi odesłać je przez posłańca. Zazwyczaj dobry napiwek. Ringer i kilku innych otworzyłoby ją, przejrzało zawartość, czasem znajdując narkotyki. Ona nigdy tego nie robiła. Pomyślała o okularach… Dziś nic się nie składało. Allied nie łączyło zleceń, ale czasem udawało się to przypadkowo: podjąć tu, doręczyć tam i dostać następne. Jednak rzadko. Pracując dla Allied, trzeba było się zwijać. Jej rekord wynosił szesnaście zleceń jednego dnia; to jak czterdzieści w innej firmie.

Przewiozła torebkę z Fulton na Masonie i dostała dwie piątki, kiedy właścicielka sprawdziła, że niczego nie brakuje.

— Ci z restauracji powinni oddać ją policji — powiedziała Chevette. — Nie lubimy brać na siebie takiej odpowiedzialności. Puste spojrzenie właścicielki torebki, jakiejś sekretarki. Chevette schowała

do kieszeni piątaki.

— 298 Alabama — powiedział Bunny, jakby oferował jej drogocenną perłę. — Daj odpocząć nogom…

Pogoni tam z wywalonym językiem, a potem doręczy i zrobi to. Chociaż i tak nie będzie potem w lepszej formie.

Okulary tego dupka…

— Z przyczyn taktycznych — powiedziała blondynka — obecnie nie radzimy używać przemocy ani czarów wobec indywidualnych osobników.

Chevette właśnie przypedałowała z Alabama Street, po ostatnim zleceniu tego dnia. Kobieta na małym płaskim ekranie nad drzwiami kanciapy Bunny'ego miała na sobie coś czarnego naciągniętego na twarz, z trzema wyciętymi w materiale trójkątnymi otworami. Niebieskie litery na dole ekranu głosiły FIONA X — RZECZNICZKA FRONTU WYZWOLENIA SOUTH ISLAND.

Oświetlony jaskrawym światłem neonówek korytarz wiodący do Allied Messengers śmierdział rozgrzanym styrenem, laserowymi drukarkami, porzuconymi butami i starymi kanapkami; ta ostatnia woń nasunęła Chevette wspomnienie jakiejś nie ogrzewanej piwnicy przedszkola w Oregonie, z bezbarwnym zimowym słońcem wpadającym przez mętne szyby okienek pod sufitem. Nagle jednak za jej plecami otworzyły się z trzaskiem drzwi na ulicę i para zabłoconych jaskrawych trampek numer jedenaście zadudniła po schodach. Samuel Saladin DuPree, z policzkami noszącymi ślady szarego ulicznego kurzu, stanął przed nią, obdarzając ją szczerym uśmiechem.

— Co cię tak cieszy, Sammy?

Najprzystojniejszy pracownik Allied, niezrównany DuPree, metr dziewięćdziesiąt osiem hebanowej energii, zamkniętej w tak eleganckim i sprawnym ciele, że Chevette czasem wyobrażała sobie, że jego kości są z polerowanego metalu, potrójnie chromowanego — idealny mechanizm posłańca. Podobny do faceta ze starych filmów, tego który później, na stare lata, zajął się polityką. Większość dziewcząt chętnie wypróbowałaby Sammy'ego Sala, ale Chevette nie miała na to ochoty. Był gejem, przyjaźnili się, a poza tym ona ostatnio nie była pewna, czy w ogóle ma chęć na te sprawy.

— Rzecz w tym — odparł Sammy Sal, ścierając brud z policzka grzbietem jednej długiej dłoni — że postanowiłem zabić Ringera. I wiesz co, poczułem się wolny…

— Aha — zauważyła Chevette — pewnie doręczałeś dziś na 456.

— Tak, moja droga, byłem tam. Aż na samej górze, w brudnej windzie towarowej. Bardzo wolnej windzie towarowej. A dlaczego?

— Bo Ringer wyrył swój znak w ich mosiądzu, Sal, a także w ich

różanym drewnie?

— Dodo-kładnie, kochana. — Sammy Sal zdjął z szyi niebieskobiałą chustkę i otarł nią twarz. — Dlatego ten dupek zginie marnie.

— …i musi natychmiast zacząć systematycznie sabotować miejsce pracy — płynęły z ekranu słowa Fiony X — albo zostanie napiętnowany jak wróg ludzkiej rasy.

Drzwi do kanciapy dyspozytora, tak grubo oklejone schematami, mapkami, postrzępionymi przepisami miejskimi i faksami ze skargami, że Chevette nie miała pojęcia, jak wyglądają pod spodem, otworzyły się. Bunny wystawił pokrytą szramami i niedokładnie ogoloną głowę, jak żółw, mrugając w ostrym świetle korytarza, odruchowo patrząc w górę, zwabiony głosem Fiony X. Obojętnie spojrzał na czarną maskę, kojarząc, zanim zdążył podnieść głowę.

— Ty — powiedział, patrząc na Chevette. — Chevy. Wejdź.

— Zaczekaj na mnie, Sammy Sal — powiedziała.

Bunny Malatesta przez trzydzieści lat jeździł na rowerze po San Francisco jako posłaniec. Nadal robiłby to, gdyby nogi i krzyż nie odmówiły mu posłuszeństwa. Był jednocześnie najlepszą i najgorszą rzeczą dla pracujących w Allied. Najlepszą, ponieważ miał w głowie mapę miasta, dokładniejszą niż generowana przez jakikolwiek komputer. Pamiętał każdy budynek, każde drzwi i służbę ochrony. Miał tę robotę we krwi, ten Bunny, a ponadto znał zasady, historię i opowieści, które sprawiały, że czułeś się częścią czegoś — choćby wydawało się to wariactwem — co warto było robić. Bunny był niemal legendą i zaliczył w czasie swej kariery przednie szyby siedmiu policyjnych radiowozów, ustanawiając rekord, którego jeszcze nikt nie zdołał pobić. Jednocześnie z tych samych względów był zmorą, ponieważ nie dawał sobie wcisnąć kitu. Pracując z innymi dyspozytorami, pozwalali sobie na trochę luzu. Jednak nie z Bunnym. On zawsze wiedział.

Chevette weszła do środka, a on zamknął za nią drzwi. Okulary, których używał na dyżurze, wisiały mu na piersi, miękka wyściółka z jednej strony sklejona celofanową taśmą. W pomieszczeniu nie było okien, a Bunny podczas pracy gasił światło. Pół tuzina kolorowych monitorów stało łukiem przed czarnym obrotowym fotelem z różowym, gumowym, profilaktycznym gorsetem Bunny'ego, przyczepionym do oparcia niczym wielka obła larwa. Bunny rozmasował sobie krzyż nasadą dłoni.

— Ten dysk mnie wykańcza — mruknął do siebie.

— Powinieneś pozwolić, żeby Sammy Sal ci go nastawił — podpowiedziała. — Dobrze to robi.

— On już jest nastawiony, kochana. Nic więcej nie da się zrobić. A teraz powiedz mi, co robiłaś wczoraj wieczorem w „Morriseyu". I

lepiej, żeby to było dobre wyjaśnienie.

— Zawiozłam przesyłkę — powiedziała Chevette, wyrzucając słowa jak automat, jedyny sposób, żeby skłamać i nie dać tego po sobie poznać. Właściwie spodziewała się czegoś takiego, ale nie tak szybko.

Patrzyła, jak Bunny zdejmuje okulary, rozłącza je i kładzie na jednym z monitorów.

— Więc dlaczego nie zgłosiłaś wyjścia? Zadzwonili do nas i powiedzieli, że weszłaś z przesyłką, zeskanowali twoją odznakę, ale nie wyszłaś. Na to ja mówię im, wiem, że jej tam nie ma, chłopcy, ponieważ właśnie wysłałem ją na Alabama Street, rozumiecie?

Popatrzył na nią.

— Hej, Bunny, to był mój ostami kurs, rower miałam w podziemiu, zobaczyłam towarową windę zjeżdżającą w dół i wskoczyłam. Wiedziałam, że powinnam odmeldować się ochronie, ale myślałam, że będą mieli kogoś na parkingu, wiesz? Pojechałam rampą, a tam nikogo, jakiś samochód wyjeżdżał, więc śmignęłam pod szlabanem i już byłam na ulicy. Miałam wracać i zgłaszać się w recepcji?

— Przecież wiesz. Takie są przepisy.

— Było późno, rozumiesz.

Bunny usiadł, krzywiąc się, w fotelu z gorsetem. Objął oba kolana wielkimi dłońmi i patrzył na nią. Jak nie Bunny. Jakby coś go naprawdę niepokoiło. Nie tylko platfusy z ochrony, bo nie odmeldował im się jakiś goniec.

— Jak późno?

— Hm?

— Chcą wiedzieć, kiedy wyszłaś.

— Może dziesięć minut po tym jak weszłam. Góra piętnaście. Te podziemia to istny labirynt.

— Weszłaś o 6:32:18 — powiedział. — Tak zapisali, kiedy cię zarejestrowali. Rozmawiali z tym prawnikiem, więc wiedzą, że dostarczyłaś mu przesyłkę.

Nadal dziwnie na nią patrzył.

— Bunny, o co chodzi? Powiedz im, że spieprzyłam, nie mówiąc do widzenia i już.

— Nie byłaś nigdzie indziej? W tym hotelu?

— Nie — odparła i poczuła dziwny dreszcz, jakby przekroczyła jakąś granicę, zza której nie było już odwrotu. — Oddałam temu facetowi paczkę, Bunny.

— Nie sądzę, żeby martwili się o paczkę tego gościa — rzekł Bunny.

— A więc?

— Słuchaj, Chev — powiedział — dzwonią faceci z ochrony, to

jedno. Przykro mi, szefie, mówię, to się już nie powtórzy. Jednak ktoś z góry w ich firmie, nazywa się IntenSecure, zadzwonił bezpośrednio do Wilsona.

Właściciel Allied.

— Musiałem ugłaskać Wilsona i pana Ochronę, musiałem posadzić tu za konsolą Grasso, który oczywiście wszystko popieprzył…

— Bunny — powiedziała — przykro mi.

— No tak. Tobie przykro, mnie przykro, ale jakiś zasrany najemny gliniarz siedzi za biurkiem i magluje Wilsona o to, co dokładnie robiłaś po tym, jak oddałaś temu prawnikowi jego paczkę. O to, jakim dokładnie jesteś pracownikiem, jak długo jeździsz dla Allied, czy jesteś notowana, czy zażywasz narkotyki, gdzie mieszkasz.

Chevette zobaczyła czarne okulary tego dupka, dokładnie tam, gdzie je zostawiła. W futerale, za stertą „National Geographics" z 1997 roku. Usiłowała wydostać je stamtąd siłą woli na pachnący smołą dach i w pustkę. Cisnąć to draństwo do zatoki, co powinna zrobić już dziś rano. Jednak nie, tkwiły tam nadal.

— To nie jest normalne — rzekł Bunny. — Wiesz, o czym mówię?

— Mówiłeś im, gdzie mieszkam, Bunny?

— Gdzieś na moście — odparł i uśmiechnął się nieznacznie. — Niezbyt dokładny adres, no nie?

Okręcił się z fotelem i zaczął wyłączać monitory.

— Bunny — powiedziała — co oni teraz zrobią?

— Będą cię szukać — powiedział, odwrócony plecami do niej.

— Tutaj. Ponieważ nie wiedzą, dokąd iść. Nic nie zrobiłaś, prawda, Chevy?

Tył jego czaszki porastała siwa szczecina. Automatycznie odpowiedziała:

— Nie. Nie… Dzięki, Bunny.

Mruknął coś, obojętnie, kończąc sprawę i Chevette wróciła na korytarz z sercem walącym jak młotem. Po schodach, za drzwi, obmyślając najszybszą drogę do domu, przeglądając w myślach czerwone światła, trzeba pozbyć się tych okularów, trzeba…

Sammy Sal przyparł Ringera do niebieskiego pojemnika na recykl. Tępawe oblicze Ringera zaczęło zdradzać objawy niepokoju.

— Nic ci nie zrobiłem, człowieku.

— Znów ryjesz swój znak w windach, Ringer.

— Przecież nic ci nie zrobiłem!

— Przyczyna i skutek, tumanie. Wiemy, że to dla ciebie trudne, ale spróbuj to wbić sobie do łba: robisz takie gówno, będzie go więcej. Jeśli będziesz skrobał swój znak w tych ślicznych windach klientów, załatwimy cię, człowieku.

Sammy Sal położył długie brązowe palce lewej ręki na zdeformowanym hełmie Ringera, obejmując go jak piłkę do

koszykówki, po czym podniósł go i okręcił, wbijając pasek w podbródek Ringera.

— Nic nie zrobiłem! — zabulgotał Ringer.

Chevette przemknęła obok nich, kierując się do stojaka na rowery pod ściennym portretem Shapely'ego. Ktoś cisnął mu w te uduchowione oczy ofiary kondomem pełnym szaroniebieskiej farby, tworząc niebieski zaciek na zapadniętym policzku.

— Hej! — zawołał Sammy Sal. — Chodź tu i pomóż mi męczyć tego gównojada.

Przesunęła dłoń przez pętlę identyfikatora i zaczęła wyplątywać kierownicę z plątaniny molibdenowej stali oraz grafitu innych rowerów. Wszystkie alarmy odezwały się jednocześnie, rozgorączkowanym chórem ogłuszającego wycia, basowymi porykiwaniami cyfrowych syren, a nawet jazgotliwym potokiem hiszpańskich przekleństw, zręcznie pomieszanych z bolesnymi jękami. Wydobyła rower, wsunęła stopę w uchwyt i wypadła na ulicę, ruszając, zanim usiadła na siodełku. Kątem oka zobaczyła, jak Sammy Sal puszcza Ringera. Wsiadł na swój rower, z grubą ramą w różowo-czarne cętki i fluororimzem połączonym z prądnicą. Jechał za nią. Nigdy nie miała mniejszej ochoty na czyjeś towarzystwo. Ruszyła. Pędź. Po prostu pędź. Jak w jej porannym śnie, tylko straszniej.

12
Ruchy oka

Rydell patrzył na tych dwóch gliniarzy z San Francisco, Svobodova i Orlovsky'ego, dochodząc do wniosku, że praca dla Warbaby'ego może okazać się interesująca. Ci faceci to prawdziwy superciężki kaliber. Wydział zabójstw to wszędzie poważna instytucja.

Dopiero od czterdziestu ośmiu minut przebywał w Kalifornii Północnej, a już siedział przy barze, pijąc kawę z facetami z tego wydziału. Tyle że oni pili herbatę. Gorącą. W szklankach. Mocno słodzoną. Rydell siedział na końcu baru, obok Freddiego, który pił mleko. Dalej był Warbaby, nadal w kapeluszu, potem Svobodov i Orlovsky. Svobodov był prawie tak wysoki jak Warbaby, ale zdawał się zbudowany z samych ścięgien i grubych kości. Miał długie, płowe włosy, zaczesane w górę z gładkiego czoła, takiej samej barwy brwi oraz napiętą i błyszczącą skórę, jakby zbyt długo stał przy ogniu. Orlovsky był chudy i ciemnowłosy, miał wystającą brodę, mnóstwo włosów na kłykciach i okulary, które wyglądały jak przecięte na pół. Obaj mieli to charakterystyczne spojrzenie — obezwładniające, przeszywające, ciężkie i nieruchome jak ołów. Rydella uczono tego w Akademii Policyjnej, ale nie okazał się zbyt gorliwym uczniem. Nazywano to „Aktywnym wyłączeniem ruchów oka", a zajęcia prowadził emerytowany psycholog-naukowiec z Duke University, niejaki Bagley. W trakcie wykładów często dywagował na temat notorycznych morderców, którymi zajmował się na uniwersytecie, przypadków erotycznych samobójstw przez powieszenie i tym podobnych rzeczy. Wszyscy traktowali to jako rozrywkę pomiędzy „Postępowaniem w przypadkach ciężkich przestępstw", a „Intensywnym programem szkolenia strzeleckiego". Jednak Rydell zazwyczaj bywał trochę rozkojarzony po ciężkich przestępstwach, ponieważ instruktorzy zawsze prosili go, żeby odgrywał rolę przestępcy. Nie miał pojęcia dlaczego. Tak więc trudno mu było się skupić na kursie wyłączania ruchów oka. A nawet jeśli zdołał coś wynieść z wykładu Bagleya, to po strzelaniu wszystko zapominał. Program szkolenia przeprowadzono tylko z prawdziwą bronią. Kiedy liczono trafienia, pokazywano ci otwory wlotowe pocisków, twoich lub przeciwnika, i pytano, czy przegrywający wykrwawił się na śmierć, czy też doznał wstrząsu pourazowego. Byli tacy, którzy po kilku sesjach zupełnie się rozklejali, ale Rydell zawsze wychodził z nich zadowolony. Nie dlatego, żeby był agresywny albo lubił widok krwi; po prostu dlatego, że wszystko działo się tak szybko. I było nierealne. Tak więc nigdy nie nauczył się hipnotyzować ludzi

wzrokiem. Tymczasem porucznik Svobodov opanował tę umiejętność w niezwykłym stopniu, a jego partner, porucznik Orlovsky, rozwinął własną wersję tej sztuki, niemal równie skutecznie rzucając spojrzenia znad tych połówkowych szkieł. I tak wyglądał jak wilkołak, więc przychodziło mu to bez trudu.

Rydell nadal oceniał szyk Wydziału Zabójstw w San Francisco. Najwidoczniej tutejszy styl polegał na noszeniu starych prochowców na czarnych kamizelkach kuloodpornych, a pod nimi białych koszul i krawatów. Oksfordzkie koszule były zapięte na wszystkie guziki, a krawaty miały deseń w paski, jakby właściciele należeli do jakiegoś klubu. Spodnie z mankietami oraz naprawdę okazałe półbuty na grubych wibramach. Chyba jedynymi ludźmi noszącymi takie koszule, krawaty i buty byli imigranci, którzy za wszelką cenę pragnęli być jak najbardziej amerykańscy. Jednak połączenie kamizelki kuloodpornej ze starym prochowcem wydało mu się całkiem sensowne. Smukła plastikowa kolba H K też nie psuła wrażenia, wystając spod rozpiętej kamizelki Svobodova. Nie pamiętał, który to model, ale miał wrażenie, że to ten z magazynkiem pod lufą. Strzelający amunicją bezłuskową, wyglądającą jak woskowe kredki, z plastikowym ładunkiem otaczającym lekkie pociski w kształcie sporych gwoździ.

— Gdybyśmy wiedzieli to, co ty już wiesz, Warbaby, może wszystko byłoby prostsze.

Svobodov rozejrzał się po małym pomieszczeniu i wyjął z kieszeni płaszcza paczkę marlboro.

— To nielegalne w tym stanie, koleś — powiedziała kelnerka, zadowolona z tego, że może komuś zagrozić przepisami. Miała jedną z tych ogromnych czupryn. Lokal należał do tych miejsc, w których jadasz, jeśli pracujesz na nocną zmianę w jakimś zakichanym zakładzie przemysłowym. Rydell doszedł do wniosku, że szczęśliwcy oprócz posiłku dostają jeszcze kelnerkę. Svobodov obdarzył ją kilkoma tysiącami elektronowoltów gliniarskiego spojrzenia, wyjął z kieszonki kamizelki policyjną odznakę i wywiesił ją na nylonowym pasku na widok publiczny. Rydell usłyszał cichy szczęk uderzenia; jakiś dodatkowy pancerz pod tą białą koszulą.

— Powinieneś pokazać to tym dwóm mormonom z drogówki, którzy tu zachodzą — powiedziała.

Svobodov włożył do ust papierosa. Warbaby podsunął mu pod nos pięść, ściskając w niej bryłę złota wielkości ręcznego granatu. Zapalił nią papierosa Rosjaninowi.

— Po co ci to, Warbaby? — zapytał Svobodov na widok zapalniczki. — Palisz?

— Wszystko oprócz tych chińskich marlboro. Arkady.

Smutno jak zawsze.

— Jest w nich pełno włókien szklanych.

— Przecież to amerykańska marka — nalegał Svobodov — na licencji producenta.

— Od sześciu lat już nie robi się ich legalnie w tym kraju — powiedział Warbaby, równie smutno jak o wszystkim innym.

— Marl-bor-ro — wycedził Svobodov, wyjmując papierosa z ust i wskazując na napis nad filtrem. — Kiedy byliśmy dziećmi, Warbaby, marlboro to były duże pieniądze.

— Arkady — rzekł cierpliwie Warbaby — kiedy byliśmy dziećmi, pieniądze były pieniędzmi.

Orlovsky zaśmiał się, Svobodov wzruszył ramionami.

— Co wiesz, Warbaby? — powiedział, wracając do interesów.

— Pan Blix został znaleziony martwy w hotelu „Morrisey". Zamordowany.

— Robota zawodowca — rzekł Orlovsky, wymawiając to jak jedno słowo. — Chcieli, żebyśmy wzięli pod uwagę jakiś bzdurny motyw etniczny, tak?

Svobodov zmrużył oczy, patrząc na Warbaby'ego.

— Tego jeszcze nie wiemy.

— Język — rzekł zdecydowanie Orlovsky. — To koloryt. Żeby nas zmylić. Myślą, że obciążymy Latynosów.

Svobodov possał papierosa i dmuchnął dymem w kierunku kelnerki.

— Co wiesz, Warbaby?

— Hans Rutger Blix, czterdzieści trzy lata, naturalizowany Kostarykanin.

Warbaby równie dobrze mógłby wygłaszać mowę pogrzebową.

— Wciskasz kit — rzucił Svobodov zza marlboro.

— Warbaby — powiedział Orlovsky — wiemy, że pracowałeś nad tym, zanim temu dupkowi poderżnięto gardło.

— Dupkowi — powtórzył Warbaby, jakby ten martwy gość był jego przyjacielem, współlokatorem, a przynajmniej dobrym znajomym. — Facet nie żyje i tyle. To czyni go dupkiem?

Svobodov tylko siedział, paląc marlboro. Zdusił je na stojącym przed nim talerzu, obok nie tkniętej pasty z tuńczyka.

— Dupek. Wierz mi.

Warbaby westchnął.

— Miał kurtkę. Arkady?

— Jeśli ją chcesz — rzekł Svobodov — musisz powiedzieć nam, co miałeś dla niego zrobić. Wiemy, że z tobą rozmawiał.

— Nigdy z nim nie rozmawiałem.

— Dobra — przyznał Svobodov. — Rozmawiał z IntenSecure. Ty robisz dla nich.

— Dokładnie — potwierdził Warbaby.

— Dlaczego zwrócił się do IntenSecure?

— Zgubił coś.

— Co?

— Jakiś drobiazg.

Svobodov westchnął.

— Lucius. Proszę.

— Okulary przeciwsłoneczne.

Svobodov i Orlovsky spojrzeli po sobie, a potem na Warbaby'ego.

— IntenSecure ściąga Warbaby'ego, bo jakiś facet zgubił okulary przeciwsłoneczne?

— Może były cenne — podpowiedział łagodnie Freddie. Przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze nad barem.

Orlovsky splótł mocno owłosione palce, aż zatrzeszczały stawy.

— Podejrzewał, że zgubił je na przyjęciu — podsunął Warbaby — a nawet, że ktoś mógł mu je ukraść.

— Jakim przyjęciu? — Svobodov poruszył się na stołku i Rydell usłyszał chrzęst niewidocznego pancerza.

— Przyjęciu w hotelu Morrisey".

— Kto je wydał? — spytał Orlovsky znad szkieł.

— Pan Cody Harwood.

— Harwood… — powtórzył Svobodov. — Harwood…

— Czy nazwisko Pawłow coś wam mówi? — zapytał Freddie, nie kierując pytania do nikogo w szczególności.

— Pieniądze — mruknął Svobodov.

— I nie z marlboro — dodał Warbaby. — Pan Blix poszedł na przyjęcie do pana Harwooda, wypił kilka drinków…

— Miał tyle krwi w alkoholu, że nie trzeba go było balsamować — rzekł Orlovsky.

— Wypił kilka drinków. Miał ten drobiazg w kieszeni kurtki. Następnego ranka okularów nie było. Zadzwonił do ochrony w „Morriseyu". Oni zwrócili się do IntenSecure, a IntenSecure wezwała mnie…

— Nie ma jego telefonu — powiedział Svobodov. — Zniknął. Nie można go z nikim powiązać. Żadnych notatek, notebooka, nic.

— Robota zawodowca — powtórzył Orlovsky.

— Te szkła — drążył Svobodov. — Co to za okulary?

— Przeciwsłoneczne — wyjaśnił Freddie.

— Znaleźliśmy to. — Svobodov wyjął coś z bocznej kieszeni prochowca. Hermetyczny woreczek na dowody. Podniósł go. Rydell zobaczył kawałki czarnego plastiku. — Tani WR. Wdeptany w dywan.

— Wiecie, co na nim puszczał? — zapytał Warbaby.

Teraz nadeszła pora na występ Orlovsky'ego. Z wewnętrznej kieszeni czarnej kamizelki wyjął drugi plastikowy woreczek.

— Szukaliśmy software'u, nie mogliśmy znaleźć. Potem prześwietliliśmy gościa rentgenem. Ktoś wepchnął mu to do gardła.

Czarny prostokąt. Starta i poplamiona naklejka.

— Zanim go zarżnął.

— Co to jest? — zapytał Warbaby.

— McDonna — powiedział Svobodov.

— Hmm? — Freddie przechylał się przez Warbaby'ego, żeby zerknąć na dowód. — Mc-co?

— Porno czip.

W pierwszej chwili te dwa słowa zbiły się Rydellowi w jedno, ale zaraz zrozumiał ich sens.

— McDonna.

— Ciekawe, czy obejrzeli to dokładnie? — powiedział Freddie z tylnego siedzenia patriota. Trzymał nogi na oparciu przedniego fotela pasażera, a czerwone światełka wokół krawędzi jego butów błyskając, powtarzały słowa jakiejś piosenki.

— Co obejrzeli? — Rydell obserwował Warbaby'ego i Rosjan stojących przy jednym z najmniej niepozornych nie oznakowanych wozów, jakie kiedykolwiek widział: szarego kolosa z grafitową osłoną reflektorów i chłodnicy. Na przedniej szybie patriota zbierały się kropelki deszczu.

— Tego pornusa znalezionego w przełyku faceta. Jeśli Warbaby zawsze mówił ze smutkiem w głosie, Freddie był nieustannie zrelaksowany. Jednak smutek pierwszego wydawał się prawdziwy, natomiast odprężony Freddie było mało przekonujący.

— W takim programie jest mnóstwo kodu. W tapecie można ukryć różności, wiesz? Na przykład we fraktalach używanych do oddania barwy skóry można zaszyfrować tekst…

— Zajmujesz się komputerami, Freddie?

— Jestem konsultantem technicznym pana Warbaby'ego.

— Jak myślisz, o czym oni mówią?

Freddie wyciągnął rękę i dotknął jednego buta. Czerwone litery zniknęły.

— Teraz rozmawiają poważnie.

— O czym?

— O interesach. Chcemy wiedzieć, co mają na Blixa — tego martwego faceta.

— Tak? A co my możemy im dać?

— My? — prychnął Freddie. — Ty tylko prowadzisz wóz. — Zdjął nogi z fotela i usiadł. — Jednak to żadna tajemnica: IntenSecure i DatAmerica to jedno i to samo.

— Pieprzysz. — Svobodov najwyraźniej przejął główny ciężar konwersacji. — Co to oznacza?

— Oznacza, że jesteśmy podłączeni do większej bazy danych niż policja. Kiedy następnym razem stary Werbel zechce z nim pogadać,

gość będzie zadowolony, że oddał nam przysługę. Jednak dzisiaj, człowieku, dzisiaj czuje się udupiony.

Rydell przypomniał sobie, jak wpadł na barbecue do „Wielkiego George'a" Kechakmadze, który próbował namówić go do wstąpienia do National Rifle Association.

— Macie tu dużo Rosjan w policji?

— Tutaj? Mnóstwo.

— To trochę zabawne, że tak wielu z nich wstępuje do policji.

— Dobrze pomyśl, człowieku. Przecież żyli w państwie policyjnym. Może przyzwyczaili się.

Svobodov i Orlovsky wsiedli do szarego kolosa. Warbaby podszedł do patriota, podpierając się duraluminiową kulą. Policyjny samochód uniósł się nieco na amortyzatorach, po czym zaczął mruczeć i dygotać; deszcz bębnił o jego maskę, gdy Orlovsky zapuścił silnik.

— Jezu — powiedział Rydell — nie przejmują się, że ktoś ich zobaczy, no nie?

— Oni chcą, żeby ich zobaczono — rzucił mimochodem Freddie, gdy Warbaby otworzył tylne drzwiczki i zaczął mozolnie gramolić się do środka.

— Jedziemy — rzekł Warbaby, zatrzaskując drzwi. — Wymagania protokołu. My odjeżdżamy pierwsi.

— Nie tędy — ostrzegł Freddie. — Przejechalibyśmy przez Candlestick Park. Tamtędy.

— Tak — potwierdził smutno Warbaby. — Musimy coś załatwić w centrum.

Centrum San Francisco robiło wrażenie. Całe otoczone wzgórzami, zbudowane na pagórkach lub między nimi, pozytywnie wpływało na Rydella. Był gdzieś. W konkretnym miejscu. Chociaż nie umiał powiedzieć, czy podoba mu się tutaj. Może tylko to miasto tak dalece różniło się od LA i było nieustannie oblewane potokiem sączącego się zewsząd światła. Czuł, że przybył tu jakby z innego świata, wśród tych starych, stłoczonych budynków, nie nowszych od tego ze stromym dachem (a wiedział, że i ten jest stary). Chłodne wilgotne powietrze, para unosząca się z kratek na chodnikach. I ludzie na ulicach, ale nie tacy zwyczajni: ludzie mający dobrą pracę i ciuchy. Dziwne miejsce.

— Nie, człowieku, w lewo, w lewo! — Freddie zabębnił w oparcie jego fotela. Kolejny schemat, którego trzeba się nauczyć. Sprawdził położenie kursora na wyświetlonej mapie, szukając przecznicy w lewo, którą mógłby dojechać do hotelu „Morrisey".

— Nie wal w fotel pana Rydella — rzekł Warbaby z dwumetrową rolką faksu w rękach — kiedy prowadzi.

Faks przyszedł, kiedy ruszyli. Rydell domyślił się, że to dane

Blixa, faceta, któremu poderżnięto gardło.

— Fassbinder — powiedział Freddie. — Słyszałeś kiedyś o Rainerze Fassbinderze?

— Nie jestem w nastroju do żartów, Freddie.

— Nie żartuję. Wprowadziłem tego Blixa do programu „Rozdzielonych", człowieku; zeskanowane zdjęcie sztywniaka, które przysłali ci wcześniej Rosjanie. Wygląda zupełnie jak Rainer Fassbinder. I to po śmierci, z poderżniętym gardłem. Ten Fassbinder musiał być przystojnym facetem, nie?

Warbaby westchnął.

— Freddie…

— No, w każdym razie Niemcem. Narodowość zgadza się z…

— Pan Blix nie był Niemcem, Freddie. Tu piszą, że pan Blix nie był nawet panem Blixem. Daj mi poczytać. A Rydell potrzebuje spokoju, żeby przyzwyczaić się do jazdy po mieście.

Freddie mruknął coś, a potem Rydell usłyszał, jak bębni palcami w mały komputer, z którym się nie rozstawał. Rydell znalazł przecznicę w lewo, której szukał. Pobojowisko. Ruiny. Ogniska w stalowych beczkach. Skulone postacie, twarze blade jak u wampirów.

— Nie hamuj — powiedział Warbaby. — I nie przyspieszaj.

Z grupki zgarbionych postaci wyleciało coś, wirując w powietrzu, chlapnęło o przednią szybę, przywarło, a potem odpadło, zostawiając brudnożółtą smugę. Czyżby było szare i zakrwawione jak kawałek jelita?

Czerwone światło na skrzyżowaniu.

— Przejedź — polecił Warbaby. Rydell usłuchał wśród klaksonów. Żółte świństwo zostało na szybie.

— Zatrzymaj. Nie. Na samym chodniku. Właśnie. — Opony patriota miękko podskoczyły na nierównym krawężniku. — W skrytce na rękawiczki.

Kiedy Rydell otworzył ją, zapaliło się czerwone światełko. Windex, plik szarych papierowych ściereczek i pudełko jednorazowych chirurgicznych rękawiczek.

— Zrób to — rzekł Warbaby. — Nikt nie będzie nas niepokoił.

Rydell włożył rękawiczkę, wziął windex i ściereczki, wysiadł.

— Nie dotknij niczego — powiedział do siebie, myśląc o Sublecie. Spryskał żółtą smugę sporą porcją windexu, zmiął w dłoni trzy ścierki i wytarł szybę do czysta. Ściągnął rękawiczkę na wilgotne ścierki, tak jak nauczono go w akademii, ale potem nie wiedział, co z nią zrobić.

— Wyrzuć — poradził Warbaby z samochodu. Rydell zrobił to. Potem odszedł pięć kroków od wozu i zwymiotował. Otarł usta czystą ściereczką. Wsiadł, zatrzasnął drzwi, zamknął je, po czym schował windex i ścierki do schowka na rękawiczki.

— Ulżyło ci, Rydell?

— Zamknij się, Freddie — rzekł Warbaby. Zawieszenie patriota zaskrzypiało, gdy pochylił się naprzód. — Prawdopodobnie resztki z rzeźni — powiedział. — Jednak dobrze, że zachowałeś ostrożność. — Opadł na fotel. — Mieliśmy tu kiedyś grupę nazywaną „Miecz Świni". Słyszałeś o nich?

— Nie — odparł Rydell. — Nigdy.

— Kradli gaśnice z budynków. Napełniali je krwią wziętą z rzeźni. Jednak rozpuścili plotkę, rozumiesz, że to ludzka krew. I z tym gaśnicami ruszyli na demonstrację wyznawców Jezusa…

— Jezu — powiedział Rydell.

— Właśnie — zgodził się Warbaby.

— Widzisz te drzwi? — zapytał Preddie.

— Jakie drzwi?

W holu hotelu „Morrisey" Rydell miał ochotę szeptać, jakby był w kościele lub w domu pogrzebowym. Dywan był tak miękki, że najchętniej położyłby się na nim i zasnął.

— Te czarne.

Rydell dostrzegł czarno lakierowany prostokąt, zupełnie gładki, nawet bez klamki. Teraz, kiedy o tym pomyślał, zdał sobie sprawę, że nie pasowały do reszty wystroju. Cały hol był z politurowanego drewna, lśniącego mosiądzu, tafli kryształu. Gdyby Freddie nie powiedział mu, że to są drzwi, wziąłby je za jakieś dzieło sztuki albo obraz.

— Taak? I co z nimi?

— To wejście do restauracji — wyjaśnił Freddie. — Tak drogiej, że nawet nie można tam wejść.

— No — odparł Rydell — jest ich mnóstwo.

— Nie, człowieku — upierał się Freddie. — Chcę powiedzieć, że nawet gdybyś srał forsą, nie mógłbyś tam wejść. Prywatny klub. Japoński.

Stali opodal stanowiska ochrony, podczas gdy Warbaby rozmawiał z kimś przez hotelowy telefon. Trzej faceci pełniący służbę za kontuarem nosili mundury IntenSecure, naprawdę eleganckie, z mosiężnymi odznakami na czapkach z daszkiem.

Rydell zaparkował patriota w podziemnym garażu, kilka pięter pod parterem budynku. Jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego; tłumy ludzi w białych kuchennych kitlach nakładające na setki talerzy jakąś podejrzanie wyglądającą sałatkę, małe odkurzacze Sanyo brzęczące pastelowymi hordami, cały ten sprzęt, którego istnienia nie podejrzewałbyś, stojąc tutaj w holu. W apartamentach, w których mieszkał z Karen Mendelsohn w Knoxville, były te małe koreańskie roboty, które sprzątały podczas twojej nieobecności. Mieli tam nawet taki, który zbierał kurz ze ścian, ale na Karen nie robiło to wrażenia.

Powiedziała, że to po prostu świadczy o tym, że nie stać ich na zatrudnianie ludzi. Rydell patrzył, jak Warbaby odwraca się, podając telefon jednemu z facetów w czapkach. Potem skinął na Rydella i Freddiego i oparł się na szczudle, kiedy ku niemu ruszyli.

— Teraz wpuszczą nas na górę — powiedział. Czapka, któremu podał telefon, wyszedł zza kontuaru. Spostrzegł, że Rydell ma na sobie koszulę IntenSecure z oderwanymi naszywkami, ale nic nie powiedział. Rydell zastanawiał się, kiedy i gdzie będzie mógł kupić sobie jakieś ubranie. Spojrzał na koszulę Freddiego i pomyślał, że jego chyba lepiej o to nie pytać.

— Tędy, proszę pana — powiedział Czapka do Warbaby'ego. Freddię i Rydell poszli za nimi korytarzem. Murzyn mocno wbijał kulę w dywan, a szyna na jego nodze tykała miarowo jak zegar.

13
Wykręty

Czasami, kiedy jechała szybko, a raczej pędziła, Chevette uwalniała się od wszystkiego: od miasta, ciała, nawet od czasu. Wiedziała, że to haj posłańca i chociaż zdaje się wyzwoleniem, w rzeczywistości jest wywołany chwilowym zapamiętaniem. Rower między jej nogami był niczym jakiś superogon, który wyrósł jej po stuleciach powolnej ewolucji: miły i złożony mechanizm z wzmocnionymi lexanem oponami, niemal beztarciowymi łożyskami i wypełnionymi gazem amortyzatorami. Stawała się wtedy częścią miasta, szaloną jednostką energii i materii, dokonującą tysięcy wyborów w mgnieniu oka, zależnie od natężenia ruchu, rodzaju nawierzchni ulic, mahoniowych włosów sekretarki opadających ze znużeniem na jej lodenowy płaszcz.

I poczuła się tak w tej chwili, wbrew wszystkiemu: jeśli pozwoli na to, przestanie rozmyślać, zredukuje się do maszynerii kół, biegów i japońskiej ramy z włókien węglowych i papieru… Jednak Sammy dogonił ją, z basowym pomrukiem układu rytmicznego roweru. Musiała ostro zahamować, opony jej roweru zostawiły czarne ślady na nawierzchni. Sammy Sal także zwolnił, jego fluoro-rimz błysnął i zgasł.

— Coś cię dręczy, kochana? — Jego ręka na jej ramieniu, twarda i zła. — Może jakiś cudowny produkt, dzięki któremu jesteś sprytniejsza i szybsza? Co?

— Daj mi spokój.

— Nie ma mowy. To ja załatwiłem ci tę robotę. Jeśli ją schrzanisz, chcę wiedzieć dlaczego.

Uderzył dłonią w czarną piankę na kierownicy, wyłączając muzykę.

— Proszę, Sammy, muszę wracać do Skinnera…

Puścił jej ramię.

— Dlaczego?

Zakrztusiła się, opanowała kaszel, odetchnęła głęboko.

— Ukradłeś coś kiedyś, Sammy Sal? Chcę powiedzieć, w czasie pracy?

Sammy Sal spojrzał na nią.

— Nie — rzekł w końcu — ale zdarzało mi się pieprzyć z klientami.

Chevette zadrżała.

— Mnie nie.

— Nie, ale ty nie rozwozisz przesyłek tam, gdzie ja. Poza tym,

jesteś dziewczyną.

— Jednak zeszłej nocy ukradłam coś. Z kieszeni faceta na przyjęciu w hotelu „Morrisey".

Sammy Sal oblizał wargi.

— Jak to się stało, że włożyłaś mu rękę do kieszeni? To był ktoś, kogo znałaś?

— To był taki dupek.

— Ach ten. Chyba go znam.

— Zdenerwował mnie. To mu wystawało z kieszeni.

— Jesteś pewna, że ukradłaś mu to, co mu sterczało?

— Sammy Sal, to poważna sprawa. Boję się jak cholera.

Spojrzał na nią uważnie.

— O to chodzi? Boisz się? Okradłaś faceta, a teraz się boisz?

— Bunny mówi, że ktoś z ochrony zadzwonił do Allied, a nawet do Wilsona i wszędzie. Szukał mnie.

— Jasny gwint! — powiedział Sammy Sal, patrząc na nią. — Myślałem, że naćpałaś się pląsu. Podejrzewałem, że Bunny cię nakrył. Pojechałem za tobą, żeby wytargać cię za twoje cholerne uszy. A ty się boisz?

Popatrzyła na niego.

— Zgadza się.

— No cóż — powiedział, wbijając palce w czarną piankę. — Czego się obawiasz?

— Boję się, że przyjdą do Skinnera i znajdą je.

— Co znajdą?

— Te szkła.

— Szpiegowskie? Wybuchowe? Jakie? — Bębnił palcami po czarnej piance.

— Czarne okulary. Jak przeciwsłoneczne, ale nic przez nie nie widać.

Sammy Sal przechylił na bok piękną głowę.

— Co chcesz powiedzieć?

— Są całkiem czarne.

— Okulary przeciwsłoneczne?

— Tak. Zupełnie czarne.

— Hmm — powiedział — gdybyś pieprzyła się z klientami tak jak ja, ale tylko z bogatymi, wiedziałabyś, co to takiego. Widzę, że nie miałaś wielu chłopaków z wyższych sfer, jeśli mi wybaczysz. Gdybyś chodziła z architektami albo neurochirurgami, wiedziałabyś, co to takiego.

Podniósł rękę, wskazującym palcem dotykając zardzewiałego łańcuszka zwisającego z zamka przy kołnierzu kurtki Skinnera.

— To wirtualne okulary. Światło wirtualne.

Słyszała o tym, ale nie była pewna, co to takiego.

— Są drogie, Sammy Sal?

— Tak, cholera. Prawie tak samo jak japoński samochód. I niemal równie skomplikowane. Mają te małe układy EMP wokół szkieł, działające na nerwy wzrokowe. Mój przyjaciel przyniósł do domu takie z biura, w którym pracował. Jest architektem zieleni. Włożysz je i idziesz, a wszystko wygląda normalnie, ale na każdym drzewie, na każdej roślinie wisi mała etykietka z łacińską nazwą…

— Przecież one są całkiem czarne.

— Nie wtedy, kiedy je włączysz. Wtedy nawet nie wyglądają jak okulary. Człowiek jest w nich… sam nie wiem, poważny. — Uśmiechnął się do niej. — I tak jesteś zbyt poważna. To twój największy problem.

Zadrżała.

— Jedź ze mną do Skinnera, Sammy. Dobrze?

— Nie lubię wysokości — odparł. — Pewnej nocy to pudełeczko spadnie z mostu.

— Proszę, Sammy. Pękam. Kiedy z tobą pojadę, jakoś przeżyję, ale boję się, że skamienieję ze strachu, jak tylko zacznę o tym myśleć. Co mam zrobić? Może powinnam pójść z tym do glin? Co powiedziałby Skinner, gdyby przyszła do niego policja? A jeśli przyjdę jutro do roboty i Bunny mnie wyleje? Co zrobię?

Sammy Sal obrzucił ją takim samym spojrzeniem jak tamtego wieczoru, kiedy poprosiła go, żeby wkręcił ją do Allied. Potem uśmiechnął się złośliwie i wesoło. Mnóstwo ostrych białych zębów.

— Trzymaj siodło między nogami. No już, spróbuj mnie nie zgubić.

Zjechał z krawężnika, fluoro-rimz rozbłysnął jaskrawą bielą, kiedy nacisnął na pedały. Znów włączył kciukiem sekcję rytmiczną, ponieważ włączając się za nim do ruchu, Chevette usłyszała basowe dudnienie.

14
Loveless

— Chcesz jeszcze jedno piwo, kochany?

Kobieta za barem miała skomplikowany czarny wzór po bokach podgolonej głowy, aż do miejsca, które Yamazaki uznał za jej linię włosów. Tatuaż składał się z celtyckich runów i zygzakowatych błyskawic. Włosy powyżej były jak futerko jakiegoś nocnego zwierzęcia, żywiącego się wodą utlenioną i wazeliną. Lewe ucho miała poprzebijane, chyba w tuzinie miejsc, jednym kawałkiem cienkiego stalowego drutu. Zazwyczaj Yamazaki uznałby taki styl za interesujacy, lecz teraz był zatopiony w pracy, a przed nim leżał otwarty notebook.

— Nie — odrzekł. — Dziękuję.

— Chyba nie chcesz stąd wypieprzać, co? — spytała uprzejmym tonem. Podniósł wzrok znad notebooka. Czekała.

— Tak?

— Jak chcesz tu siedzieć, musisz coś zamówić.

— Proszę piwo.

— To samo?

— Tak, poproszę.

Otworzyła butelkę meksykańskiego piwa i kawałki lodu osunęły się po szkle, gdy postawiła ją przed nim na barze, po czym podeszła do klienta siedzącego obok. Yamazaki ponownie zajął się notebookiem.

Skinner kilkakrotnie podkreślał, że nie ma tu żadnej organizacji, żadnej wewnętrznej struktury. Tylko szkielet, most, sam w sobie Thomasson. Kiedy przyszła „Little Grande", nie była „Godzillą". Rzeczywiście, w tym miejscu i kulturze nie istnieje odpowiednik tego mitu (chociaż może nie jest to prawdą w odniesieniu do Los Angeles). Bomba, na którą tak długo czekano, nie spadła. Jej miejsce zajęły plagi, najpowolniejsze z katastrof. Jednak kiedy „Godzilla" w końcu zaatakowała Tokio, oddaliśmy się niedowierzaniu i głębokiej rozpaczy. Prawdę mówiąc, powitaliśmy ją aż nazbyt chętnie. Czując, nawet kiedy opłakiwaliśmy naszych zmarłych, że znów stanęliśmy przed jedną z najbardziej zdumiewających okazji.

— Naprawdę ładny — powiedział mężczyzna po lewej, kładąc dłoń na notebooku Yamazakiego. — Jest tak ładny, że musi być japoński.

Yamazaki podniósł wzrok, uśmiechając się niepewnie, napotykając kompletnie puste oczy. Żywe, bystre, a jednak dziwnie pozbawione głębi.

— Tak, z Japonii — rzekł Yamazaki. Dłoń powoli, pieszczotliwe, puściła komputer.

— Loveless — powiedział nieznajomy.

— Przepraszam?

— Loveless. To moje nazwisko.

— Yamazaki.

Oczy, bardzo wyblakłe i szeroko osadzone, były ślepiami czegoś czającego się pod nieruchomą taflą wody.

— Taak. Domyślałem się czegoś takiego.

— Tak? Czego?

— Czegoś japońskiego. Kończącego się na zaki lub zuki. Takiego chłamu. — Uśmiech stał się dziwnie drapieżny. — Niech pan pije swoje piwo, panie Yamazuki. — Dłoń obcego zacisnęła się na jego przegubie. — Robi się ciepło, no nie?

15
W 1015

W akademii Rydell zetknął się z preparatem nazywanym Kil'Z. Środek pachniał słabo jakimś starym tonikiem do włosów, kwiatowym i orzeźwiającym, a używano go w sytuacjach, gdy doszło do wypłynięcia znacznej ilości płynów ustrojowych. To był preparat przeciwwirusowy, unieczynniający wirusy HIV od 1 do 5, krymsko-kongijskie, gorączki Mokola, tanzańskiej dengi i kansaskiego zapalenia płuc. Czuł go teraz, gdy facet z IntenSecure galwanizowanym na czarno wytrychem otworzył drzwi do pokoju 1015.

— Na pewno zamkniemy drzwi, wychodząc — zapewnił Warbaby, dotykając palcem wskazującym ronda kapelusza. Mężczyzna z IntenSecure zawahał się, a potem powiedział:

— Tak jest, proszę pana. Potrzebne panu coś jeszcze?

— Nie — odrzekł Warbaby i wszedł do pokoju, a Freddie deptał mu po piętach. Rydell uznał, że powinien wejść za nimi. Zrobił to, zamykając drzwi przed nosem strażnika. Mrok. Zaciągnięte zasłony. Zapach Kil'Z. Rozbłysły światła. Dłoń Freddiego na włączniku.

Warbaby patrzący na bielszy ślad na ceglastoczerwonym dywanie, w miejscu gdzie zapewne stało łóżko.

Rydell rozejrzał się wokół. Staroświecko, drogo. Jak w elitarnym klubie. Ściany pokryte lśniącym materiałem w biało-zielone paski, chyba jedwabiem. Politurowane drewniane meble. Fotele z zielonym jak mech obiciem. Wielka mosiężna lampa z ciemnozielonym abażurem. Wyblakły stary obraz w grubej złoconej ramie. Rydell podszedł, by obejrzeć go z bliska. Koń ciągnący jakiś dwukołowy pojazd, z maleńkim kozłem, na którym siedział brodaty mężczyzna w kapeluszu Abe Lincolna. *Currier Ives* głosił podpis. Rydell zastanawiał się, które było imieniem konia. Potem dostrzegł owalny, brązowopurpurowy ślad zaschniętej krwi na szkle. Popękany jak muliste dno strumienia latem, tylko mały. Prawdopodobnie nie opryskany Kil'Z. Rydell cofnął się.

Freddie, w swych luźnych szortach i koszuli z nadrukowanymi pistoletami, zapadł w jeden z zielonych foteli i otworzył laptopa. Rydell patrzył, jak tamten rozwija cienki czarny przewód i podłącza go do gniazdka obok telefonu. Zastanawiał się, czy Freddie marznie w nogi, nosząc szorty w listopadzie. Zauważył, że niektórzy czarni tak bardzo ulegają modzie, że ubierają się, jakby nie istniały pory roku.

Warbaby tylko gapił się na miejsce, gdzie stało przedtem łóżko, i wyglądał równie smętnie jak zawsze.

— No? — powiedział.

— Zaraz, zaraz — odparł Freddie, poruszając trackballem laptopa.

Warbaby mruknął coś. Patrząc na niego, Rydell miał wrażenie, że szkła jego grubych okularów lekko błysnęły. Refleks świetlny. Potem Rydell poczuł się nieswojo, gdyż Warbaby po prostu spojrzał przez niego. Intensywnie wpatrywał się w coś za plecami Rydella, aż ten odruchowo obejrzał się przez ramię — lecz niczego nie dostrzegł. Odwrócił się w stronę Warbaby'ego, który podniósł szczudło, wskazując na miejsce, gdzie stało łóżko, a potem znów oparł kulę o dywan. Westchnął.

— Chce pan teraz dane miejsca z SFPD? — zapytał Freddie. Warbaby potwierdził mruknięciem. Uważnie rozglądał się wokół. Rydell pomyślał o dokumentalnych filmach telewizyjnych, o voodoo i kapłanach wywracających oczami, gdy wstępuje w nich bóstwo. Freddie pokręcił trackballem.

— Odciski, włosy, skrawki skóry… Wie pan, jak to jest z pokojami hotelowymi.

Rydell nie mógł już tego znieść. Stanął przed Warbabym i spojrzał mu prosto w oczy.

— Co pan do diabła robi?

Warbaby dostrzegł go. Postał mu ospały uśmiech i zdjął okulary. Z bocznej kieszeni długiego płaszcza wyjął wielką granatową jedwabną chustkę i przetarł szkła. Potem podał je Rydellowi.

— Włóż je. — Rydell spojrzał na szkła i zobaczył, że były teraz czarne. — Zrób to.

Zakładając okulary, Rydell poczuł ich ciężar. Głęboka ciemność. Potem nagły rozbłysk łagodnego, rozmazanego światła jak po przetarciu oczu w mroku — i zobaczył Warbaby'ego. Tuż za nim, zawieszone na niewidzialnej ścianie widniały jasnożółte słowa i litery. Wyostrzyły się, kiedy na nie popatrzył, tracąc z oczu Warbaby'ego i stwierdził, że to raport śledczy.

— Albo — powiedział Freddie — możesz po prostu być tutaj…

Z powrotem pojawiło się łóżko, przesiąknięte krwią, oraz bezwładne, ciężkie ciało rozpłaszczone jak żaba na stole. I to coś pod jego brodą, sinoczame, nabrzmiałe. Żołądek Rydella skurczył się i podszedł mu do gardła. Po chwili z innego łóżka ześlizgnęła się jakaś kobieta, w obcym pokoju, o włosach srebrnych od blasku księżyca…

Zerwał okulary. Freddie leżał w fotelu, trzęsąc się ze śmiechu, z laptopem na kolanach.

— Człowieku — wykrztusił — powinieneś widzieć swoją minę! Wstawiłem kawałek porno do tego raportu Arkadego…

— Freddie, czy wszyscy chcecie poszukać sobie innej pracy? — spytał Warbaby.

— Nie, panie Warbaby.

— Potrafię być niemiły, Freddie. Wiesz o tym.

— Tak jest. — Freddie był teraz wyraźnie zaniepokojony.

— W tym pokoju umarł człowiek. Ktoś rzucił go na to łóżko — wskazał na miejsce, gdzie kiedyś stało — wyciął mu nowy uśmiech i przez ten otwór wyciągnął język. To nie było przypadkowe zabójstwo. Takich numerów z anatomią nie można nauczyć się z telewizji, Freddie.

Wyciągnął rękę do Rydella. Ten oddał mu okulary. Ich szkła znów były czarne. Freddie przełknął ślinę.

— Tak jest, panie Warbaby. Przepraszam.

— Jak pan to zrobił? — spytał Rydell.

Warbaby znów przetarł szkła i włożył je. Teraz były przezroczyste.

— W oprawkach i w szkle są różne układy. Działają bezpośrednio na włókna nerwowe.

— To wyświetlacz wirtualny — powiedział Freddie, zadowolony ze zmiany tematu. — Można przez niego zobaczyć wszystko, co da się zdigitalizować.

— Teleprezentacja — powiedział Rydell.

— Nie — zaprzeczył Freddie — to jest jak światło. Tamto to fotony walące cię po oczach. To działa zupełnie inaczej. Pan Warbaby chodzi sobie i patrzy na wszystko, a jednocześnie widzi potrzebne dane. Jeśli włożysz te okulary niewidomemu ze sprawnym nerwem wzrokowym, będzie widział wszelkie przesyłane informacje. Dlatego pierwszy model tych okularów zbudowali dla niewidomych.

Rydell podszedł do zasłon, rozchylił je, spojrzał w noc jakiejś obcej ulicy nie znanego miasta. Dostrzegł kilku przechodniów.

— Freddie — powiedział Warbaby — pokaż mi tę dziewczynę z odszyfrowanych akt IntenSecure. Tę Washington, która pracuje dla Allied Messenger Service.

Freddie kiwnął głową i skupił się nad swoim komputerem.

— Tak — rzekł Warbaby, spoglądając na coś, co tylko on widział — to możliwe. Bardzo możliwe. Rydell — rzekł, zdejmując szkła — spójrz na to.

Rydell puścił zasłony, podszedł do Warbaby'ego, wziął okulary i włożył je. Z jakiegoś powodu czuł, że nie powinien odmawiać, nawet gdyby znów miał zobaczyć zwłoki tego faceta. Czerń zmieniła się w kolorowe zdjęcia dziewczyny — z profilu i enface. Odciski palców. Obraz siatkówki prawego oka powiększony do rozmiarów jej głowy. Dane. WASHINGTON, CHEYETTE-MARIE. Wielkie szare oczy, długi prosty nos, nikły uśmiech do kamery. Ciemne włosy krótko ścięte i nastroszone, oprócz tego zabawnego kucyka na czubku głowy.

— No i co myślisz? — zapytał Warbaby.

Rydell nie miał pojęcia, o co go pytano. W końcu rzekł tylko:

— Niezła.

Usłyszał prychnięcie Freddiego, jakby właśnie powiedział coś głupiego. Jednak Warbaby dodał:

— Dobrze. W ten sposób ją zapamiętasz.

16
Sunflower

Sammy Sal zgubił ją tam, gdzie Bryant wystawał ze sterty bezładnie rzuconych zapór przeciwczołgowych. Będąc tak dużym facetem, nie miał sobie równych w jeździe na czas; potrafił wydusić z roweru wszystko, nawet sześćdziesiąt trzy na godzinę, jeśli musiał, i Chevette widziała, jak to robił, kiedy się założył. Jednak wiedziała, gdzie go znajdzie.

Spojrzała w górę, wjeżdżając na pierwsze płyty i most zdawał się spoglądać na nią z góry, latarniami i neonami. Widziała jego zdjęcia z przeszłości, kiedy przez cały dzień, w obu kierunkach, jeździły po nim samochody, ale jakoś nigdy nie mogła w to uwierzyć. Most po prostu był — i wydawał się taki od zawsze. Schronienie, przedziwny twór, miejsce do spania, dach nad głową dla wielu ludzi i ich snów.

Przemknęła obok wozu z rybami, prześlizgując się po gładkim lodzie, po szarych flakach, o które rankiem będą walczyć mewy. Sprzedawca ryb krzyknął coś za nią, ale nie dosłyszała. Pojechała dalej, między straganami, stoiskami i wieczornymi klientami, szukając Sammy'ego Sala. Znalazła go tam, gdzie się spodziewała, stojącego przy barku kawowym, nawet nie zdyszanego. Mongolska dziewczyna o chudej twarzy podawała mu filiżankę. Chevette włączyła hamulce cząsteczkowe i stanęła obok niego.

— Myślałem, że zdążę wypić kawkę — powiedział, sięgając po maleńką filiżankę.

Nogi bolały ją po szybkim pościgu.

— Dobra myśl — powiedziała, zerkając w kierunku mostu, a potem skinęła na dziewczynę, żeby nalała i jej. Patrzyła, jak parująca brązowa masa wychodzi z dozownika i zostaje zalana strużką wrzącej wody. Dziewczyna podniosła dźwignię i wkręciła koszyczek z powrotem do ekspresu.

— Wiesz co — powiedział Sammy Sal przed pierwszym łykiem kawy — ty nie powinnaś mieć takich problemów. Nie musisz. Są tylko dwa rodzaje ludzi. Pierwszy to ci, którzy mogą sobie pozwolić na mieszkanie w takich hotelach. Drugi, to tacy jak my. Kiedyś był jeszcze trzeci rodzaj, jakby na granicy tych dwóch — klasa średnia. Teraz już nie. Jedyny nasz kontakt z tamtymi ludźmi polega na rozwożeniu przesyłek. Oni płacą nam za to. My staramy się nie zabrudzić im dywanów. I jakoś sobie radzimy, no nie? A co zachodzi na interfejsie? Kiedy się zetkniemy? — Chevette oparzyła sobie wargi kawą. — Zbrodnia — rzekł Sammy Sal. — Seks. Czasem narkotyki. — Odstawił filiżankę na kontuar. — To wszystko.

— Ty się z nimi pieprzysz — zauważyła Chevette. — Sam mówiłeś.

Sammy Sal wzruszył ramionami.

— Ja to lubię. Jeśli są z tego kłopoty, jestem na nie przygotowany. Tymczasem ty poszłaś i zrobiłaś coś bez powodu. Naruszyłaś barierę. Pozwoliłaś, by przekroczyły ją twoje palce. Kiepski pomysł.

Chevette podmuchała na kawę.

— Wiem.

— I jak zamierzasz sobie z tym poradzić?

— Pójdę do mieszkania Skinnera, wezmę te okulary, wejdę na dach i wyrzucę je.

— I co potem?

— Potem zaczekam, aż ktoś się pojawi.

— A co wtedy?

— Nic nie zrobiłam. Nie mam o niczym pojęcia. Nic się nie stało.

Pokiwał głową, ale wciąż się jej przyglądał.

— Uhm. Może. A może nie. Jeśli ktoś tak bardzo chce tych okularów, będzie naprawdę mocno cię naciskać. Mam inny pomysł: weźmiemy je, wrócimy do Allied i powiemy im, co zaszło.

— My?

— Uhm. Pójdę z tobą.

— Stracę pracę.

— Znajdziesz sobie inne zajęcie.

Jednym haustem opróżniła filiżankę. Otarła wargi wierzchem dłoni.

— Ta praca to wszystko, co mam, Sammy. Wiesz o tym. Sam mi ją znalazłeś.

— Masz gdzie spać, tam na górze. Masz tego stukniętego starego pierdziela, który…

— Utrzymuję go, Sammy Sal…

— Masz cały tyłek, kochanie. To może się zmienić, jeśli jakiś bogaty facet zechce się do niego dobrać, bo zabrałaś mu te szkła.

Chevette postawiła pustą filiżankę na ladzie i zaczęła grzebać w kieszeniach kurtki. Dała dziewczynie piętnaście za kawę i dwa dolary napiwku. Wyprostowała ramiona opięte kurtką Skinnera, aż brzęknęły łańcuszki.

— Nie. Kiedy to gówno wyląduje w zatoce, nikt mi niczego nie udowodni.

Sammy Sal westchnął.

— Jesteś niewinna jak dziecko.

Zabrzmiało to zabawnie, jakby nie wiedziała, że to słowo może mieć i takie znaczenie.

— Idziesz, Sammy Sal?

— Po co?

— Pogadać ze Skinnerem. Odwrócić jego uwagę od gazet. Tam je zostawiłam. Za jego gazetami. W ten sposób nie zauważy, jak będę je wyjmować. Wejdę na dach i wyrzucę je.

— Dobra — rzekł — ale mówię ci, że to tylko pogorszy sprawę.

— Zaryzykuję, dobrze?

Zsiadła i zaczęła prowadzić rower w kierunku mostu.

— Tak sądzę — powiedział Sammy Sal, ale też już chwycił rower i ruszył za nią.

W życiu Chevette zdarzyły się tylko trzy naprawdę cudowne chwile. Jedna tego wieczoru, gdy Sammy Sal obiecał, że spróbuje załatwić jej pracę w Allied i zrobił to. Druga, gdy zapłaciła gotówką za rower w City Wheels i wyjechała na nim ze sklepu. Trzecia, to ten wieczór, kiedy po raz pierwszy spotkała Lowella u „Dysydentów" — jeśli mogła nadal uważać to za szczęście. Co wcale nie oznaczało, że było wiele takich szczęśliwych chwil w jej życiu, jednostajnie i niezmiennie zasranym, nie licząc sporadycznych uśmiechów losu. Miała szczęście, gdy przedostała się przez druty kolczaste i uciekła z ośrodka dla młodocianych pod Beaverton, chociaż to była parszywa noc. Na dowód tego pozostały jej blizny na obu dłoniach. Po raz kolejny udało jej się, kiedy po raz pierwszy zawędrowała na most, na dolny poziom, słaniając się na nogach z gorączki, która dopadła ją w drodze na wybrzeże. Wszystko wywoływało ból: światła, kolory, każdy dźwięk, mózg rozpierał jej czaszkę jak dżin wydobywający się z butelki. Pamiętała, jak oderwana podeszwa jej trampka klapała o zaśmieconą jezdnię i jak to bolało, aż w końcu musiała usiąść, bo wszystko wirowało wokół niej, a ten Koreańczyk biegł do niej i krzyczał, żeby wstała i poszła sobie, nie tutaj, nie tu. I to NIE TU wydawało się takim dobrym pomysłem, że runęła jak długa na plecy i nawet nie poczuła uderzenia głową o trotuar.

I wtedy znalazł ją Skinner, chociaż tego nie pamiętał, a może nie chciał o tym mówić — nie była pewna. Nie sądziła, aby zdołał sam zanieść ją do swojego mieszkania; z trudem wchodził na górę z tym swoim biodrem. Jednak nadal bywały dni, kiedy rozpierała go energia, a wtedy łatwo było sobie wyobrazić, jaki kiedyś był silny, bo robił niezwykłe rzeczy, o jakie nigdy nikt by go nie podejrzewał. Nie wiedziała więc, jak się tu znalazła.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, otworzywszy oczy, było owalne kościelne okno z gałganami powtykanymi w dziury i wpadające przez nie słońce. Plamki i punkciki barw, jakich nigdy dotąd nie widziała, tańczyły w jej rozgorączkowanych oczach jak owady w wodzie. Potem łamanie w kościach, gdyż wirus wykręcał jej ciało jak starzec szare ręczniki, którymi okładał jej czoło. Kiedy w końcu zwalczyła chorobę,

wydawało się, że przebyła szmat drogi, aby wrócić z tej ciemnej krainy, z włosami wypadającymi suchymi kępkami i przywierającymi do wilgotnych ręczników jak brudna sierść. Kiedy odrosły, stały się ciemniejsze, prawie czarne. Po tych przeżyciach poczuła się inną osobą. A może po prostu sobą, myślała czasem.

I została ze Skinnerem, robiąc to, co kazał, żeby zapewnić im żywność i działanie urządzeń w jego mieszkaniu. Posyłał ją na dolny poziom, gdzie handlarze złomem rozkładali swój towar. Wysyłał ją na dół z różnościami: kluczem z napisem „BMW", rozsypującym się kartonem pełnym tych płaskich czarnych przedmiotów, z których kiedyś płynęła muzyka, workiem plastikowych dinozaurów. Nigdy nie sądziła, że cokolwiek z tego ma jakąś wartość, ale myliła się. Klucz wystarczył na tygodniowe racje pożywienia, a te dwie okrągłe rzeczy na jeszcze dłużej. Skinner znał doskonale ich pochodzenie i przeznaczenie, potrafił też domyślić się, kiedy znajdą nabywców. Z początku bała się, że przynosi za mało pieniędzy, ale on wcale się tym nie przejmował. Jeśli coś się nie sprzedało, tak jak plastikowe dinozaury, wracało na wystawę; tak nazywał towar nagromadzony pod wszystkimi czterema ścianami.

Kiedy nabrała sił i trochę odrosły jej włosy, zaczęła oddalać się coraz bardziej od pokoju na szczycie wieży. Z początku nie do miasta, chociaż parę razy doszła po moście do Oakland i obejrzała je sobie. Wszystko tam wyglądało jakoś inaczej, chociaż nie wiedziała dlaczego. Jednak najlepiej czuła się na wiszącym moście, otoczona nim, wśród wszystkich tych ludzi, kręcących się, handlujących i zajętych swoimi sprawami, widząc, jak cały ten świat zmienia się z dnia na dzień. Nie było niczego podobnego w całym Oregonie — a przynajmniej o niczym takim nie słyszała. Z początku nawet nie zdawała sobie sprawy, że to lubi; czuła się po prostu dziwnie, może trochę jej odbiło po chorobie, ale pewnego dnia stwierdziła, że jest zadowolona, odrobinkę szczęśliwa, i musi do tego przywyknąć.

Z czasem okazało się, że można być jednocześnie szczęśliwą i niespokojną, więc zaczęła zatrzymywać odrobinę pieniędzy Skinnera i przeznaczać je na zwiedzanie miasta. I przez jakiś czas miała co robić. Znalazła Haight Street i przespacerowała się aż do muru wokół Skywalker, obejrzała świątynię Zagłady i inne budynki, ale nie próbowała wejść do środka. Można było tam dojść tym długim, nędznym parkiem zwanym „Patelnią", który nadal był publiczny. Aż nadto, ponieważ gromadziły się tam tłumy ludzi, przeważnie starych lub wyglądających na takich, leżących jeden przy drugim, owiniętych w srebrzyste plastikowe worki zatrzymujące promieniowanie, upiorny widok przypominający błyszczące garnitury Elvisa ze starych filmów wideo, jakie czasem puszczali w Beaverton. Nie wiadomo dlaczego przypominali jej robaki pozawijane w kawałki folii. I tak też się

poruszali — nieznacznie — co ją przerażało.

Haight Street wywoływała podobne uczucia, chociaż na niektórych odcinkach czuła się prawie jak na moście, gdy trafiała na ludzi ulicy, którzy wcale nie obawiali się glin. Jednak na moście nigdy się nie bała, może dlatego, że otaczali ją ci, których stale widywała, mieszkający tu i znający Skinnera. Lubiła chodzić po Haight, ponieważ było tam mnóstwo sklepików i miejsc, gdzie sprzedawano tanią żywność. Znalazła tanią piekarnię, w której można było kupić precle z poprzedniego dnia, a Skinner twierdził, że stare są nawet lepsze. Mówił, że świeże precle to trucizna, można się nimi zatkać albo jeszcze gorzej. Miał wiele takich pomysłów. Do większości sklepów mogła wejść, jeśli zachowywała się spokojnie, uśmiechała się i trzymała ręce w kieszeniach.

Pewnego dnia na Haight zobaczyła ten sklep pod nazwą „Kolorowi" i na początku nie mogła zrozumieć, co tam sprzedają. W witrynie wisiała zasłona, a przed nią stało kilka przedmiotów: kaktus w doniczce, wielkie kawały zardzewiałego metalu oraz mnóstwo tych stalowych drobiazgów, gładkich i błyszczących. Pierścionki i inne rzeczy. Krótkie pręty z kulkami na końcach zwisały z igieł kaktusa i leżały rozłożone na zardzewiałym metalu. Postanowiła, że otworzy drzwi i zajrzy do środka, ponieważ widziała tam wielu wchodzących i wychodzących, więc sklep nie był zamknięty. Wielki gruby facet w białym kombinezonie wyszedł stamtąd, gwiżdżąc, a te dwie wysokie kobiety, czarnowłose, jak eleganckie wrony całe w czerni, właśnie weszły. Chevette zastanawiała się, co też tam jest. Włożyła głowę między drzwi. Za kontuarem stała kobieta z krótkimi rudymi włosami, a wszystkie cztery ściany były pokryte jaskrawymi postaciami z kreskówek, w barwach kopiących po oczach: same węże, smoki i co tylko. Umieszczono ich tak wiele, że nie sposób było ogarnąć to wszystko spojrzeniem, więc dopiero kiedy usłyszała: „Wejdź i nie tarasuj drzwi", Chevette weszła i zobaczyła, że kobieta ma na sobie flanelową koszulę bez rękawów, rozpiętą aż do pasa, a jej tors i ramiona pokrywają takie same rysunki. Chevette widziała już tatuaże w ośrodku dla młodocianych i na ulicy, ale tylko takie, jakie robiło się samemu, atramentem i szpilką, igłą i starym długopisem. Podeszła i uważnie przyjrzała się kolorom eksplodującym między piersiami kobiety — która, chociaż około trzydziestki, była drobniejsza od niej — wizerunkom ośmiornicy, róży, zygzakom niebieskich błyskawic, splątanym i nie pozostawiającym ani centymetra nie tatuowanej skóry.

— Masz na coś ochotę — zapytała kobieta — czy tylko sobie patrzysz?

Chevette zamrugała oczami.

— Nie — usłyszała swój głos — ale zastanawiałam się, co to za

drobne metalowe przedmioty leżą na wystawie.

Kobieta obróciła na ladzie wielką czarną książkę, jak dziennik klasowy, tyle że owinięty czarną skórą nabijaną chromowymi nitami. Otworzyła ją i Chevette zobaczyła męskość, wielką, w całej okazałości. Po obu stronach klinowatej żołędzi tkwiły dwie stalowe kulki.

Chevette odchrząknęła. Kobieta wyjaśniła:

— To jest amfalang. — Zaczęła kartkować album. — Dzwoneczki — objaśniała. — Szpilka nosowa. Ćwiek wargowy. Na to mówią dojki. To są bombki. Chirurgiczna stal, niob, cztemastokaratowe złoto.

Przerzuciła kartki aż do członka z przewleczoną kłódką. Może to jakaś sztuczka, pomyślała Chevette, zmontowane zdjęcie.

— To musi boleć — powiedziała.

— Nie tak bardzo, jak sądzisz — rzekł głęboki glos — a potem człowiek czuje się po prostu dobrze…

Chevette zobaczyła tego wielkiego czarnego faceta, z szerokim białym uśmiechem, mnóstwem zębów oraz mikroporową maską filtracyjną zwisającą na szyi, i w ten sposób poznała Sammy'ego Saladina DuPree.

Dwa dni później ujrzała go znowu na Union Square, rozmawiającego z kilkoma posłańcami. Mieli ciuchy i fryzury jak nikt inny, i rowery z neonowymi lub fosforyzującymi kołami, o kierownicach zagiętych w tył i w górę jak ogony skorpionów. Hełmy z wbudowanymi w nie małymi radionadajnikami. Odjeżdżali gdzieś szybko albo kręcili się, gadając i pijąc kawę. Stał tam, obejmując nogami rower, jedząc kanapkę. Z czarno nakrapianej, różowej ramy wydobywała się muzyka, głównie basy, a on jakby podrygiwał w jej rytmie. Podeszła bliżej, żeby lepiej obejrzeć rower, jego konstrukcję, cudownie skomplikowane układy hamulców i przekładni. Piękny.

— Bang, bang, mój amfalang — powiedział z ustami pełnymi kanapki. — Skąd wzięłaś te buty? — Należały do Skinnera, stare płócienne tenisówki, zbyt duże dla niej, więc wypchała czubki papierem. — Masz. — Podał jej drugą połowę kanapki. — Jestem już obżarty.

— Twój rower — powiedziała, biorąc kanapkę.

— Co z nim?

— Jest… jest…

— Podoba ci się?

— Uhm!

Uśmiechnął się.

— Rama Sugawara, tak samo łożyska i zębatki, hydraulika Zuni. Niezły.

— Podobają mi się koła.

— No — powiedział — to tylko szpan. Żeby każdy pierdoła

zauważył je, zanim cię przejedzie, rozumiesz? — Chevette dotknęła kierownicy. Poczuła muzykę. — Zjedz tę kanapkę — poradził. — Wygląda na to, że jest ci potrzebna.

Zrobiła to, a potem znowu w ten sposób zaczęli rozmawiać.

Gdy wnosili rowery po schodach ze sklejki, Chevette opowiedziała mu o tej Japonce, która wypadła z windy. I że ona, Chevette, nigdy nie trafiłaby na to przyjęcie, gdyby nie jechała wtedy razem z nią. Sammy przytakiwał mrukliwie, fluoro-rimz na nie obracających się teraz kołach jego roweru zgasły.

— Kto je wydawał, Chev? Przyszło ci do głowy, żeby kogoś o to zapytać?

Wspomnienie tamtej Marii.

— Cody. Mówiła, że to przyjęcie Cody'ego…

Sammy Sal przystanął i uniósł brwi.

— Hm. Cody Harwood?

Wzruszyła ramionami, rower o papierowej ramie prawie nic nie ważył.

— Nie wiem.

— Wiesz, kim on jest?

— Nie.

Dochodząc do platformy, stawiają rower, żeby go poprowadzić.

— To poważne pieniądze. W reklamie. Jego ojcem był Harwood Levine.

— No, mówiłam, że to było huczne przyjęcie.

Nie zwracała uwagi na jego słowa.

— Firma jego ojca prowadziła kampanię wyborczą Millbank, dwukrotnie.

Jednak ona już aktywowała pętlę identyfikatora, nie przejmując się wrzaskami Radio Shack. Fluoro-rimz pulsował światłem, gdy Sammy postawił swój rower obok.

— Połączę go z moim. I tak nic się im tu nie stanie.

— Też tak mówiłem — rzekł Sammy — przy dwóch ostatnich, które straciłem.

Patrzył, jak wyciąga pętlę, okręca ją wokół ramy jego roweru, uważając na różowo-czamą emalię, po czym zamyka obwód odciskiem kciuka.

Ruszyła do żółtej windy, z zadowoleniem widząc kosz na dole, gdzie go zostawiła, a nie na szczycie wieży.

— Zróbmy to, dobrze?

Przypomniała sobie, że chciała kupić Skinnerowi trochę zupy w barze Taja Johnny'ego, tej słodko-kwaśnej cytrynowej, którą lubił.

Kiedy powiedziała Sammy'emu, że chce jeździć, chce mieć swój

rower, postarał się dla niej o ten mały meksykański hełmofon do nauki nazw ulic w San Francisco. Trzy dni i poznała wszystkie, bardzo dobrze, chociaż nic nie zastąpi mapy w głowie posłańca. Trzeba znać budynki, wiedzieć, w jaki sposób się do nich dostać, jak się zachować i uniknąć kradzieży roweru. Jednak nawet pobieżna znajomość miasta przydała się, kiedy zabrał ją na spotkanie z Bunnym. Po trzech tygodniach pracy zarobiła tyle, że mogła kupić sobie pierwszy porządny rower. To też było cudowne.

Mniej więcej wtedy zaczęła spotykać się po pracy z dwiema innymi dziewczynami z Allied, Tami Two i Alice Maybe — w ten sposób znalazła się u „Dysydentów" tego wieczoru, kiedy poznała Lowella.

— Nikt tu nie zamyka drzwi — powiedział Sammy, stojąc na drabinie pod nią, gdy podniosła właz.

Chevette zamknęła oczy i ujrzała zgraję gliniarzy (jakkolwiek mieliby wyglądać) stojących w pokoju Skinnera. Otworzyła je i wystawiła głowę na tyle, żeby mieć oczy na poziomie podłogi. Skinner leżał na łóżku, na piersiach trzymał mały telewizorek, wielkie żółte paluchy wystawały mu przez dziury w grubych szarych skarpetach. Zerknął na nią znad telewizorka.

— Hej — powiedziała. — Przyprowadziłam Sammy'ego. Z pracy.

Wspięła się trochę wyżej, robiąc miejsce na głowę i ramiona Sammy'ego.

— Cześć — powiedział Sammy Sal.

Skinner tylko popatrzył na niego, na twarzy migotały mu barwy maleńkiego ekranu.

— Jak się masz? — spytał Sal, wchodząc do środka.

— Przyniosłaś coś do jedzenia? — zapytał Skinner.

— Taj Johnny zaraz przygotuje zupę — powiedziała, idąc w kierunku półek z książkami. Wiedziała, że głupio mówi, bo zupa Johnny'ego zawsze była gotowa; ugotował ją wiele lat temu, a teraz tylko uzupełniał zawartość garnka.

— Jak pan się ma, panie Skinner? — Sammy Sal stał lekko zgarbiony, na rozstawionych nogach, trzymając w obu rękach kask, jak chłopiec witający się z ojcem swojej dziewczyny. Mrugnął do Chevette.

— Dlaczego mrugasz, chłopcze? — Skinner wyłączył telewizorek i z trzaskiem zamknął ekranik. Chevette kupiła mu go prosto z kontenerowca stojącego w zatoce. Skinner twierdził, że nie widzi różnicy między „programami" a „reklamami", cokolwiek miało to oznaczać.

— Coś mi wpadło do oka, panie Skinner — odparł Sammy Sal, szurając butami jak zdenerwowany chłopiec. Chevette miała ochotę

wybuchnąć śmiechem. Stanęła za plecami Sammy'ego i sięgnęła za stertę gazet. Były tam. Włożyła je do kieszeni.

— Widziałeś kiedyś, jaki mamy stąd widok, Sammy?

Wiedziała, że ma na twarzy ten szeroki uśmiech, a Skinner gapi się na nią, usiłując zrozumieć, co się dzieje, ale nie dbała o to. Weszła na drabinkę wiodącą na dach.

— Ojej, Chevette, moja droga. Na pewno zapiera dech.

— Hej! — zawołał Skinner, gdy otworzyła właz na dach. — Co cię napadło?

W następnej chwili znalazła się na górze w niesamowitej ciszy, jaka czasem tam panowała. Zazwyczaj wiatr dął tak, że miało się ochotę położyć i mocno trzymać, lecz trafiały się też momenty całkowitego bezruchu i ciszy. Usłyszała, jak Sammy Sal wchodzi za nią. Wyjęła futerał i podeszła do krawędzi.

— Hej — powiedział — daj mi popatrzeć.

Podniosła rękę, szykując się do rzutu. Wyrwał jej okulary.

— Ejże!

— Ciii. — Otworzył futerał i wyjął je. — Hmm. Ładne…

— Sammy! — Wyciągnęła rękę. Podał jej futerał.

— Widzisz, jak się to robi? — Otworzył je, trzymając rękami za nauszniki. — Lewy *aus*, prawy *ein*. Teraz poruszaj nimi w ten sposób. — Zobaczyła wszystko w świetle sączącym się przez właz do pokoju Skinnera. — Masz. Sprawdź sama.

Założył jej okulary. Gdy to robił, stała z twarzą zwróconą w kierunku miasta. Dzielnica finansowa, piramida przycupnięta nad „Little Grande", wzgórza za nią.

— Sranie w banie — rzuciła wyrastającym tam wieżowcom, budynkom większym od wszystkiego, kamiennymi szeregami maszerującymi ze wzgórz. Każdy miał solidne podstawy, stercząc prosto i bezkształtnie pod rozpostartymi nad nim osłonami, przypominającymi durszlak, który używała do odcedzania ziemniaków. Nagle na niebie pojawiły się chińskie ideogramy. — Sammy…

Poczuła, jak chwycił ją, gdy straciła równowagę. Chińskie ideogramy zmieniły się w napis po angielsku.

SUNFLOWER CORPORATION

— Sammy…

— Hm?

— Co to, cholera, jest?

Na czymkolwiek skupiła wzrok, kolejna etykietka rozświetlała

niebo gęstymi strumieniami niezrozumiałego technicznego żargonu.

— Skąd mam wiedzieć? — odparł. — Daj popatrzeć.

Sięgnął po szkła.

— Hej — usłyszała głos Skinnera niosący się przez właz. — Cześć, Scooter. Co tu robisz?

Sammy Sal ściągnął jej szkła i Chevette uklękła, spoglądając przez właz na tego japońskiego jajogłowego, który przychodził do Skinnera i był facetem z college'u, pracownikiem opieki społecznej czy kimś takim. Jednak teraz wyglądał na bardziej zagubionego niż zwykle. Był przestraszony. I ktoś z nim przyszedł.

— Cześć, Scooter — powiedział Skinner. — Jak leci?

— To pan Loveless — rzekł Yamazaki. — Chce się z panem widzieć.

Nieznajomy błysnął do Chevette złotym uśmiechem.

— Cześć — powiedział, wyjmując rękę z bocznej kieszeni długiego czarnego płaszcza. Pistolet nie był duży, lecz trzymał go nieco zbyt swobodnie, jak cieśla swój młotek. Na ręce miał gumową rękawiczkę. — Może byś tu zeszła?

17
„Pułapka”

— To działa tak — wyjaśniał Freddie, wręczając Rydellowi kartę debetową — że jeśli zapłacisz pięćset, to dostajesz na kredyt towar wartości pięciuset dolarów.

Rydell spojrzał na kartę. Jakiś holenderski bank. Jeżeli w taki sposób zamierzają mu tu płacić, to chyba czas zapytać ich, o co tu właściwie chodzi. Jednak może lepiej zaczekać, aż Freddie będzie w lepszym humorze. Freddie powiedział, że Container City to dobre miejsce na kupowanie ciuchów. Rydell miał nadzieję, że będą to normalne ubrania. Zostawili Warbaby'ego pijącego herbatkę ziołową w jakiejś nędznej kawiarence, ponieważ oświadczył, że chce mu się pić. Rydell wrócił do patriota, podczas gdy Warbaby i Freddie jeszcze coś omawiali.

— A jeśli będzie potrzebował nas albo samochodu?

— Brzęknie do nas — odparł Freddie. Pokazał Rydellowi, jak wsunąć kartę debetową do automatu, który wydał mu pięćsetdolarowy magneciak Container City i policzył za parkowanie patriota. — Tędy. — Freddie wskazał na rząd wieszaków.

— Ty też sobie kupisz? — zapytał Rydell.

— Nie, cholera — powiedział Freddie. — Ja nie kupuję ciuchów ze statków.

Wyjął kartę z portfela i pokazał Rydellowi logo IntenSecure.

— Myślałem, że jesteście wolnymi strzelcami.

— Przeważnie, ale nie zawsze — odparł Freddie, wkładając kartę do kołowrotu. Ten ze szczękiem przepuścił go. Rydell wsadził magneciak i poszedł za nim.

— Ludzie płacą pięćset papierów za samo wejście tutaj?

— Dlatego nazywają to „Pułapką”. Jednak w ten sposób tamci mają pewność, że im się opłaci. Nie przychodzisz tu, jeśli nie zamierzasz wydać co najmniej tyle. To gwarantuje im zysk.

Container City okazało się największym targowiskiem pod wiatą, jakie Rydell widział, jeśli można tak nazwać miejsce, gdzie przybijają statki — i to duże. Pięćsetdolarowe minimum zakupów najwidoczniej nikogo nie zrażało; było tu więcej ludzi niż na ulicach.

— Kapitał z Hongkongu — wyjaśnił Freddie. — Wykupili kawałek Embarcadero.

— Hej — powiedział Rydell, wskazując na ciemną, nieregularną linię ciągnącą się za kratownicami dźwigów i wieżami reflektorów — to ten most, na którym mieszkają ludzie.

— Taak — mruknął Freddie, rzucając mu dziwne spojrzenie —

same świry.

Zaprowadził Rydella do windy stojącej przy białej burcie kontenerowca. Kiedy wjeżdżali, Rydell oglądał sobie Container City.

— To bardziej zwariowane od czegokolwiek w LA — rzekł z podziwem.

— Na pewno nie — zaprzeczył Freddie. — Ja jestem z LA. To tylko centrum handlowe, człowieku.

Rydell kupił nylonową kurtkę w kolorze burgunda, dwie pary czarnych dżinsów, skarpetki, bieliznę i trzy czarne podkoszulki. Wszystko razem kosztowało niewiele ponad pięćset. Użył karty debetowej, żeby wyrównać różnicę.

— Hej — powiedział do Freddiego, wkładając zakupy do wielkiej żółtej torby z nadrukiem Container City — to bardzo dobry interes. Dzięki.

Freddie wzruszył ramionami.

— Gdzie wyprodukowano te dżinsy?

Rydell sprawdził naszywkę.

— Unia Afrykańska.

— Niewolnicza praca. Nie powinieneś kupować tego gówna.

— Nie przyszło mi to do głowy. Mają tu coś do jedzenia?

— Taak, barowe żarcie…

— Próbowałeś kiedyś tego peklowanego koreańskiego świństwa? Ostre jak diabli, człowieku…

— Mam wrzód. — Freddie z wyraźnym brakiem entuzjazmu metodycznie wkładał do ust kolejne łyżeczki mrożonego jogurtu.

— Nerwy. To skutek stresu, Freddie.

Freddie spojrzał na niego znad brzegu różowego plastikowego kubka z jogurtem.

— Usiłujesz być zabawny?

— Nie. Wiem coś o wrzodach, bo podejrzewali je u mojego ojca.

— A miał je? Twój ojciec? Miał je czy nie?

— Nie. Miał raka żołądka.

Freddie skrzywił się, odstawił jogurt, zagrzechotał lodem w papierowym kubku z wodą evian i upił łyk.

— Hernandez mówił nam, że uczyłeś się policyjnego fachu na jakimś zadupiu…

— W Knoxville. Byłem policjantem. Tylko niezbyt długo.

— Słucham cię, słucham — powiedział Freddie, jakby uspokajał go, a nawet lubił. — Skończyłeś szkolenie? Znasz policyjną robotę?

— No cóż, próbują nauczyć cię wszystkiego po trochu — powiedział Rydell. — O badaniu miejsca zbrodni… Tak jak dziś w tamtym pokoju. Widziałem, że nie użyli super glue.

— Nie?

— Nie. Widzisz, związek chemiczny zawarty w super glue wiąże się z wodą w pozostawionych odciskach, a dziewięćdziesiąt osiem procent odcisków zawiera wodę. Podgrzewasz klej na małym elektrycznym ogrzewaczu, który włączasz do zwykłego gniazdka. Zaklejasz taśmą okna, drzwi oraz wszystkie inne otwory i zostawiasz włączony grzejnik. Po dwudziestu czterech godzinach wracasz i sprzątasz pokój.

— Jak?

— Otwierasz okna i drzwi. Potem rozpylasz proszek. Jednak w hotelu tego nie zrobili. Pewnie dlatego, że na wszystkim zostaje warstwa kleju. I zapach…

Freddie uniósł brwi.

— Gadasz jak technik, Rydell.

— Przeważnie wystarcza zdrowy rozsądek. Na przykład nie wolno korzystać z toalety.

— Nie?

— Na miejscu zbrodni. Nigdy nie używaj toalety. Nie spłukuj jej. Jeśli wrzuci się coś do sedesu, to spływająca woda… Zwróciłeś kiedyś uwagę na to, jaki kształt mają rury?

Freddie skinął głową.

— No cóż, może przestępca spłukał ją po tym, jak coś tam wrzucił. Jednak muszla nie zawsze działa tak jak powinna i dowód mógł tam pozostać. Jeżeli wejdziesz tam i ponownie spuścisz wodę, na pewno z nią spłynie.

— Do licha, nie wiedziałem.

— Zdrowy rozsądek — powtórzył Rydell, ocierając wargi papierową serwetką.

— Myślę, że pan Warbaby nie myli się co do ciebie, Rydell.

— Tak?

— Mówi, że marnujemy twój potencjał, wykorzystując cię tylko do kręcenia kółkiem. Prawdę mówiąc, człowieku, ja nie byłem tego pewny.

Freddie przerwał, jakby sądził, że Rydell się obrazi.

— Tak?

— Widziałeś tę szynę na nodze pana Warbaby'ego?

— Yhm.

— A ten most, który zauważyłeś, zanim tu przyszliśmy?

— Taak.

— Czy Warbaby pokazał ci zdjęcie tej dziewczyny, która pracuje jako goniec?

— Tak.

— No cóż, pan Warbaby uważa, że to ona zabrała własność tego faceta. Ona mieszka na tym moście, Rydell. A ten most to cholernie popieprzone miejsce. Mieszkają tam sami anarchiści, popaprańcy i

kanibale, człowieku…

— Słyszałem, że to tylko banda bezdomnych — rzekł Rydell, niejasno przypominając sobie jakiś program dokumentalny oglądany w Knoxville — usiłujących sobie jakoś radzić.

— Nie, człowieku. Bezdomni wszarze są na ulicach. Ci popaprańcy z mostu to zgraja przeklętych satanistów. Myślisz, że mógłbyś tak po prostu tam zamieszkać? Ni cholery. Dopuszczają tam tylko swoich, rozumiesz? To coś jak kult. Z inicjacją i tym podobnym wariactwem.

— Inicjacją?

— Czarną magią — powiedział Freddie, pozostawiając Rydelłowi decyzję, czy był to z jego strony przejaw rasizmu.

— No dobrze, ale co to ma wspólnego z szyną na nodze Warbaby'ego?

— Właśnie tam załatwił sobie kolano — wyjaśnił Freddie. — Poszedł tam, wiedząc, że ryzykuje życiem, próbując odnaleźć pewną dziewczynkę. Małą dziewczynkę — dodał Freddie, jakby bardzo mu się to podobało. — Ponieważ ci sataniści z mostu robią to.

— Co robią? — zapytał Rydell, błyskawicznie przypominając sobie o morderstwach w Pooky Bear.

— Kradną dzieci. A teraz pan Warbaby i ja nie mamy już tam wstępu, Rydell, bo jesteśmy spaleni, rozumiesz?

— A więc chcecie, żebym ja to zrobił? — zapytał Rydell, wpychając zwiniętą serwetkę do pudełka z białej tektury, w której dostał swoją podwójną *kim che wawa*.

— Wyjaśni ci to pan Warbaby.

Znaleźli Warbaby'ego tam, gdzie go zostawili, w ciemnej kawiarence z wysokim sklepieniem w dzielnicy, która według Freddiego nazywała się North Beach. Znów miał na nosie te okulary i Rydell zastanawiał się, co przez nie widział. Rydell przyniósł z patriota swoją niebieską walizkę i torbę z Container City. Poszedł do łazienki, żeby się przebrać. Była tylko jedna, koedukacyjna, naprawdę zasługująca na tę nazwę, ponieważ stała tam nawet wanna. Chyba nikt jej nie używał, bowiem namalowana w środku naturalnej wielkości syrena miała brązowy papieros zduszony na brzuchu, tuż powyżej miejsca, gdzie zaczynały się łuski. Rydell odkrył, że spodnie Kevina pękły mu na tyłku. Zastanawiał się, jak długo tak chodził. Jednak nie zauważył tego w Container City, więc miał nadzieję, że stało się to w samochodzie. Zdjął koszulę IntenSecure, wepchnął ją do kosza na śmieci i włożył jeden z czarnych podkoszulków. Potem rozwiązał buty i zastanawiał się, jak zmienić spodnie, skarpetki i bieliznę, nie stawiając nóg na mokrej podłodze. Pomyślał, że mógłby zrobić to w wannie, ale ona też wyglądała nieświeżo. Doszedł do wniosku, że

może tego dokonać, stając na zdjętych butach i przysiadając na sedesie. Wszystkie zdjęte z siebie rzeczy wrzucił do kosza na śmieci. Zastanawiając się, ile pozostało mu na karcie debetowej, którą wręczył mu Freddie, przełożył portfel do prawej kieszeni nowych dżinsów. Włożył nową kurtkę. Umył dłonie i twarz w cienkiej strużce wody. Przyczesał włosy. Zapakował resztę nowych ubrań do walizki, zachowując torbę z Container City na brudne rzeczy.

Marzył o prysznicu, ale nie wiedział, kiedy dostąpi tej rozkoszy. Czyste ciuchy były prawie równie dobre.

Warbaby popatrzył na podchodzącego do stolika Rydella.

— Freddie powiedział ci co nieco o moście, prawda?

— Mówi, że to banda satanistów-dzieciojadów.

Warbaby zmierzył Freddiego gniewnym spojrzeniem.

— Może to zbyt barwne określenie, ale bardzo zbliżone do prawdy, panie Rydell. To niezbyt przyjemne miejsce. I całkowicie poza zasięgiem prawa. Na przykład nie znajdzie pan tam naszych przyjaciół, Svobodova czy Orlovsky'ego. Nie podejmują się na moście żadnej służbowej misji.

Rydell zauważył na twarzy Freddiego cień uśmiechu, który natychmiast zniknął pod gniewnym spojrzeniem Warbaby'ego.

— Freddie sugerował, że chciałby pan, żebym tam poszedł, panie Warbaby i znalazł tę dziewczynę.

— Tak — odparł posępnie Warbaby. — Chciałbym powiedzieć, że to nie będzie niebezpieczne, ale nie mogę.

— No cóż… Jak bardzo to jest ryzykowne, panie Warbaby?

— Bardzo.

— A ta dziewczyna… czy ona też jest groźna?

— Niezwykle — odparł Warbaby — tym bardziej, że wcale na taką nie wygląda. Widział pan, co zrobiono z gardłem tego faceta…

— Jezu — powiedział Rydell — myśli pan, że to ta mała?

Warbaby ze smutkiem pokiwał głową.

— Straszne — rzekł — ci ludzie robią potworne rzeczy…

Kiedy szli do samochodu, zobaczył, że zaparkował przed freskiem ukazującym J.D. Shapely'ego w czarnej skórzanej motocyklowej kurtce, bez koszuli, unoszonego do nieba przez pół tuzina niezwykle apetycznych aniołków z długimi blond włosami rockersów. Z brzucha Shapely'ego wychodziły te błękitne, świecące zwoje spiral DNA czy czegoś podobnego, które atakowały coś, co Rydell uznał za wirus AIDS, tyle że bardziej przypominający zardzewiałą pancerną stację kosmiczną z groźnymi ramionami wysięgników.

Ten widok sprawił, że pomyślał o uczuciach tego faceta. Chyba czuł się dziwniej niż ktokolwiek inny. Jednak nieżyjący Shapely poczułby się naprawdę niesamowicie, gdyby zobaczył to malowidło.

ON WCIĄŻ ŻYJE W NAS — głosiły wysokie, wielkie białe litery pod freskiem, A DZIĘKI NIEMU I MY ŻYJEMY.

I to było prawdą, czego dowodziło szczepienie, jakiemu poddał się Rydell.

18
Kondensator

Matka Chevette miała kiedyś przyjaciela nazwiskiem Oakley, który przeważnie był pijany, a w wolnych chwilach prowadził ciężarówkę — a przynajmniej tak twierdził. Był długonogim mężczyzną o niebieskich oczach, rozstawionych trochę zbyt szeroko w twarzy i policzkach pooranych głębokimi bruzdami. Matka uważała, że nadawały mu wygląd prawdziwego kowboja. Chevette sądziła, że przypomina niebezpiecznego typa. Zazwyczaj nie był nim, chyba że wypił butelkę czy dwie whisky, bo wtedy zapominał, kim oraz gdzie jest. Niekiedy mylił Chevette z jej matką, co zdarzyło mu się kilkakrotnie, ale zawsze zdołała jakoś uciec i później przepraszał ją; kupował jej ring-dingi oraz różności w Seven-Eleven. Teraz, patrząc z włazu na faceta z bronią, przypomniała sobie, jak Oakley zabrał ją kiedyś do lasu i dał jej postrzelać z pistoletu. Ten gość był trochę do niego podobny, z tymi oczami i bruzdami na policzkach; być może utworzyły mu się od zbyt częstych uśmiechów. Jednak na pewno uśmiech tego faceta nie poprawiał nikomu humoru. Nie sięgał oczu.

— Zejdź tu natychmiast — powiedział, kładąc nacisk na każde słowo.

— Kim ty, cholera, jesteś? — zapytał Skinner, bardziej zainteresowany niż wkurzony.

Broń wypaliła. Niezbyt głośno, ale i tak ogłuszająco, z błękitnym rozbłyskiem. Zobaczyła, że Japończyk usiadł na podłodze, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa i pomyślała, że ten facet go zastrzelił.

— Zamknij się. — A potem do Chevette. — Powiedziałem ci, żebyś zeszła.

Sammy Sal dotknął jej karku czubkami palców, lekko popychając ją naprzód. Facet mógł nie wiedzieć, że Sammy Sal tam jest, a on miał okulary. A Chevette była pewna, że ten facet nie jest gliniarzem.

— Przepraszam — powiedział Japończyk. — Przepraszam, ja…

— Wpakuję ci w prawe oko poddźwiękową kulę z tytanu — rzekł tamten z uśmiechem, jakby mówił „kupię ci kanapkę".

— Schodzę — powiedziała Chevette. Nie strzelił, nie do niej, nie do Japończyka.

Wydawało jej się, że słyszała, jak Sammy Sal cofa się, odsuwa od niej, ale nie oglądała się. Nie była pewna, czy powinna zamknąć za sobą właz, czy nie. Postanowiła nie robić tego, ponieważ facet kazał jej tylko schodzić. Musiałaby przesunąć rękę za krawędź otworu, więc mógłby pomyśleć, że sięga po broń. Jak na filmie. Zeskoczyła z ostatniego szczebelka, starając się trzymać ręce tak, żeby mógł je

widzieć.

— Co tam robiłaś?

Wciąż z uśmiechem. Jego pistolet nie był tak duży jak stary brazylijski rewolwer Oakleya; mała, tęponosa broń z matowego metalu, jak stare narzędzia Skinnera. Wąski pierścień jaśniejszego metalu wokół otworu na cienkim końcu. Niczym źrenica oka.

— Patrzyłam na miasto — odparła, wcale nie czując strachu. Właściwie odczuwała tylko drżenie nóg.

Zerknął w górę, nie poruszając bronią. Chevette nie chciała, żeby zapytał ją, czy była tam sama, ponieważ mogłaby zawahać się przed odpowiedzią i wyczułby, że skłamała.

— Wiecie, po co tu przyszedłem.

Skinner siedział na łóżku, oparty o ścianę, spoglądając na nieznajomego dziwnie bystrym spojrzeniem. Japończyk, który chyba jednak nie został postrzelony, siedział na podłodze, z chudymi nogami rozłożonymi w kształcie litery „V”.

— No cóż — powiedział Skinner — pewnie po pieniądze lub narkotyki, ale nie masz, kurwa, szczęścia. Mogę ci dać pięćdziesiąt sześć dolarów i starego skręta, jeśli chcesz.

— Zamknij się. — Kiedy mechaniczny uśmiech zniknął, Chevette uznała, że nieznajomy jakby wcale nie ma warg. — Mówię do niej.

Skinner wyraźnie miał ochotę coś powiedzieć, albo roześmiać się, ale nie zrobił tego.

— Okulary.

Uśmiech powrócił. Facet uniósł broń, tak że spoglądała prosto na niewielki otwór. Jeśli mnie zastrzeli, pomyślała, będzie musiał sam je znaleźć.

— Hepburn — powiedział Skinner, z dziwnym uśmieszkiem i dopiero wtedy Chevette zauważyła, że Roy Orbison na plakacie ma dziurę na samym środku szarego czoła.

— Na dole — powiedziała Chevette, wskazując na klapę w podłodze.

— Gdzie?

— Przy moim rowerze. — Miała nadzieję, że Sammy Sal nie wpadnie w ciemnościach na ten zardzewiały dziecinny wózek i nie narobi hałasu.

Zerknął w stronę włazu w suficie, jakby czytał w jej myślach.

— Oprzyj się rękami o ścianę — polecił, podchodząc bliżej. — Rozstaw nogi. — Pistolet dotknął jej karku. Drugą rękę wsunął pod kurtkę Skinnera, szukając broni. — Nie ruszaj się.

Nie znalazł noża Skinnera, tego z fraktalowym ostrzem. Lekko obróciła głowę i zobaczyła, jak owija czymś czerwonym i gumowatym jeden z przegubów Japończyka, robiąc to jedną ręką. Pomyślała o tych gumowatych, robakopodobnych cukierkach, które kupuje się w dużym

plastikowym słoiku. Chwycił za to czerwone i przeciągnął Japończyka po podłodze do półko-stołu, przy którym jadła śniadanie. Owinął tę czerwoną rzecz wokół wspornika podtrzymującego stół, a potem związał nią drugi przegub ofiary. Wyjął z kieszeni drugą i rozwinął w powietrzu jak węża-zabawkę. Sięgnął za plecy Skinnera i coś mu zrobił.

— Zostań na tym łóżku, stary — powiedział, dotykając lufą jego skroni. Skinner tylko spojrzał na niego. Nieznajomy wrócił do Chevette. — Zejdziesz po drabinie. Zwiążę ci je z przodu.

To czerwone było chłodne, śliskie i przywarło szczelnie, gdy tylko owinął nim jej nadgarstki. Ściągnęło się samoistnie. Plastikowe, czerwone kajdanki, wyglądające jak dziecinna zabawka. Jedna z tych sztuczek z cząsteczkami.

— Będę cię obserwował — obiecał, znów zerkając na otwarty właz w suficie — więc schodź grzecznie i powoli. Jeśli zeskoczysz, albo spróbujesz uciec, zabiję cię.

Nie wątpiła, że zrobiłby to, gdyby mógł, ale pamiętała o czymś, co Oakley powiedział jej wtedy w lesie; że bardzo trudno trafić w cel znajdujący się bezpośrednio pod tobą, a jeszcze trudniej w coś nad głową. Tak więc może powinna rzucić się do ucieczki, gdy tylko znajdzie się na dole. Od drabinki do miejsca, w którym zniknęłaby mu z oczu, miała tylko jakieś dwa metry. Jednak patrząc na czamosrebrne oko pistoletu, szybko doszła do wniosku, że to kiepski pomysł. Zbliżyła się do otworu w drzwiach i opadła na kolana. Nie było to łatwe ze związanymi rękami. Musiał ją przytrzymać, łapiąc za kurtkę Skinnera, ale zaraz postawiła stopę na trzecim szczebelku, chwyciła palcami za najwyższy i zaczęła schodzić. Musiała stawać na każdym kolejnym stopniu, puszczać ten, którego się trzymała i złapać następny, zanim straciła równowagę. Jednak robiąc to, miała czas do namysłu, co pozwoliło jej podjąć decyzję. Dziwnie było myśleć w ten sposób, tak spokojnie, ale nie przeżywała tego pierwszy raz. Tak samo czuła się w Beaverton tej nocy, kiedy przeszła przez druty, czego też wcześniej nie planowała. I podobnie było wtedy, gdy ci kierowcy ciężarówki usiłowali zaciągnąć ją do wyra; udała, że nie ma nic przeciwko temu, a potem chlusnęła jednemu gorącą kawą w twarz, drugiego kopnęła w głowę i uciekła. Szukali jej przez godzinę z latarkami, a ona kuliła się w rzecznym mule i dawała się żywcem pożerać moskitom. Smugi światła przeszywające zarośla.

Zeszła na dół i cofnęła się o krok, trzymając związane ręce tak, żeby mógł je widzieć, gdyby chciał. Sam szybko znalazł się na dole nie robiąc zbędnych ruchów ani hałasu. Jego długi płaszcz był zrobiony z czegoś czarnego, jakiegoś materiału nie odbijającego światła i Chevette zobaczyła, że na nogach miał kowbojskie buty. Wiedziała, że w razie czego może w nich szybko biegać; ludzie nie zawsze w to

wierzyli, ale tak było.

— Gdzie one są?

Uśmiech połyskujący złotem zębów. Włosy, zaczesane do góry, miały jasnobrązową barwę. Poruszył ręką, pokazując jej broń. Zobaczyła, że dłoń zaczęła mu się pocić; ciemne plamy pokryły białą gumową rękawiczkę.

— Musimy zjechać… — Urwała. Żółty kosz był tam, gdzie go zostawiła, wjeżdżając z Sammym Salem, więc jak ten facet dostał się na górę?

Znów błysk złota.

— Weszliśmy po schodach.

Wspięli się na górę po drabince dla malarzy, zwykłych metalowych stopniach, częściowo przerdzewiałych. Nic dziwnego, że Japończyk był wystraszony.

— No — powiedziała — to chodźmy.

Poszedł za nią do windy. Nie odrywała oczu od pomostu, żeby nie zapomnieć się i nie rozejrzeć za Sammym Salem, który musiał gdzieś tam być. Jeszcze nie zdążył zejść z dachu, inaczej usłyszeliby go. Znów przytrzymał ją za ramię, gdy przerzuciła nogę i weszła do windy, a potem wgramolił się za nią, przez cały czas nie spuszczając jej z oka.

— Ta kieruje na dół — powiedziała, wskazując na jedną z dźwigni.

— Naciśnij.

Przesunęła ją o jedną kreskę, potem kolejną i silnik zawył im pod nogami, spuszczając ich po pochyłości. Dół rozjaśniała smuga światła z żarówki w skorodowanym aluminiowym koszyku i Chevette zastanawiała się, co zrobiłby, gdyby ktoś teraz pojawił się tam, powiedzmy Fontaine lub jedna z tych osób, które przychodziły sprawdzać elektrykę. Ktokolwiek. Doszła do wniosku, że zastrzeliłby każdego. Wypalił i zrzucił z mostu. Miał to wypisane na twarzy wyraźnie.

Wysiadł pierwszy i pomógł jej wyjść. Zaczął wiać wiatr i czuło się drgania przechodzące przez podeszwy, gdy most zaczął śpiewać jak wyciszona harfa. Słyszała dobiegający skądś śmiech.

— Gdzie? — zapytał. Wskazała na miejsce, gdzie stał jej rower, przymocowany do pojazdu Sammy'ego Sala.

— Ten różowo-czamy.

Skinął pistoletem.

— Odejdź — powiedział rower, kiedy znalazła się blisko niego.

— Co to? — Wbił jej lufę w plecy.

— To ten drugi rower. Alarm głosowy. Trzyma złodziei z daleka.

Nachyliła się i nacisnęła kciukiem zamek, odczepiając rower Sammy'ego Sala, lecz nie dotknęła pętli identyfikatora za siodełkiem.

— Nie żartuję, ty pieprzony gównojadzie — oznajmił rower.

— Wyłącz to.

— Dobrze.

Wiedziała, że musi to zrobić jednym zręcznym ruchem, przechylic na bok i uderzyć, trzymając kciukiem i palcem wskazującym izolującą gumę opony. Jednak to był czysty przypadek, że metalowa rama uderzyła w pistolet. Chevette zobaczyła błysk wyładowania między rowerem a pistoletem, ogniście czerwony i gruby jak palec, gdy cząsteczkowe kondensatory w ramie oddały nagromadzony ładunek systemowi przeciwkradzieżowemu składającemu się z fałszywej rdzy i starannie wystrzępionej taśmy przewodzącej. Facet osunął się na kolana, oczy mu zmętniały, a z nie domkniętych ust wydobyła się srebrna bańka śliny i pękła. Chevette wydawało się, że widzi parę unoszącą się z pistoletu w jego dłoni.

Pędź, pomyślała, zrywając się do ucieczki, ale wtedy jakiś czarny przedmiot uderzył go i powalił na pomost, spadając z ciemności nad nimi z odgłosem przypominającym łopot skrzydeł. Wtedy dostrzegła Sammy'ego Sala, stojącego tam na czarnym wsporniku, przytrzymującego się dźwigara. Wydawało jej się, że widzi jego biały uśmiech.

— Zapomniałaś tego — powiedział i rzucił jej coś. Futerał z okularami. Mimo związanych rąk złapała go, jakby same ją odnalazły. Nigdy nie dowiedziała się, dlaczego to zrobił.

Ponieważ w tym momencie ten mały pistolet szczęknął, trysnął błękitnymi skrami jak tuzin zapchanych gaźników, a Sammy Sal runął w tył i zniknął.

A ona rzuciła się do ucieczki.

19
Superpiłka

Yamazaki słyszał strzał z miejsca, gdzie klęczał na podłodze, z rękami przywiązanymi lśniącą plastikową taśmą do szorstkiej metalowej sztaby podtrzymującej stół Skinnera. A może był to tylko dźwięk jakiegoś hydraulicznego narzędzia? W pomieszczeniu unosił się smród, silny i kwaśny. Pomyślał, że to musi być zapach jego strachu. Na wysokości oczu miał wyszczerbiony biały talerz z czerniejącą na brzegu smugą rozsmarowanego awokado.

— Mówiłem mu, co mam — rzekł Skinner, usiłując wstać, z rękami związanymi na plecach. — Nie chciał. Zawsze szukają czegoś innego, no nie? — Mały telewizorek ześlizgnął się z łóżka i spadł na podłogę, ekranik wyskoczył na tęczowej wstędze płaskiego kabla. — Cholera. — Zachwiał się i skrzywił, opierając ciężar ciała na bolącym biodrze, a Yamazaki pomyślał, że stary upadnie. Skinner zrobił krok, potem drugi, pochylając się do przodu, żeby utrzymać równowagę. Yamazaki szarpnął plastikowe więzy. Jęknął z bólu, czując, jak się zaciskają. Jak coś żywego. — Jeśli je szarpniesz lub skręcisz — powiedział Skinner — to draństwo się zaciska. Gliny używały kiedyś takich. Zostały prawnie zakazane.

Potężny trzask wstrząsnął pomieszczeniem, aż przygasły światła. Yamazaki zerknął przez ramię i zobaczył Skinnera siedzącego na podłodze, z podwiniętymi nogami, pochylonego do przodu.

— Tam są długie nożyce do cięcia drutu — powiedział stary, wskazując lewą stopą na pogiętą, zardzewiałą, zieloną skrzynkę z narzędziami. — Nadadzą się, jeśli zdołam je wyjąć. — Yamazaki patrzył, jak stary zaczyna gmerać przy skrzynce paluchami nóg w podartych, szarych skarpetach. — Nie wiem, czy coś nimi zrobię, jeśli je wyjmę… — Urwał. Spojrzał na Yamazakiego. — Mam lepszy pomysł, ale nie spodoba ci się.

— Jaki?

— Spójrz na wspornik stołu.

Szynę pokrywały odbarwione bąble nałożonego spawu, ale wyglądała dość solidnie. Yamazaki naliczył dziewięć różnej wielkości śrub. Natomiast poziomy wspornik zrobiono z dwóch metalowych szyn, połączonych ze sobą zwojami zardzewiałego drutu.

— Sam to zrobiłem — wyjaśnił Skinner. — To ostrza fabrycznej piły. Nigdy ich nie spiłowałem. Od góry… — Palce Yamazakiego pomacały ukrytą krawędź. — Dalej, Scooter. To mocny metal. Dlatego go użyłem.

— Mam przepiłować plastik? — spytał, rozsuwając przeguby.

— Zaczekaj. Kiedy zaczniesz piłować to świństwo, to mu się nie spodoba. Musisz przeciąć je szybko, inaczej rozerwą ci ciało aż do kości. Powiedziałem zaczekaj… — Yamazaki zamarł. Obejrzał się. — Nie na środku, bo wtedy na obu przegubach zostaną ci obrączki, które zacisną się. Musisz to zrobić jak najbliżej jednej ręki, a potem doskoczyć tu i przeciąć nożycami drugą obrączkę, zanim cię załatwi. Spróbuję to otworzyć…

Szturchnął skrzynkę nogą. Zagrzechotała. Yamazaki obejrzał z bliska czerwoną taśmę. Wyczuł słabą woń lekarstw. Zaczerpnął tchu, zacisnął zęby i zaczął wściekle piłować. Pasmo z wolna kurczyło się. Jak żelazne obręcze promieniujące nieznośnym bólem. Przypomniał sobie dotyk ręki Lovelessa na przegubie.

— Zrób to — powiedział Skinner.

Plastik puścił z absurdalnie głośnym trzaskiem przypominającym efekt dźwiękowy w kreskówce dla dzieci. Resztki czerwonej taśmy owiniętej wokół lewego nadgarstka puściły, natychmiast zwiększając masę tej pozostałej na prawym.

— Scooter!

Zacisnęło się. Skoczył do skrzynki z narzędziami, ze zdumieniem widząc ją otwartą, gdy Skinner kopnął ją piętą, rozsypując setki różnych narzędzi.

— Niebieskie uchwyty!

Nożyce były długie i toporne, z rączkami owiniętymi tłustą niebieską taśmą. Zobaczył, jak czerwone więzy zwężają się i zaczynają wpijać w ciało. Niezręcznie manipulując nożycami, z rozpaczliwym pośpiechem zdołał wepchnąć je po taśmę i z całej siły nacisnął na górną rączkę. Ukłucie bólu. Huk.

Skinner wypuścił powietrze z płuc z długim i cichym westchnieniem ulgi.

— Nic ci nie jest?

Yamazaki spojrzał na swoje przeguby. Na lewym miał głęboką, siną bruzdę. Zaczynała krwawić, ale nie mocniej, niż należało oczekiwać. Druga była lekko zadrapana przez zęby piły. Spojrzał na podłogę, szukając resztek pasma.

— Uwolnij mnie — powiedział Skinner. — Tylko wsadź nożyce pod plastik, dobrze? Staraj się nie wyciąć mi kawałka ciała. I przetnij drugie pasmo naprawdę szybko.

Yamazaki sprawdził działanie nożyc, klęknął obok Skinnera, wsunął jedno ostrze pod plastik wokół prawego przegubu starca. Skóra na ręce była przezroczysta, poplamiona i odbarwiona, żyły nabrzmiałe i wystające. Plastik puścił od razu, z tym samym śmiesznym hukiem, natychmiast skręcając się wokół drugiej ręki Skinnera, wijąc się niczym żywe stworzenie. Zanim zdążyło zacisnąć się na dobre, Yamazaki przeciął pasmo, które po prostu zniknęło z

głośnym i zabawnym plaśnięciem, a on z rozdziawionymi ustami gapił się w miejsce, gdzie przed chwilą było.

— Zarygluj drzwi! — ryknął Skinner;

— Co?

— Zamknij ten pieprzony właz!

Yamazaki na czworakach ruszył po podłodze, spuścił klapę i zaryglował ją jakimś płaskim przedmiotem z matowego mosiądzu, zapewne stanowiącym niegdyś element wyposażenia jakiegoś statku.

— Dziewczyna — powiedział, spoglądając na Skinnera.

— Ona umie pukać — rzekł Skinner. — Chcesz, żeby ten palant ze spluwą wrócił tutaj?

Yamazaki nie chciał. Spojrzał na właz w suficie, ten prowadzący na dach. Klapa była teraz otwarta.

— Wejdź tam i poszukaj tego gogusia.

— Słucham, Skinner-san?

— Wielkiego pedała. Tego czarnego, rozumiesz?

Nie wiedząc, o kim lub o czym mówi Skinner, Yamazaki wszedł po drabinie. Podmuch wiatru cisnął mu deszczem w twarz, gdy wystawił głowę z włazu. Nagle doznał przemożnego wrażenia, że znalazł się na pokładzie jakiegoś starego statku, na jakimś czarnym żelaznym szkunerze, dryfującym po ciemnych falach, z poszarpanymi plastikowymi żaglami, oszalałą lub martwą załogą, ze Skinnerem jako opętanym kapitanem, wykrzykującym rozkazy z kajuty na dole.

— Nikogo tu nie ma, Skinner-san!

Deszcz lał jak z cebra, zasłaniając światła miasta. Yamazaki schował głowę, namacał klapę i zamknął ją za sobą. Zasunął rygiel, żałując, że nie jest zrobiony z silniejszego materiału. Zszedł po drabince. Skinner już wstał z podłogi i chwiejnie szedł w kierunku łóżka.

— Cholera — powiedział — ktoś zepsuł mi telewizor.

Runął jak długi na materac.

— Skinner?

Yamazaki klęknął obok łóżka. Skinner miał zamknięte oczy, oddech płytki i przyspieszony. Podniósł lewą rękę z rozczapierzonymi palcami, po czym bezradnie podrapał się po kępce zmierzwionych siwych włosów wystających z rozpiętego kołnierzyka postrzępionej flanelowej koszuli. Yamazaki wyczuł kwaśną woń moczu, przebijającą przez smród materiału wybuchowego pocisków z broni Lovelessa. Spojrzał na dżinsy Skinnera, granat znoszony do szarości, wymięty i lśniący od brudu, zobaczył, że stary zmoczył się.

Stał tam przez kilka minut, nie wiedząc, co zrobić. W końcu usiadł na pochlapanym farbą taborecie przy stoliku, do którego niedawno był przywiązany. Przesunął palcami po zębach piły. Spoglądając w dół, dostrzegł czerwoną kulkę. Leżała na podłodze obok

jego lewej nogi. Podniósł ją. Szklisty marmur szkarłatnego plastiku, chłodnego i lekko sprężynującego. Kawałek taśmy, z przegubów jego lub Skinnera. Siedział tam, patrząc na Skinnera i słuchając, jak most jęczy w porywach burzy dziwną muzyką splecionych lin. Miał ochotę przytknąć do nich ucho, lecz powstrzymywał go przed tym jakiś dziwny lęk.

W pewnej chwili Skinner ocknął się, albo sprawiał takie wrażenie, usiłował usiąść i zawołać dziewczynę; tak przynajmniej uważał Yamazaki.

— Nie ma jej tu — rzekł Yamazaki, kładąc dłoń na ramieniu Skinnera. — Nie pamiętasz?

— Nie było — rzekł Skinner. — Dwadzieścia, trzydzieści lat. Pieprzony czas.

— Skinner?

— Czas. To kompletnie popieprzony sukinsyn, prawda?

Yamazaki pokazał staremu czerwoną kulkę.

— Spójrz, Skinner. Widzisz, w co się zmieniła?

— Superpiłka — rzekł Skinner.

— Skinner-san?

— Weź ją i odbij cholernie mocno, Scooter. — Zamknął oczy. — Odbij wysoko…

20
Wielka pustka

— Przysięgam Bogu — mruknął Nigel — że to gówno się poruszyło.

Chevette, z zamkniętymi oczami, poczuła, jak tępa krawędź ceramicznego noża naciska na jej przegub; potem rozległ się dźwięk przypominający odgłos pękającej, wielokrotnie łatanej rury i miała wolne ręce.

— O cholera! Jezu…

Jego zręczne i szorstkie ręce; Chevette otworzyła oczy przy drugim uderzeniu, zobaczyła czerwoną smugę odbijającą się kilkakrotnie od stert nagromadzonego złomu. Nigel śledził tor lotu, poruszając głową jak gipsowy piesek, którego kiedyś Skinner znalazł gdzieś i kazał jej sprzedać na dole. Pod każdą ścianą ciasnego pomieszczenia leżały metalowe fragmenty starych rur Reynoldsa, zakurzone słoiki po dżemie napchane zardzewiałymi szprychami. W warsztacie, w którym budował swoje wózki, Nigel po cichu naprawiał wszystkie rowery, jakie wpadły mu w ręce. Zwisający mu z lewego ucha spławik zakołysał się w rytm ruchów głowy, a potem zadźwięczał, gdy Nigel zręcznie chwycił to coś w powietrzu. Kulka czerwonego plastiku.

— O rany — rzekł z przejęciem — kto ci to założył?

Chevette wstała i zadygotała, czując dreszcze wstrząsające jej ciałem na widok fruwających czerwonych kajdanek. Podobny koszmar przeżyła przed laty, gdy pewnego dnia wróciła do przyczepy i stwierdziła, że matka spakowała się i odeszła. Żadnej wiadomości, tylko puszka ravioli w garnku na kuchence z leżącym obok otwieraczem. Nie zjadła tego ravioli, ani żadnego innego, i wiedziała, że nie tknie go do końca życia.

Jednak poczuła to, wtedy, jak coś, co połknęło wszystko w środku i było tak wielkie, że nie można było udowodnić jego istnienia jedynie arytmetyką nieobecności i wspomnień lepszych dni. I tak kręciła się wokół tego, czymkolwiek to było, z miejsca na miejsce, aż wylądowała za drutami w Beaverton, w miejscu tak okropnym, że było jak tłuczone szkło wcierane w tę wielką pustkę. Wtedy zdała sobie sprawę z istnienia tego, co zniszczyło jej świat, chociaż ledwie mogła to dostrzec, a i to tylko kątem oka. Nie tyle uczucie, ile jakby gaz, niemal wyczuwalny osad w gardle, chłodno i nieruchomo zalegający wszędzie, gdzie się od tamtej pory znalazła.

— Nic ci nie jest?

Tłuste włosy Nigela opadające mu na oczy, czerwona kulka w

jego ręku, koktajlowa wykałaczka powleczona bursztynowym celofanem, tkwiąca w kąciku ust.

Przez dłuższy czas zastanawiała się, czy gorączka nie wypaliła tego uczucia, przypadkowo stapiając wewnętrzny zwój jej umysłu, w którym było przechowane. Jednak w miarę jak przyzwyczajała się do mostu, do Skinnera, do pracy dla Allied, ta pustka wypełniała się codziennością, a cały nowy świat wyrastał na miejscu starego i każdy dzień zlewał się z następnym — czy tańczyła u „Dysydentów", rozmawiała przez cały dzień z koleżankami lub spała zwinięta w śpiworze w pokoju Skinnera, gdzie wiatr świszczał w szparach ścian z dykty, a liny mruczały kołysankę, która (zdaniem Skinnera) była jak najłagodniejsze z mórz.

Teraz to się skończyło.

— Vette?

Ta samobójczyni, którą kiedyś widziała, wyciągnięta plastikowym bosakiem i leżąca na hermetycznym worku, blada i bezwładna, z wodą wyciekającą z nosa i ust. Jeśli ciało uderzy pod kątem prostym, powiedział Skinner, każda kość zostaje przetrącona lub złamana. Przebiegła nago przez bar i odbiła się od stolika przy balustradzie, lecąc w powietrzu, w plątaninie siatki oraz imitacji japońskich sieci rybackich. Czy Sammy Sal unosił się tak teraz, może już poza martwą strefą, której unikały ryby po latach łykania toksycznych drobin ołowiu, osypujących się z niezliczonych pokładów farby, niesiony prądem, który według ludzi omywał most i Mission Rock, aby dotrzeć do stóp jakiegoś spowitego w mikropory bogacza, uprawiającego jogging na betonowym nabrzeżu China Basin?

Chevette zgięła się i zwymiotowała w otwartą, pustą puszkę, o brzegach pomazanych szarą farbą, którą Nigel używał do maskowania śladów dokonywanych napraw.

— No, no. — Nigel skakał wokół niej, w swój nieśmiały niedźwiedzi sposób, obawiając się jej dotknąć, wymachując potężnymi łapskami, zaniepokojony, że jest chora i zarzyga mu cały warsztat, zmuszając do podjęcia bezprecedensowej próby posprzątania tego wąskiego pomieszczenia. — Wody? Chcesz wody?

Podał jej starą puszkę po kawie, używaną do chłodzenia rozgrzanego metalu. Na powierzchni płynu unosiła się oleista warstewka, jak ropa w porcie i Chevette z trudem zwalczyła mdłości, a po chwili usiadła.

Sammy Sal, a może i Skinner. On i ten student związani na górze plastikowym robactwem.

— Chev? — Odstawił puszkę po kawie i zamiast niej podsunął jej piwo. Przecząco machnęła ręką, kaszląc. Nigel przestąpił z nogi na nogę, a potem odwrócił się i zerknął przez trójkątny kawałek lucytu służący mu za jedyne okno. Szyba drżała w podmuchach wiatru. —

Leje — powiedział, jakby zadowolony z tego, że świat na zewnątrz kręci się w znajomy, choć niemiły sposób. — Leje jak z cebra.

Uciekając od Skinnera i pistoletu w dłoni zabójcy, od jego oczu i pobłyskującego złotem uśmiechu, nisko skulona dla równowagi nad związanymi rękami i futerałem z okularami tego dupka, Chevette widziała innych biegnących, zapewne uciekających przed nadchodzącym deszczem, którego pierwsze krople wydały się prawie ciepłe. Skinner wiedziałby, że nadchodzi; zawsze zerkał na barometr w oprawce z twardego drzewa, mającej kształt koła sterowego starej żaglówki; znał się na pogodzie, ten Skinner mieszkający w pudełku na samym szczycie mostu. Może inni też to potrafili, ale woleli czekać do ostatniej chwili, kończąc jakąś transakcję, kolejny papieros, jakiś interes. Godziny przed burzą to dobra pora na takie sprawy, na trudne decyzje przed niepewną przyszłością. Chociaż nawałnica zabierała niektórych i nie zawsze tylko nie przygotowanych, jeśli była dostatecznie silna, nowo przybyli przymocowywali się ze swoim nędznym dobytkiem do budek; czasem, jeśli wiatr uderzył pod ostrym kątem, odpadał cały fragment prowizorycznej konstrukcji — nie widziała tego, ale słyszała takie opowieści. Nikt nie bronił nowicjuszom chronić się na pomostach, ale rzadko to robili.

Otarła wargi grzbietem dłoni i wzięła od Nigela piwo. Pociągnęła łyk. Było ciepłe. Oddała mu je. Wyjął z ust wykałaczkę, zaczął unosić puszkę, żeby pociągnąć łyk, rozmyślił się i postawił ją obok lutownicy.

— Coś jest nie tak — rzekł. — Widzę.

Pomasowała przeguby. Dwa bliźniacze ślady, różowe i wilgotne, w miejscach gdzie ścisnął je plastik. Podniosła ceramiczny nóż i machinalnie zamknęła go.

— Taak — powiedziała. — Tak. Coś jest nie tak…

— Co się stało, Chevette? — Strząsnął włosy z oczu jak zaniepokojony pies, nerwowo przebierając palcami wśród narzędzi. Jego dłonie były jak blade brudne zwierzątka, w niemy i zręczny sposób rozwiązujące problemy zbyt trudne dla ich właściciela. — To japońskie gówno rozlaminowało się pod tobą i jesteś wkurzona…

— Nie — powiedziała, prawie go nie słysząc.

— Rower posłańca powinien być ze stali. Mieć masę. Wielki koszyk z przodu. Nie z kartonu nasączonego jakimś aramidowym świństwem, ważącym tyle, co kanapka. A jeśli wpadniesz na autobus? Wjedziesz mu na tył? Jak ważysz więcej niż rower, przelecisz nad kierownicą i rozbijesz… rozbijesz…

Poruszał rękami, usiłując dokładniej przedstawić przebieg opisywanego wypadku. Chevette popatrzyła na niego i zobaczyła, że drży.

— Nigel — powiedziała — ktoś założył mi to tylko dla żartu, rozumiesz?

— Poruszyło się — rzekł. — Widziałem.

— No, to nie był dobry żart, wiesz? Jednak wiedziałam, gdzie przyjść. Do ciebie, prawda? A ty to zdjąłeś.

Nigel z powrotem strząsnął sobie włosy na oczy, zawstydzony i zadowolony.

— Miałaś nóż. Dobrze tnie. — A potem zmarszczył brwi. — Powinnaś mieć stalowy nóż…

— Wiem — powiedziała. — Teraz muszę iść… — Pochyliła się, żeby podnieść puszkę po farbie. — Wyrzucę to. Przepraszam.

— Jest burza — powiedział Nigel. — Nie wychodź w czasie burzy.

— Muszę — odparła. — Nic mi nie będzie.

Pomyślała o tym, że zabiłby i Nigela, gdyby znalazł ją tutaj. Zrobiłby mu krzywdę. Przestraszyłby go.

— Przeciąłem je — rzekł, pokazując jej czerwoną kulkę.

— Pozbądź się tego.

— Dlaczego?

— Spójrz na te otarcia.

Nigel puścił kulkę, jakby była zatruta. Podskakując, zniknęła im z oczu. Wytarł palce o przód brudnego podkoszulka.

— Nigel, czy masz jakiś wkrętak, który mógłbyś mi dać? Płaski?

— Mam tylko starte… — Te białe zwierzątka przebiegły po kupce narzędzi, z zadowoleniem ruszając na łowy, podczas gdy Nigel obserwował je ponuro. — Wyrzucam te śruby z płaskimi główkami, jak tylko je wykręcę. Tylko heksy są dobre do…

— Potrzebny mi taki zupełnie starty. — Prawa ręka zanurkowała i wynurzyła się ze zdobyczą, lekko wygiętym wkrętakiem z czarną rękojeścią. — Właśnie taki — powiedziała, zapinając kurtkę Skinnera.

Oburącz podając jej narzędzie, Nigel obserwował ją ukradkiem pod grzywą włosów.

— Ja… lubię cię, Chevette.

— Wiem — powiedziała, stojąc z puszką wymiocin w jednej, a wkrętakiem w drugiej ręce. — Wiem, że tak.

Odbijany przez łaty plastiku tworzącego zadaszenie górnego poziomu, deszcz spływał po rurach ściekowych i przewodach elektrycznych, spadając na głowy pod najdziwniejszymi kątami, chaotycznymi kaskadami, miniaturowymi Niagarami spływającymi ze skorodowanego żelaza i dykty. Spod wejścia do warsztatu Nigela Chevette obserwowała zdumiewający wodospad, galony srebrnej wody bryzgające z tego, co było napiętym daszkiem, gdy płócienna ochrona pękła z donośnym trzaskiem, natychmiast zmieniając się w płachtę łopoczącego, mokrego płótna. Niczego tutaj nie planowano wcześniej i wszystkie problemy z odprowadzaniem wody rozwiązywano wtedy, kiedy się pojawiały. Albo i nie — co bardziej

prawdopodobne. Zauważyła, że połowa świateł zgasła, ale może ludzie pogasili je, wykręcając wszystkie bezpieczniki. Potem kątem oka dostrzegła niesamowity różowy rozbłysk powstający przy awarii transformatora i usłyszała huk. Gdzieś przy Treasure. To załatwiło pozostałe światła i nagle znalazła się w kompletnych ciemnościach. Wokół nie było nikogo, dosłownie nikogo. Tylko stuwatowa żarówka w pomarańczowej plastikowej oprawce kołysała się na wietrze.

Chevette przeszła na środek pomostu, starając się omijać zerwane przewody. Przypomniała sobie o trzymanej w ręku puszce i rzuciwszy ją, usłyszała, jak uderza o jezdnię i toczy się z hałasem. Pomyślała o swoim rowerze leżącym na deszczu, z wyładowanymi kondensatorami. Ktoś go zabierze, na pewno, tak samo jak rower Sammy'ego Sala. To była najlepsza, najcenniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek miała, i ciężko zapracowała każdego dolara, jaki położyła na ladę w City Wheels. Nie myślała o nim jak o przedmiocie, a raczej, jak o wiernym wierzchowcu. Niektórzy posłańcy nadawali swoim rowerom imiona, ale Chevette nigdy tego nie zrobiła; może dlatego, że traktowała go jak żywe stworzenie. Pędź, powiedziała sobie, bo dopadną cię, jeśli będziesz tu stała. Odwróciwszy się plecami do San Francisco, ruszyła w kierunku Treasure. Jacy oni? Ten z pistoletem. Szukał okularów. Przyszedł po nie i zabił Sammy'ego. Czy przysłali go ci ludzie, którzy dzwonili do Bunny'ego i Wilsona? Gliny do wynajęcia. Faceci z ochrony.

Futerał w jej kieszeni. Gładki. I ta upiorna kreskówka miasta, wieżowców z parasolowatymi dachami. „Sunflower”.

— Jezu — mruknęła — dokąd? Dokąd ja idę?

Na Treasure, gdzie roi się od wilkołaków i śmiertelnych pułapek i gdzie w lasach grasują szaleńcy wypędzeni z mostu? Skinner mówił, że była tam baza marynarki, ale wkrótce po „Little Grande” wybuchła tam zaraza, od której oczy mętniały i wypadały zęby. Gorączka na Treasure Island mogła zostać wywołana czymś, co wydostało się z jakiegoś pojemnika w bazie marynarki po trzęsieniu ziemi. Dlatego nikt tam teraz nie chodził, żaden normalny człowiek. Czasem nocami widziało się ich ogniska, a w dzień dym, gdy szło się prosto do Oakland, ale tamtejsi ludzie nie byli tak naprawdę podobni do tych, którzy mieszkali na moście.

A może powinna wrócić i spróbować odzyskać rower? Godzina jazdy i hamulce znów się naładują. Widziała się, jak jedzie, może na wschód, jedzie przez wieczność w głąb takiego kraju, jaki tam jest, pustyń znanych z telewizji albo płaskich zielonych pól z pracującymi na nich rzędami maszyn robiących swoje — cokolwiek to było. Jednak przypomniała sobie drogę z Oregonu, ciężarówki przemykające nocami z jękiem jak oszalałe zwierzęta, i spróbowała wyobrazić sobie przejeżdżanie obok nich. Nie, przy takiej drodze nie było miejsca dla

ludzi, nawet żadnego światełka pośród wszystkich tych pól. Można było tam zmierzać bez końca i nie znaleźć niczego, nawet miejsca do odpoczynku. Rowerem nie wydostałaby się stąd.

Mogłaby wrócić do Skinnera. Wejść na górę i zobaczyć… Nie. Zdecydowanie odepchnęła od siebie tę myśl.

Pustka uniosła się jak gaz z omywanej deszczem ciemności i Chevette wstrzymała oddech, usiłując jej nie wdychać. Dziwne, ale dopiero utrata kogoś lub czegoś pozwala to docenić. Trzeba było odejścia matki, żeby Chevette stwierdziła, że kiedykolwiek ją miała, ponieważ przedtem mama po prostu zawsze była. Albo Skinner, ta kuchenka Colemana i olej, który musiała wpuszczać w maleńki otwór, żeby zmiękczyć skórzaną uszczelkę tak, aby mogła działać pompa. Nie budzisz się każdego ranka i nie doceniasz każdej takiej drobnej rzeczy. Jednak z tych drobiazgów składa się życie. Choćby móc na kogoś spojrzeć po przebudzeniu. Albo Lowell. Kiedy go miała — jeśli w ogóle mogłaby tak twierdzić, a raczej uważała, że nie — w każdym razie, kiedy był blisko niej, to trochę jakby…

— Chev? To ty?

I był tam znowu. Lowell. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na zardzewiałej zamrażarce z napisem KREWETKI, paląc papierosa i patrząc na deszcz spływający po dachu straganu. Nie widziała go już od trzech tygodni i jedyne o czym teraz pomyślała, to jej nieszczęsny wygląd. Obok niego siedział ten skin, na którego wołali Codes, z naciągniętym na głowę kapturem czarnej bluzy i rękami schowanymi w długich rękawach. Codes nigdy jej nie lubił.

Jednak Lowell uśmiechał się zza ognika papierosa.

— No — mruknął — powiesz wreszcie cześć, czy nie?

— Cześć — powiedziała Chevette.

21
„Dysydenci”

Rydell nie był zbyt przekonany do tej historii z mostem, a jeszcze mniej do tego, co mówił o tym Freddie przy śniadaniu i w powrotnej drodze na North Beach. Wciąż przypominał sobie dokumentalny film oglądany w Knoxville i był pewien, że wcale nie wspominano o kanibalach ani żadnych kultach. Doszedł do wniosku, że Freddie chciał go przestraszyć, ponieważ to Rydell miał się tam dostać i zgarnąć tę dziewczynę, Chevette Washington.

A teraz, kiedy naprawdę tu był i patrzył, jak ludzie pospiesznie chowają swoje rzeczy przed nadciągającą burzą, wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż mówił Freddie. Raczej przypominało jakiś karnawał. Albo autostradę stanową, tyle że zadaszoną od góry zwariowaną gmatwaniną bud, po prostu pudełek, kontenerów mieszkalnych poustawianych jedne na drugich i poprzyklejanych do konstrukcji wielkimi kawałami spoiwa jak koniki polne w pajęczynie. Na oba pierwotne poziomy wchodziło się i schodziło przez otwory wycięte w jezdni, doczepiono tam najrozmaitsze schody z dykty i spawanej stali, a w jednym miejscu nawet stary trap lotniczy, stojący na sflaczałych oponach. Na dolnym poziomie, kiedy minęło się szereg sklepików spożywczych, znajdowały się głównie bary, najmniejsze, jakie Rydell kiedykolwiek widział, niektóre mieszczące zaledwie cztery stołki i nie mające drzwi, tylko roletę, którą można opuścić i zamknąć.

Jednak nie było w tym żadnego planu, a przynajmniej nie zdołał takiego dostrzec. Nie przypominało to targowiska, gdzie otwierano stoisko z jakimś interesem i czekano, co z tego wyjdzie. Tutaj wszystko po prostu powstawało, a każda budka łączyła się z sąsiednimi, aż cały most stał się jedną bezkształtną konstrukcją bez dwóch podobnych elementów. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widziało się rozmaite materiały, z których chyba żadnego nie użyto zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem. Rydell mijał stragany, których ściany ozdobiono turkusowymi kafelkami, imitacją cegły, kawałkami połamanych dachówek ułożonymi w kręgi, słoneczka i kwiaty. Jeden, już zamknięty, pokrywały zielono-brązowe fragmenty rozlutowanych płyt głównych. Bawiło go to wszystko, ci ludzie nie zwracający na niego najmniejszej uwagi, czy byli kanibalami czy nie. Wyglądali na taką samą zbieraninę jak budulec ich domostw: zróżnicowaną pod względem wieku, rasy, koloru skóry, a wszyscy w popłochu uciekali przed nadchodzącą burzą, we wzmagającym się wietrze, smagającym wózki i staruszki ze słomianymi koszykami. Jakiś dzieciak, chwiejnie

taszczący w ramionach dużą czerwoną gaśnicę, wpadł mu pod nogi. Rydell jeszcze nigdy nie widział małego chłopca z takimi tatuażami. Mały powiedział coś w jakimś nie znanym języku i zniknął.

Rydell przystanął i wyjął z kieszeni kurtki otrzymaną od Warbaby'ego mapę. Pokazywała miejsce, gdzie mieszkała dziewczyna i jak się tam dostać. Na samej górze tego mrowiska, w maleńkiej budce przyczepionej do szczytu jednej z wież podtrzymujących liny. Warbaby miał ładny charakter pisma, naprawdę piękny, a tę mapę nakreślił i opisał dla Rydella, siedząc na tylnym siedzeniu patriota. Tymi schodami,a potem wzdłuż balustrady, aż do windy.

Znalezienie ich nie będzie łatwe, pomyślał Rydell, ponieważ, rozglądając się wokół, widział mnóstwo różnych schodów, wijących się między straganami i pozamykanymi mikrobarami, bez ładu i składu. Domyślał się, że prowadziły do mieszkań, ale nie było żadnej gwarancji, że łączyły się gdzieś w górze. Potem poczuł nagłe zmęczenie, tak że chciał już tylko wiedzieć gdzie i kiedy będzie mógł się przespać, a poza tym, co to za bagno? Dlaczego pozwolił Hernandezowi wpakować się w coś takiego? Później lunął deszcz, wiatr przybrał na sile i tubylcy gorączkowo rzucili się do swoich domostw, pozostawiając Rydella skulonego między dwoma staromodnymi, japońskimi automatami do sprzedaży. Zadaszenie, jeśli można je tak nazwać, było na tyle porowate, żeby przepuszczać mnóstwo wody, ale dostatecznie duże i toporne, by dawać osłonę od wiatru. Wszystko trzeszczało, skrzypiało i jakby pojękiwało. Ponadto zaczęły gasnąć światła. Zobaczył snop białych iskier i z napowietrznej plątaniny drutów spadł jakiś przewód. Ktoś wrzasnął, ale wiatr porwał słowa i Rydell nie zrozumiał krzyczącego. Spojrzał pod nogi i ujrzał wodę zbierającą się wokół jego butów. Niedobrze, pomyślał: kałuże, mokre buty, prąd zmienny. Obok jednego z automatów znajdował się stragan warzywny, pozbijany z kawałków wyłowionego drewna niczym dziecięcy fort. Jednak było tam coś w rodzaju półki, pół metra nad ziemią, wyglądającej na suchą. Rydell skulił się na niej, trzymając nogi nad wodą. Śmierdziało przejrzałymi mandarynkami, ale było prawie sucho, a automat do sprzedaży dość dobrze osłaniał przed wiatrem. Zapiął kurtkę najwyżej jak mógł, wepchnął pięści w kieszenie i pomyślał o gorącej kąpieli i ciepłym łóżku. Pomyślał o swoim futonie z Futon Mouth, zostawionym w Mar Vista, na wspomnienie którego dosłownie zatęsknił za domem. Jezu, pomyślał, zaraz zacznie mi brakować tych nalepianych kwiatków. Jakiś brezentowy daszek pękł, gdy jego drewniane wsporniki połamały się jak zapałki, wylewając ze dwadzieścia galonów deszczówki. I właśnie wtedy zobaczył ją, Chevette Washington, zupełnie wyraźnie. Dokładnie tak, jak sobie wymarzył. Niecałe sześć metrów dalej. Po prostu stała tam.

Rydell miał kiedyś dziewczynę na Florydzie, kiedy jego ojciec przeprowadził się tam i zachorował. Nazywała się Claudia Marsalis i była z Bostonu, a jej matka stawiała samochód na tym samym parkingu co ojciec Rydella, tuż nad Tampa Bay. Rydell był na pierwszym roku akademii, ale czasem dostawał przepustki, a jego ojciec wiedział, jak tanio kupić bilety lotnicze. Rydell przyjeżdżał do ojca na przepustki i czasem wieczorem jeździł z Claudią Marsalis lincolnem rocznik '94, który według Claudii był wiśniowy, kiedy go sprowadzili, ale już zaczęła dobierać się do niego sól. Widocznie w Bostonie jeździła nim tylko w lecie, żeby nie strawiły go chemikalia. Miał te niebiesko-białe tablice z napisem DZIEDZICTWO MASS., ponieważ został uznany za okaz kolekcjonerski. Tabliczki były staromodne, tłoczone w metalu i nie rozświetlały się od środka. Jazda w tej części Tampa była trochę niebezpieczna, bo każdy znak drogowy traktowano jako tarczę strzelniczą albo obiekt, na którym nocą demonstruje się rozrzut dubeltówki. A wokół było mnóstwo broni do wypróbowania; po kilka na wystawie każdego kiosku i sklepiku, a zazwyczaj także parę dużych psów. Ciaudia kpiła z tego powodu z Rydella, śmiejąc się z tych chłopaków w zawadiacko okręconych czapeczkach, jeżdżących wokół z bronią i psami. Rydell mówił jej, że nie ma z tym nic wspólnego, że jest z Knoxville, a tam ludzie nie trzymają dubeltówek na widoku. I nie strzelają do znaków drogowych, przynajmniej jeśli zdoła temu zapobiec policja. Jednak Claudia była jedną z tych osób, które uważały, że wszędzie na południe od D.C. jest tak samo, a może tylko udawała, przekomarzając się z nim. Jednak w nocy pachniało solą, magnolią i bagnem, a oni jeździli lincolnem z opuszczonymi szybami i słuchali radia. Kiedy zapadał mrok patrzyło się na światła statków i wielkie transportowce, przemykające z pomrukiem obok jak najwolniejsze z UFO. Czasem kochali się na tylnym siedzeniu, ale Claudia twierdziła, że na Florydzie człowiek za bardzo się przy tym poci i Rydell przyznawał jej rację. Po prostu byli tam we dwoje, sami, i nie mieli nic innego do roboty.

Pewnej nocy słuchali stacji nadającej z Georgii country i puścili *Ja i Jezus skopiemy ci twoją pogańską dupę*, ten hardszelowy kawałek Pentecostal Metalu o aborcji, ajatollanach i całej reszcie. Claudia nigdy wcześniej go nie słyszała i prawie posikała się ze śmiechu. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Kiedy uspokoiła się i otarła łzy z oczu, zapytała Rydella, dlaczego właściwie chce zostać policjantem? Poczuł się trochę niezręcznie, bo to było tak, jakby uważała jego naukę w akademii za śmieszną i tak zabawną jak ta głupia piosenka. Jednak także dlatego, że rzadko się nad tym zastanawiał. Prawdę mówiąc, zapewne głównie dlatego, że razem z ojcem zawsze oglądali „Gliniarzy w opałach", ponieważ ten program naprawdę uczył szacunku do tej pracy. Widziało się, z jakimi problemami muszą

borykać się policjanci. Nie tylko z uzbrojonymi po zęby i naćpanymi zakapiorami, ale także z prawnikami bandziorów, cholernymi sądami i wszystkim. Jednak gdyby wyjaśnił jej, że to z powodu programu telewizyjnego, wyśmiałaby go. Tak więc zastanowił się chwilę i powiedział jej, że wybrał ten zawód, ponieważ chciałby pomagać ludziom, którzy mają kłopoty. Kiedy to usłyszała, tylko popatrzyła na niego.

— Berry — powiedziała — ty naprawdę tak myślisz, prawda?

— Jasne — rzekł — tak sądzę.

— Przecież, kiedy jesteś gliniarzem, ludzie okłamują cię. Uważają cię za wroga. Chcą z tobą rozmawiać tylko wtedy, kiedy mają kłopoty.

Kierując, zerknął na nią kątem oka.

— A ty skąd tyle o tym wiesz?

— Ponieważ mój ojciec jest policjantem — odparła, kończąc rozmowę i nigdy nie wróciła do tego tematu.

Jednak on myślał o tym, jeżdżąc Gunheadem dla IntenSecure, ponieważ wtedy prawie był gliniarzem, chociaż niezupełnie. Ludzi, którym miałeś pomagać, nie obchodziłeś do tego stopnia, że nawet nie usiłowali cię okłamywać, głównie dlatego, że to oni płacili rachunek.

I oto był tu, na tym moście, gramoląc się spod straganu, żeby śledzić tę dziewczynę, którą Warbaby i Freddie — a Rydell zaczynał dochodzić do wniosku, że temu ostatniemu za cholerę nie można wierzyć — obwiniali o zarżnięcie tego Niemca, czy kimkolwiek on był, w hotelu. A także o kradzież tych okularów, które Rydell miał odzyskać — takich samych jak te, które miał Warbaby. Tylko jeśli ukradła je przedtem, to po co później zabijała tego faceta? Jednak najważniejszym pytaniem było, co to miało wspólnego z nim i z tym, że tyle razy oglądał z ojcem „Gliniarzy w opałach”? Domyślał się, że po prostu, tak jak każdy człowiek na jego miejscu, usiłował zarobić na życie. Strugi deszczu opadały pod różnymi kątami z tego ludzkiego mrowiska na górze, rozpryskując się na jezdni. Gdzieś na moście dostrzegł różowy błysk jak błyskawicy. Wydało mu się, że odrzuciła coś w bok, ale gdyby zatrzymał się, by to sprawdzić, mógłby ją zgubić. Dziewczyna zaczęła iść, omijając wodospady deszczówki. W akademii uczono tylko podstaw techniki śledzenia, chyba że ktoś wyglądał na dobry materiał na detektywa i został przeniesiony na kurs dla zaawansowanych. Jednak Rydell i tak kupił sobie podręcznik. Rzecz w tym, że dzięki niemu doskonale wiedział, że potrzebuje co najmniej jednego partnera, przy założeniu, że macie łączność radiową i trochę zajętych swoimi sprawami obywateli, wśród których możecie się ukryć. Robiąc to w taki sposób jak teraz, mógł mieć jedynie nadzieję, że jej nie zgubi. Poznał ją po tej zwariowanej fryzurze, tym kucyku sterczącym na czubku głowy jak u tych grubych japońskich zapaśników. Jednak ona nie była gruba. Jej nogi, wystające spod

wielkiej motocyklowej kurtki, która mogła przez kilka lat wisieć w stodole, wyglądały tak, jakby często ich używała. Zakrywał je jakiś ciasno opięty, lśniący czarny materiał, podobny do mikroporowych strojów z „Tylko mi dmuchaj" Kevina, wpuszczony do czarnych butów z wysokimi cholewami. Patrząc na nią i usiłując pozostać w ukryciu, na wypadek gdyby się obejrzała, stanął pod jednym z wodospadów. Pociekło mu prosto za kołnierz. W tym momencie usłyszał, jak ktoś woła do niej „To ty, Chev?" i przyklęknął w kałuży, za stertą rozbiórkowego drewna — desek pokrytych namokniętym tynkiem. Identyfikacja potwierdzona.

Wodospad za jego plecami robił zbyt wiele hałasu, żeby usłyszeć o czym mówili, ale widział ich dobrze: młody chłopak w czarnej skórzanej kurtce, dużo nowszej niż ta, w której ona chodziła, a ponadto jeszcze ktoś w czymś czarnym z kapturem na głowie. Siedzieli na chłodziarce czy czymś takim i chłopak w skórze palił papierosa. Miał włosy sterczące jak koguci grzebień; niezła sztuczka w tym deszczu. Papieros poleciał łukiem i zgasł w kałuży, a chłopak zeskoczył z chłodziarki i coś mówił do dziewczyny. Ten w czarnym kapturze też zszedł, poruszając się jak pająk. Rydell stwierdził, że ma na sobie bluzę z rękawami za długimi o dobre parę centymetrów. Przypominał bohatera z jakiegoś oglądanego kiedyś przez Rydella starego filmu, w którym cienie oddzielały się od ludzi, więc trzeba było je łapać i przyszywać. Pewnie Sublett potrafiłby podać tytuł. Starał się bezszelestnie klęczeć w tej kałuży, a potem oni ruszyli, biorąc ją między siebie i cień ostrożnie obejrzał się za siebie. Rydellowi mignęła blada twarz i para czujnych, twardych oczu. Policzył: raz, dwa, trzy. Potem wstał i poszedł za nimi.

Nie potrafił powiedzieć, jak daleko odeszli, zanim nagle zniknęli mu z oczu. Otarł deszcz z oczu i chwilę wytężał wzrok, a potem dostrzegł, że zeszli po schodach prowadzących w dół — pierwszych, jakie widział na tym dolnym poziomie. Podchodząc bliżej, usłyszał dźwięki muzyki i zobaczył tę niebieskawą poświatę. Okazało się, że biła od niewielkiego neonu głoszącego niebieskimi, dużymi literami: DYSYDENCI. Stal tam przez chwilę, słysząc, jak woda syczy na transformatorach neonu, a potem zszedł po schodach. Były z dykty oklejonej tym szorstkim tworzywem przeciwpoślizgowym, ale i tak o mało nie upadł. Zanim przebył połowę drogi na dół, zrozumiał już, że to bar, ponieważ wyczuł zapach piwa i kilku rodzajów dymu. W środku było ciepło. Poczuł, jakby wszedł do łaźni parowej. I tłoczno. Ktoś rzucił mu ręcznik. Ten był zupełnie mokry i uderzył go w pierś jak pocisk, ale Rydell złapał go, otarł sobie głowę i twarz, po czym odrzucił z powrotem. Ktoś inny — kobieta, sądząc po głosie — roześmiał się. Podszedł do baru i znalazł na skraju wolne miejsce. Z przemoczonych kieszeni wygrzebał dwie piątki i rzucił je na kontuar.

— Piwo — powiedział i nie podniósł głowy, gdy ktoś postawił je przed nim i zgarnął monety. To było jedno z tych warzonych w Ameryce, japońskich piw, których nie piją ludzie w takich miejscach jak Tampa. Zamknął oczy i jednym haustem wypił prawie połowę. Kiedy otworzył oczy i odstawił butelkę, ktoś obok zapytał:

— Podłączenie?

Spojrzał i zobaczył niewyraźnego typa w różowych okularkach, z różowymi usteczkami, rzednącymi blond włosami zaczesanymi do tyłu i błyszczącymi od czegoś więcej niż tylko od wilgoci w pomieszczeniu.

— Co takiego?

— Powiedziałem „podłączenie".

— Słyszałem.

— I co? Potrzebujesz?

— Słuchaj no — powiedział Rydell — w tej chwili mam ochotę tylko na piwo, rozumiesz?

— Twój telefon — powiedział różowousty. — Albo faks. Gwarantowane jednomiesięczne podłączenie. Trzydzieści dni, a następny miesiąc za darmo. Nieograniczona liczba rozmów miejscowych i międzymiastowych. Potrzebne międzynarodowe, masz je jak w banku. Podstawowa usługa za jedyne trzy setki.

Wszystko to wypowiedział głosem przypominającym Rydellowi dźwięki wydawane przez czip głosowy w najtańszych dziecięcych zabawkach.

— Poczekaj — rzekł Rydell.

Facet zamrugał kilkakrotnie za swymi różowymi szkłami.

— Mówisz o przeróbce telefonu komórkowego, tak? Żeby nie płacić firmie telekomunikacyjnej? — Mężczyzna tylko wytrzeszczył oczy. — No cóż, dzięki — powiedział szybko Rydell. — Doceniam dobre chęci, ale nie noszę przy sobie telefonu. W przeciwnym razie chętnie skorzystałbym.

Facet wciąż się na niego gapił.

— Wydawało mi się, że już pana gdzieś widziałem… — Z powątpiewaniem.

— Nie — rzekł Rydell. — Jestem z Knoxville. Schowałem się tu przed deszczem.

Uznał, że już czas zaryzykować i rozejrzeć się wokół, ponieważ lustro nad barem było zaparowane i pokryte ściekającymi kroplami.

Odwrócił się i zobaczył Japonkę, tę którą widział na wzgórzach Hollywood, kiedy jeździł z Sublettem. Stała na małej scenie, naga, z długimi falistymi włosami opadającymi do pasa. Rydell usłyszał swoje chrząknięcie.

— Hej — mówił facet. — Słuchaj… — Rydell odruchowo otrząsnął się jak mokry pies, ale kobieta nie zniknęła. — Hej. Dam ci kredyt — ciągnął monotonny głos. — Masz problemy? Może chcesz

wiedzieć, co na ciebie mają? Albo na kogokolwiek; dostajesz numer…

— Zaczekaj — powiedział Rydell. — Co to za kobieta? — Różowe szkła błysnęły. — Kim ona jest?

— To hologram — powiedział różowousty zupełnie innym tonem i odszedł.

— Do licha — powiedział barman za plecami Rydella. — Właśnie ustanowił pan rekord w szybkości spławiania Gównianego Eda. Zasłużyłeś na piwo, człowieku. — Barman był czarnym facetem z miedzianymi koralikami we włosach. Uśmiechał się do Rydella. — Nazywamy go Gównianym Edem, ponieważ tyle jest wart. Podłączy ci telefon do jakiegoś pudełka bez baterii, naciśnie kilka guzików, wciśnie ci kit i wyłudzi forsę. To cały Eddie.

Otworzył butelkę i postawił ją obok pierwszej. Rydell spojrzał na Japonkę. Nie poruszyła się.

— Schowałem się przed deszczem — powtórzył, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

— Dobrze pan zrobił — rzekł barman.

— Ta kobieta…

— To tancerka Josie — odparł barman. — Niech pan patrzy. Zaraz każe jej tańczyć, niech tylko zagrają piosenkę, która jej się spodoba.

— Josie?

Barman pokazał coś palcem. Rydell spojrzał we wskazanym kierunku. Ujrzał bardzo grubą kobietę na wózku inwalidzkim, o włosach barwy i struktury stalowych wiórów. Ubrana była w nowiutki dżinsowy kombinezon oraz biały podkoszulek XXL, a dłonie schowała w czymś, co leżało na jej podołkujak gładka, czarna, plastikowa mufka. Miała zamknięte oczy i twarz bez wyrazu. Rydell zastanawiał się, czy nie zasnęła.

— Hologram?

Japonka nawet nie drgnęła. Rydell przypomniał sobie, co widział tamtej nocy. Różki lub korona, srebrne. Włosy łonowe wygolone w kształcie wykrzyknika. Ta nie miała ani jednego, ani drugiego, ale to była ona. Na pewno.

— Josie zawsze wyświetla hologramy — powiedział barman, jakby mówił o czymś, na co nie ma rady.

— Z tego co ma na kolanach?

— To tylko interfejs — odparł barman. — Projektory są tam. — Wskazał. — Nad tym znakiem NEC.

Rydell dostrzegł jakieś małe czarne urządzenie przyczepione nad niebieskim neonem. Wyglądało jak stara kamera, z tych optycznych. Nie wiedział, czy NEC to nazwa piwa czy czegoś innego. Cała ściana była pokryta tymi znakami, najróżniejszymi, a po namyśle doszedł do wniosku, że to znaki firmowe różnych firm elektronicznych. Spojrzał

na urządzenie, na grubą kobietę w fotelu i poczuł smutek. A także złość. Jakby coś utracił.

— Nie tego się spodziewałem — mruknął do siebie.

— Ona każdego zmyli — powiedział barman.

Rydell pomyślał o kimś, kto siedział przy tamtej drodze. Czekając na samochody. Tak jak on z kolegami krył się kiedyś w krzakach przy Jefferson Street i wrzucał puszki pod koła przejeżdżających pojazdów. Dźwięk przypominał odgłos spadającej felgi. Kierowcy wysiadali, oglądali koła i potrząsali głowami. A więc to, co widział, było tylko odmianą takiej zabawy, tylko przy użyciu bardziej kosztownej zabawki.

— Cholera — powiedział i zaczął rozglądać się za Chevette Washington. Przestał już wyczuwać zapach piwa, dymu, a także mokrych włosów, ubrań i ciał. Była tam, ona i jej dwaj znajomi, skuleni przy okrągłym stoliczku w rogu. Kaptur bluzy opadł, ukazując Rydellowi bladą, zarośniętą twarz z nietoperzem czy ptakiem wytatuowanym w miejscu, gdzie zakryłyby go odrastające włosy. Był to jeden z tych tatuaży, jakie wykonuje się ręcznie, nie sterowanym komputerowo urządzeniem. Łysy miał zawziętą, chudą twarz i milczał. Chevette Washington mówiła coś do tego drugiego i nie wyglądała na szczęśliwą.

Wtem muzyka zmieniła się, zabrzmiały bębny, miliony bębnów dudniących jakby za murami i nadleciały fale szumu, głośniejszego, cichnącego, znów wznoszącego się, oraz głosy kobiet jak świergot ptaków, nienaturalne, narastające dopplerowsko wycie syren na autostradzie, a to brzmienie, kiedy dobrze się w nie wsłuchało, było urywanymi dźwiękami, które wcale nie przypominało bicia bębnów.

Japonka — ten hologram, przypomniał sobie Rydell — uniosła ramiona i zaczęła tańczyć, zataczając niewielkie kręgi, nie w rytmie bębnów, lecz napływających i cichnących fal, a kiedy Rydell spojrzał na grubą kobietę, zobaczył, że miała otwarte oczy i poruszała rękami w plastikowej mufce. Nikt inny w barze nie zwracał na to uwagi, tylko Rydell i kobieta na fotelu inwalidzkim. Oparł się o bar, obserwując tańczący hologram i zastanawiając się, co robić dalej.

Lista zakupów Warbaby'ego przedstawiała się następująco: najlepiej gdyby zgarnął dziewczynę i okulary, na drugim miejscu same okulary, a na trzecim samą dziewczynę — i co najmniej ją.

Przebrzmiały ostatnie dźwięki muzyki i hologram przestał tańczyć. Przy kilku stolikach rozległy się pijackie owacje, a Josie skinęła głową, jakby za nie dziękując. Najstraszniejsze jest to, pomyślał Rydell, że ta Josie, przykuta do fotela, po prostu nie potrafi dobrze poruszać tym hologramem. Przypominała mu tego ślepca w Knoxville, który całymi dniami przesiadywał w parku, brzdąkając na starej gitarze „National". Siedział tam, ślepy, miał tę gitarę i ni cholery

nie umiał na niej grać. Chyba nigdy się nie nauczył. To wydawało się niesprawiedliwe.

Teraz kilka osób zwolniło stolik opodal tego, przy którym siedziała Chevette Washington. Rydell szybko usiadł tam, zabierając piwo otrzymane w nagrodę za szybkie spławienie Gównianego Eda. Nie był jeszcze dostatecznie blisko, żeby usłyszeć, o czym mówią, ale mógł spróbować. Usiłował wpaść na jakiś pomysł nawiązania rozmowy, ale wydawało się to zupełnie beznadziejne. Nie chodziło o to, że wyróżniał się z tłumu, ponieważ miał wrażenie, że większość gości po prostu przypadkowo schroniła się tu przed deszczem tak jak on. Po prostu nie miał pojęcia, co to za miejsce. Nie wiedział, co kryje się pod nazwą „Dysydenci"; a pewnie niewiele by mu to pomogło. Ponadto, o czymkolwiek dyskutowali Chevette Washington i jej facet, rozmowa wyraźnie stawała się coraz bardziej ożywiona.

Jej fagas, pomyślał Rydell. Mowa jej ciała zdawała się świadczyć, że to były facet, tak samo jak wysiłek, z jakim chłopak starał się udawać, że nic go to nie obchodzi, sugerował byłą…

Te rozważania gwałtownie urwały się, gdy gwar rozmów ucichł i podniósłszy głowę znad piwa, Rydell zobaczył porucznika Orlovsky'ego, wampirowatego gliniarza z Wydziału Zabójstw SFPD, wchodzącego do środka w tym londyńskim prochowcu, wsadzonym na głowę kapeluszu, wyglądającym na zrobiony z cielistego plastiku i tych okropnych okularkach. Orlovsky stanął w progu, strumyczki deszczu ściekały mu z ciemnego od wilgoci płaszcza, gromadząc się wokół czarnych kamaszy, gdy jedną ręką rozpinał prochowiec. Wciąż miał pod spodem tę czarną kuloodporną kamizelkę i teraz położył dłoń na gładkiej, oliwkowoszarej kolbie superautomatycznego H K. Rydell próbował dojrzeć odznakę na nylonowej lince, ale nie zdołał. Wszyscy w barze patrzyli na Orlovsky'ego. Ten rozejrzał się po pomieszczeniu nad szkłami okularów, nie spiesząc się, obdarzając każdego porcją policyjnego spojrzenia. Muzyka, jakieś upiornie łomoczące techno, które brzmiało jak bomby wybuchające w komorze dźwiękowej, nadawała tej scenie zupełnie inny sens.

Rydell zauważył, że siedząca na fotelu inwalidzkim Josie z dziwnym wyrazem twarzy spogląda na Rosjanina. Dostrzegłszy siedzącą w kącie Chevette Washington, Orlovsky ruszył w kierunku jej stolika, nadal bez pośpiechu, uważnie rozglądając się na boki. Wciąż trzymał dłoń na rękojeści broni. Rydell miał wrażenie, że Rosjanin zamierza od razu zastrzelić dziewczynę. Na to wyglądało, tylko jaki gliniarz zrobiłby coś takiego? Orlovsky stanął przed ich stolikiem, we właściwej odległości, za daleko by mogli go dopaść i wystarczająco blisko, żeby nie chybić. Rydell z zadowoleniem zobaczył, że chłoptaś o mało nie zesrał się ze strachu. Łysy wyglądał jak odlany z plastiku, nieruchomy, z rękami na stole. Między jego dłońmi Rydell zobaczył

kieszonkowy telefon. Orlovsky przeszył dziewczynę policyjnym spojrzeniem pełnej mocy, z twarzą pobrużdżoną, szarą w kiepskim świetle, posępną. Nieznacznie poprawił rondo plastikowego kapelusza, tylko odrobinę, po czym powiedział:

— Wstań.

Rydell spojrzał na nią i zobaczył, że drży. Nie miała wątpliwości, że Rosjanin ma na myśli ją, a nie jej przyjaciół. Chłoptaś wyglądał tak, jakby w każdej chwili miał zemdleć, a łysy udawał posąg. Chevette Washington wstała, drżąc, wywracając koślawy taborecik, na którym siedziała.

— Wychodź.

Ruch kapelusza wskazał na schody. Owłosiony grzbiet dłoni Orlovsky'ego spoczywającej na rękojeści H K. Rydell usłyszał cichy trzask swoich kolan. Pochylił się, ściskając krawędź stołu. Poczuł przylepione pod spodem, wyschnięte kawałki gumy.

Zgasły światła.

Znacznie później, próbując wyjaśnić Sublettowi, co zaszło, gdy Josie zaatakowała Orlovsky'ego swoim hologramem, Rydell powiedział, że wyglądało to tak, jak efekty specjalne w końcówce *Poszukiwaczy zaginionej arki*, kiedy anioły, czy cokolwiek to było, wyleciały z kufra i zaatakowały nazistów.

Jednak dla Rydella wszystko zdarzyło się jednocześnie. Kiedy zgasły światła, to wszystkie naraz, nawet te neony na ścianie, a on odepchnął stolik na bok, zupełnie o tym nie myśląc, i rzucił się tam, gdzie stała dziewczyna. Ta kula światła wystrzeliła i rozszerzyła się z tego miejsca na ścianie, gdzie zapewne znajdowała się górna krawędź neonu NEC. Miała barwę skóry hologramu, jakby miodu i kości słoniowej, marmuru przetykanego czernią jej włosów i oczu, jak obraz z satelitarnej stacji meteo. Otoczyła Rosjanina metrową kulą wokół głowy i ramion, po czym zaczęła wirować, ukazując jej oczy i usta, otwarte w niemym krzyku, migoczące, powiększone. Przez ułamek sekundy każde oko wydawało się większe od samej kuli, a białe zęby miały długość męskiej ręki. Zaskoczyła Orlovsky'ego, powstrzymując go przez ułamek sekundy przed wyjęciem broni. Jednak jej nikły blask wystarczył, by Rydell miał pewność, że złapał dziewczynę, a nie chłoptasia. Po prostu podniósł ją, zapominając o wszystkim, co kiedykolwiek uczono go o chwytaniu i zatrzymywaniu, po czym pobiegł ile sił w nogach po schodach.

Orlovsky wrzasnął coś, chyba po rosyjsku.

Wuj Rydella, ten który służył w wojsku w Afryce, zwykł mówić, kiedy podobał mu się sposób, w jaki kobieta idąc, kręciła pupą, że wygląda jak dwa małe rysie w worku kłusownika. To określenie przyszło Rydellowi do głowy, gdy biegł po schodach, trzymając w objęciach Chevette Washington jak worek kartofli. Jednak nie miało

to nic wspólnego z seksem. Miał szczęście, że nie podbiła mu oka i nie złamała żadnego żebra.

22
Ble-ble-ble

Ktokolwiek ją złapał, usiłowała dołożyć mu, kopiąc i tłukąc pięściami, kiedy niósł ją po schodach. Jednak trzymał ją w wyciągniętych rękach, tak że o mało na nią nie upadł. W następnej chwili wylądowała na pomoście, w słabym świetle patrząc na wymierzony w nią plastikowy pistolet maszynowy, wyglądający jak dziecinna zabawka, w rękach kolejnego faceta w takim brzydkim długim płaszczu; ten nie miał kapelusza i mokre włosy oblepiały mu czaszkę wokół twarzy o zbyt naciągniętej skórze.

— Puść ją, pierdolcu — powiedział ten z bronią. Miał akcent ze starych filmów o potworach. Ledwie utrzymała się na nogach, gdy facet, który ją niósł, rozluźnił chwyt.

— Chcesz spóbować czy co, pierdolcu? — powiedział ten z bronią.

— War… — zaczął ten, który ją niósł, a potem zgiął się, kaszląc — …baby — dokończył, prostując się, a potem skrzywił się, rozmasowując żebra i patrząc na nią. — Jezusie, ale masz wykop.

Mówił z amerykańskim akcentem, ale nie z zachodniego wybrzeża. Miał na sobie tanią nylonową kurtkę z naderwanym rękawem, z rozdarcia sterczały białe kłaczki.

— Spróbuj się ruszyć… — Plastikowy pistolet mierzył prosto w jego twarz.

— War-baby, War-baby — powtórzył facet, a przynajmniej tak to brzmiało. — War-baby przysłał mnie tu po nią. Zaparkował tam z tyłu, za zaporami przeciwczołgowymi i czeka, aż ją przyprowadzę.

— Arkady… — To ten w plastikowym kapeluszu, wchodzący po schodach za plecami mężczyzny, który ją złapał. Miał na nosie noktowizor z tą zabawnie wyglądającą rurą, sterczącą spod ronda kapelusza. Trzymał coś, co wyglądało jak miniaturowa puszka aerozolu. Powiedział kilka słów w obcym języku. Po rosyjsku? Zrobił gest ręką, w której trzymał puszkę, wskazując za siebie.

— Używając gazu pieprzowego na takiej niewielkiej przestrzeni — powiedział facet, który ją niósł — można zrobić komuś krzywdę i nabawić się poważnych kłopotów z zatokami.

Ten ze zbyt spiętą twarzą spojrzał na niego jąkną coś, co wypełzo spod kamienia.

— Kierowca, tak? — powiedział, pokazując temu w kapeluszu, żeby opuścił broń.

— Byliśmy na kawie. No, wy piliście herbatę. Svobodov, tak?

Chevette zauważyła, że ten ze ściągniętą twarzą obrzucił ją

szybkim spojrzeniem, jakby nie podobało mu się to, że usłyszała jego nazwisko. Chciała powiedzieć mu, że brzmiało niewyraźnie i usłyszała tylko ble-ble-ble, więc nie może go zapamiętać, no nie?

— Dlaczego ją złapałeś? — zapytał ten ze spiętą twarzą, Ble-ble-ble.

— Mogła uciec w ciemnościach, no nie? Nie wiedziałem, że twój partner ma noktowizor. Ponadto przysłali mnie tu po nią. Nie wspominali o was. Prawdę mówiąc, mówili, że was tu nie będzie.

Ten w kapeluszu stanął teraz za nią i mocno chwycił ją za ramię.

— Puszczaj…!

— Hej — powiedział ten, który ją złapał, jakby chciał ją uspokoić. — To policjanci. Wydział Zabójstw SFPD, tak?

Ble-ble-ble gwizdnął cicho.

— Pierdolec.

— Gliny?

— Jasne.

To wywołało zniecierpliwione prychnięcie Ble-ble-ble.

— Arkady, musimy ruszać. Te śmierdziele obserwują nas z dołu…

Ten w kapeluszu ściągnął noktowizor i kręcił się nerwowo, jakby chciał sikać.

— Słuchajcie — powiedziała — ktoś zabił Sammy'ego. Jeżeli jesteście glinami, to słuchajcie! Ktoś zabił Sammy'ego Sala!

— Kim jest Sammy? — spytał ten w rozdartej kurtce.

— Pracuję z nim! Dla Allied. Sammy DuPree. Został zastrzelony.

— Kto go zastrzelił?

— Stul dziób, Rydell. Stu. Dzióp.

— Ona przekazuje nam informację dotyczącą zabójstwa, a ty każesz mi się zamknąć?

— Tak, mówię ci, żebyś się zamknął. War-baby ci wszystko wyjaśni.

I wykręcił jej rękę, zmuszając, żeby z nimi poszła.

23
Wziął i zrobił

Svobodov uparł się, żeby przykuć go do Chevette Washington. To były kajdanki Beretta, takie same jak te, które nosił podczas patroli w Knoxville. Svobodov powiedział, że on i Orlovsky muszą mieć wolne ręce, w razie gdyby ludzie z mostu zorientowali się, że zabierają stąd dziewczynę. Jednak skoro ją zgarnęli, to czemu nie poinformowali o przysługujących jej prawach, a nawet nie powiedzieli, że jest aresztowana? Rydell już postanowił, że jeśli sprawa znajdzie się w sądzie i wezwą go na świadka, nie będzie ich krył i zeznawał, że słyszał, jak odczytali jej pieprzone prawa. Z tego, co widział, ci Rosjanie byli napalonymi kowbojami, o cechach dokładnie takich, jakie instruktorzy akademii zwalczali u przyszłych policjantów. W pewien sposób reprezentowali wizerunek policjanta utrwalony w świadomości wielu ludzi, co — jak wyjaśniał jeden z wykładowców — jest obiegowym mitem. Podobnie jak to, co nazywano syndromem ojca Mulcahy'ego w przypadku zakładników. Kiedy kogoś porwano, a gliny muszą zdecydować, co robić. Wszyscy widzieli ten film o ojcu Mulcahym, więc rozumują tak: ściągnę księdza, wezwę rodziców faceta, odłożę broń i pójdę z nim negocjować. A potem idą tam i dają odstrzelić sobie dupsko. Ponieważ zapominają o rzeczywistości i myślą, że wszystko jest jak w filmie. To może działać również w drugą stronę i stopniowo zaczynasz postępować tak jak policjanci w telewizji i w kinie. Ostrzegano ich przed tym. Jednak Svobodov i Orlovsky, ludzie przybyli z innych krajów, może silniej reagują na świat filmu. Popatrzcie na przykład, jak się ubierają.

Człowieku, przyda ci się prysznic. Gorący prysznic. Będzie stał pod nim tak długo jak się da, albo aż skończy się ciepła woda. Potem wyjdzie, wytrze się ręcznikiem i włoży nowiuteńkie, zupełnie suche ciuchy, w tym hotelu, w którym umieści go Warbaby. Zamówi do pokoju kilka kanapek oraz wiadro z lodem i czterema, pięcioma długoszyimi butelkami tego meksykańskiego piwa, które piją w LA. A potem siądzie z pilotem w ręku i poogląda sobie telewizję. Może „Gliniarzy w opałach". Może nawet zadzwoni do Subletta, pogada z nim, opowie mu o tej popieprzonej robocie w NoCal. Sublett zawsze pracował na nocnej zmianie, ponieważ miał światłowstręt, więc jeśli ma wolny wieczór, to będzie oglądał telewizję.

— Patrz, gdzie idziesz… — Szarpnęła go za przykutą rękę, tak że prawie upadł. Przeszedłby po jednej stronie słupa, podczas gdy ona wybrała tę drugą.

— Hej, przepraszam — powiedział.

Nie spojrzała na niego. Jednak nie wyglądała mu na osobę, która usiadłaby facetowi na piersi i brzytwą wycięła mu drugi uśmiech. No, miała ten ceramiczny nóż, który znalazł przy niej Svobodov, oraz kieszonkowy telefon i te cholerne okulary, których wszyscy szukali. Wyglądały tak samo jak te Warbaby'ego, tylko w futerale. Rosjanie byli z tego powodu naprawdę uszczęśliwieni i teraz spoczywały bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni kuloodpornej kamizelki Svobodova. Ponadto coś mu mówiło, że dziewczyna nie boi się w taki sposób, jak powinna. Nie wyczuwał tego strachu recydywisty, który człowiek uczy się rozpoznawać już po trzech dniach roboty. To był strach ofiary, chociaż już przyznała się Orlovsky'emu do kradzieży tych okularów. Powiedziała, że zrobiła to poprzedniej nocy w hotelu. Jednak żaden z Rosjan nie wspomniał o zabójstwie Blixa, czy jak tam nazywał się ten zamordowany. Ani nawet o kradzieży. A ona doniosła, że zabito tego Sammy'ego, kimkolwiek był. Może Sammy to ten Niemiec. Tymczasem Rosjanie nie przejęli się tym, a nawet kazali mu stulić dziób i teraz ona wlokła się w ciszy, tylko fukała na niego, gdy zasypiał na stojąco.

Teraz, kiedy burza minęła, to miejsce zaczęło budzić się do życia, ale była Bóg wie która w nocy, więc niewielu ludzi wychodziło, żeby sprawdzić uszkodzenia. Tu i ówdzie znowu zapalały się światła, kilka osób usuwało wodę z pomostów i kramów, snuło się paru pijaczków i ten facet, który wyglądał jak na pląsie, gadał do siebie jak najęty i szedł za nimi, aż Svobodov wyjął H K, obrócił się na pięcie i obiecał przerobić go na pieprzone kocie mięso, jeśli natychmiast nie zabierze swojej zaćpanej dupy do Oakland, co zrobił oczywiście, wytrzeszczając oczy, odprowadzany śmiechem Rosjanina. Wyszli na lepiej oświetlone miejsce, mniej więcej tam, gdzie Rydel! po raz pierwszy zobaczył Chevette Washington. Patrząc pod nogi, zobaczył, że miała takie same czarne buty SWAT jak on. Lexanowe podeszwy.

— Hej — powiedział — świetne buty.

Spojrzała na niego jak na wariata i zobaczył łzy płynące jej po twarzy. Svobodov mocno wbił mu lufę H K w policzek, tuż pod prawym uchem i powiedział:

— Nie gadaj z nią, pierdolcu.

Rydel kątem oka spojrzał na niego, wzdłuż lufy. Zaczekał chwilę, aż mógł bezpiecznie powiedzieć „dobrze”. Potem już nie próbował nic do niej mówić, nawet na nią nie patrzył. Od czasu do czasu ukradkiem spoglądał na Svobodova. Kiedy zdejmą mu kajdanki, da po ryju temu skurwysynowi. Jednak kiedy Rosjanin odsunął lufę pistoletu, Rydell zauważył kogoś za jego plecami. Nie od razu, ale przypomniał go sobie później: wielkiego niedźwiedziowatego długowłosego, mrugającego oczami spoza niewielkich drzwi, które wydawały się mieć ledwie stopę szerokości.

W przeciwieństwie do wielu ludzi, Rydell nie miał żadnych uprzedzeń wobec czarnych, emigrantów czy innych mniejszości. Prawdę mówiąc, między innymi dlatego przyjęto go do akademii, mimo nie najlepszych wyników w szkole średniej. Poddali go wszelkim możliwym testom i uznali, że nie jest rasistą. I nie był, chociaż nie dlatego, że nad tym rozmyślał. Po prostu nie rozumiał takiego nastawienia. Przecież w ten sposób człowiek ściągał na siebie masę problemów, więc dlaczego miałby to robić? Nikt nie wróci tam, gdzie mieszkał przedtem, a gdyby tak się stało, to podejrzewał, że nie byłoby mongolskich szaszłyków i wszyscy słuchaliby Pentecostal Metal, a w końcu prezydent była czarnoskóra. Jednak musiał przyznać, idąc z Chevette Washington między blokami zapór przeciwczołgowych, machając rękami w idiotycznym rytmie wymuszonym przez kajdanki, że w tym momencie zaczyna mieć dość paru konkretnych czarnych i emigrantów. Melancholia telewizyjnego księdza Warbaby'ego zaczęła go denerwować; Freddie był, używając słów ojca Rydella, trzęsidupskim popaprańcem; a Svobodov i Orlovsky to faceci, których jego wuj, ten wojskowy, nazywał zakutymi łbami.

A z daleka już zobaczył Freddiego, opartego tyłkiem o przedni zderzak patriota, kiwającego głową w rytm czegoś w słuchawkach, a teksty najróżniejszych wiadomości płynęły po krawędziach jego butów ożywiane czerwonymi światełkami LED. Na pewno przeczekał deszcz w samochodzie, ponieważ jego koszula z nadrukiem w pistolety i luźne szorty nie były nawet wilgotne. Obok stał Warbaby w tym długim pikowanym płaszczu, w kapeluszu nasuniętym aż po okulary wirtualnego światła. Wyglądał jak lodówka, gdyby ta mogła podpierać się kulą.

Ten szary, nie oznakowany czołg Rosjan, stojący tuż obok patriota, na pancernych oponach, był częściowo okratowany, co z daleka oznajmiało wszystkim zainteresowanym, że to samochód gliniarzy. I faktycznie niektórzy zwracali uwagę, zauważył Rydell, bo tłum mieszkańców mostu obserwował ich z różnych miejsc na betonowych półkach i koślawych straganach. Małe dzieci, parę Meksykanek w siatkach na głowach, jakby pracowały przy przetwarzaniu żywności, kilku groźnie wyglądających młodzieńców w zabłoconych kombinezonach, opierających się na łopatach i miotłach. Spoglądali z obojętnymi minami, jakie zwykle mają ludzie z ciekawością obserwujący gliniarzy przy pracy. Gapił się też ktoś z samochodu Rosjan, siedzący z wysoko podciągniętymi kolanami na przednim fotelu.

Rosjanie przysunęli się bliżej Rydella i dziewczyny, prowadząc ich między sobą. Rydell czuł, że zdają sobie sprawę z obecności tłumu. Nie powinni byli zostawiać samochodu na widoku. Idący blisko

Svobodov lekko poskrzypywał — to ten pancerz, który Rydell zauważył już wcześniej, w tej nędznej knajpie. Svobodov palił jednego ze swoich mariboro, wydmuchując obłoki sinego dymu. Schował pistolet pod kamizelkę. Zmierzali prosto w kierunku Warbaby'ego; Freddie promieniał szerokim uśmiechem, na widok którego Rydell miał ochotę go kopnąć, ale Warbaby był smutny jak zawsze.

— Zdejmijcie mi tę pieprzoną obrączkę — powiedział Rydell do Warbaby'ego, podnosząc dłoń razem z ręką Chevette Washington. Ludzie zobaczyli kajdanki; rozległ się szmer, głosy.

Warbaby spojrzał na Svobodova.

— Masz je?

— Tu. — Rosjanin dotknął klapy prochowca.

Warbaby skinął głową, spojrzał na Chevette Washington, a potem na Rydella.

— To dobrze. — A do Orlovsky'ego: — Zdejmij kajdanki.

Orlovsky chwycił przegub Rydella i wsunął magneciak w szczelinę.

— Wsiadaj do samochodu — powiedział Warbaby do Rydella.

— Nie przeczytali jej praw — mruknął Rydell.

— Wsiadaj do wozu. Ty prowadzisz, pamiętasz?

— Czy ona jest aresztowana, panie Warbaby?

Freddie zachichotał. Chevette Washington podsunęła przegub Orlovsky'emu, ale ten schował magneciak.

— Rydell — rzekł Warbaby — wsiądź teraz do samochodu. My już zrobiliśmy swoje.

Drzwi szarego wozu otworzyły się po stronie pasażera. Wysiadł z niego jakiś człowiek. Czarne kowbojskie buty i długi czarny płaszcz przeciwdeszczowy. Jasne włosy, średniej długości oraz głębokie bruzdy uśmiechu po obu stronach nosa, jakby ktoś je tam wyciął i blade oczy. Uśmiechnął się, pokazując dwie trzecie dziąseł i resztę zębów, błyskając złotymi koronkami.

— To on — powiedziała Chevette Washington tym swoim chrapliwym głosem. — To on zabił Sammy'ego.

A wtedy ten wielki długowłosy w brudnej koszulce, ten, którego Rydell zauważył przedtem na moście, wjechał rowerem w plecy Svobodova. I nie był to zwykły rower, tylko ogromny zardzewiały wehikuł z ciężkim stalowym koszykiem przyspawanym do kierownicy. Rower z obciążeniem na pewno ważył co najmniej z czterdzieści kilogramów, a drugie tyle złom, który wysypał się z kosza na Svobodova. Uderzenie rzuciło go twarzą na maskę patriota, od którego Freddie odskoczył jak oparzony kot. Długowłosy wylądował na przysypanym złomem Rosjaninie jak rozwścieczony niedźwiedź, chwycił go za uszy i zaczął tłuc jego twarzą o maskę. Orlovsky sięgnął po H K i w tym momencie Rydell zobaczył, jak Chevette Washington

pochyla się i wyciąga coś zza cholewy buta. Dźgnęła tym w plecy Orlovsky'ego. Wyglądało to na śrubokręt. Trafiła w pancerz, który nosił pod koszulą, ale stracił równowagę w chwili, gdy naciskał spust.

Żadnego dźwięku nie można pomylić z tym, jaki wydaje bezłuskowa amunicja wystrzeliwana z superautomatycznej broni nastawionej na ogień ciągły. Nie jest to odgłos karabinu maszynowego, lecz potworny, przeciągły ryk. Pierwsza seria poszła w niebo, ale w następnej chwili Orlovsky usiłował skierować broń na uczepioną jego ramienia Chevette Washington. Druga seria poleciała w kierunku mostu. Ludzie z wrzaskiem zaczęli łapać dzieci i uciekać. Warbaby otworzył usta, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Rydell znalazł się za Orlovskym, kiedy ten znów próbował wycelować i — no cóż — to był po prostu jeden z tych momentów. Kantem stopy kopnął Rosjanina mniej więcej dwa centy merty pod kolanem i trzecia seria poszła pionowo w górę, gdy Orlovsky runął z łoskotem na bruk. Freddie próbował złapać Chevette Washington, chyba dopiero wtedy zobaczył wkrętak i w ostatniej chwili zasłonił się trzymanym oburącz laptopem. Śrubokręt przeszył na wylot komputer. Freddie wrzasnął i upuścił go. Rydell złapał za luźną obręczkę kajdanek, tę, którą miał przedtem na ręce i pociągnął. Otworzył przednie drzwi patriota po stronie pasażera i wciągnął ją za sobą. Siadając na fotelu kierowcy, widział, jak długowłosy uderza twarzą Svobodova o maskę samochodu, a kawałki złomu podskakują przy każdym uderzeniu.

Klucz. Zapłon.

Rydell zobaczył, jak zza kuloodpornej kamizelki Svobodova wypada telefon Chevette Washington i futerał z okularami światła wirtualnego. Opuścił szybę i sięgnął po nie ręką. Ktoś zestrzelił długowłosego ze Svobodova, pach, pach, pach, a Rydell, gwałtownie wrzucając wsteczny bieg, zobaczył faceta z policyjnego wozu trzymającego oburącz jakiś mały pistolet. Tak uczyli strzelać w akademii. Tył patriota uderzył w coś i Svobodov zleciał z maski w chmurze zardzewiałych łańcuchów i kawałków rur. Chevette Washington usiłowała wysiąść, więc musiał jedną ręką trzymać kajdanki, a drugą kręcić kółkiem, potem puścił je na moment, żeby zmienić bieg, i znów ją złapał. Drzwi po stronie pasażera zatrzasnęły się, gdy pomknął w kierunku mężczyzny o szerokim uśmiechu, który chyba strzelił jeszcze raz, zanim musiał szybko uskoczyć. Patriotem zarzucało w kałużach wody i Rydell ledwie ominął tył wielkiej pomarańczowej śmieciarki zaparkowanej przy pobliskim budynku. We wstecznym lusterku przez ułamek sekundy dostrzegł następujący obraz: most sterczący jak coś owiniętego wodorostami na tle szarzejącego nieba i Warbaby, robiący jeden sztywny krok, drugi, a za chwilę podnoszący do ramienia szczudło i celujący nim w samochód, niczym magiczną różdżką. To coś wystrzeliło z końca laski

Warbaby'ego, rozbiło tylną szybę patriota i rzuciło wozem tak gwałtownie w prawo, że o mało się nie wywrócił.

— Jezu — powiedziała Chevette jak we śnie — co ty robisz?

Nie wiedział, ale przecież wziął i zrobił to, no nie?

24
Pieśń środkowego przęsła

Kiedy zgasły światła, Yamazaki zaczął szukać w ciemności swojej torby. Znalazłszy ją, wymacał w niej latarkę. W jej białym promieniu zobaczył, że Skinner spał z rozdziawionymi ustami, nakryty kocami i postrzępionym śpiworem. Yamazaki przeszukał kilka półek nad stołem: słoiczki z przyprawami, takie same słoiki zawierające stalowe śruby, zabytkowy bakelitowy telefon przypominający pochodzenie zwrotu „wykręcić numer", rolki taśmy izolacyjnej różnej szerokości i koloru, zwoje grubego miedzianego drutu, elementy czegoś, co wyglądało na zestaw wędkarski i wreszcie pęk zakurzonych ogarków świec, ściągniętych sparciałą gumką. Wybrawszy najdłuższą z nich, znalazł zapalniczkę obok zielonej kempingowej kuchenki. Ustawiwszy świeczkę na białym talerzyku, zapalił ją. Płomyk zatrzepotał i zgasł. Z latarką w ręce podszedł do okna i dopchnął je w owalnej futrynie. Teraz świeca nie gasła, chociaż płomyk drżał i migotał w przeciągach, których nie dało się zlokalizować. Wróciwszy do okna, spojrzał na zewnątrz. Pogrążony w mroku most był niewidoczny. Deszcz zacinał niemal poziomo w okno, aż drobniutkie kropelki opryskiwały mu twarz przez pęknięcia szkła i skorodowane segmenty ołowianych ramek.

Przyszło mu do głowy, że ten pokój Skinnera można by przerobić na camera obscura. Gdyby usunąć środkowy fragment witrażowego okienka i zasłonić pozostałe, na przeciwległej ścianie powstałby odwrócony obraz. Yamazaki wiedział, że centralne przęsło, na którym opierał się środek mostu, było kiedyś uważane za największy na świecie aparat fotograficzny. W kompletnie ciemnym wnętrzu światło wpadające przez niewielki otwór tworzyło ogromny obraz dolnego poziomu, najbliższej wieży i otaczającej ją zatoki. Teraz serce przęsła zamieszkiwała niezliczona liczba hołdujących samotności mieszkańców mostu i Skinner stanowczo odradzał Yamazakiemu próbę odwiedzenia tego miejsca.

— Nie ma tam takich mansonów jak ci w chaszczach na Treasure, Scooter, ale lepiej ich nie niepokoić. Są w porządku, ale nie lubią, jak ktoś się tam kręci, rozumiesz?

Yamazaki podszedł do gładkiej wypukłości liny, sterczącej z podłogi. Widać było tylko owalny fragment, jak jakiś wzór matematyczny ledwie wystający z topologicznej powierzchni prezentacji komputerowej. Pochylił się, żeby dotknąć tej widocznej części, wygładzonej przez czyjeś ręce. Każda z tych trzydziestu siedmiu lin, zawierająca czterysta siedemdziesiąt dwa druty, miała

utrzymać i utrzymywała ciężar około miliona funtów. Yamazaki wyczuwał coś, jakiś gigantyczny, słaby ruch, drżenie tej zabytkowe gładkiej struny grzbietowej. Zapewne to burza; most sam w sobie potrafił się poruszać, wydłużać i kurczyć w upały i mrozy; stalowe zęby przęseł miał wbite w skałę pod mułem zatoki, skałę, która nie drgnęła nawet podczas „Little Grande".

„Godzilla". Yamazaki zadrżał, wspominając telewizyjne przekazy z zagłady Tokio. On był wtedy w Paryżu, razem z rodzicami. Teraz wznosiło się tam nowe miasto, którego budynki powstały dosłownie na gruzach tamtych.

W blasku świecy dostrzegł telewizorek Skinnera, zapomniany na podłodze. Postawił go na stole, usiadł na taborecie i obejrzał odbiornik. Ekran nie nosił żadnych śladów uszkodzeń. Po prostu wypadł z oprawki, zwisając na krótkiej, różnobarwnej wstążce kabla. Yamazaki wepchnął przewód do oprawki i nacisnął kciukami boki ekranu. Wyświetlacz z trzaskiem wskoczył na miejsce, ale czy nadal funkcjonował? Yamazaki pochylił się nad małymi przyciskami. Włączył. Żółto-purpurowe linie przesunęły się po ekranie, a potem zgasły, ukazując jakąś gadającą głowę z wyświetlonym w dolnym lewym rogu logo NHK.

— …dziedzic prasowej i ogłoszeniowej fortuny Harwooda Levine'a, opuścił dziś po południu San Francisco, gdzie podobno gościł przez kilka dni, odmawiając podania celu wizyty. — Pociągła twarz, końska, lecz przystojna, nad postawionym kołnierzem płaszcza. Szeroki, blady uśmiech. — Towarzyszyła mu — dalekie zdjęcie zrobione na korytarzu lotniska, szczupłej ciemnowłosej kobiety owiniętej w coś luksusowego i czarnego, błyskające srebrem obcasy eleganckich pantofelków — Maria Paz, znana padwańskim środkom przekazu, córka reżysera filmowego Carlo Paza…

Kobieta, wyglądająca na nieszczęśliwą, zniknęła, zastąpiona przez zdjęcia wykonane w podczerwieni na Nowej Zelandii, opancerzonych transporterów japońskich sił pokojowych otaczających jakieś wiejskie lotnisko.

— …straty poniesione przez zdelegalizowany Front Wyzwolenia Południowej Wyspy, podczas gdy w Wellington…

Yamazaki próbował zmienić kanał, ale ekran tylko rozbłysnął żółcią i purpurą, a potem ukazał portret Shapely'ego. Fabularyzowany dokument BBC. Chłodny, poważny, lekko hipnotyczny. Po dwóch bezskutecznych próbach znalezienia innego kanału Yamazaki pozwolił brytyjskiej wymowie zagłuszyć wiatr, jęk lin, skrzypienie ścian z dykty. Skupił uwagę na tej historii, o znanym, uspokajającym zakończeniu — choć tylko ze względu na jego nieuchronność.

James Delmore Shapely zwrócił uwagę przemysłu związanego z AIDS w pierwszych miesiącach nowego wieku. Był

trzydziestojednoletnią męską dziwką, nosicielem wirusa HIV od dwunastu lat. W momencie jego „odkrycia” przez doktor Kim Kutnik z Atlanty w stanie Georgia, Shapely odsiadywał wyrok dwustu pięćdziesięciu dni więzienia za nagabywanie. (Jego status nosiciela HIV, który automatycznie powinien spowodować wysunięcie poważniejszych zarzutów, najwyraźniej „przeoczono”.) Kurnik, prowadząca badania dla Sharman Group, amerykańskiego przedstawicielstwa Shibata Pharmaceuticals, przeglądała dane medyczne więźniów w poszukiwaniu osobników będących od dekady lub dłużej nosicielami HIV, bezobjawowymi i z całkowicie normalnym (lub, jak w przypadku Shapely'ego, przekraczającym normę) poziomem komórek T.

Jeden z kierunków badań prowadzonych przez Sharman Group skupiał się wokół prób wyizolowania zmutowanych szczepów HIV. Opierając się na fakcie, że wirusy podlegają prawu doboru naturalnego, kilku biologów z Sherman utrzymywało, że wirus HIV w jego ówczesnej formie genetycznej jest skrajnie letalny. Przy braku przeciwdziałania, argumentowali ci badacze, wirus o stuprocentowej śmiertelności musi doprowadzić do wymarcia macierzystego organizmu. (Inni naukowcy Sharman odpowiadali na to, że długi okres inkubacji umożliwia przetrwanie populacji macierzystej.) Jak postarali się podkreślić autorzy z BBC, pomysł zlokalizowania niepatogenicznych szczepów HIV w celu zwalczenia i zneutralizowania śmiercionośnego wirusa zrodził się prawie dekadę wcześniej, chociaż „etyczne” implikacje eksperymentów na ludziach uniemożliwiły jakiekolwiek badania. Najważniejsza przesłanka, na jakiej oparli się naukowcy Sharman, pochodziła z wcześniejszych prac: wirus chce przetrwać, a nie może, jeśli zabije nosiciela. Zespół badaczy z Sharman, w skład którego wchodziła doktor Kutnik, zamierzał wstrzyknąć nosicielom wirusa HIV krew pobraną od pacjentów uważanych za zarażonych niechorobotwórczymi szczepami wirusa. Uważano za możliwe, iż szczep niepatogeniczny przezwycięży szczep letalny. Kim Kutnik należała do siedmioosobowego zespołu mającego wyszukać nosicieli HIV, którzy mogliby przenosić taką niepatogeniczną formę wirusa. Rozpoczęła pracę od przeszukiwania danych aktualnych pensjonariuszy więzień stanowych, którzy byli a) w dobrym stanie zdrowia b) co najmniej od dekady nosicielami wirusa HIV. Wstępne poszukiwania wyłoniły grupę sześćdziesięciu sześciu osobników — a wśród nich J.D.Shapely'ego.

Yamazaki patrzył, jak Kutnik, którą grała młoda brytyjska aktorka, wspominała z patio w Rio pierwsze spotkanie z Shapelym.

— Uderzył mnie fakt, że jego poziom komórek T tego dnia wynosił 1200, a odpowiedzi na pytania zawarte w kwestionariuszu zdawały się wskazywać, że „bezpieczny seks” — jak określano to

wtedy — nie był dla niego sprawą… hmm… priorytetową. Był bardzo otwartym, miłym, po prostu niewinnym człowiekiem, a kiedy zapytałam go, w więziennej rozmównicy, o seks oralny, naprawdę zaczerwienił się. Potem roześmiał się i powiedział, że „obciąganie druta trochę wyszło z mody".

Aktorka grająca Kutnik wyglądała tak, jakby sama miała się zaraz zarumienić.

— Oczywiście — powiedziała — w tamtych czasach nie rozumieliśmy w pełni wszystkich czynników sprzyjających infekcji, ponieważ, choć to może zabrzmi groteskowo, nie przeprowadzono dokładnych badań określających drogi przenoszenia…

Yamazaki wyłączył odbiornik. Wykorzystując przepisy prawa federalnego, doktor Kutnik załatwiła Shapely'emu zwolnienie z więzienia jako ochotnikowi poddającemu się badaniom nad AIDS. Doświadczeniom Sharman Group zagroziły naciski ortodoksyjnych chrześcijan, sprzeciwiających się wstrzykiwaniu „skażonej wirusem HIV" krwi do organizmów pacjentów śmiertelnie chorych na AIDS. Kiedy ważyły się losy projektu, Kutnik ujawniła wyniki badań klinicznych dowodzące, że u kilku jej pacjentów utrzymujących kontakty seksualne z Shapelym cofnęły się objawy AIDS. Kutnik publicznie podała się do dymisji, uciekła do Brazylii ze zdumionym Shapelym. Wobec groźby wybuchu wojny domowej Sharman Group otrzymała ogromne fundusze na dalsze badania prowadzone w atmosferze, którą można określić jedynie jako niezwykle pragmatyczną.

Taka to była smutna historia.

Lepiej już siedzieć sobie przy blasku świecy, opierając łokcie na stole Skinnera i słuchać pieśni środkowego przęsła.

25
Bez wioseł

Powtarzał, że jest z Tennessee i niepotrzebne mu takie gówno. Była pewna, że zabiją się po drodze, a poza tym ci gliniarze będą ich ścigać, tak samo jak ten, który zabił Sammy'ego. Wciąż nie wiedziała, co właściwie się stało i czy to nie Nigel najechał na Rosjanina o ściągniętej twarzy? Tymczasem on trzymał się prawej strony Bryant, więc kazała mu skręcić w lewo w Folsom, bo jeśli te dupki pojadą za nimi, to chciała znaleźć się na Haight — najlepszym miejscu, jakie znała, żeby się zgubić, co zamierzała zrobić przy pierwszej sprzyjającej okazji. Ten ford był trochę podobny do tego, jakim jeździł pan Matthews pilnujący ośrodka w Beaverton. A ona próbowała dźgnąć kogoś śrubokrętem. Nigdy przedtem nie zrobiła czegoś takiego. I zniszczyła komputer tamtego czarnego faceta ze śmieszną fryzurą. A ta bransoletka na jej lewym przegubie, druga kołysząca się luźno, otwarta, na trzech ogniwach łańcucha…

Sięgnął ręką i złapał luźną obrączkę. Nie odrywając oczu od ulicy, zrobił z nią coś. Puścił. Teraz była zamknięta.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Żeby nie zaczepiła się o coś i nie przykuła cię do jakiejś klamki albo znaku drogowego…

— Zdejmij ją.

— Nie mam klucza.

— Zdejmij ją! — wrzasnęła.

— Schowaj ją w rękawie kurtki. To kajdanki Beretty. Naprawdę dobry sprzęt.

Odniosła wrażenie, że był zadowolony, mając o czym mówić i zaczął jechać trochę wolniej. Piwne oczy. Nie stary: może po dwudziestce. Tanie ciuchy w stylu K-mart, mokre. Jasnobrązowe włosy, ścięte krótko, ale nie przy skórze. Widziała, jak porusza mięśniami policzków, jakby żuł gumę.

— Dokąd jedziemy? — spytała.

— Niech mnie szlag, jeśli wiem — odparł, lekko przyspieszając.

— To ty powiedziałaś „w lewo”…

— Kim jesteś?

Zerknął na nią.

— Rydell. Berry Rydell.

— Barry?

— Berry. Przez „e”. Hej, to jakaś cholernie wielka ulica, ze światłami i wszystkim…

— W prawo.

— Gdzie mam…

— W prawo!

— Dobrze — powiedział i skręcił. — Dlaczego?

— To Haight. Mnóstwo ludzi do późna, gliniarze nie lubią tam zachodzić…

— Można tam porzucić samochód?

— Odwrócisz się na dwie sekundy, a przejdzie do historii.

— Są tam bankomaty?

— Yhm.

— O, jest jeden.

Na krawężnik, aż kawałki hartowanego szkła wypadły z rozbitej tylnej szyby. Nawet nie zauważyła, kiedy to się stało. Z tylnej kieszeni spodni wyjął przemoczony portfel i zaczął wyciągać z niego karty. Spojrzał na nią.

— Jeśli chcesz wyskoczyć z wozu i uciec — wzruszył ramionami — to masz okazję.

Potem sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął okulary oraz telefon Codesa, który zgarnęła, gdy w „Dysydentach" zgasło światło. Ponieważ wiedziała od Lowella, że ludzie w tarapatach potrzebują telefonu, czasem bardziej niż czegokolwiek innego. Rzucił jej na podołek okulary tego faceta i telefon.

— Są twoje.

Później wysiadł, podszedł do bankomatu i zaczął wpychać weń karty. Siedziała tam, patrząc, jak automat wynurza się ze swojej pancernej obudowy, tak jak zawsze nieśmiało i ostrożnie, wysuwając swoje kamery, żeby monitorować transakcję. On stał, bębniąc palcami, z wargami ułożonymi jak do gwizdnięcia, ale nie wydając żadnego dźwięku. Popatrzyła na futerał i telefon, zastanawiając się, dlaczego po prostu nie wyskoczy i nie ucieknie, tak jak powiedział.

W końcu wrócił, przeliczając kciukiem zwitek banknotów, wepchnął je do kieszeni dżinsów i wsiadł. Pstryknął pierwszą kartę w kierunku bankomatu, który chował się do swojej skorupy jak krab.

— Nie wiem, jak zdołali tak szybko zablokować to konto, po tym jak uszkodziłaś laptopa Freddiego.

Pstryknął drugą. Potem ostatnią. Leżały przed bankomatem, który zasłonił się lexanową tarczą, błyskając maleńkimi hologramami w powodzi halogenowych świateł.

— Ktoś je zabierze — powiedziała.

— Mam nadzieję — rzekł — że weźmie i poleci z nimi na Marsa.

Potem zrobił coś na wstecznym biegu, wszystkimi czterema kołami, i ford podskoczył, wypadając na ulicę, a jakiś wóz przeleciał obok z wyciem hamulców i klaksonu, a kierowca rozdziawił usta w wielkie „O". Chevette, która wciąż czuła się posłańcem, nawet się to spodobało. Tyle razy zajeżdżali jej drogę.

— Cholera — powiedział, przerzucając dźwignię biegów, aż znalazł potrzebny i ruszyli naprzód.

Kajdanki ocierały czerwoną szramę pozostawioną przez wpijającego się czerwonego robaka.

— Jesteś gliną?

— Nie.

— Ochroniarzem? Jak ci w hotelu?

— Nie.

— No to kim jesteś?

Światła lamp przesunęły się po jego twarzy. Wydawał się zastanawiać nad tym pytaniem.

— Wioślarzem na morzu gówna. Bez wioseł.

26
Kolorowi

Pierwszą, osobą, którą Rydell zobaczył, kiedy wysiadł z patriota, w bocznej uliczce przy Haight Street, był jednoręki i jednonogi mężczyzna na deskorolce. Kaleka leżał na brzuchu, na desce, odpychając się dziwnymi konwulsyjnymi ruchami, przypominającymi Rydellowi skurcze żabich kończyn. Inwalida miał prawą rękę i lewą nogę, co tworzyło pewną symetrię, jednak noga była pozbawiona stopy. Twarz, jakby w wyniku jakieś upiornej osmozy, miała barwę brudnego cementu, tak że Rydell nie potrafiłby określić koloru jego skóry. Włosy mężczyzny, jeśli jakieś miał, zakrywała czarna wełniana czapeczka, a resztę ciała czarny jednoczęściowy kombinezon, najwidoczniej pozszywany z kawałków grubej, gumowej rury. Mijając Rydella, spojrzał na niego, przejeżdżając przez pozostałe po burzy kałuże, kierując się do wylotu uliczki i mówiąc, a przynajmniej wydawało się, że mówi:

— Chcesz ze mną gadać? Chcesz ze mną gadać, to lepiej zamknij tę pieprzoną gębę…

Rydell stał z walizką w ręku i patrzył, jak kaleka odjeżdża. Coś zabrzęczało obok. To ten złom na skórzanej kurtce Chevette Washington.

— Chodź — powiedziała. — Chyba nie zamierzasz tu sterczeć.

— Widziałaś go? — zapytał Rydell, wskazując ręką w kierunku mężczyzny.

— Pobędziesz tu trochę, zobaczysz gorsze rzeczy.

Rydell obejrzał się na patriota. Zamknął go i zostawił klucz pod fotelem kierowcy, ponieważ nie chciał, żeby wyglądało to nazbyt łatwo, ale zapomniał o tylnej szybie. Jeszcze nigdy nie pragnął, żeby ukradziono mu samochód.

— Jesteś pewna, że ktoś go weźmie? — zapytał.

— Jeśli stąd nie znikniemy, to razem z nami.

Zaczęła iść. Poszedł za nią. Ceglane mury na wysokość wyciągniętej ręki były zasmarowane napisami nie przypominającmi żadnego znanego języka, może oprócz tego, jaki używany jest w dymkach kreskówek. Zaledwie skręcili za róg, na chodnik, kiedy Rydell usłyszał odgłos uruchamianego silnika patriota. Dostał gęsiej skórki, jakby słuchał opowieści o duchach, ponieważ nikogo tam nie dostrzegł, a teraz nie widział nawet kaleki na deskorolce.

— Patrz pod nogi — poradziła Chevette Washington. — Nie przyglądaj się im, kiedy nas miną, bo nas zabiją.

Rydell wpatrywał się w czubki swoich czarnych butów.

— Masz znajomości wśród złodziei samochodów?

— Idź. Nic nie mów. Nie patrz.

Usłyszał, jak patriot wytacza się z uliczki i zrównuje z nimi, jadąc powoli. Przy każdym kroku słyszał ciche chlupanie w butach; czyżby ostatnim uczuciem przed śmiercią miało być nieprzyjemne wrażenie, że ma mokre buty oraz skarpetki i nie będzie miał okazji ich zmienić?

Rydell usłyszał, jak samochód odjeżdża, prowadzony przez kierowcę zmagającego się z nie znanym układem amerykańskiej dźwigni biegów. Podniósł głowę.

— Nie rób tego.

— To twoi znajomi czy co?

— Lowell nazywa ich piratami zaułków.

— Kim jest Lowell?

— Widziałeś go w „Dysydentach".

— W tamtym barze?

— To nie bar. Meta.

— Podają tam alkohol.

— Meta. Do przesiadywania.

— Bywasz tam? Ten Lowell tam bywa?

— Taak.

— Ty też?

— Nie — odparła ze złością.

— To twój przyjaciel, ten Lowell? Chłopak?

— Mówiłeś, że nie jesteś policjantem. Gadasz jak glina.

— Nie jestem — rzekł. — Możesz zapytać ich.

— To tylko ktoś, kogo znałam.

— Świetnie.

Spojrzała na walizkę.

— Masz tam broń czy coś takiego?

— Suche skarpetki. Bieliznę.

— Nie rozumiem cię.

— Nie musisz. Tak sobie idziemy, czy może wiesz, dokąd iść? Chyba lepiej zejść z tej ulicy.

— Chcemy popatrzeć na błyski — powiedziała do grubasa. Miał przewleczone przez sutki ozdoby, wyglądające jak zamki yale. Ściągały ciało swoim ciężarem i Rydell nie mógł na nie patrzeć. Facet nosił workowate białe spodnie z krokiem na wysokości kolan i ciasną, niebieską kamizelkę z aksamitu, szamerowaną złotem. Był wielki, tłusty i gruby, a ponadto cały wytatuowany.

Wuj Rydella, ten, który pojechał z wojskiem do Afryki i nie wrócił, też miał parę tatuaży. Najlepszy na plecach — wielki skręcony smok z rogami i głupkowatym uśmiechem. Zrobił to sobie w Korei, w ośmiu kolorach, za pomocą komputera. Opowiadał Rydellowi, jak

komputer sporządził mapę jego pleców i pokazał mu dokładnie ostateczny wygląd tatuażu. Potem musiał położyć się na stole, a robot wykonał rysunek. Rydell wyobrażał sobie robota podobnego do odkurzacza, tylko ze zwinnymi chromowanymi ramionami, zakończonymi igłami. Jednak wuj mówił, że przypominało to raczej przepuszczenie przez drukarkę igłową, w dodatku osiem razy, po jednym na każdy kolor. Jednak to był wielki smok i znacznie okazalszy od tatuaży na ramionach, gdzie wuj miał amerykańskie orły i znak firmowy Harleya. Kiedy ćwiczyli razem na tyłach domu ze sztangą od Searsa, Rydell widział, jak smok porusza ogonem.

Ten łysy grubas z ciężarkami w sutkach miał tatuaże wszędzie oprócz rąk i głowy. Wyglądały jak kolorowa marynarka. Każdy rysunek był różny, bez amerykańskich orłów czy znaków Harleya, a wszystkie splatały się ze sobą. Na ich widok Rydellowi zakręciło się w głowie, więc spojrzał na ściany pokryte kolejnymi tatuażami jak próbkami, spośród których można wybierać.

— Byłaś tu już — powiedział mężczyzna.

— Taak — odparła Chevette Washington. — Z Lowellem. Pamiętasz Lowella?

Grubas wzruszył ramionami.

— Mój przyjaciel i ja — powiedziała — chcemy coś wybrać…

— Nie widziałem przedtem twojego przyjaciela — rzekł gruby, całkiem uprzejmie, lecz Rydell usłyszał w jego głosie pytanie. Spoglądał badawczo na walizkę.

— Wszystko w porządku — powiedziała. — On zna Lowella. To swój chłopak.

— Jesteście z mostu — powiedział grubas, jakby lubił ludzi z mostu. — Ta burza była okropna, no nie? Mam nadzieję, że nie wyrządziła zbyt wielkich szkód… W zeszłym miesiącu przyszedł tu klient z panoramicznym zdjęciem, które chciał mieć wytatuowane na plecach. Cała długość mostu i wszystko na nim. Piękne ujęcie, ale zażądał koniecznie w naturalnej wielkości, a nie był niestety dostatecznie szeroki… — Zerknął na Rydella. — Na twoim przyjacielu zmieściłoby się…

— I zrobiliście mu ten tatuaż? — zapytała, a Rydell poznał tę instynktowną umiejętność nakłaniania ludzi do rozmowy, budzenia ich zainteresowania.

— Tu, w „Kolorowych”, świadczymy pełną gamę usług — zapewnił grubas. — Lloyd przepuścił to przez procesor graficzny, obrócił o trzydzieści stopni, zwiększył perspektywę i wyszło pięknie… Chcesz obejrzeć błyski dla siebie czy dla twojego przyjaciela?

— Hmm, prawdę mówiąc — powiedziała Chevette — szukamy czegoś dla nas obojga. Czegoś, hmm, podobnego, rozumie pan? Grubas uśmiechnął się.

— Romantyczne…

Rydell spojrzał na Chevette.

— Wejdźcie tam. — Grubas lekko podzwaniał, idąc, aż Rydell skrzywił się. — Mogę was poczęstować herbatą?

— Może kawą? — zapytał z nadzieją Rydell.

— Przykro mi — odparł gruby — ale Butch wyszedł o dwunastej, a ja nie umiem obsłużyć ekspresu. Jednak mogę wam przynieść naprawdę dobrą herbatę.

— Taak — powiedziała Chevette, lekkimi szturchnięciami łokciem popychając Rydella. — Herbatę.

Grubas przeprowadził ich przez korytarz do pokoiku z kilkoma ekranikami ściennymi i obitą skórą sofą.

— Zaraz przyniosę herbatę — obiecał i wyszedł.

— Dlaczego to powiedziałaś, no o podobnych tatuażach? — Rydell rozglądał się po pokoju. Czysto. Nagie ściany. Łagodne oświetlenie, bezcieniowe.

— Ponieważ zostawi nas samych, żebyśmy mogli sobie coś wybrać, a w ten sposób zyskamy czas do namysłu. Rydell postawił walizkę i usiadł na sofie.

— A więc możemy tu zostać?

— Tak, dopóki będziemy oglądać błyski.

— Co to takiego?

Podniosła pilota i włączyła jeden z ekranów ściennych. Zaczęła przeglądać menu. Wysoka rozdzielczość ujęć tatuowanej skóry. Grubas wrócił z tacką, na której stały dwa wielkie fajansowe kubki parującej herbaty.

— Twój ten zielony — powiedział do Chevette Washington — a twój ten z mormonem — rzekł do Rydella — ponieważ chciałeś kawę…

— Hmm, dzięki — powiedział Rydell, biorąc podany kubek.

— Nie spieszcie się — rzekł grubas — a gdybyście czegoś chcieli, zawołajcie.

Wyszedł z tacą pod pachę i zamknął za sobą drzwi.

— Z mormonem? — Rydell powąchał napój. Nie pachniał niczym szczególnym.

— Oni nie pijają kawy. Ta herbata zawiera efedrynę.

— Jest z narkotykiem?

— Robią ją z jakiejś rośliny zawierającej składnik, który znosi senność. Tak jak kawa.

Rydell doszedł do wniosku, że i tak jest za gorąca, żeby ją pić. Postawił kubek na podłodze obok kanapy. Dziewczyna na ekranie miała smoka tak jak jego wuj, tylko na lewym biodrze. I mały srebrny kolczyk przewleczony przez górny skraj pępka. Chevette Washington wyświetliła wielki spocony biceps i spoglądającą z niego twarz

prezydent Millbank, oddaną w różnych odcieniach szarości.

Rydell ściągnął mokrą kurtkę, zauważył oddarty rękaw i sterczące z niego białe kłaczki. Rzucił ją na podłogę obok kanapy.

— Masz jakieś tatuaże?

— Nie.

— To skąd znasz to miejsce?

— Lowell — powiedziała, przerzucając pół tuzina następnych błysków — ma Gigera.

— Gigera?

Rydell otworzył walizkę, wyjął parę suchych skarpetek i zaczął rozwiązywać swoje buty.

— To taki malarz. Chyba z dziewiętnastego wieku, czy jakoś tak. Prawdziwa klasyka. Biomech. Lowell ma na plecach Gigera skopiowanego z rysunku zatytułowanego N.Y.C. XXIV. — Wymówiła to jako iks, iks, i, wi.

— Jest jak to miasto. Czernie i cienie. Jednak chciał mieć podobne na rękach, więc przyszliśmy tu, żeby znaleźć jakieś pasujące Gigery.

— Czemu nie siądziesz — powiedział Rydell. — Zaczyna mnie boleć kark.

Kręciła się tam i z powrotem przed ekranami. Zdjął skarpetki, schował je do torby z Container City i włożył suche. Zastanawiał się, czy nie pozwolić butom przeschnąć przez chwilę, ale co by było, gdyby musieli stąd szybko uciekać? Włożył je na nogi. Zawiązywał sznurówki, kiedy usiadła obok niego. Rozpięła kurtkę i strząsnęła ją, pobrzękując luźną obrączką kajdanek. Rękawy jej czarnego podkoszulka zostały ucięte nożyczkami, a ramiona miała białe i gładkie. Przechyliła się przez poręcz kanapy i postawiła kurtkę na podłodze, opierając ją o ścianę, tak że sztywna skóra utrzymała się w tej pozycji, z bezwładnie opuszczonymi rękawami — jak we śnie, o którym marzył. Potem wzięła w rękę pilota.

— Hej — powiedział Rydell — ten facet w pelerynie, ten który strzelał…

Chciał powiedzieć o tym wielkim długowłosym na rowerze, ale ona chwyciła go za rękę, podzwaniając kajdankami.

— Sammy. On zastrzelił Sammy'ego, na górze u Skinnera. On… Przyszedł po okulary, a Sammy je miał, więc…

— Czekaj. Zaczekaj chwilkę. Te okulary. Wszyscy chcą je mieć. Ten facet je chce, Warbaby je chce…

— Co za Warbaby?

— Ten wielki czarny facet, który przestrzelił tylną szybę samochodu, którym uciekliśmy. Ten Warbaby.

— Myślisz, że ja wiem do czego służą?

— Nie wiesz dlaczego oni się za nimi uganiają?

Obrzuciła go spojrzeniem, jakim można by obdarzyć psa, który właśnie oznajmił ci, że to dobry moment, żeby postawić wszystkie pieniądze na los loterii.

— Zacznijmy od początku — zaproponował Rydell. — Powiedz mi, skąd masz te okulary.

— Dlaczego miałabym to zrobić?

Zastanowił się.

— Ponieważ nie żyłabyś już, gdyby nie moja pomoc.

Rozważyła jego słowa.

— Dobrze — powiedziała.

Może w herbacie grubasa rzeczywiście coś było, a może Rydell po prostu przekroczył pewien punkt, za którym zmęczenie ustępuje na chwilę i człowiek ma wrażenie, że jest przytomniejszy niż zwykle. Siedział, pijąc herbatę i słuchając dziewczyny, a gdy tak wciągnęła ją opowiadana historia, że zapomniała o przerzucaniu obrazków tatuaży na ekranie, robił to za nią.

Kiedy poukładało się wszystkie fakty we właściwej kolejności, była dziewczyną z Oregonu, nie miała żadnej rodziny, przybyła tu i zamieszkała na moście z tym starcem, prawdopodobnie stukniętym, który miał niesprawne biodro i potrzebował opieki. Potem dostała pracę i jeździła po San Francisco, rozwożąc przesyłki. Z okresu gdy chodził na piesze patrole w Knoxville, Rydell znał takich posłańców, ponieważ musiał im wręczać mandaty za jazdę po chodniku i naruszanie przepisów drogowych, a oni zawsze narzekali. Jednak zarabiali całkiem niezłe pieniądze, jeśli się starali. Ten Sammy, który — jak twierdziła — został zamordowany, też był posłańcem, czarnym facetem, który załatwił jej pracę w Allied.

A jej historia o tym, jak zabrała okulary z kieszeni pijaka na jakimś przyjęciu, na które przypadkiem trafiła w hotelu „Morrisey", wydawała mu się zupełnie sensowna. Nie było to coś, co można by wymyślić na poczekaniu. Nie mówiła, że okulary tak jakoś wpadły jej w ręce, otwarcie wyznała, że je ukradła pod wpływem nagłego impulsu, bo facet był natrętny i niemiły. Drobne wykroczenie, gdyby te szkła nie okazały się tak cenne. Z opisu zidentyfikował mężczyznę z hotelu „Morrisey" jako tego dupka, którego uduszono kubańskim krawatem, niemieckiego obywatela Kostaryki, którym też może nie był, gwiazdę horroru z faksu Warbaby'ego, obiekt dochodzenia prowadzonego przez Svobodova i Orlovsky'ego. Jeżeli to właśnie robili.

— Cholera — powiedział w środku czegoś, co próbowała mu powiedzieć.

— Co?

— Nic. Mów dalej.

Rosjanie byli skorumpowani, zrozumiał to. Byli z wydziału zabójstw, ale mógł się założyć, że nawet nie prowadzili śledztwa w tej sprawie. Dostali się na miejsce zbrodni w ten sam sposób jak Warbaby, weszli do plików policyjnego komputera, a reszta to zasłona dymna na użytek Rydella, wynajętego pomocnika. A co mówił Freddie, że DatAmerica i IntenSecure to zasadniczo jedno i to samo?

Tymczasem Chevette Washington rozkręciła się, jak to czasem robią ludzie, kiedy już zaczną mówić. Opowiadała, że Lowell — nie ten skin, ale ten z fryzurą, który właściwie był przez jakiś czas niby jej chłopakiem — to facet, który jest w stanie robić różne rzeczy z komputerami, jeśli dasz mu pieniądze, co trochę je przerażało, bo wiecznie mówił o gliniarzach i jak to nie musi się ich bać.

Rydell kiwał głową, machinalnie przerzucając kilka następnych tatuaży — tej damulki z różowymi goździkami biegnącymi w dół krocza — lecz w rzeczywistości słuchał własnych myśli. Hernandez był IntenSecure, „Morrisey" to IntenSecure, Warbaby był IntenSecure, Freddie powiedział, że DatAmerica i IntenSecure to jedno i to samo…

— …Żądzy…

Rydell zamrugał. Chuderlawy gość ze smutną podobizną J.D.Shapely'ego na piersi. Każdy byłby smutny, gdyby włosy wyrastały mu z oczu.

— Co?

— Republika. Republika Żądzy.

— Cóż to takiego?

— To dlatego Lowell mówi, że gliniarze nigdy nic mu nie zrobią, ale ja powiedziałam mu, że ma pomieszane we łbie.

— Hackerzy — mruknął Rydell.

— Nie słyszałeś ani słowa z tego, co mówiłam.

— Nie — rzekł Rydell — to nieprawda. Żądza. Republika. Powtórz to jeszcze raz, dobrze?

Wzięła pilota, włączyła ogoloną głowę ze słońcem na samym czubku i planetami orbitującymi aż do uszu, dłoń z rozdziawionymi ustami na grzbiecie, stopę pokrytą niebiesko-zielonymi gadzimi łuskami.

— Mówiłam, że Lowell pieprzy o tym, jak to jest powiązany z Republiką Żądzy, że oni wszystko wyciągną z komputerów, więc każdy, kto mu wejdzie w drogę, pożałuje.

— Nie gadaj — zainteresował się Rydell. — Widziałaś ich kiedyś?

— Ich się nie spotyka — odparła — nie żywych. Można z nimi tylko porozmawiać przez telefon. Albo zakładając gogle; to jest najgorsze.

— Dlaczego?

— Bo wyglądają jak homary lub inne gówna. Albo gwiazdy telewizji. Cokolwiek. Sama nie wiem, dlaczego ci o tym mówię.

— Ponieważ inaczej zasnąłbym i jak moglibyśmy zdecydować, czy chcemy mieć stopy w łuskach czy goździki w kroku?

— Teraz twoja kolej — stwierdziła i siedziała, czekając, aż zacznie.

Powiedział jej, że jest z Knoxville i skończył akademię, że zawsze oglądał „Gliniarzy w opałach", a kiedy został gliniarzem i wpakował się w tarapaty, wyglądało na to, że sam zostanie gwiazdą tego programu. Ściągnęli go do Los Angeles, ponieważ nie chcieli, by dorosłe ofiary satanistów odebrały im widzów, ale potem zaczęły się te morderstwa Pooky Bear i jakby stracili zainteresowanie, więc musiał przejść do IntenSecure i jeździć Gunheadem. Opowiedział jej o Subletcie i mieszkaniu wynajmowanym razem z Kevinem Tarkovskym w Mar Vista, ledwie napomykając o tej historii z Republiką Żądzy i tej nocy, kiedy wjechał Gunheadem do rezydencji Schonbrunna w Benedict Canyon. O tym, jak Hernandez przyszedł do niego po paru dniach, które wydawały się latami, i oznajmił, że znalazł mu zajęcie — tak został kierowcą Warbaby'ego. Chciała wiedzieć, czym się zajmują łowcy skalpów, więc wyjaśnił jej, co powinni, a co jego zdaniem naprawdę robią, a wtedy stwierdziła, że wyglądają na niezbyt sympatycznych facetów.

Kiedy skończył, tylko spojrzała na niego.

— To wszystko? W ten sposób znalazłeś się tu i tym się zajmujesz?

— Taak — odparł. — Chyba tak.

— Jezusie — powiedziała. Lekko potrząsnęła głową. Oboje patrzyli na przesuwające się na ekranie wzory pokrywające całe ciało, jedne z nich w formie staromodnych obwodów drukowanych.

— Twoje oczy — powiedziała i ziewnęła — są jak dwie dziury wysikane w śniegu.

Ktoś zapukał do drzwi. Uchyliły się odrobinę i ktoś, nie ten facet podzwaniający przy chodzeniu, zapytał:

— Udało wam się wybrać jakiś wzór? Henry poszedł do domu…

— Po prostu trudno nam zdecydować — odrzekła Chevette Washington — jest ich tak wiele, a chcemy wybrać odpowiedni.

— Doskonale — stwierdził znudzony głos. — Szukajcie dalej.

— Pokaż mi te okulary — powiedział Rydell.

Sięgnęła i podniosła kurtkę. Wyjęła futerał z okularami i telefon. Podała mu szkła. Futerał był zrobiony z jakiegoś ciemnego materiału, cienkiego jak skorupa jajka, twardego jak stal. Otworzył. Okulary wyglądały dokładnie tak jak te Warbaby'ego. Grube czarne oprawki, szkła zupełnie ciemne. Dziwnie się je trzymało — były nieoczekiwanie ciężkie.

Chevette otworzyła panel telefonu.

— Hej — powiedział Rydell. — Na pewno znają ten numer.

Spróbujesz gdzieś zadzwonić, a nawet odebrać rozmowę, a będą tu za dziesięć minut.

— Tego numeru nie mają — odparła. — To jeden z telefonów Codesa. Zabrałam go ze stolika, kiedy zgasło światło.

— Zdaje się, że powiedziałaś, że nie kradniesz.

— No cóż — mruknęła — jeśli miał go Codes, to oznacza, że już był skradziony. Codes wymienia je z ludźmi w mieście, a Lowell załatwia kogoś, kto je podłącza i zmienia numery. — Postukała w panel i przyłożyła słuchawkę do ucha. — Głuchy — stwierdziła, wzruszając ramionami.

— Daj — powiedział Rydell, kładąc okulary na udach i biorąc telefon. — Może zamoczył się albo przekrzywiła się bateria. Na co wymienia je Codes?

Przesunął kciukiem po tylnej ściance aparatu, szukając miejsca, gdzie się go otwiera.

— No… na różne rzeczy.

Odchylił denko. Obok baterii zobaczyła ciasny zwitek hermetycznego woreczka. Plastik wypchnął baterię z gniazda. Rydell wyjął woreczek i rozwinął go.

— Takie rzeczy?

— Yhm.

— Tym handluje?

— Yhm.

Spojrzał na nią.

— Jeśli to jest 4-tiobuskalina, to ściśle kontrolowana substancja.

Popatrzyła na woreczek szarawego proszku, a potem na niego.

— Przecież już nie jesteś policjantem.

— Ty nie handlujesz tym, prawda?

— Nie. No, zdarzyło mi się raz czy dwa. Lowell robił to czasem.

— Cóż, nie rób tego, kiedy jesteś ze mną, bo ja widziałem, co to wyprawia z człowiekiem. Miłym, normalnym ludziom, którzy zażyją trochę tego świństwa, zupełnie odbija szajba. — Postukał palcem w woreczek. — Jest tego dość, żeby kilku ludziom popieprzyć w głowach tak, że nie uwierzyłabyś.

Oddał jej woreczek i podniósł telefon, usiłując włożyć baterię na miejsce.

— Widziałam — powiedziała. — Widziałam, co to zrobiło z Lowellem…

— Jest sygnał — przerwał jej. — Do kogo chcesz zadzwonić?

Zastanowiła się, a potem wzięła telefon i zamknęła panel.

— Chyba nie mam do kogo.

— Ten stary ma telefon?

— Nie — odparła i skuliła się. — Boję się, że i jego zabili. Przeze mnie…

Rydell nie wiedział, co na to powiedzieć. Był zbyt zmęczony, żeby przerzucać obrazy. Jakiś facet z flagą konfederatów na ramieniu. Zupełnie jak w domu. Zerknął na nią. Nie wyglądała na równie zmęczoną jak on. Tak to jest być młodym, pomyślał. Miał szczerą nadzieję, że nie była na lodzie, pląsie, ani innym świństwie. Może po prostu jeszcze nie minął jej szok. Powiedziała, że Sammy został zabity, a obawia się o życie dwóch innych. Najwyraźniej znała tego faceta, który wjechał rowerem na plecy Svobodova, ale jeszcze nie wiedziała, że go zabili. Zabawne jak wielu rzeczy nie zauważa się podczas walki. No cóż, nie widział powodu, żeby jej o tym mówić, nie teraz.

— Spróbuję zadzwonić do Fontaine'a — powiedziała, znów otwierając telefon.

— Do kogo?

— Naprawia Skinnerowi elektrykę i inne rzeczy.

Wybrała numer, przyłożyła słuchawkę do ucha. Zamknął oczy i tak mocno uderzył głową o oparcie kanapy, że prawie się obudził.

27
Po burzy

— Śmierdzi szczynami — rzekł z wyrzutem Skinner, budząc Yamazakiego ze snu, w którym ten stał obok J.D. Shapely'ego na rozległej mrocznej równinie, przed czarną i nie kończącą się ścianą, zapisaną imionami zmarłych.

Yamazaki podniósł głowę. Ciemny pokój. Światło wpadające przez owalne okno.

— Co ty tu robisz, Scooter?

Yamazakiego bolały pośladki i krzyż.

— Burza — powiedział, jeszcze na pół we śnie.

— Jaka burza? Gdzie dziewczyna?

— Nie ma jej. Nie pamiętasz? Loveless?

— O czym ty mówisz? — Skinner dźwignął się na jednym łokciu, wykopując się spod koców i śpiwora, z obrzydzeniem krzywiąc pokrytą siwą szczeciną twarz. — Potrzebna mi kąpiel. Suche rzeczy.

— Loveless. Znalazł mnie w barze. Zmusił, żebym go tu przyprowadził. Pewnie śledził mnie wcześniej, kiedy stąd wychodziłem i…

— Jasne. Zamknij się, Scooter, dobrze? — Yamazaki zamknął usta. — Teraz potrzebujemy trochę wody. Gorącej. Najpierw na kawę, a potem, żebym mógł się umyć. Wiesz, jak zapalić kuchenkę Colemana?

— Co?

— Tę zieloną rzecz tam, z czerwonym zbiornikiem z przodu. Spróbuj otworzyć, a ja powiem ci, jak go napompować.

Yamazaki wstał, krzywiąc się z bólu w krzyżu, po czym pokuśtykał w kierunku pomalowanego na zielono pudełka, które wskazał mu Skinner.

— Znów poszła pieprzyć się z tym swoim wybrylantynowanym chłopakiem. Nie ma z niej żadnego pożytku, Scooter…

Stał na dachu budki Skinnera, z nogawkami łopoczącymi na wietrze, który nie nosił śladów niedawnej burzy, spoglądając na miasto oblane dziwnym stalowym blaskiem, wciąż mając w oczach oderwane strzępy snu… Shapely przemówił do niego głosem młodego Elvisa Presleya. Powiedział, że przebaczył swoim zabójcom. Yamazaki spojrzał na sterczący róg Transamerica, obandażowany stalową opaską założoną po „Little Grande", znów słysząc głos ze snu. „Oni po prostu nie wiedzieli, co czynią". Skinner klął, na dole, myjąc się gąbką namoczoną w wodzie podgrzanej na Colemanie. Yamazaki pomyślał o

swoim promotorze z uniwersytetu w Osace.

— Mam to w nosie — powiedział po angielsku do San Francisco.

Całe to miasto to Thomasson. Może cała Ameryka to Thomasson. Jak oni mogli pojąć to w Osace, w Tokio?

— Hej, tam na dachu! — zawołał ktoś. Yamazaki odwrócił się i zobaczył czarnoskórego mężczyznę na szczycie plątaniny wsporników otaczających górny koniec windy Skinnera. Nieznajomy miał na sobie gruby tweedowy płaszcz i szydełkową czapeczkę. — Nic się wam nie stało? Jak się ma Skinner?

Yamazaki zawahał się, wspomniawszy Lovelessa. Jeśli Skinner lub ta dziewczyna mają wrogów, to jak ich rozpoznać?

— Jestem Fontaine — powiedział tamten. — Chevette zadzwoniła do mnie, kazała mi tu przyjść i sprawdzić, czy Skinner przetrwał burzę. Zajmuję się tu przewodami, dbam o to, żeby jego winda chodziła.

— Kąpie się teraz — rzekł Yamazaki. — Podczas burzy trochę się… pogubił. Zdaje się niczego nie pamiętać.

— Za pół godziny podłączę wam prąd. Chciałbym móc to samo powiedzieć wszystkim. Poszły cztery transformatory. Mamy pięciu zabitych i słyszałem o dwudziestu rannych. Skinner ma kawę?

— Tak.

— Chętnie wypiłbym filiżankę.

— Tak, proszę — rzekł Yamazaki i skłonił się. Czarnoskóry uśmiechnął się. Yamazaki pospiesznie zszedł po drabince. — Skinner-san! Mężczyzna nazwiskiem Fontaine, to pana przyjaciel?

Skinner wciskał się w pożółkłą przeciwpotną bieliznę.

— Beznadziejny partacz. Nadal nie ma prądu…

Yamazaki odsunął zasuwkę włazu i otworzył go. Po dłuższej chwili na dole pojawił się Fontaine, niosąc w obu rękach zniszczone torby na narzędzia. Postawiwszy jedną na podeście, a drugą zarzuciwszy na ramię, zaczął wchodzić.

— Poszły ogniwa — powiedział Skinner, gdy Fontaine wszedł przez właz, wpychając przed sobą torbę. Stary miał na sobie co najmniej trzy flanelowe koszule, nierówno powpychane za pasek wiekowych, wełnianych, wojskowych spodni.

— Pracujemy nad tym, szefie — rzekł Fontaine, wstając i wygładzając płaszcz. — Mieliśmy naprawdę silną burzę.

— Tak mówi Scooter.

— No, nie wciska ci kitu, Skinner. Dzięki. — Fontaine wziął kubek z czarną kawą i podmuchał na nią. Spojrzał na Yamazakiego.

— Chevette mówi, że pewnie nie wróci tu przez jakiś czas. Wiesz coś o tym?

Yamazaki zerknął na Skinnera.

— Nie ma z niej żadnego pożytku — rzekł Skinner. — Znów

poszła z tym zasraricem.

— Niczego takiego nie mówiła. W ogóle nic nie mówiła. Jednak jeśli nie pojawi się tu przez jakiś czas, będziesz potrzebował kogoś, kto zaopiekuje się tobą.

— Sam sobie poradzę.

— Wiem o tym, szefie — zapewnił Fontaine — ale w twojej windzie jest kilka usmażonych serwomechanizmów. Naprawienie ich zajmie mi kilka dni, przy całym tym zamieszaniu, jakie tu mamy. Potrzebujesz kogoś, kto będzie wchodził i schodził po schodkach. Przynosił ci jedzenie i wszystko.

— Scooter może to robić.

Yamazaki zamrugał oczami.

— Tak? — Fontaine uniósł brwi, patrząc na Yamazakiego. — Zostanie pan tu i zajmie się Skinnerem?

Yamazaki pomyślał o swoim wynajętym mieszkaniu w wysokim wiktoriańskim domu, o czarnej marmurowej łazience większej od jego kawalerki w Osace. Powiódł wzrokiem od Fontaine'a do Skinnera, a potem z powrotem.

— Jeśli Skinner-san sobie życzy, będzie to dla mnie zaszczyt.

— Rób jak chcesz — rzekł Skinner i zaczął metodycznie zdejmować pościel z łóżka.

— Chevette mówiła mi, że może pan tu być — rzekł Fontaine.

— Wspominała o jakimś facecie z uniwersytetu… — Odstawił kubek na stół, pochylił się i postawił obok niego swoją torbę z narzędziami. — Powiedziała, że możecie mieć kłopoty z nieproszonymi gośćmi. — Rozpiął dwie klamry spinające torbę i otworzył ją. Błysnęły narzędzia, rolki taśmy izolacyjnej. Wyjął jakiś przedmiot owinięty naoliwioną szmatą, upewnił się, że Skinner nie patrzy, i wepchnął to za szklane słoiki na półce nad stołem. — Postaramy się, żeby przez kilka następnych dni nikt nieznajomy nie dostał się tu na górę — powiedział do Yamazakiego, ściszając głos. — Jednak to jest 38 Special, sześć kul z wydrążonymi czubkami. Gdybyś go użył, to oddaj mi przysługę i wrzuć go do zatoki, dobrze? Jest, hm… — uśmiechnął się Fontaine — niewiadomego pochodzenia.

Yamazaki pomyślał o Lovelessie. Przełknął ślinę.

— Wytrzymacie tu jakoś?

— Tak — odparł Yamazaki. — Tak, dziękuję.

28
Van

Była dziesiąta trzydzieści, zanim w końcu musieli wyjść na ulicę i tylko dlatego, że Laurie, którą Chevette poznała, kiedy przyszła tu pierwszy raz, powiedziała, że niebawem pojawi się kierownik, Benny Singh, więc nie mogą tu dłużej zostać, szczególnie, że jej przyjaciel wygląda, jakby zemdlał. Chevette powiedziała, że rozumie i podziękowała jej.

— Jak zobaczysz Sammy'ego Sala — powiedziała Laurie — pozdrów go ode mnie.

Chevette ze smutkiem kiwnęła głową i zaczęła potrząsać facetem. Zamruczał i próbował odepchnąć jej dłoń.

— Obudź się. Musimy iść.

Nie mogła uwierzyć, że opowiedziała mu to wszystko, ale po prostu musiała to z siebie wyrzucić, żeby nie zwariować. Chociaż mówienie o tym niczego nie rozwiązało, a po gadce Rydella wszystko wydawało się jeszcze bardziej skomplikowane. Wiadomość o tym, że ktoś wziął i zamordował tego dupka, wydawała się nierealna, lecz jeśli tak się stało, to chyba wdepnęła głębiej w gówno niż kiedykolwiek.

— Zbudź się!

— Jezu… — Wstał, przecierając oczy.

— Musimy iść. Wkrótce przyjdzie kierownik. Moja znajoma dała ci trochę pospać.

— Dokąd idziemy?

Chevette myślała już o tym.

— Na Cole, obok Patelni, są miejsca, gdzie wynajmują pokoje na godziny.

— Hotele?

— Niezupełnie — powiedziała. — Dla ludzi, którzy potrzebują łóżka tylko na chwilę.

Sięgnął za kanapę po swoją kurtkę.

— Spójrz na to — powiedział, wtykając palce w rozdarcie na ramieniu. — Wczoraj była zupełnie nowa.

Okolica, ożywająca głównie nocą, rano wyglądała odrażająco. Nawet żebracy wyglądali jeszcze gorzej o tej porze, tak jak ten gość z wrzodami, próbujący sprzedać pół puszki sosu do spaghetti. Obeszła go z daleka. Przecznicę czy dwie dalej zaczęli napotykać pierwszych przechodniów podążających w kierunku Skywalker Park; w tłumie było bezpieczniej, ale i więcej glin. Usiłowała przypomnieć sobie, czy ochroniarze Skywalker są z IntenSecure, tej firmy, o której mówił

Rydell. Zastanawiała się, czy Fontaine poszedł do Skinnera, tak jak obiecał. Nie chciała zbyt wiele mówić przez telefon, więc najpierw powiedziała, że przez jakiś czas jej nie będzie, więc może Fontaine mógłby pójść zobaczyć, jak czuje się stary i ten japoński student, który kręcił się koło niego ostatnio. Jednak Fontaine wyczuł niepokój w jej głosie, więc zaczął ją naciskać i powiedziała mu, że martwi się o Skinnera, bo pewni ludzie mogą przyjść i zrobić mu krzywdę.

— Chyba nie mówisz o ludziach z mostu — rzekł, a ona odparła, że nie, ale nic więcej nie może powiedzieć. Milczeli przez kilka sekund i w tle słyszała śpiew jednego z dzieciaków Fontaine'a, afrykańską piosenkę z tymi niesamowitymi gardłowymi głoskami. — Dobrze — powiedział w końcu Fontaine — zrobię to dla ciebie.

Chevette pospiesznie podziękowała mu i rozłączyła się. Fontaine oddawał wiele przysług Skinnerowi. Nigdy nie mówił o tym z Chevette, ale wydawało się, że zna Skinnera od zawsze, a przynajmniej od kiedy stary zamieszkał na moście. Wielu ludzi lubiło go i Chevette wiedziała, że Fontaine może załatwić, że będą non stop obserwowali wieżę i windę Skinnera, wypatrując obcych. Ludzie na moście pomagali sobie wzajemnie, a Fontaine'owi chętnie oddadzą przysługę jako jednemu z najlepszych elektryków.

Teraz przechodzili obok tego sklepu mającego na zewnątrz rodzaj żelaznej klatki zespawanej z kawałków złomu, gdzie można było usiąść przy stoliczku, wypić kawę i zjeść precla. Chevette skręciło z głodu od zapachu świeżego pieczywa. Właśnie myślała, że może powinni zajść tam i wziąć do torebki tuzin precli i trochę sera, na wynos, kiedy Rydell położył dłoń na jej ramieniu. Obróciła głowę i zobaczyła ten wielki, lśniący van, który tuż przed nimi skręcił na Haight i jechał w ich kierunku. Tak jeździli bogaci starzy ludzie w Oregonie, całymi kawalkadami, ciągnąc na lawetach motorówki, małe dżipy lub motocykle przyczepione z tyłu jak łodzie ratunkowe. Na noc zatrzymywali się na tych specjalnych kempingach otoczonych drutem kolczastym, gdzie były psy i znaki WSTĘP WZBRONIONY, których należało przestrzegać.

Rydell patrzył na tego vana, jakby nie wierzył własnym oczom. Samochód zatrzymał się przy nich, a jakaś siwowłosa dama opuściła szybę i wychyliła się z okienka po stronie kierowcy, mówiąc:

— Młodzieńcze! Przepraszam, jestem Danica Elliott i mam wrażenie, że spotkaliśmy się wczoraj w samolocie z Burbank.

Danica Elliott była emerytką z Altadeny w SoCal i powiedziała, że przyleciała do San Francisco tym samym samolotem co Rydell, żeby przenieść męża do innego modułu kriogenicznego. No, właściwie nie męża, lecz jego mózg, zamrożony po śmierci.

Chevette słyszała, że ludzie tak robią, chociaż nie potrafiła pojąć dlaczego i najwidoczniej Danica Elliott także tego nie rozumiała.

Jednak powiedziała, że przyleciała tu narażać się na dalsze straty i przenieść mózg jej męża Davida do jeszcze droższego zakładu, gdzie będą trzymać go w osobnym pojemniku, a nie ze stertą innych zamrożonych mózgów, tak jak dotychczas. Sprawiała na Chevette wrażenie naprawdę miłej starszej pani, ale mogła gadać o tym bez końca, więc po chwili Rydell po prostu jechał i kiwał głową, udając, że słucha, a Chevette, która go pilotowała, skupiła całą uwagę na mapie wyświetlonej na desce rozdzielczej vana i wypatrując policyjnych radiowozów.

Pani Elliott dopilnowała przenosin mężowskiego mózgu poprzedniego wieczoru i powiedziała, że poczuła się tak wzruszona, że postanowiła wynająć ten van i wrócić nim do Altadeny, nie spiesząc się i rozkoszując podróżą. Problem w tym, że nie znała San Francisco, więc kiedy rano odebrała ten samochód z wypożyczalni, nie potrafiła znaleźć wyjazdu na autostradę. Zaczęła krążyć po Haight, która jej zdaniem nie wyglądała na bezpieczną okolicę, ale na pewno była bardzo interesująca.

Wolna bransoletka kajdanek wciąż wysuwała się z rękawa kurtki Skinnera, ale kobieta była zbyt zajęta rozmową, żeby to zauważyć. Rydell prowadził, Chevette siedziała w środku, a pani Elliott po stronie pasażera. Van był japońskiej produkcji i miał z przodu trzy automatycznie regulowane fotele z głośnikami wbudowanymi w zagłówki.

Pani Elliott wyznała Rydellowi, że zgubiła się, więc może on zna miasto i mógłby wyprowadzić ją gdzieś, skąd będzie mogła wyjechać na autostradę do Los Angeles. Rydell gapił się na nią przez chwilę, a potem otrząsnął się i powiedział, że nazywa się Berry Rydell i chętnie to zrobi wraz z przyjaciółką Chevette, która zna miasto. Pani Elliott odpowiedziała, że Chevette to śliczne imię. Dlatego wyjeżdżali teraz z San Francisco, a dziewczyna podejrzewała, że Rydell zamierza namówić panią Elliott, żeby zabrała ich ze sobą. Sama też nie potrafiła wymyślić nic lepszego, bo w ten sposób zmywali się z ulicy i zostawiali za sobą faceta, który zastrzelił Sammy'ego, a także tego Warbaby'ego i rosyjskich gliniarzy, co wydawało jej się niezłym pomysłem, więc poza tym, że ssało ją z głodu w żołądku, poczuła się trochę lepiej. Rydell przejechał obok lokalu „In-and-Out Burger” i Chevette przypomniała sobie, jak Franklin — chłopak, którego znała w Oregonie — poszedł i rozbił z wiatrówki litery B oraz R tego neonu, tak że powstał napis „In-and-Out urge”. Opowiedziała o tym Rydellowi, ale nie uznał tego za zabawne. Przypomniała sobie, co nagadała mu o Lowellu i pomyślała, że marny byłby jej los, gdyby ten kiedykolwiek dowiedział się o tym, bo przecież Rydell prawie gliniarz. Jednak Lowell zaniepokoił ją poprzedniego wieczoru. Siedział sobie, spokojny i wydawał się zadowolony ze swoich powiązań i

wszystkiego, a kiedy ona powiedziała mu, że ktoś przed chwilą zastrzelił Sammy'ego Sala i na pewno chce załatwić i ją, to on i Codes tylko siedzieli tam, popatrując na siebie, jakby ta historia coraz mniej im się podobała. A potem wszedł ten wielki pieprzony glina w prochowcu i o mało co nie posrali się ze strachu. Dobrze jej tak. Nikt z jej znajomych nie przepadał za Lowellem, a Skinner nienawidził go jak zarazy. Powiedział, że Lowell trzyma łeb tak głęboko we własnej dupie, że równie dobrze mógłby wejść tam cały i zniknąć. Jednak ona jeszcze nigdy tak naprawdę nie miała chłopca, a Lowell z początku był taki miły. Gdyby tylko nie zaczął obracać pląsem, bo wtedy szybko zaczął wyłazić z niego dupek, a Codes, który nigdy jej nie lubił, podpuszczał go, żeby nazywał ją dziewuchą ze wsi. Pieprzyć to.

— Wiesz co — powiedziała — jeśli zaraz czegoś nie zjem, to chyba umrę.

A pani Elliott zaczęła nalegać, że Rydell ma natychmiast stanąć i kupić Chevette coś do jedzenia, przepraszając, że nie zapytała ich, czy zjedli śniadanie.

— Hmm — rzekł Rydell, marszcząc brwi w lusterku — wolałbym wydostać się stąd przed porannym szczytem…

— Och — powiedziała pani Elliott, ale zaraz rozpromieniła się. — Chevette, moja droga, jeśli przejdziesz do tyłu, znajdziesz tam lodówkę. Jestem pewna, że ludzie z wypożyczalni wstawili tam koszyk z przekąskami. Prawie zawsze tak robią.

To brzmiało kusząco. Chevette odpięła pasy i przecisnęła się między fotelem swoim i pani Elliott. Dotarła do drzwiczek, a kiedy przez nie przeszła, zapaliło się światło.

— Hej! — zawołała. — To cały dom!

— Dobrej zabawy! — powiedziała pani Elliott.

Światło pozostało zapalone, kiedy Chevette zamknęła za sobą drzwi. Nigdy przedtem nie była w środku takiego samochodu, więc pierwsze o czym pomyślała, to że jest prawie tak duży jak pokój Skinnera, tylko dziesięć razy wygodniejszy. Wszystko tu było szare: szara wykładzina, szary plastik i szara sztuczna skóra. Lodówką okazało się to sprytne małe urządzenie wbudowane w szafkę, a w środku był koszyk owinięty w folię zawiązaną wstążką. Zdjęła folię i znalazła wino, serki, jabłko, gruszkę, krakersy i kilka batonów czekoladowych. W lodówce była także cola i butelkowana woda. Chevette usiadła na łóżku i zjadła ser, kilka krakersów, batonik czekoladowy zrobiony we Francji, po czym popiła to wodą z butelki. Później włączyła telewizor, który miał dwadzieścia trzy kanały satelitarne. Kiedy skończyła, wrzuciła pustą butelkę, papiery i śmieci do małego kosza wbudowanego w ścianę, wyłączyła telewizor, zdjęła buty i wyciągnęła się na łóżku. Czuła się dziwnie, leżąc w pokoiku jadącym nie wiadomo dokąd; Chevette zastanawiała się, gdzie znajdą

się jutro. Tuż przed zaśnięciem przypomniała sobie, że w kieszeni spodni wciąż ma torebkę z pląsem Codesa. Lepiej się tego pozbyć. Było tego dość, żeby pójść do więzienia. Pomyślała o tym, co ten narkotyk wyprawia z ludźmi i jakie to dziwne, że niektórzy wydają na to wszystkie pieniądze. Naprawdę, wolałaby, żeby Lowell tego nie robił.

Obudziła się, kiedy położył się obok niej; van jechał, ale wiedziała, że musiał wcześniej stanąć. Było ciemno.

— Kto prowadzi?

— Pani Armbruster.

— Kto?

— Pani Elliott. Pani Armbruster to nauczycielka, która mnie uczyła; była do niej podobna.

— Dokąd ona jedzie?

— Do Los Angeles. Powiedziałem, że ją zmienię, kiedy się zmęczy. Prosiłem, żeby nie budziła nas przy przekraczaniu granicy stanu. Kiedy taka starsza pani jak ona powie im, że nic nie przewozi, pewnie przepuszczają, nawet nie zaglądając do środka.

— A jeśli zajrzą?

Leżał dostatecznie blisko niej na tym wąskim łóżku, żeby wyczuła, jak wzruszył ramionami.

— Rydell?

— Hmm?

— Dlaczego są głównie rosyjscy policjanci?

— Co masz na myśli?

— Kiedy oglądasz telewizję, na przykład jakiś kryminał, połowa policjantów to zawsze Rosjanie. Albo ci faceci na moście. Dlaczego Rosjanie?

— No cóż — odparł — w telewizji trochę przesadzają, przez organizację i ze względu na widzów, którzy w taki sposób chcą to widzieć. Jednak rzecz w tym, że skoro Rosjanie kierują większością mafijnych działań, to potrzebujemy też rosyjskich policjantów…

Usłyszała, jak ziewnął, i poczuła, że przeciągnął się.

— Czy wszyscy są tacy jak ci dwaj w „Dysydentach”?

— Nie — odparł. — Zawsze trafiają się skorumpowani gliniarze, ale tak to już jest…

— Co zrobimy, kiedy dojedziemy do Los Angeles?

Jednak on już nie odpowiedział, a po chwili zaczął chrapać.

29
Nieczynne centrum handlowe

Rydell otworzył oczy. Pojazd nie jechał. Podsunął timexa pod nos i nacisnął przycisk oświetlacza. 3:15 po południu. Chevette Washington skuliła się obok niego w tej motocyklowej kurtce. Wyglądało to tak, jakby spał obok podniszczonego bagażu. Przetoczył się na bok, znalazł roletę na oknie obok i podniósł ją odrobinę. Równie ciemno jak w środku.

Śniła mu się lekcja z panią Armbruster, w piątej klasie szkoły podstawowej Olivera Northa. Mieli ich puścić do domu, ponieważ LeamingNet ogłosiła, że wobec groźby epidemii kansaskiego zapalenia płuc nie należy w tym tygodniu trzymać w szkołach dzieci z Wirginii i Tennessee. Wszyscy mieli na twarzach te wypukłe papierowe maski, które pielęgniarki zostawiły im rano na ławkach. Pani Armbruster właśnie wyjaśniła im znaczenie słowa „pandemia". Poppy Markoff, która siedziała obok niego i miała już wielkie cycki, powiedziała pani Armbruster, że według jej taty KZP zabije każdego, nim zdąży dojść do autobusu. Nauczycielka, w swojej mikroporowej masce kupionej w drugstorze, zaczęła omawiać słowo „panika", wywodząc je od wspólnego rdzenia z „pandemią", ale w tym momencie Rydell obudził się.

Usiadł na łóżku. Bolała go głowa i czuł się chory. KZP. A może gorączka Mokola.

— Nie panikuj — powiedział do siebie pod nosem.

Jednak nie opuszczały go niedobre przeczucia. Wstał i poszukał drogi wyjścia. Spod drzwiczek sączyła się smuga światła. Znalazł klamkę. Uchylił drzwi.

— Cześć. — Złoty uśmiech. Kanciasty pistolet automatyczny wycelowany w oko Rydella. Facet obrócił fotel i odchylił go do tyłu. Położył buty na środkowym siedzeniu. Przyciemnił światło pod sufitem.

— Gdzie pani Elliott?

— Poszła sobie.

Rydell szerzej otworzył drzwi.

— Pracuje dla ciebie?

— Nie — odparł mężczyzna. — Ona jest z IntenSecure.

— Wsadzili ją do samolotu, żeby mnie pilnowała?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Rydell zauważył, że lufa broni nawet nie drgnęła przy tym geście. Facet miał na rękach gumowe rękawiczki i ten sam długi płaszcz, w którym wysiadł z samochodu Rosjan — australijską pelerynę z czarnego mikroporu.

— Jak udało jej się trafić na nas przed salonem tatuażu?

— Warbaby przydaje się na coś. Miał w odwodzie jeszcze paru ludzi.

— Nikogo nie zauważyłem.

— Nie miałeś zauważyć.

— Powiedz mi coś — rzekł Rydell. — To ty załatwiłeś tego Blixa w hotelu?

Mężczyzna spojrzał na niego nad lufą pistoletu. Taki mały kaliber zwykle nie powodował większych obrażeń, więc Rydell domyślił się, że amunicja została odpowiednio spreparowana.

— Nie wiem, po co chcesz to wiedzieć.

Rydell zastanowił się.

— Widziałem zdjęcie. Nie wyglądasz na szaleńca.

— To moja praca.

Yhm, pomyślał Rydell, równie dobrze można by gadać z komputerem. Po prawej stronie drzwi była lodówka i zlew, więc nie mógł uskoczyć w tę stronę. Gdyby skoczył w lewo, facet pewnie przestrzeliłby ściankę i mógłby trafić nie tylko jego, ale i dziewczynę.

— Nawet o tym nie myśl.

— O czym?

— O bohaterstwie. To policyjne gówno. — Zdjął buty ze środkowego fotela. — Wejdź tu. Powoli. Bardzo powoli. Siądź na tym fotelu i połóż ręce na kierownicy. Na dziewiątej i drugiej godzinie. Trzymaj je tam. Jeżeli nie, wpakuję ci kulę za prawe ucho. Nawet tego nie usłyszysz.

Mówił powoli i monotonnie, w sposób przypominający Rydellowi weterynarza uspokajającego konia. Rydell wykonał polecenie. Nie widział nic na zewnątrz. Tylko mrok i refleksy awaryjnego światła.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał.

— Lubisz centra handlowe, Rydell? Macie takie coś w Knoxville? — Rydell zerknął na niego z ukosa. — Patrz przed siebie, proszę.

— Taak, mamy centra handlowe.

— Temu nie poszło najlepiej. — Rydell ścisnął piankową wyściółkę kierownicy. — Spokojnie. — Mężczyzna kopnął piętą w ściankę. — Panno Washington! Niech pani wzejdzie i zaświeci! Proszę zaszczycić nas swoją obecnością.

Rydell usłyszał podwójne stuknięcie, gdy podskoczyła, wyrwana ze snu, uderzyła głową w sufit i spadła z łóżka. Potem zobaczył jej pobladłą twarz odbitą w szybie. Widział, że zobaczyła mężczyznę i broń.

Nie należała do tych, które wrzeszczą.

— Zastrzelił pan Sammy'ego Sala — powiedziała.

— Próbowałaś załatwić mnie prądem — odparł mężczyzna, jakby

mógł sobie teraz pozwolić na poczucie humoru. — Wejdź tu, obróć się i usiądź na środkowej konsoli. Dobrze. Teraz pochyl się i oprzyj dłonie na siedzeniu.

Siadła obok Rydella, obejmując nogami konsolę, tyłem do przedniej szyby. Jakby jechała na jakiejś mechanicznej zabawce. Teraz przesunięcie lufy o centymetr wystarczyłoby facetowi, żeby strzelić każdemu z nich w głowę.

— Chcę, żebyś zdjęła kurtkę — powiedział jej — więc w tym celu będziesz musiała zdjąć ręce z fotela. Postaraj się to zrobić tak, żeby jedna z dłoni przez cały czas pozostała na siedzeniu. Nie spiesz się.

Kiedy w końcu zdołał strząsnąć jej kurtkę z lewego ramienia, upadła na jego nogi.

— Czy są tam jakieś igły, noże czy inne niebezpieczne narzędzia?

— Nie.

— A co z ładunkami elektrycznymi? To twoja specjalność.

— Tylko okulary tego dupka i telefon.

— Słyszysz, Rydell — powiedział — tego dupka. Tak zostanie w pamięci. Bezimienny. Jeszcze jeden bezimienny dupek…

Wolną ręką przetrząsał kieszenie kurtki. Wyjął futerał, telefon i położył je na szerokiej, miękkiej desce rozdzielczej vana. Rydell obrócił głowę i patrzył na niego, chociaż facet mu zabronił. Zobaczył, jak dłoń w rękawiczce otwiera futerał, wyjmuje czarne szkła. Tylko wtedy tamten spuścił go z oka, a i to tylko na ułamek sekundy.

— To one — powiedział Rydell. — Masz je.

Ręka schowała okulary z powrotem, zamknęła futerał.

— Tak.

— I co teraz?

Uśmiech zniknął. Bez niego mężczyzna wyglądał, jakby w ogóle nie miał warg. Potem wrócił, jeszcze szerszy i bardziej błyszczący.

— Możesz przynieść mi colę z lodówki? Wszystkie okna i drzwi z tyłu są zamknięte.

— Chcesz colę? — powiedziała z niedowierzaniem. — Zastrzelisz mnie, kiedy wstanę.

— Nie — powiedział. — Niekoniecznie. Chcę colę. Zaschło mi w gardle.

Obróciła głowę i spojrzała na Rydella szeroko otwartymi, wystraszonymi oczami.

— Przynieś mu tę colę — powiedział Rydell.

Wstała z konsoli i przecisnęła się do tyłu, ale tylko tuż za drzwi, gdzie stała lodówka.

— Patrz przed siebie — przypomniał Rydellowi. Zobaczył odbite w szybie światło padające z lodówki i pochylającą się nad nią Chevette.

— D-dietetyczna czy normalna?

— Dietetyczną proszę.

— Klasyczna czy bezkofeinowa?

— Klasyczna.

Wydał dziwny dźwięk, który zdawał się Rydellowi stłumionym śmiechem.

— Nie ma szklanek.

Znów ten sam odgłos.

— Wypiję z puszki.

— T-trochę rozlałam — powiedziała. — Trzęsą mi się ręce…

Rydell zerknął w bok, zobaczył, jak facet bierze czerwoną puszkę ze ściekającą po niej brązową colą.

— Dziękuję. Teraz możesz ściągnąć spodnie.

— Co?

— Te czarne spodnie, które masz na sobie. Zdejmij je, powoli. Lubię skarpetki. Możesz zostać w samych skarpetkach.

Rydell dostrzegł wyraz jej twarzy, odbitej w lusterku, a potem zobaczył, jak zastygła. Dziewczyna pochyliła się, ściągając spodnie.

— Teraz wracaj na konsolę. Dobrze. Tak jak przedtem. Niech na ciebie popatrzę. Ty też chcesz popatrzeć, Rydell?

Rydell obrócił się, spojrzał na siedzącą dziewczynę, jej gołe nogi gładkie i muskularne, zupełnie białe w nikłym świetle. Mężczyzna pociągnął łyk coli, obserwując go znad brzegu puszki. Odstawił ją na konsolę i otarł wargi wierzchem opiętej rękawiczką dłoni.

— Niezłe, no nie, Rydell? — Ruchem głowy wskazał na Chevette. — Jest na co popatrzeć, nie powiem. — Rydell spojrzał na niego. — Czy to cię niepokoi, Rydell?

Nie odpowiedział. Mężczyzna znów wydał ten dźwięk, który mógłby być śmiechem. Upił trochę coli.

— Myślisz, że załatwienie tego zasrańca w hotelu sprawiło mi przyjemność?

— Nie wiem.

— Tak myślisz. Wiem, sądzisz, że bawi mnie mokra robota. I tak było, naprawdę. A wiesz na czym polega różnica?

— Różnica?

— Nie stanął mi, kiedy to robiłem. Oto różnica.

— Znałeś go?

— Co?

— Pytam, czy miałeś coś przeciwko niemu, dlaczego to zrobiłeś?

— Och, można powiedzieć, że go dobrze znałem. Tak jak nikogo nie powinno się znać. Wiedziałem o wszystkim, co robił. Zasypiałem, słuchając jego oddechu. Doszło do tego, że mogłem powiedzieć, ile wypił, słysząc jego oddech.

— Pił?

— Tak. Był Serbem. Ty byłeś policjantem, prawda?

— Taak.

— Musiałeś kiedyś kogoś śledzić?

— Nie zaszedłem tak wysoko.

— To zabawne, kiedy się ich szpieguje. Podróżuje z nimi. Oni cię nie znają. Nie wiedzą, że tam jesteś. Och, domyślają się. Zakładają, że są pilnowani. Jednak nie wiedzą, kim jesteś. Czasem widzisz, jak przyglądają się komuś, na przykład w holu jakiegoś hotelu i wiesz, że uważają, iż zdemaskowali swego prześladowcę. Jednak zawsze się mylą. A kiedy ich tak pilnujesz, Rydell, przez kilka miesięcy, to zaczynasz ich kochać. — Rydell zobaczył, jak napięte białe uda Chevette Washington lekko zadrżały. — Jednak potem, po kilku następnych miesiącach, dwudziestu lotach, dwóch tuzinach hoteli, wszystko zaczyna się zmieniać…

— Już ich nie kochasz?

— Nie. Już nie. Zaczynasz czekać na to, że coś spieprzą. Chcesz, żeby zawiedli zaufanie. Ponieważ pełne zaufanie to w przypadku kuriera straszna rzecz. Straszna.

— Kuriera?

— Spójrz na nią, Rydell. Ona wie. Chociaż rozwozi tylko poufne papiery po San Francisco, jest kurierem. Ufają jej. Dane stają się namacalne. Ona je dostarcza. Przewozisz je, prawda, mała?

Nadal siedziała nieruchomo jak sfinks, wbijając białe palce w szare obicie środkowego fotela.

— To właśnie robię, Rydell. Patrzę, jak przewożą przesyłki. Pilnuję ich. Czasem jacyś ludzie próbują im je odebrać. — Dopił colę. — Zabijam tych ludzi. Prawdę mówiąc, to najlepsza część tej roboty. Byłeś kiedyś w San Jose, Rydell?

— W Kostaryce?

— Zgadza się.

— Nigdy.

— Tam ludzie wiedzą, jak żyć.

— Pracujesz dla banku danych.

— Nie powiedziałem tego. Ktoś inny musiał o tym donieść.

— On też dla nich pracował. Przewoził te okulary dla kogoś, z Kostaryki, a ona je zabrała.

— Ucieszyłem się z tego. Bardzo się ucieszyłem. Mieszkałem obok. Wszedłem przez drzwi łączące nasze pokoje. Przedstawiłem się. Spotkał Lovelessa. Po raz pierwszy i ostatni.

Lufa nie poruszyła się, ale drugą ręką zaczął drapać się po głowie. Czochrał się, jakby miał pchły.

— Lovelessa?

— Moje *nom. Nom de thing*. — Z jego ust popłynął potok stów, które Rydell uznał za hiszpańskie, ale zrozumiał tylko nombre de costam. — Myślisz, że ona ma ciasną, Rydell? Lubię właśnie takie.

— Jesteś Amerykaninem?

Lekko przechylił głowę, słysząc to pytanie, a jego oczy zamętniały na moment, lecz zaraz ożywiły się znowu, jasne jak chromowany pierścień wokół wylotu lufy.

— Wiesz, kto wymyślił ten bank danych, Rydell?

— Kartele. Kolumbijczycy.

— Zgadza się. Ściągnęli pierwsze systemy ekspertowe do Ameryki Środkowej w latach osiemdziesiątych, żeby koordynować transporty. Ktoś musiał im je zainstalować. Trwała wojna narkotykowa. Wielu Amerykanów było po drugiej stronie barykady.

— No — powiedział Rydell — teraz robimy tu własne narkotyki, no nie?

— Jednak oni mają bank danych. Nie potrzebują już narkobiznesu. Są tym, czym kiedyś była Szwajcaria. Jedynym miejscem na świecie, gdzie ludzie przechowują to, czego nie mogą schować nigdzie indziej.

— Jesteś chyba trochę za młody, żebyś to ty im w tym pomógł.

— Mój ojciec. Znasz swojego ojca, Rydell?

— Jasne.

Przynajmniej do pewnego stopnia.

— Ja nie. Przez to musiałem poddać się długotrwałej terapii.

Cieszę się, że dała wyniki, pomyślał Rydell.

— A Warbaby też pracuje dla banku danych?

Na czole mężczyzny perlił się pot. Otarł go grzbietem dłoni, w której trzymał pistolet, ale natychmiast ponownie wycelował w Rydella.

— Włącz światła, Rydell. Powoli. Zdejmij lewą rękę z kierownicy.

— Dlaczego?

— Dlatego, że będziesz martwy, jeśli tego nie zrobisz.

— W porządku, ale po co?

— Zrób to, dobrze?

Pot zalewał mu oczy. Rydell zdjął lewą rękę z kierownicy, włączył światła, przełączył na długie. Dwa strumienie światła padły na rząd nieczynnych sklepów, plastikowych szyldów pokrytych kurzem. Ten na wprost lewego reflektora głosił DZIURA.

— Dlaczego ktoś nazwał tak swój sklep?

— Próbujesz popieprzyć mi w głowie, Rydell?

— Nie, ale to taka dziwna nazwa. Wszystkie te sklepy są teraz jak dziury…

— Warbaby to tylko najemnik. IntenSecure wzywa go, kiedy robi się zamieszanie. Zawsze to robią, zawsze…

Samochód stał na placyku, w centrum handlowym, gdzie wszystkie sklepy miały wystawy zabite deskami lub zamalowane na biało. Znajdowało się pod ziemią albo było całkowicie zadaszone.

— A zatem, kiedy ona ukradła okulary z hotelu pilnowanego przez IntenSecure, wezwali Warbaby'ego?

Rydell spojrzał na Chevette Washington. Wyglądała jak jedna z tych chromowanych rzeczy na maskach antycznych samochodów, tyle że miała gęsią skórkę na udach. Nie było tu zbyt ciepło, więc Rydell uznał, że jednak znajdują się pod ziemią.

— Wiesz co, Rydell?

— Co?

— Nie masz o niczym pojęcia. Mówię ci, ty w ogóle nie orientujesz się w sytuacji. To zbyt skomplikowane dla kogoś takiego jak ty. Nie wiesz, jak powiązać fakty. IntenSecure należy do kompanii, której własnością są informacje w tych okularach.

— Singapur — mruknął Rydell. — DatAmerica też jest własnością Singapuru?

— Nie możesz tego udowodnić. Kongres też nie mógł.

— Spójrz na te szczury…

— Mieszasz mi we łbie…

Rydell patrzył, jak ostatni z trzech szczurów znika we wnętrzu sklepu o nazwie DZIURA. Weszły przez kratkę wentylacyjną albo inny otwór. Dziurę.

— Nie. Widziałem je.

— Czy przyszło ci do głowy, że nie siedziałbyś tu, gdyby Lucius pieprzony Warbaby nie jeździł w zeszłym miesiącu na wrotkach?

— Co takiego?

— Załatwił sobie kolano. Warbaby nie może prowadzić, więc zjawiasz się ty. Pomyśl o tym. Co ci to mówi o ostatniej fazie kapitalizmu?

— O czym?

— Niczego was nie uczą w tej Akademii Policyjnej?

— Uczą. Wielu rzeczy — odparł Rydell, myśląc: na przykład jak rozmawiać z takimi pierdolcami, kiedy jest się zakładnikiem, tyle że jakoś nie mógł sobie przypomnieć, na czym to polega. Zdaje się, że trzeba zachęcać ich do gadania i nie spierać się. — Dlaczego wszyscy uganiają się za tymi szkłami jak kot z pęcherzem?

— Zamierzają odbudować San Francisco. Dosłownie od podstaw. Tak jak robią to z Tokio. Zaczną od wkomponowania siedemnastu kompleksów mieszkalnych w istniejącą infrastrukturę. Osiemdziesięciopiętrowe domy z biurami i mieszkaniami, ze sklepami oraz apartamentami na dole. Całkowicie samowystarczalne. Paraboliczne anteny, generatory mocy. Nowe budynki, człowieku, będą pożerać własne ścieki.

— Kto będzie pożerać ścieki?

— Te budynki. Oni zamierzają tego dokonać, Rydell. Tak jak teraz robią to w Tokio. Taki tunel pod zatoką…

— Sunflower — powiedziała Chevette i zaraz zrobiła taką minę, jakby tego pożałowała.

— Ktoś patrzył przez te… — Błysnęły złote zęby.

— Hmm, oni… — Rydell postępował zgodnie z instrukcją rozmowy z uzbrojonym szaleńcem.

— Tak?

— No to w czym problem? Chcą to zrobić, pozwólmy im.

— Problem polega na tym — zaczął Loveless, zaczynając rozpinać koszulę — że miasto wielkości San Francisco ma mniej więcej takie pojęcie o tym, czego chce, a raczej czego powinno chcieć, jak ty. A więc niewielkie. Są ludzie, miliony ludzi, którzy sprzeciwialiby się nawet istnieniu tego planu. A ponadto ceny nieruchomości…

— Nieruchomości?

— Znasz trzy najważniejsze czynniki wpływające na cenę nieruchomości?

Pierś Lovelessa, bezwłosa i sztucznie pigmentowana, lśniła od potu.

— Trzy?

— Lokalizacja, lokalizacja i jeszcze raz lokalizacja.

— Nie rozumiem.

— I nigdy nie zrozumiesz. Tymczasem ludzie, którzy wiedzą, gdzie kupować, i gdzie postawić wieżowce, zrobią to. Zgarną wszystko.

Rydell zastanowił się.

— Ty widziałeś te plany, prawda?

Loveless kiwnął głową.

— W Mexico City. Zostawił je w pokoju. Nigdy, przenigdy nie powinien tego robić.

— Tak jak ty nie powinieneś patrzeć? — wyrwało się Rydellowi.

Pomimo zimna Loveless cały spływał potem. Jakby wysiadł mu cały układ termoregulacji. Mrugał oczami i ocierał zalewający je pot.

— Robiłem swoje. Moją robotę. Wiele razy. Latami. Mój ojciec też. Ty nie widziałeś, jak oni tam żyją. W rezydencjach. Ludzie tutaj nie mają pojęcia, co potrafią zdziałać pieniądze. Nigdy też nie widzieli takiej góry forsy. Oni tam żyją jak bogowie. Niektórzy mają ponad sto lat, Rydell…

W kącikach ust Lovelessa pokazały się białe kłaczki śliny i Rydell znów przypomniał sobie mieszkanie dziewczyny Turveya, jego oczy, i dopiero teraz pojął, co ona zrobiła. Chevette wsypała całą torebkę pląsu do coli, którą mu przyniosła. Rozsypała trochę przy wsypywaniu do puszki, więc ulała trochę napoju i spłukała wierzch. Loveless rozpiął koszulę do pasa, czarny materiał jeszcze pociemniał od potu, a jego twarz zrobiła się czerwona.

— Loveless… — zaczął Rydell, nie mając pojęcia, co powiedzieć,

ale wtedy facet wrzasnął przeraźliwie, piskliwym nieludzkim jękiem królika wpadającego w sidła i zaczął walić kolbą pistoletu w ciasno opięte dżinsami krocze, jakby przywarło tam jakieś okropne stworzenie, które musiał zabić. Broń strzelała przy każdym uderzeniu, wybijając w pokrytej wykładziną podłodze dziury wielkości pięciodolarówek. Chevette Washington zeskoczyła z konsoli jak wystrzelona z procy, przeleciała nad środkowym fotelem i wylądowała w kabinie z tyłu. Loveless zamarł, drżąc, jakby wszystkie atomy jego ciała jednocześnie przemieściły się na inne orbity. Potem uśmiechnął się, bo być może zdołał zabić to, co dobierało mu się do krocza, ponownie wrzasnął i zaczął strzelać przez szybę. Jedyne co w tym momencie przyszło Rydellowi do głowy, to słowa pewnego instruktora, według którego przy przedawkowaniu pląsu nadmierna dawka PCP to jak aspiryna popita cola. Chevette Washington też chyba całkiem ześwirowała, bo sądząc po odgłosach, usiłowała wykopać tylne drzwiczki vana.

— Mają po sto lat, te pierdoły — powiedział Loveless i jakby zatkał, wymieniając pusty magazynek na nowy — a to jeszcze nie koniec…

— Tam — powiedział Rydell. — Obok „Dziury”…

— Kto?

— Svobodov — odparł Rydell, podejrzewając, że to zadziała.

Niewielki pistolet wypluł serię pocisków jak miazgacz kawałki gumy. Przy trzecim Rydell sięgnął ręką, odblokował zamek drzwi i wytoczył się z wozu. Wylądował plecami na jakichś puszkach i czymś, co spłaszczyło się jak styropianowe kubki. Przetoczył się. Turlał się, aż zatrzymała go jakaś przeszkoda. Te małe pociski wywalały wielkie dziury w zamalowanych na biało witrynach nieczynnych sklepów. Cała szyba runęła z głośnym trzaskiem. Słyszał, jak Chevette Washington łomocze w tylne drzwi vana i pożałował, że nie może jej uciszyć.

— Hej! Loveless! — Strzały ucichły. — Svobodov dostał! — Chevette wciąż bębniła. Jezu. — Potrzebuje karetki!

Na czworakach, zza jakiejś niskiej fontanny cuchnącej chlorem i kurzem, zobaczył, jak Loveless niezdarnie wysiada po stronie kierowcy, z twarzą śliską i lśniącą od potu. Rydell zrozumiał, że facet jest tak dobrze wyszkolony, że instynktownie usiłuje robić swoje mimo przedawkowania pląsu. Wciąż poruszał się tak, jak uczono na szkoleniu w szybkim strzelaniu, trzymając oburącz pistolet, skulony, wodząc lufą w poszukiwaniu celu. Chevette zaś za wszelką cenę usiłowała wykopać tylne drzwi vana, zrobione z hekscelu lub równie odpornego draństwa. Potem Loveless wpakował w nie parę kul i nagle przestała.

30
Karnawał dusz

O czwartej Yamazaki zszedł po schodkach, po których wchodził z Lovelessem po ciemku poprzedniej nocy. Fontaine poszedł — dwadzieścia minut przed tym, zanim włączono prąd — zabierając ze sobą, mimo protestów Skinnera, wielki tobół prania. Skinner przez cały dzień segregował zawartość zielonej skrzynki na narzędzia, tej którą przewrócił, szukając nożyc do cięcia drutu. Yamazaki obserwował dłonie starego, dotykające kolejno każdego przedmiotu, wyobrażając sobie, że dostrzega chwilowy przypływ sił lub zręczności, a może tylko wspomnienie podjętych, zaniechanych czy skończonych zadań.

— Narzędzia zawsze można sprzedać — głośno rozmyślał Skinner — na pewno ktoś je kupi. Tylko potem potrzebujesz akurat tych, których się pozbyłeś. — Yamazaki nie znał angielskich nazw większości narzędzi, a wielu nigdy jeszcze nie widział. — Okrąglak — powiedział Skinner, trzymając w dłoni brązowy od rdzy, długi kawałek stali, groźnie sterczący mu spomiędzy palców. — Bardzo przydatna rzecz, Scooter, ale większość ludzi nie widziała go na oczy.

— Do czego służy, Skinner-san?

— Do powiększania okrągłych otworów. Poszerza je, równomiernie, jeśli właściwie go używasz. Najczęściej w blasze, ale także w plastiku i syntetykach. We wszystkim cienkim i dość sztywnym. Oprócz szkła.

— Masz wiele narzędzi, Skinner-san.

— Nigdy nie nauczyłem się dobrze posługiwać większością z nich.

— Jednak zbudowałeś ten pokój.

— Widziałeś kiedyś prawdziwego cieślę przy pracy, Scooter?

— Raz, kiedyś — odparł Yamazaki, wspominając pokaz na festiwalu, migoczące ostrza, zapach ciętego cedru. Pamiętał wygląd drewna, kremowego i gładkiego. Wznoszono herbaciarnię, na czas trwania festiwalu. — Drewno jest wielką rzadkością w Tokio, Skinner-san. Nie znajdzie się tam wyrzuconego kawałeczka, nawet najmniejszego.

— Tu też nie tak łatwo je znaleźć — rzekł Skinner, próbując kciukiem ostrze dłuta. Czy miał na myśli Amerykę, San Francisco czy most? — Zanim podłączono nam prąd, paliliśmy drewno wyłowione z rzeki. Miastu nie podobało się to. Zanieczyszczało powietrze, Scooter. Teraz rzadko to robimy.

— To kwestia umowy?

— Raczej zdrowego rozsądku…

Skinner włożył dłuto do płóciennego pokrowca i ostrożnie umieścił w skrzynce na narzędzia.

Procesja powoli podążała w kierunku San Francisco, na górnym poziomie, a Yamazaki żałował, że zostawił notebook w pokoju Skinnera. Po raz pierwszy był tu świadkiem jakiejś uroczystości. W wąskiej, zamkniętej przestrzeni nie dało się oglądać przemarszu inaczej niż jako korowód poszczególnych uczestników, idących pojedynczo lub dwójkami, a mimo to była to procesja, niewątpliwie pogrzebowa, być może poświęcona pamięci zmarłych. Najpierw szły dzieci, siedmioro, jedno za drugim w podartych, posypanych popiołem ubraniach. Każde dziecko miało na twarzy malowaną gipsową maskę, wyraźnie przypominającą Shapely'ego. Nie zachowywały się jak w kondukcie; niektóre przystawały, zadowolone z zainteresowania, jakie budziły.

Yamazaki, który wyszedł kupić gorącą zupę, stanął między księgarenką a kramem pełnym ptaków w klatkach. Czuł się tam dziwnie, nie na swoim miejscu, trzymając pod pachą termos. Jeżeli to pogrzeb, to pewnie powinien wykonać jakiś gest, zachować się w jakiś określony sposób? Zerknął na księgarkę, wysoką kobietę w zatłuszczonym półkożuszku, z siwymi włosami upiętymi w kok przebity dwoma różowymi plastikowymi szpilkami. Jej towar, składający się głównie z pożółkłych broszurowych wydań w różnych stadiach rozpadu, każdy w przezroczystym plastikowym woreczku, był rozłożony na ladzie przed jej sklepikiem. Głośno reklamowała go, kiedy zobaczyła przebrane za Shapely'ego dzieci; wykrzykiwała dziwne słowa, które zapewne były tytułami: *Dolina lalek, Krwawy południk, Prawo piły mechanicznej*… Yamazaki, oszołomiony tą dziwną amerykańską poezją, był bliski nabycia Prawa piły mechanicznej. Nagle zamilkła i wtedy dostrzegł te dzieciaki.

Jednak teraz jej zachowanie nie wskazywało na to, by procesja wymagała specjalnej uwagi. Widział, że obserwując przechodzące dzieci, machinalnie przeliczała swój towar, przesuwając dłonie po opakowanych książkach. Właściciel straganu z ptakami, blady mężczyzna ze starannie przystrzyżonym czarnym wąsikiem, powoli i beznamiętnie drapał się po brzuchu.

Po dzieciach nadeszło pięciu tancerzy w strojach szkieletów z La Noche de Muerte, chociaż maski niektórych były tylko szczątkowe — mikroporowe respiratory pomalowano tak, by przypominały wyszczerzone zęby trupich czaszek. Najwyraźniej ci tancerze byli nastolatkami, podrygującymi w jakimś wewnętrznym rytmie zagłady i chaosu. Te czarne uda z namalowanymi piszczelami i białe miednice naszkicowane na opiętych pośladkach, budziły silne skojarzenia z erotyzmem i przemocą. Kiedy mijali Yamazakiego, jeden z tańczących

szkieletów obrzucił go przenikliwym spojrzeniem niebieskich, dorosłych oczu znad czarnych nozdrzy namalowanych na białym respiratorze. Potem szły dwie wysokie postacie, czarni mężczyźni o twarzach pomalowanych na brzydki beż, ubrani w bladozielone kitle i długie rękawice z czerwonego lateksu. Czyżby przedstawiali lekarzy, a więc białych, którzy nie zdołali uratować tak wielu przed objawieniem się Shapely'ego, czy też biomedyczne firmy brazylijskie, które z takim powodzeniem i zyskiem doprowadziły do jego transformacji z niepiśmiennego pedała w osobę znaną i poważaną? A po nich pierwsze ciała, owinięte wieloma warstwami mlecznego plastiku, jadące na tych dwukołowych wózkach, jakie wyrabiano tu do przewozu bagaży lub ładunków żywności. Tymi wózkami, z przymocowanymi naprędce wąskimi platformami z dykty, kierowali z przodu i z tyłu nie przebrani mężczyźni i kobiety. Yamazaki zauważył, że nie spoglądali na boki i zdawali się unikać wzroku widzów.

— To Nigel — powiedziała księgarka — i pewnie zbudował ten wózek, na którym go wiozą.

— To ofiary burzy? — nieśmiało zapytał Yamazaki.

— Nie Nigel — powiedziała kobieta, mrużąc oczy na widok obcego. — Nie z tymi dziurami od kul…

Siedmiu, każdy na osobnym wózku, a potem mężczyzna i kobieta w identycznych papierowych kombinezonach, niosący laminowaną litografię Shapely'ego, jeden z tych przesłodzonych portretów o wielkich oczach i zapadniętych policzkach, na widok których Yamazaki zawsze czuł się lekko nieswojo. A potem mała, czerwona, podskakująca postać. Zapewne diabeł bez ogona i rogów, pląsający z wielkim, starym AK-47 bez zamka, z łukowatym magazynkiem wyciętym z drzewa i pokrytym kiedyś czerwoną farbą, teraz startą przez wiele rąk podczas niezliczonych takich procesji. I Yamazaki zrozumiał, nie pytając, że ten czerwony tancerz przedstawiał sposób, w jaki odszedł Shapely, straszliwy bezmiar głupoty kryjący się u podłoża tego wszystkiego.

— Skinner-san? — spytał, stojąc z przygotowanym notebookiem. — Widziałem dziś procesję. Zabierano ciała z mostu. Zabitych w czasie burzy.

— Nie możemy ich tu pochować. Nie wolno ich wrzucać do wody. Miasto upiera się. Oddajemy je do kremacji. Niektórzy ludzie nie chcą słyszeć o paleniu i chowają ich na Treasure. Biorąc pod uwagę ludzi, którzy tam mieszkają, nie wiem, czy to ma sens.

— W procesji widziałem liczne odniesienia do Shapely'ego, do jego historii. — Skinner kiwnął głową nad telewizorkiem. — Dzieci w maskach J.D.Shapely'ego, dwaj czarni pomalowani jak biali lekarze, portret Shapely'ego…

Skinner mruknął coś i rzekł w zadumie:

— Dawno już tego nie widziałem.

— A na końcu mała postać, czerwona, tańcząca z pistoletem maszynowym.

— Uhm. — Skinął głową Skinner.

Yamazaki włączył transkrypcję i zapis.

Ja sam, jak wiesz, nigdy tego nie dostałem. Tej jego części, którą teraz posiada każdy. W moim wieku nie widziałem potrzeby, a ponadto nigdy nie zażywałem żadnych lekarstw. Przypadkiem nigdy nie zaraziłem się, choć miałem mnóstwo okazji. Jesteś za młody, żeby pamiętać, jak było. Och, wiem, wydaje wam się teraz, że żyjecie we wszystkich epokach jednocześnie, że historia pokoleń została zarejestrowana, a teraz wystarczy to odtworzyć. Cyfrowo. Waśnie takie jest to wszystko: odtwórcze. Nie możecie sobie wyobrazić uczuć, które towarzyszyły tym procesom. Nie tyle tutaj, chociaż i tu było źle, ale w Tajlandii, Afryce, Brazylii. Jezu, Scooter. To nas wykańczało. Powoli, powoli, ale systematycznie. Takie są te retrowirusy. Pewien facet powiedział mi kiedyś, a miał wirusa starego typu i umarł, że żyjemy w takiej śmiesznej kieszeni czasu, kiedy wielu ludzi czuje się nieswojo, jeśli kogoś nie zabiją, nawet kobiety. Widzisz, zawsze były powody do obaw, wciąż ryzykowałeś, mogłeś zostać zabity lub umrzeć przy narodzinach, podczas aborcji, a nawet jeśli ocalałeś, to życie nie było zbyt łatwe. Tymczasem w tej kieszeni były pigułki na to i owo albo zastrzyki na jeszcze coś innego, nawet na takie choroby, które wcześniej zawsze wykańczały ludzi. To były czasy, Scooter. A wtedy pojawiło się to świństwo i wszystko cofnęło się do poprzedniego stanu. Nadszedł rok 2000, w Europie wybuchały wojny domowe, a wirus AIDS szalał w najlepsze. Wiesz, że próbowali obwinić za to gejów, potem CIA, albo armię USA w jakimś forcie w Maryland. Mówili, że to przez ludzi kopulujących z zielonymi małpami. Przysięgam. A wiesz, skąd się to wzięło? Z nadmiaru ludzi, Scooter. Latali wszędzie jak popieprzeni i włazili, gdzie chcieli. Mogę się założyć, że ktoś gdzieś coś złapał. Dostępne każde miejsce na tej planecie, oddalone o parę godzin od następnego. I wtedy pojawia się ten biedny, pieprzony Shapely z tym zmutowanym szczepem, który nie zabija. Nic ci, cholera, złego nie czyni, tyle że zjada stary wirus na śniadanie. Ja nie kupuję tego gówna, że on był Jezusem, Scooter. Nie sądzę, że w ogóle był jakiś Jezus.

— Zostało trochę kawy?

— Zaraz przygotuję.

— Wpuść kropelkę płynu do tej dziurki przy dźwigni, Scooter. Tam jest skórzana uszczelka. Musi być miękka.

31
Po stronie kierowcy

Nie zauważyła pierwszej kuli, ale ta musiała trafić w przewód albo coś, ponieważ zapaliło się światło. Widziała drugą, a przynajmniej dziurę, jaką wywaliła w skóropodobnym plastiku. Zamarła, poznając ten rodzaj kul; w jednej chwili nie ma żadnej dziury, a w następnej jest. Nie ma niczego pomiędzy. Widzisz sam skutek, ale nie jego powstawanie. W chwilę potem opadła na czworaki i zaczęła się czołgać. Wcale nie miała ochoty stać tam i czekać na kolejną kulę. Kiedy dotarła do drzwi, zobaczyła leżące na podłodze spodnie, obok pęku kluczyków przyczepionych do szarego, plastikowego wisiorka. Poczuła ten zapach, który rozszedł się, gdy zaczął strzelać w podłogę. Może także smród spalonej wykładziny, ponieważ dostrzegła, że jej brzegi były przypalone i jakby nadtopione. Teraz słyszała jego wrzaski, gdzieś na zewnątrz, ochrypłe i głuche, odbite echem. Wstrzymała oddech. Wrzeszczał, że oni (kto?) poprowadzili najlepszą kampanię na świecie, wypromowali Hunnis Millbank, a teraz wypromują Sunflower. Jeśli dobrze usłyszała.

— Tu, obok drzwi. Po stronie kierowcy.

To był Rydell zaglądający przez uchylone drzwiczki.

— Zostawił tu kluczyki — powiedziała.

— Myślę, że poszedł tam, gdzie był salon ze ścianami snów.

— A jeśli wróci?

— Pewnie wróci, jeżeli będziemy tu stać. Podczołgasz się i rzucisz mi je?

Przecisnęła się przez drzwi i między fotelami. Zobaczyła głowę Rydella, złapała kluczyki i rzuciła je w bok, nie patrząc. Chwyciła spodnie i wycofała się rakiem, rozważając, czy zmieściłaby się w lodówce, gdyby podkurczyła nogi?

— Połóż się płasko na podłodze. — Usłyszała jego głos z fotela kierowcy.

— Mam się położyć?

— Zminimalizować cel.

— Co?

— Zacznie strzelać. Kiedy ruszę…

Dźwięk rozrusznika. Szkło pryskające z przedniej szyby. Przywarła do podłogi. Van pomknął w tył, ciasnym skrętem i usłyszała, jak Rydell uderza w konsolę, usiłując znaleźć jakąś potrzebną funkcję, gdy nadleciały kolejne kule, każda z osobnym łomotem, jakby ktoś walił niewidzialnym młotem, starając się utrzymać równy rytm. Rydell chyba w końcu znalazł to, czego szukał,

ponieważ posłużył się hamulcami i napędem jak chłopcy z Oregonu. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że krzyczy. Żadnych słów, po prostu dziki wrzask. Po chwili wzięli zakręt, o mało przy tym nie dachując i Chevette pomyślała, że te vany chyba nie są przeznaczone do szybkiej jazdy. Teraz, chociaż jeszcze przyspieszyli, wydawało się, że jadą pod górę.

— Pieprzę to — usłyszała słowa Rydella, wypowiedziane tym niesamowicie spokojnym tonem i w następnej chwili rąbnęli w drzwi, bramę, czy coś tam, a potem było tak jak wtedy, kiedy próbowała zrobić piruet na desce w Lafayette Park, co skończyło się tym, że upadła i uderzyła w głowę, chociaż wcale tego nie pamiętała.

Znów była w pokoju Skinnera, czytając „National Geographics", o tym jak Kanada podzieliła się na pięć państw. Pijąc zimne mleko z kartonu i jedząc solanki. Skinner leżał w łóżku i oglądał jeden z jego ulubionych programów historycznych. Wciąż powtarzał, że w miarę upływu lat te stare filmy stają się coraz ładniejsze. Kiedyś były migawkowe i czamo-białe, z żołnierzami biegającymi, jakby mieli mrówki w spodniach, okropnie ziarniste, z niebem pełnym zadrapań. Stopniowo zwolniły, tak że ludzie zaczęli się normalnie poruszać, potem nabrały kolorów, ziarno zmniejszyło się i nawet zniknęły rysy. Cholerne bzdury, mówił, ponieważ wszystko to jest jedynie przybliżeniem tamtych czasów, czyimś wyobrażeniem, jak to mogło wyglądać, wynikiem partykularnych decyzji podjętych przy naciśnięciu guzika. Jednak mimo wszystko było to ciekawe, tak jak głos Billie Holiday słyszany po raz pierwszy bez trzasków i przydźwięku. Billie Holiday to pewnie ktoś taki jak Elvis, pomyślała Chevette, z dżetami na marynarce, wtedy kiedy był młodszy i nie taki gruby. Skinner miał lekkiego bzika na punkcie historii. Powtarzał, że zmienia się w plastik. Jednak zawsze przynajmniej udawała, że słucha, kiedy jej coś mówił, bo inaczej potrafił nie odzywać się całymi dniami. Dlatego teraz podniosła głowę znad gazety i zdjęć dziewcząt machających niebiesko-białymi flagami Republiki Quebecu, a to była jej mama, siedząca na skraju łóżka, piękna, smutna i trochę zmęczona, tak jak wyglądała zawsze, kiedy wróciła z pracy i jeszcze nie starła makijażu.

— On ma rację — powiedziała matka Chevette.

— Mamo?

— O historii, o tym jak ją zmieniają.

— Mamo, ty…

— Jednak wszyscy to robią, kochanie. To nic nowego. Filmy są takie same jak pamięć, nic więcej.

Chevette zaczęła płakać.

— Chevette-Marie — powiedziała matka tym dźwięcznym głosem

z odległej przeszłości — poszłaś tam i uderzyłaś się w głowę.

32
Fallonville

— Jak dobrze znasz tego faceta? — zapytała.

Za każdym razem, gdy używał hamulca, Rydell rozgniatał butem okruchy hartowanego szkła. Gdyby miał czas i szczotkę, wymiótłby je. A tak, musiał wytłuc resztki przedniej szyby kawałkiem zardzewiałej rury znalezionym przy drodze, inaczej policja drogowa zauważyłaby przestrzeliny i zatrzymała ich. No cóż, miał grube podeszwy.

— Pracowałem z nim w LA — powiedział, hamując i objeżdżając resztki opon ciężarówki, leżące na czarnej nawierzchni dwupasmówki jak zrzucona skóra jakiegoś potwora.

— Ja tylko zastanawiam się, czy on nie okaże się drugą panią Elliott. Ją też znałeś.

— Nie znałem jej. Spotkałem ją w samolocie. Gdyby Sublett był wtyczką, to cały świat musiałby tkwić w tej intrydze. — Wzruszył ramionami. — Wtedy pewnie zacząłbym zastanawiać się nawet nad tobą.

Zamiast martwić się, na przykład, czy Loveless lub pani Elliott nie umieściła radionadajnika w tym domu na kółkach, czy nie śledzi ich w tej chwili Gwiazda Śmierci, określając ich aktualną pozycję? Powiadano, że Gwiazda Śmierci może przeczytać nagłówki gazety, markę i rozmiar twoich butów z pozostawionych śladów stóp.

Nagle w świetle reflektorów wyrósł przed nimi ten drewniany krzyż, mniej więcej czterometrowy, z wypisanym poziomo PODŁĄCZ SIĘ, a pionowo DO JEGO NIEŚMIERTELNEJ SIECI SATELITARNEJ oraz zakurzonym, starym, przenośnym telewizorem przybitym w miejscu, gdzie powinna być głowa Jezusa. Najwidoczniej ktoś przestrzelił ekran z wiatrówki.

— Chyba dojeżdżamy — stwierdził Rydell.

Chevette Washington wydała niewyraźny pomruk. Potem popiła wody z butelki, którą kupili na stacji Shella, i podała mu resztę.

Kiedy wyjechali z tamtego centrum handlowego, miał wrażenie, że znajdują się niedaleko autostrady. Z zewnątrz hala była tylko niskim budynkiem z jasnobrązowej cegły, z oknami zasłoniętymi płytami tej naprawdę ohydnej masy otrzymywanej w wyniku recyklingu różnych odpadów, mającej kolor zaschniętych wymiocin. Z piskiem opon przemknął po rozległym i pustym parkingu, między stertami rupieci i starych materaców, aż znalazł wyjazd w ogrodzeniu z siatki. Jednak nie było tam żadnej autostrady, tylko jakaś pusta dostawcza czteropasmówka, a Loveless najwyraźniej przestrzelił

system nawigacyjny, ponieważ ekran pokazywał centrum Santa Ana i lekko migotał. Rydell miał wrażenie, że znajdują się na jednym z tych opustoszałych przedmieść, w okolicy nie zamieszkanej od czasu implozji europieniądza. Chevette Washington leżała skulona obok lodówki; miała zamknięte oczy i nie odpowiedziała, gdy ją zawołał. Rydell obawiał się, że Loveless ją postrzelił, ale nie mógł przystanąć nawet na chwilę, zanim nie oddalili się od centrum handlowego. Nie widział śladu krwi ani rany.

Wreszcie dojechali do stacji Shella. Można było ją rozpoznać po kształcie metalowych słupów podtrzymujących kiedyś szyld. Drzwi do męskiej ubikacji były wyrwane z zawiasów, do damskiej zamknięte na kłódkę. Automat najwidoczniej został kiedyś ostrzelany z broni maszynowej. Rydell przejechał vanem na tyły i zobaczył oryginalną przyczepę mieszkalną Airstream, taką samą, w jakiej mieszkał sąsiad ojca w Tampa. Jakiś mężczyzna klęczał nad hibachi, mieszając coś w garnku, a dwa czarne labradory obserwowały go uważnie. Rydell zaparkował, sprawdził, czy Chevette Washington oddycha i wysiadł. Podszedł do człowieka przy hibachi, który już wstał i ocierał dłonie o nogawki czerwonego kombinezonu. Miał na głowie starą wędkarską czapeczkę khaki ze sterczącym, co najmniej dwudziestocentymetrowym daszkiem. Nitki wyszytego na kombinezonie znaku Shella wystrzępiły się i wyblakły.

— Zabłądziłeś — powiedział mężczyzna — czy masz jakieś problemy?

Rydell ocenił go na co najmniej siedemdziesiątkę.

— Nie, proszę pana, po prostu zgubiłem drogę. — Rydell popatrzył na czarne labradory. Odpowiedziały mu czujnym spojrzeniem. — Pańskie psy nie wyglądają na zadowolone z tego, że mnie widzą.

— Rzadko widują obcych.

— Pewnie. Mogę to sobie wyobrazić.

— Mam też parę kotów. Teraz daję im wszystkim suchy pokarm. Koty czasem złapią jakiegoś ptaka albo myszy. Mówisz, że zgubiłeś się?

— Tak, proszę pana. Nie wiem nawet, w jakim jesteśmy stanie.

Mężczyzna splunął.

— Witaj w klubie, synu. Kiedy byłem w twoim wieku, to wszystko była Kalifornia, jak Pan Bóg przykazał. Teraz mówią mi, że Południowa, a wiesz, co to naprawdę jest?

— Nie, proszę pana. Co?

— Kupa końskiego gówna. Tak samo jak ta kobieta koczująca w Białym Domu. — Zdjął wędkarską czapeczkę, odsłaniając parę srebrnobiałych, nowotworowych szram, otarł czoło brudną chusteczką i znów ją włożył. — Mówisz, że się zgubiłeś, tak?

— Tak, proszę pana. Mam zepsuty system nawigacyjny.

— A umiesz czytać zwykłą mapę?

— Tak, proszę pana.

— Do diabła, co jej się stało w głowę? — zapytał stary, patrząc przez ramię Rydella.

Ten odwrócił się i zobaczył Chevette Washington przechyloną przez fotel kierowcy, spoglądającą na nich.

— Tak sobie obcięła włosy.

— Niech mnie licho — mruknął mężczyzn. — A byłaby całkiem ładna.

— Racja, proszę pana.

— Widzisz tę paczkę kawy zbożowej? Myślisz, że mógłbyś zrobić mi kubek, kiedy zagotuje się woda?

— Pewnie, proszę pana.

— Hmm, to pójdę poszukać mapy. Skeeter i Whitey dotrzymają ci towarzystwa.

— Taak…

PARADISE, SO. CALIFORNIA

CHRZEŚCIJAŃSKA WSPÓLNOTA

TRZY MILE

ZAKAZ ROZBIJANIA NAMIOTÓW

BETONOWY PLAC

WSZYSTKIE PRZYŁĄCZA

OGRODZENIE POD NAPIĘCIEM

BASEN

OPIEKA ZDROWOTNA (LIC. STANU SO.CAL.)

327 KANAŁÓW SATELITARNYCH

A dalej wysoki krzyż, tym razem zespawany ze starych szyn kolejowych, rodzaj ramy pełnej starych telewizorów, których zgasłe ekrany spoglądały w kierunku drogi. Chevette Washington spała, więc nie widziała tego. Rydell przypomniał sobie, jak wykorzystał telefon Codesa, żeby zadzwonić do Subletta w LA i o mało się nie rozłączył, słysząc ten zabawny sygnał, który okazał się towarzyszyć przełączaniu rozmowy pod inny numer, ponieważ Sublett wziął urlop, żeby pojechać do chorej matki.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś w Teksasie?

— W Paradise, Berry. Mama jest chora, ponieważ wraz z innymi przeniosła się do SoCal.

— Paradise?

Sublett wyjaśnił, gdzie jest to miejsce, a Rydell odszukał je na mapie otrzymanej na stacji Shella.

— Hej — powiedział, kiedy mniej więcej wiedział już, gdzie — może podjechałbym tam i cię odwiedził?

— Myślałem, że masz robotę w San Francisco?

— No, opowiem ci o tym, kiedy się zobaczymy.

— Wiesz, że tutaj uważają mnie za apostatę? — Sublett był wyraźnie przygnębiony.

— Kogo?

— Apostatę. Ponieważ pokazałem mamie ten film Cronenberga. *Wideodrom*. Powiedzieli, że to dzieło Szatana.

— Myślałem, że wszystkie filmy pochodzą od Boga.

— Są takie, które wyraźnie są dziełem Szatana, Berry. A przynajmniej tak twierdzi wielebny Fallon. Mówi, że takie są wszystkie filmy Cronenberga.

— On też jest w Paradise?

— Boże, nie! Jest gdzieś w tych tunelach na Wyspach Normandzkich, między Anglią a Francją. I nie może ich opuścić, bo potrzebuje schronienia.

— Przed czym?

— Przed podatkami. Wiesz kto wykopał niektóre z tych tuneli, Berry?

— Kto?

— Hitler, rękami ludzi zesłanych na przymusowe roboty.

— Nie wiedziałem — rzekł Rydell, wyobrażając sobie tego okropnego pokurcza z wąsikiem, stojącego na skale i trzaskającego batem.

Teraz dotarł do następnej tablicy, nie tak profesjonalnie wykonanej jak pierwsza; litery nabazgrano czarnym sprejem na kilku deskach.

GOTOWY NA SPOTKANIE WIECZNOŚCI?

ON ŻYJE! A TY?

OGLĄDAJ TELEWIZJĘ!

— Oglądaj telewizję? — Zbudziła się Chevette.

— No cóż — odparł — fallonici wierzą, że Bóg jest w niej. W telewizji.

— Bóg jest w telewizji?

— Tak. Jako rodzaj tła, czy coś. Matka Subletta gorąco w to wierzy, ale on trochę z tym odpuścił.

— Oglądają telewizję i modlą się, tak?

— Hmm, chyba raczej medytują, wiesz? Przeważnie oglądają stare filmy i uważają, że jeśli będą oglądać je dostatecznie często i długo, to duch jakoś wstąpi w nich.

— W Oregonie mamy objawionych aryjskich nazareńczyków — powiedziała. — Survivalistów Pierwszego Kościoła Jezusowego. Zastrzelą cię, zanim zdążysz powiedzieć dzień dobry.

— Tak — potwierdził Rydell, wjeżdżając vanem na szczyt niewielkiego pagórka — tacy chrześcijanie to niezbyt przyjemne towarzystwo…

I w tym momencie zobaczył Paradise oświetlone lampami na wysokich słupach. Zapowiadane ogrodzenie pod napięciem składało się ze zwojów drutu kolczastego, otaczającego obszar mniej więcej półtora akra. Rydell wątpił, by naprawdę były pod napięciem, ale widział porozmieszczane na nich co dziesięć stóp alarmy, co i tak było dostatecznie skuteczne. Dalej znajdowała się wartownia i brama, strzegące najwyżej tuzina przyczep, wozów kempingowych i kontenerów mieszkalnych, stojących na betonowych fundamentach wokół czegoś, co wyglądało na staromodną wieżę radiową zaopatrzoną w kilka anten satelitarnych, tych kosztownych urządzeń wyglądających jak gigantyczne pieczarki z szarego plastiku. Ktoś przegrodził strumień tamą, tworząc sadzawkę do kąpieli, jednak woda w niej wyglądała na przemysłowy ściek, nad którym nie znalazłoby się nawet bakterii, nie mówiąc o ptakach. Jednak mieli dobre oświetlenie. Zjeżdżając z pagórka, słyszał szum generatorów.

— Jezu — powiedziała Chevette Washington.

Rydell stanął przy wartowni i opuścił szybę, ciesząc się, że mechanizm działa. Z budynku wyszedł mężczyzna w jaskrawopomarańczowej wełnianej kurtce i dopasowanej do niej czapce, niosący dubeltówkę ze składaną metalową kolbą.

— Własność prywatna — powiedział, spoglądając na wybitą przednią szybę. — Co się stało z przednią szybą pańskiego wozu?

— Sarna — powiedziała Chevette Washington.

— Chcemy odwiedzić znajomych, Sublettów — rzekł Rydell, aby odwrócić uwagę wartownika, zanim ten zauważy ślady po kulach. — Oczekują nas, więc może zechciałby pan ich powiadomić.

— Nie powiem, żebyście wyglądali na chrześcijan. Chevette lekko przechyliła się przez fotel Rydella i obrzuciła strażnika szczególnym spojrzeniem.

— Nie wiem jak ty, bracie, ale my jesteśmy aryjskimi nazareńczykami z Eugene. Nie chcieliśmy tam zostać, bo nawet tam zaczyna się rozprzężenie, mieszanie ras. Wszędzie dziś roi się od zdrajców rasy.

Wartownik wytrzeszczył oczy.

— Jeśli jesteście nazareńczykami, to czemu nie skinami?

Dotknęła swojej fryzury, tych krótkich sterczących kosmyków.

— Zaraz powiesz mi, że Jezus był Żydem. Nie wiesz, co to oznacza?

Mężczyzna wyglądał na mocno zmieszanego.

— Mamy z tyłu kilka świętych gwoździ. Może to ci coś powie.

Rydell zobaczył, że wartownik zawahał się i przełknął ślinę.

— Hej, dobry człowieku — powiedział Rydell — zawołasz wreszcie Subletta, czy nie?

Mężczyzna wrócił do wartowni.

— O co chodziło z tymi gwoździami? — zapytał Rydell.

— Skinner opowiadał mi kiedyś o tym — odparła. — Przeraziłam się.

Dora, matka Subletta, piła colę z meksykańską wódką. Rydell widywał już ludzi pijących taką mieszankę, ale nigdy w pokojowej temperaturze. Cola była tradycyjna, ponieważ kupowano ją, tak samo jak wódkę, w tych wielkich plastikowych butelkach, które wyglądały na wielokrotnie używane. Rydell doszedł do wniosku, że nie ma ochoty na drinka.

W saloniku przyczepy mieszkalnej Dory stała kanapa i fotel z regulowanym oparciem. Dora leżała wyciągnięta na fotelu, z nogami w górze — dla lepszego krążenia, jak twierdziła. Rydell i Chevette Washington siedzieli obok siebie na kanapie, bardziej przypominającej małą sofę, a Sublett przycupnął na podłodze, z kolanami podciągniętymi niemal pod brodę. Na ścianach wisiały rozmaite ozdóbki, zajmujące także niewielki regał, ale wszędzie było bardzo czysto. Rydell domyślał się, że to ze względu na alergie Subletta. Jednak było tego mnóstwo: plakietek, zdjęć, figurek i tego, co Rydell uznał za chustki modlitewne, o których wspominał Sublett. Był też

płaski hologram wielebnego Fallona, bardziej niż zwykle podobnego do oposa, za to opalonego i chyba po operacji plastycznej. Naturalnej wielkości głowa J.D. Shapely'ego nie spodobała mu się, ponieważ jakby wodziła za tobą spojrzeniem. Większość ładniejszych rzeczy była zgromadzona wokół telewizora, wielkiego i błyszczącego, ale staromodnego — z czasów zanim zaczęli je robić naprawdę wielkie i płaskie. Był włączony i właśnie leciał jakiś czamo-biały film, ale z wyciszonym dźwiękiem.

— Na pewno nie chce pan drinka, panie Rydell?

— Nie, proszę pani, dziękuję.

— Joel nie pije. Ma uczulenie, wie pan.

— Tak, proszę pani.

Rydell do tej pory nie wiedział, że Sublett tak ma na imię. Sublett miał na sobie nowiutkie białe dżinsy, biały podkoszulek, białe skarpetki oraz parę jednorazowych szpitalnych kapci z papieru.

— Zawsze był takim wrażliwym chłopcem, panie Rydell. Pamiętam, jak kiedyś wziął do buzi samochodzik innego chłopczyka. No, wargi jakby całe wywinęły mu się na zewnątrz.

— Mamo — wtrącił Sublett — wiesz, że lekarz kazał ci więcej spać.

Pani Sublett westchnęła.

— No tak, Joel, wiem, że wy młodzi chcecie spokojnie porozmawiać.

Zerknęła na Chevette Washington.

— Szkoda, że tak ściełaś włosy, kochanie. Jesteś taką ładną dziewczyną i mogłyby ci ładnie odrosnąć. Kiedyś w Galveston, kiedy Joel był mały i taki wrażliwy, postawiłam szybkowar na gazie i piecyk wybuchł. Miałam wtedy sztuczną ondulację, kochanie i zostały mi…

Chevette Washington nic nie odpowiedziała.

— Mamo — rzekł Sublett — teraz, kiedy już wypiłaś drinka…

Rydell patrzył, jak Sublett prowadzi starszą panią do sypialni.

— Jezu Chryste — powiedziała Chevette Washington — co mu się stało z oczami?

— To tylko światłowstręt.

— Wygląda niesamowicie.

— Nie skrzywdziłby nawet muchy.

Sublett wrócił, spojrzał na telewizor, a potem westchnął i wyłączył go.

— Wiesz, że nie wolno mi opuszczać przyczepy, Berry?

— Jak to?

— Ze względu na moją apostazję. Mówią, że kontakt ze mną może skazić kongregację.

Przysiadł na skraju fotela, tak że nie musiał wyciągnąć się na nim.

— Sądziłem, że wyjeżdżając do LA, dałeś spokój z Fallonem.

Sublett był lekko zmieszany.

— No cóż, mama zachorowała, Berry, więc wróciłem tu i powiedziałem im, że przybyłem ponownie wszystko rozważyć. Medytować przed pudłem i w ogóle. — Splótł długie, białe dłonie. — A potem przyłapali mnie na oglądaniu *Wideodromu*. Widziałeś kiedyś, hmm… Deborah Harry, Rydell?

Sublett westchnął i jakby zadrżał.

— Jak cię przyłapali?

— Mają takie podłączenie, że mogą monitorować to, co oglądasz.

— A jak do tego doszło, że znaleźli się tutaj?

Sublett przygładził palcami krótkie, słomkowate włosy.

— Trudno powiedzieć, ale to chyba ma coś wspólnego z kłopotami podatkowymi wielebnego Fallona. Ostatnio większość czasu właśnie temu poświęca. Nie wyszło ci z tą pracą w San Francisco, Berry?

— Nie — odparł Rydell. — Nie wyszło.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Rydell powiedział, że chce.

— Chyba uszkodził też ogrzewanie — mruknął Rydell. Znów siedzieli w vanie, poza obozowiskiem.

— Lubię twojego przyjaciela.

— Ja też.

— Nie, chodzi mi o to, że jego naprawdę obchodzi twój los. Naprawdę.

— Ty zajmij łóżko. Ja położę się na fotelach.

— Nie ma szyby. Zmarzniesz.

— Nic mi nie będzie.

— Połóż się tutaj. Już spaliśmy razem. Będzie dobrze.

Obudził się w ciemności i leżał, słuchając jej oddechu, chrzęstu sztywnej skóry starej kurtki okrywającej jej ramiona. Sublett wysłuchał jego opowieści, kiwając głową, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie, a postacie Chevette i Rydella odbijały się w jego lustrzanych szkłach kontaktowych. W końcu tylko cicho gwizdnął i powiedział:

— Berry, wygląda mi na to, że naprawdę masz problem. Poważne kłopoty.

Poważne. Rydell przesunął dłoń, przypadkiem muskając przy tym jej rękę i dotknął wypukłości portfela w tylnej kieszeni spodni. Miał w nim resztę pieniędzy, a także wizytówkę Wellingtona Ma. A przynajmniej jej resztki. Kiedy oglądał ją ostatni raz, była już w trzech kawałkach.

— Prawdziwe kłopoty — rzucił w mrok, a Chevette Washington

uniosła brzeg kurtki i przysunęła się bliżej, oddychając miarowo i głęboko.

Leżał tak, rozmyślając i po pewnym czasie wpadł na pewien pomysł. Chyba był to najbardziej zwariowany pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł mu do głowy.

— Ten twój chłopak — powiedział do niej w maleńkiej kuchence matki Subletta — ten Lowell…

— Co z nim?

— Masz numer, pod którym można go złapać?

Polała płatki mlekiem. Sporządzało się je z proszku rozpuszczonego w wodzie. Miało ten kredowy wygląd. Matka Subletta miała tylko takie. Sublett był uczulony na mleko.

— Dlaczego pytasz?

— Chyba chcę z nim porozmawiać.

— O czym?

— O czymś, w czym chyba mógłby mi pomóc.

— Lowell? On ci nie pomoże. Nie przejmuje się nikim.

— No cóż — rzekł Rydell — czemu nie pozwolisz mi z nim pogadać.

— Jeśli powiesz mu, gdzie jesteśmy, albo jeżeli wyśledzi to przez sieć, wyda nas. A przynajmniej zrobiłby to, gdyby wiedział, że ktoś nas ściga.

— Dlaczego?

— Taki już jest.

Jednak podała Rydellowi aparat i numer.

— Hej, Lowell?

— Kto mówi, do cholery?

— Jak leci?

— Kto ci dał…

— Nie rozłączaj się.

— Słuchaj, pier…

— Wydział Zabójstw SFPD.

Usłyszał, jak Lowell zaciąga się papierosem.

— Co powiedziałeś?

— Orlovsky. Wydział Zabójstw SFPD, Lowell. Ten wielki pierdoła z wielkim pieprzonym pistoletem. Tam w barze? Pamiętasz? Zanim zgasło światło. Byłem tam, przy barze, gadałem z Gównianym Edem.

Lowell znów zaciągnął się, tym razem chyba płyciej.

— Słuchaj, nie wiem, o co ci…

— Nie musisz. Możesz się teraz rozłączyć, Lowell. Jednak jeśli to zrobisz, chłopcze, to pocałuj swój tyłek na do widzenia. Pamiętasz, jak Orlovsky przyszedł tam po dziewczynę, no nie? Widziałeś go. On tego

nie lubi. Nie był tam służbowo, Lowell. Poszedł tam w swoich interesach. To naprawdę niebezpieczny gość. Równie groźny jak rak.

Milczenie.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— No to posłuchaj, Lowell. Dobrze ci radzę. Jeśli nie będziesz słuchał, powiem Orlovsky'emu, że go widziałeś. Podam mu ten numer. Przekażę mu twój rysopis i tego skina także. Powiem mu, że o nim gadasz. I wiesz, co on zrobi, Lowell? Przyjdzie tam i odstrzeli ci dupsko, ot co. I nikt go nie powstrzyma. Wydział zabójstw, Lowell. Może nawet później sam poprowadzi śledztwo, jeśli zechce. On nie żartuje, mówię ci.

Lowell odkaszlnął kilka razy. Odchrząknął.

— To jakiś żart?

— Nie słyszę, żebyś się śmiał.

— No dobra, powiedzmy, że tak jest. I co? Czego chcesz?

— Słyszę, że znasz ludzi, którzy potrafią różne rzeczy. Z komputerami i nie tylko.

Usłyszał, jak Lowell zapala nowego papierosa.

— No… tak jakby.

— Republika Żądzy — rzekł Rydell. — Chcę, żebyś namówił ich, aby oddali mi przysługę.

— Żadnych nazwisk — rzucił pospiesznie Lowell. — Programy skanujące wychwytują z szumu…

— „Oni”. Mogą to być „oni”? Chcę, żebyś poprosił ich, aby coś dla mnie zrobili.

— To cię będzie kosztowało — powiedział Lowell — i to sporo.

— Nie — rzucił Rydell — to będzie kosztowało ciebie.

Nacisnął guzik, przerywając połączenie. Niech ten Lowell dobrze to sobie przemyśli. Może odszuka Orlovsky'ego na liście i upewni się, że to pracownik wydziału zabójstw. Zamknął panel telefonu i wrócił do przyczepy. Matka Subletta nastawiała klimatyzator na zbyt wysoką temperaturę.

Sublett siedział na kanapie. W tych białych ciuchach wyglądał jak malarz albo tynkarz , tyle że zbyt czysty.

— Wiesz co, Berry, chyba wrócę do Los Angeles?

— A co z twoją matką?

— Hmm, jest tu pani Baker z Galveston. Były sąsiadkami przez wiele lat. Pani Baker może mieć na nią oko.

— Ta historia z apostazją działa ci na nerwy?

— Jasne — odrzekł Sublett, obracając się, żeby spojrzeć na hologram Fallona. — Nadal wierzę w Boga, Berry i wiem, że widziałem Jego twarz w mediach, jak naucza wielebny Fallon. Wiem. Jednak cała reszta, równie dobrze może być pustą gadaniną.

Sublett wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpłakać. Spojrzał

na Rydella srebrnymi oczami.

— I zastanawiałem się nad IntenSecure, Berry. Nad tym, co powiedziałeś mi wczoraj. Nie wiem, jak mógłbym tam wrócić i pracować dla nich, wiedząc, co wyprawiają. Myślałem, że przynajmniej pomagam chronić społeczeństwo przed złem tego świata, Berry, ale teraz widzę, że pracowałem dla ludzi wyzutych z wszelkich zasad.

Rydell podszedł do telewizora i spojrzał z bliska na chustki modlitewne. Ciekawe, która z nich miała chronić przed AIDS.

— Nie — powiedział w końcu — musisz wrócić do pracy. Przecież ty chronisz ludzi. Naprawdę. Poza tym musisz z czegoś żyć, Sublett.

— A co z tobą?

— No, co ze mną?

— Znajdą cię i zabiją, Berry. Ciebie i ją.

— Zapewne i ciebie, jeśli dowiedzą się, że ci powiedziałem. Nie powinienem tego robić, Sublett. To główny powód tego, że musimy wynieść się stąd z Chevette. Żebyś nie ucierpiał ani ty, ani twoja mama.

— No cóż — powiedział Sublett. — Nie będę dla nich pracował, Berry. Ja też stąd wyjeżdżam. Muszę.

Rydell spojrzał na Subletta, nie wiadomo dlaczego oczami duszy widząc go w mundurze IntenSecure, z glockiem i nie tylko, aż nagle wszystko poukładało mu się w głowie, odsłaniając zupełnie nowe możliwości realizacji tego wspaniałego, zwariowanego pomysłu. „Nie powinieneś go w to mieszać”, powiedział sobie Rydell, „to nie byłoby w porządku”.

— Sublett. — Usłyszał swój głos minutę później. — Mam dla ciebie pracę, o jakiej nawet ci się nie śniło.

— Jaką?

— Szukanie kłopotów.

33
Notebook

ryż
ścierki do mycia
szczotka
detergent w płynie
śpiwór
paliwo do kuchenki
olej/uszczelka

Teraz śpi. Ryż z curry z tajskiej knajpy. Pyta, gdzie podziała się dziewczyna. Powiedzieć mu, że Fontaine miał od niej wiadomość, ale nie wie, gdzie ona jest i dlaczego. Pistolet na półce. Niechętnie dotyka go (zimny, ciężki, śmierdzący oliwą, ciemny granat starty do srebmoszarego na bokach lufy i na wypukłościach cylindra. SMITH WESSON. Thomasson.) Dziś wieczorem Skinner znów mówił o Shapelym.

To cholerne świństwo, że tak go załatwili, Scooter. Zawsze jest tak samo. Człowiek zaczyna się zastanawiać, dlaczego te przeklęte religie istnieją tak długo i skąd się w ogóle wzięły. Czy może się zdarzyć, że on kiedyś znowu pojawi się we własnej osobie, jeśli te pieprzone świry będą zabijać ludzi w jego imieniu, a przynajmniej twierdzić, że robią to dla niego? Była taka sekta Jezusa Ukrzyżowanego, której wyznawcy rozmawiali tylko w poniedziałki, a wtedy szli i wykopywali po jednej łopacie ziemi ze swoich grobów. Co jakiś czas, kiedy uznawali, że w któregoś z nich wstąpił duch, załatwiali go tymi chromowanymi gwoździami, które wszyscy nosili w woreczkach z jagnięcej skóry — koniecznie z nie narodzonych jagniąt. Do diabła, przecież oni byli jeszcze bardziej stuknięci od tych, którzy go wykończyli, Scooter. W końcu pozabijali się wszyscy. Mniej więcej od 1998 nie został ani jeden.

34
Ucieczka z raju

— *Inner Tube*, kochanie — powiedziała pani Sublett. — Talitha Morrow, Todd Probert, Gary Underwood. 1966.

Leżała na fotelu, mając na czole zwiniętą i zmoczoną ściereczkę do naczyń. Ściereczka miała ten sam niebieski kolor co jej kapcie, które też były z szorstkiego płótna.

— Nigdy go nie widziałam — powiedziała Chevette, przerzucając strony gazety w całości poświęconej wielebnemu Fallonowi. Zobaczyła tę byłą aktorkę, Gudrun Weaver, która obściskiwała Fallona na jakiejś scenie. Gdyby się obrócił, pomyślała Chevette, ledwie sięgałby jej nosem do biustu. Wyglądał tak, jakby pod skórę wstrzyknięto mu różowy wosk i miał najdziwniejszą w świecie fryzurę: coś w rodzaju krótkiej peruki, która sprawiała wrażenie, że zaraz może zejść mu z głowy, i pomaszerować w świat.

— Wszystko to, co wiąże się z telewizją — stwierdziła pani Sublett — ma, oczywiście, doniosłe znaczenie dla Kościoła.

— O czym jest ten film?

— Talitha Morrow gra dziennikarkę, a Todd Probert rabusia bankowego. Jednak jest on w istocie szlachetnym człowiekiem, ponieważ te pieniądze są mu potrzebne, aby zapłacić za operację przeszczepu serca u żony. Carrie Lee. Pamiętasz ją? Zagrała dojrzałą rolę, kochanie. Wybitną. No cóż. Gary Underwood gra eksmęża Talithy, ale wciąż w niej zakochanego. Prawdę mówiąc, cierpi na rodzaj… jak to nazywają? No tak, erotomanii, bo nie potrafi myśleć o niczym innym i staje się złym człowiekiem. Najpierw przysyła jej połamane na kawałki lalki Barbie, potem martwego białego królika, a na koniec tę fikuśną bieliznę, całą zakrwawioną…

Chevette pozwoliła starszej pani mówić. Po prostu wyłączyła się, tak jak czasem robiła to, będąc z matką. Zastanawiała się, o czym tak długo rozmawiają Rydell i Sublett. Szykowali coś; szeptali w kuchni. Popatrzyła na muchę bzyczącą nad regałem pani Sublett. Owad krążył ospale, jakby nie służyła mu klimatyzacja. Chevette zastanawiała się, czy nie zakochała się w Rydellu. Może to dlatego, że wykąpał się, ogolił i włożył czyste ubranie wyjęte z tej jego idiotycznie wyglądającej walizki. Ciuchy były dokładnie takie same jak te, które nosił przedtem. Może nigdy nie ubierał się inaczej. Jednak musiała przyznać, że w tych dżinsach wyglądał cholernie zgrabnie. Matka Subletta twierdziła, że wygląda jak młody Tommy Lee Jones. Kim był ten Tommy Lee Jones? A może dlatego, że przeczuwała, iż Sublett zamierza zrobić krzywdę Lowellowi. Wydawało się jej, że kocha

Lowella, a przynajmniej czuje coś do niego, ale teraz już tak nie myślała, wcale nie. Gdyby tylko nie zabrał się za pląs. Chevette przypomniała sobie, jak wyglądał Loveless, kiedy wsypała mu pląsu do coli. Pytała Rydella, czy dawka była dostatecznie duża, żeby go zabić, ale on odparł, że nie. Powiedział, że wystarczyła, żeby na jakiś czas zupełnie oszalał, a kiedy dojdzie do siebie, będzie cierpiał. Potem zapytała, dlaczego Loveless to robił — czemu walił się kolbą w krocze. Rydell podrapał się po głowie i odparł, że nie jest pewien, ale tak chyba wygląda reakcja układu nerwowego na pląs. Mówił, że podobno powoduje priapizm. Zapytała go, co to takiego. No, odparł, to wtedy, kiedy mężczyzna jest nadmiernie pobudzony. Nie bardzo go rozumiała, ale Lowellowi stawał po tym i nie chciał opaść. To może byłoby dobre, a przynajmniej w porządku, gdyby nie zachowywał się przy tym tak brutalnie; wszystko ją potem bolało, a później krzyczał na nią przy swych kolesiach, takich jak Codes. No nic, nie miała najmniejszego zamiaru przejmować się tym, co Rydell szykował dla Lowella, nie ma mowy. Martwiła się o Skinnera, czy nic mu nie jest i czy ktoś się nim zajmuje. Trochę bała się znów dzwonić do Fontaine'a; za każdym razem gdy Rydell używał telefonu, obawiała się, że mogą wytropić rozmowę. Czuła smutek, gdy pomyślała o rowerze. Była przekonana, że ktoś go już zabrał. Wstydziła się tego, ale powodowało to niemal taką samą żałość jak śmierć Sammy'ego. A Rydell przypuszczał, że Nigel pewnie też został zabity.

— A wtedy — mówiła matka Subletta — Gary Underwood wypada przez okno. I spada prosto na ogrodzenie. Takie z ostrymi sztachetami.

— Hej, mamo — rzekł Sublett — zanudzasz Chevette.

— Ja tylko opowiedziałam jej *Inner Tube* — broniła się pani Sublett spod okładu.

— 1966 — odruchowo dodał Sublett. — Hmm, Rydell i ja musimy z nią porozmawiać. — Gestem zaprosił Chevette do kuchni. — Nie uważam, że to dobry pomysł pozwolić jej wyjść na zewnątrz, Berry — powiedział do Rydella. — Nie w biały dzień.

Chevette spojrzała na obrączkę wokół przegubu. Rydell odpiłował drugą razem z łańcuchem, wypożyczoną gdzieś, ceramiczną piłką. Zajęło mu to prawie dwie godziny. Teraz siedział przy plastkowym stoliczku, gdzie jadła śniadanie.

— No cóż, ty nie możesz pójść, Sublett, ze względu na twoją apostazję. A ja nie chcę się tam pokazywać, nie z głową w goglach. Mogliby wejść jego rodzice albo on mógłby podsłuchać.

— Nie możesz po prostu zadzwonić do nich ze zwykłego telefonu, Berry? — spytał zaniepokojony Sublett.

— Nie — odparłRydell.-Nie mogę. Oni tego nie lubią. Mówił, że jeśli połączę się z nimi przez gogle, to przynajmniej mnie wysłuchają.

— W czym problem? — zapytała Chevette.

— Sublett zna kogoś, kto ma gogle.

— Buddy — powiedział Sublett.

— Twój koleś? — spytała.

— Ma na imię Buddy (Buddy (ang.) — koleś (przyp. tłum.)) — odparł Sublett. — Tylko że wirtualna rzeczywistość, gogle i wszystko jest wbrew prawom kościelnym. Wielebny Fallon miał objawienie, że wirtualna rzeczywistość jest narzędziem Szatana, ponieważ jej miłośnicy za rzadko oglądają telewizję…

— Ty w to nie wierzysz — rzekł Rydell.

— Buddy też nie, ale ojciec dałby mu po głowie, gdyby znalazł ten sprzęt, który chłopak trzyma pod łóżkiem.

— Zawołaj go i powiedz mu to, co usłyszałaś ode mnie. Dwieście dolarów gotówką, plus dopłata za dodatkowe koszty.

— Zobaczą ją — powiedział Sublett, rzucając niepewne szklane spojrzenie w kierunku Chevette, a później znów na Rydella.

— Czemu mieliby mnie zobaczyć?

— No, przez twoją fryzurę — wyjaśnił Sublett. — Zbyt rzuca się w oczy, mówię ci.

— Słuchaj, Buddy — powiedział Rydell do chłopca. — Masz tu dwieście dolarów. Mówisz, że kiedy ma wrócić twój ojciec?

— Nie wcześniej niż za dwie godziny — odparł Buddy, lekko zacinając się ze zdenerwowania. Podniósł pieniądze, jakby mógł się od nich czymś zarazić. — Pomaga wylać nowy fundament pod te ogniwa, które przywożą dziś z Phoenix kościelnym transportowcem.

Buddy wciąż spoglądał na Chevette. Miała na głowie słomkowy kapelusz matki Subletta, z wielkim opadającym rondem, oraz naprawdę dziwnie wyglądające okulary przeciwsłoneczne z cytrynowożółtymi oprawkami i szkłami, lekko zsuwające jej się z nosa. Usiłowała go rozbawić, ale niewiele to pomagało.

— Jesteście przyjaciółmi Joela, tak?

Buddy miał fryzurę nieznacznie różniącą się od łysiny skina, w ustach jakiś aparacik prostujący zęby oraz jabłko Adama wielkości jednej trzeciej jego głowy, które bez przerwy chodziło mu w górę i w dół.

— Z Los Angeles?

— Tak.

— Ja… chciałbym tam p-pojechać.

— To dobrze — powiedział Rydell. — Robisz krok we właściwym kierunku, możesz mi wierzyć. Teraz zaczekaj na zewnątrz, tak jak uzgodniliśmy i powiedz Chevette, gdyby ktoś nadchodził.

Buddy wyszedł ze swej maleńkiej sypialni, zamykając za sobą drzwi. Pokój nie wyglądał na pomieszczenie, w którym mieszka

chłopiec w jego wieku. Zbyt czysty, z tymi plakatami Jezusa i Fallona. Współczuła mu. Było tu ciasno i duszno, brakowało klimatyzacji, jaką miała matka Subletta. Chevette zdjęła kapelusz.

— Dobrze — powiedział Rydell, podnosząc plastikowy hełm.

— Usiądź na łóżku i wyciągnij wtyczkę, gdyby ktoś nam przerwał.

Buddy już wszystko popodłączał. Rydell siadł na podłodze i włożył hełm, więc nie widziała jego oczu. Potem wciągnął jedną z tych rękawic, które zawsze się używa. Patrzyła, jak jego palec wskazujący, w rękawiczce, wybiera numer na niewidocznej tarczy. Potem słyszała, jak rozmawia z komputerem firmy telekomunikacyjnej, uzgadniając koszt połączenia i rozmowy. Dał znak gotowości, podnosząc rękę.

— Zaczynamy — powiedział i zaczął wystukiwać numer, który podał mu Lowell, poruszając palcem w powietrzu. Kiedy skończył, zacisnął dłoń w pięść, zatoczył nią krąg i położył ją sobie na kolanach. Siedział tak przez kilka sekund, lekko poruszając hełmem, jakby się rozglądał, a potem znieruchomiał.

— Dobrze — powiedział, dziwnie zmienionym głosem, ale nie do niej. — Jest tu kto?

Chevette poczuła wstrząsające nią dreszcze.

— O Jezu — powiedział, obracając nakrytą hełmem głowę.

35
Republika Żądzy

Kiedy był młodszy i chodził do szkoły średniej, Rydell lubił ściany snów. Te najlepsze prowadzili Japończycy, w pomieszczeniach różnej wielkości, najczęściej w starych halach targowych; niektóre w dawnych kinach albo domach towarowych. Kiedyś trafił do takiej, którą zrobili w starej kręgielni: była naprawdę długa i wąska, tak że wszystko odkształcało się, jeśli poruszałeś się zbyt szybko. Wybierało się rozmaite warianty zabawy; w Knoxville najpopularniejsze były pojedynki rewolwerowców, kiedy dostawało się broń i strzelało do rozmaitych złych facetów, a oni do ciebie — w ten sposób zdobywało się punkty. Coś jak nauka strzelania w akademii, ale nie z taką rozdzielczością. I bez takiego… hmm… kolorytu. Jednak Rydell najbardziej lubił tę, w której rzeźbiło się rzeczy z niczego, z chmury pikseli i wielokątów czy czegokolwiek, przy czym widziało się, co robią inni, a nawet można było łączyć swoje dzieła z ich produktami, jeśli wyrazili na to zgodę. Trochę wstydził się tego, ponieważ głównie robiły to dziewczyny. One zawsze tworzyły jednorożce, tęcze i różności, a Rydell samochody, pojazdy ze snu, jakby był jakimś japońskim konstruktorem, który przedstawia swoje wizje. Później mogłeś zrobić kolorowy wydruk albo nagrać kasetę, jeśli dokonałeś animacji. Na drugim końcu sali zawsze było kilka dziewczyn przeprowadzających operacje plastyczne na swoich zdjęciach, zmieniających fryzury i twarze, robiących odbitki tych, które uznały za najbardziej udane.

Rydell stawał bliżej wejścia, formując promienie zielonego światła wokół narysowanej formy, nakładając kolor i fakturę, sprawdzając różne modele. Jednak włączywszy się w wirtualną przestrzeń Republiki Żądzy, miał wrażenie, że widzi to, co istnieje wokół ścian snów. Niesamowite wrażenie, ponieważ kiedy oderwało się wzrok od aktualnie wykonywanej czynności, nie było tam niczego, a przynajmniej niczego godnego uwagi. Jednak kiedy robiło się coś, na przykład projektowało samochód, miało się takie zabawne uczucie przekraczania krawędzi świata i zaglądania w przestrzeń rozpościerającą się w nieskończoność, przez wieczność. I czułeś, że nie stoisz na podłodze starego kina czy kręgielni, lecz na jakiejś równinie, albo na szklanej tafli, która rozpościera się za tobą na wiele kilometrów, nie mając żadnego końca. Tak więc, gdy odszukawszy logo providera, znalazł się na tej szklanej równinie, powiedział po prostu „Och”, ponieważ zobaczył jej krańce, a wokół niej i nad nią widział tę chmurę, mgłę lub niebo, bezbarwne i wielobarwne

jednocześnie. A były tam postacie większe od drapaczy chmur i od wszystkiego wokół, a równina była na wysokości ich piersi, więc Rydell czuł się jak robaczek albo zabaweczka.

Jedną z nich był dinozaur, podobny do T. Rexa; stwór z krótkimi przednimi łapami, tyle że zakończonymi czymś, co przypominało dłonie. Druga wyglądała jak posąg, lub niezwykła formacja skalna, pełen szczelin i pęknięć, w kształcie mężczyzny o szerokiej twarzy okolonej puklami włosów, spokojnej, z przymkniętymi powiekami. Mimo kamienia i mchu, loki wydawały się ulepione z góry iłu. Potem zobaczył trzecią i wtedy powiedział „Jezu". To również była ogromna postać, utworzona z telewizorów, których włączone ekrany migotały i mrugały, najwyraźniej z trudem utrzymując obraz ukazywanej postaci: coś, co równie dobrze mogło być kobietą jak mężczyzną. Kiedy próbował skupić wzrok na jednym z monitorów, bolały go oczy. Jakby oglądał milion kanałów jednocześnie, a ich szum był jak spadający ze skał wodospad, niczym syk, który jednak wcale nie był dźwiękiem.

— Witamy w Republice Żądzy — powiedział dinozaur głosem pięknej kobiety. Uśmiechnął się, pokazując zęby, w których kości słoniowej wyrzeźbiono całe świątynie. Rydell usiłował przyjrzeć się tym rzeźbom; widział je przez ułamek sekundy, a potem coś się z nimi stało.

— Nie masz niezbędnego trzeciego pasma — powiedział człowiek-góra głosem, jakiego można oczekiwać od góry. — Jesteś w przestrzeni K-tel…

— Moglibyśmy wyłączyć emulator — zaproponowała istota złożona z telewizorów, modulując głos z szumu wodospadu.

— Nie warto — orzekł dinozaur. — Nie sądzę, żeby to była długa rozmowa.

— Twoje nazwisko? — spytała góra.

Rydell zawahał się.

— Numer ubezpieczenia? — ciągnął dinozaur znudzonym tonem i z jakiegoś powodu Rydell pomyślał o ojcu, który wciąż rozprawiał o tym, jak było kiedyś, a jak jest teraz.

— Nazwisko i numer ubezpieczenia — powiedziała góra — albo znikamy.

— Rydell, Stephen Berry. — Potem szereg cyfr. Ledwie doszedł do ostatniej, kiedy dinozaur powiedział:

— Były policjant, jak widzę.

— O rany — powiedziała góra, która coś mu przypominała.

— No — zahuczał dinozaur — bardzo były, jak widzę. Potem pracował dla IntenSecure.

— Ostry — powiedziała góra i wystawiła rękę, wskazując Rydella, tyle że to były gigantyczne homarze szczypce pokryte mchem. Zdawały się zakrywać pół nieba jak burta kosmolotu. — Jak wąski

koniec klina?

— Powiedziałbym, że twardszych i węższych nie ma — zaszumiały telewizory. — Najwyraźniej zdobyłeś niepodzielną uwagę naszego Lowella. Nawet nie chciał nam zdradzić, jak się nazywasz.

— Nie wiedział.

— Nie wie, czym różni się jego tyłek od dziury w błocie, chi-chi — powiedziała góra, opuszczając szczypce, głosem będącym elektroniczną parodią głosu Rydella. Ten usiłował spojrzeć jej w oczy; dostrzegł błysk kilku niebieskich stawków, falujących paproci, umykającego w podskokach płowego gryzonia. — Tacy jak Lowell wyobrażają sobie, że my potrzebujemy ich bardziej niż oni nas.

— Powiedz, czego chcesz, Stephenie Berry — rzekł dinozaur.

— Zdarzyło się coś, w Benedict Canyon…

— Tak, tak — przerwał mu dinozaur — ty byłeś kierowcą. Co to ma wspólnego z nami?

W tym momencie Rydell zrozumiał, że dinozaur, albo oni wszyscy, mają wgląd we wszystkie jego dane, natychmiast i bez ograniczeń. Poczuł się nieswojo.

— Zaglądacie w moją kartotekę.

— I nie jest zbyt interesująca. Benedict Canyon?

— To wasza robota.

Góra podniosła brwi. Smagane wiatrem krzaki, osypujące się kamyki. Tuż na granicy postrzegania.

— Właściwie to nie my, niezupełnie. My wybralibyśmy bardziej elegancki sposób.

— Dlaczego podjęliście się tego zadania?

— No — odparł dinozaur — jeśli ktoś to zrobił, lub wydał takie polecenie, to chyba należałoby wskazać męża tej pani, który potem podpisał pozew rozwodowy. Oparty na bardzo solidnych podstawach.

— Wrobił ją? Z tym ogrodnikiem i wszystkim?

— Chyba Lowell mógłby to wyjaśnić — zagrzmiała góra.

— Nie wyjawił nam pan, czego pan chce, panie Rydell.

To ten telewizorowy stwór.

— Chcę… Taką robotę. Chcę, żebyście zrobili coś takiego. Dla mnie.

— Lowell — powiedziała góra i potrząsnęła kędzierzawą głową. Kaskady pyłu na skraju pola widzenia Rydella. Kurz unoszący się nad odległym zboczem.

— Takie rzeczy są niebezpieczne — powiedział dinozaur. — A więc są bardzo kosztowne. Ty nie masz pieniędzy, Rydell.

— A gdyby zapłacił wam Lowell?

— Lowell — stwierdziła ogromna twarz z telewizorów — jest naszym dłużnikiem.

— Dobra — rzekł Rydell — rozumiem. Chyba znam kogoś, kto

wam zapłaci. — Sam nie wiedział, czy to bzdura czy nie. — Jednak musicie mnie wysłuchać. Chcę wam coś powiedzieć.

— Nie — odparła góra i Rydell przypomniał sobie, kogo miała przypominać: tego faceta, którego czasem pokazywali w programach historycznych; wymyślił hełm wirtualny czy coś tam. — A jeśli Lowell myśli, że jest jedynym alfonsem na świecie, to niech się dobrze zastanowi.

Zaczęli blaknąć, rozsypywać się w kalejdoskop fraktali i Rydell wiedział, że zaraz straci z nimi kontakt.

— Czekajcie — powiedział. — Czy ktoś z was mieszka w San Francisco?

Dinozaur pojawił się ponownie.

— A gdyby?

— Podoba wam się to miasto?

— Dlaczego pytasz?

— Ponieważ wszystko tam się zmieni. Zrobią z nim to samo, co robią teraz w Tokio.

— Tokio? — Pytanie popłynęło z telewizorów, tworzących obraz wielkiej kuli, podobny do hologramu w „Dysydentach”. — Kto ci to powiedział?

Teraz wróciła także góra.

— W Tokio nie ma teraz dla nas wiele miejsca…

— Mów — powiedział dinozaur.

I Rydell zrobił to.

Znów miała kapelusz na głowie, kiedy zdjął hełm, ale okulary trzymała w ręce. Patrzyła na niego.

— Nie wiem, czy cokolwiek zrozumiałam — powiedziała. Słyszała tylko to, co on mówił, pod koniec. — Jednak myślę, że jesteś kompletnie popieprzony.

— Pewnie jestem. — Sprawdził czas i koszt rozmowy. Pochłonęła prawie wszystkie pieniądze, jakie mu zostały. — Nie mam pojęcia, dlaczego musieli przeprowadzać to cholerne połączenie przez Paryż.

Ona tylko włożyła z powrotem okulary i powoli potrząsnęła głową.

36
Notebook [2]

Miasto w blasku słońca, widziane z dachu tego pudełeczka na szczycie wieży. Otwarty właz. Odgłosy sortowania i układania różnych przedmiotów. Skinner powoli napełnia kartonowe pudełko rzeczami, które zaniosę na dół do sprzedawców oferujących swój towar na kocach, na zatłuszczonych prostokątach starego brezentu. Osaka daleko. Wiatr przynosi dźwięk uderzeń młotkiem, piosenkę. Skinner zapytał tego ranka, czy widziałem szczupaka w Steiner Aquarium.

— Nie.

— On się nie rusza, Scooter.

Fontaine na pewno nie powiedział nic więcej? Tylko to, że znalazł jej rower? To niedobrze. Nie zostawiłaby go na tak długo. Cholernie dużo za niego zapłaciła. A w środku jest zrobiony z papieru. Japoński papier konstrukcyjny, jak on się nazywa? Jesteś beznadziejny, Scooter. Przecież to twój język. Zapominacie go szybciej niż my… Papierowa rura, którą owijają aramidem czy czymś takim. Nie, ona nie zostawiłaby go. Kiedy przyniosła go do domu, przez trzy godziny nanosiła na niego imitację rdzy, dasz wiarę? Imitację rdzy, Scooter. I owijała go starymi szmatami, przewody, wszystko. Żeby nie wyglądał na nowy. No cóż, to lepsze niż dobry zamek, naprawdę. Wiesz, jak otworzyć kłódkę Kryptonite, Scooter? Kluczykiem volvo. Kluczyk volvo idealnie do niego pasuje, jakby po to był zrobiony. Pchnij raz czy dwa, bęc. Jednak już ich nie używają, tych kłódek. Mimo to niektórzy noszą te kluczyki. Popatrz na tych z podgolonymi głowami, a sam zobaczysz… Po prostu znalazłem ją pewnego dnia. Chcieli odwieźć ją na koniec mostu i oddać miastu. Mówili, że i tak umrze, zanim ją tam dowiozą. Powiedziałem im, żeby spieprzali. Przyniosłem ją tutaj. Wciąż mam trochę krzepy. Dlaczego? Cholera. Dlatego. Widzisz, jak ktoś umiera i idziesz sobie dalej, jakby to było w telewizji?

37
Century City

Chevette nie wiedziała, co myśleć o Los Angeles. Uznała jednak, że te palmy są niesamowite. Po drodze Sublett zatrzymał swój elektryczny samochód za wielką przyczepą z napisem INSTALATORSTWO ZIELENI, NANOTRONOWA ROŚLINNOŚĆ, z której sterczały czubki tych sztucznych palm, owinięte w plastik.

Widziała kiedyś w telewizji, ze Skinnerem, jak sadzą te drzewa na miejscu tych zabitych przez jakiś meksykański wirus. Były takie same jak ten tunel pod zatoką albo to, co według Rydella i Subletta Korporacja Sunflower zamierzała zrobić w San Francisco; te rzeczy jakby wyrastały, były uruchamiane mnóstwem takich maleńkich maszyn. Podczas jednego z programów, które oglądała ze Skinnerem, mówiono, że te nowe drzewa zaprojektowano na wzór prawdziwych, aby mogły się w nich gnieździć wszystkie ptaki, szczury i inne stworzenia — tak jak w tych, które uschły. Skinner opowiadał, że kiedyś wjechał dżipem na prawdziwą palmę w LA i spadło z niej chyba z dziesięć szczurów, które wylądowały na masce, a po chwili spłoszyły się i uciekły.

Na pewno było tu inaczej niż w San Francisco. Widziała to miasto jakby na dwa sposoby. Z jednej strony mnóstwo budowli, porozrzucanych bez ładu i składu, a z drugiej naprawdę wielką przestrzeń, z górami na horyzoncie, pełne rozświetlającej wszystko energii. Może dlatego, że przyjechali tu w nocy.

Sublett miał to małe euroauto nazywane montxo. Poznała je dobrze, ponieważ przez całą drogę z Paradise musiała patrzeć na logo na desce rozdzielczej. Sublet twierdził, że to rymuje się ze słowem poncho. Wóz wyprodukowano w Barcelonie; podłączało się go do gniazdka i zostawiało, aż się naładował. Na autostradzie nie wyciągał więcej niż czterdzieści, ale Sublett nie chciał jeździć niczym innym ze względu na swoje uczulenie. Powiedziała mu, że ma szczęście, że robią elektryczne samochody, ale on i tak stale obawiał się pól elektromagnetycznych, raka i innych rzeczy. Zostawili jego matkę z panią Baker, oglądające *Kosmicznego łowcę* w telewizji. Obie były tym bardzo przejęte, ponieważ twierdziły, że to pierwszy film Molly Ringwald. Podniecały się właśnie takimi rzeczami, a Chevette nigdy nie rozumiała, o czym one mówią.

Spojrzała na kajdanki. Posmarowała obręcz czarnym klejem epoksydowym oraz różowymi i niebieskimi paciorkami, które dostała od matki Subletta; wprawdzie wyglądało to paskudnie, ale przynajmniej nie przypominało kajdanek. Rydell spędzał coraz więcej

czasu, telefonując i dwukrotnie musieli przystanąć, żeby kupić nowe baterie, za które zapłacił Sublett. Zaczęło ją martwić to, że nie zwracał na nią uwagi. Znów spali razem w jednym łóżku, kiedy wzięli pokój w motelu, ale nic się nie stało, chociaż Sublett nocował w montxo, na rozłożonych siedzeniach. Rydell wciąż starał się nawiązać kontakt z tymi ludźmi z Republiki Żądzy, których znał Lowell, wykorzystując sieciowy telefon i próbował zostawić wiadomości poczcie głosowej. Jakiegoś pana Ma, czy jakoś tak. Jednak chyba nikt ich nie odbierał, więc znów wydzwaniał do ludzi z Republiki i długo opowiadał całą tę historię, wszystko, co im się przydarzyło, a oni zarejestrowali to i mieli umieścić w poczcie pana Ma. Rydell powiedział, że zamieszczą to jako główną i jedyną wiadomość. Stwierdził, że w ten sposób na pewno zwróci na nią uwagę.

Kiedy dotarli do LA i wzięli pokój w motelu, Chevette była lekko podniecona, ponieważ zawsze chciała to przeżyć. Jej matka zwykle dobrze się bawiła, kiedy nocowała w motelach. No, okazało się to czymś w rodzaju kempingu bez przyczep, z małymi betonowymi bungalowami podzielonymi na mniejsze pokoje, a przy basenie jacyś cudzoziemcy piekli coś na grillu. Sublett bardzo się zdenerwował, ponieważ nie znosił węglowodorów i w ogóle, ale Rydell uspokoił go, że tylko na jedną noc. Potem podszedł do nich, porozmawiał chwilę i dowiedział się, że to Tybetańczycy. Robili dobre szaszłyki, ale Sublett jadł tylko to, co kupił w drugstorze: butelkowaną wodą popijał te żółte baloniki wyglądające jak mydło, po czym poszedł spać do montxo.

A teraz znalazła się tu, w tym miejscu zwanym Century City II, usiłując wyglądać tak, jakby dostarczała przesyłkę. Była to jedna z tych zielonych cyckowatych budowli wspartych na trzech nogach. Widziało się, którędy biegną, ponieważ ściany zbudowano z przezroczystego szkła. Była to chyba największa konstrukcja w mieście; zdawała się nie mieć końca. Rydel nazywał ją „Glutem". Ekskluzywne miejsce, coś w rodzaju China Basin, zamieszkałe przez takich samych ludzi, jakich przeważnie widuje się w centrum finansowym, w halach targowych lub rozwożąc przesyłki.

No cóż, miała odznaki na kurtce i wzięła prysznic w motelu, ale i tak czuła się tu nieswojo. Tyle drzew rosnących w gigantycznej, pustej w środku podporze i niesamowite, przyćmione światło sączące się ze wszystkich stron. Stała na ruchomych schodach, ciągnących się bez końca, jadąc wciąż w górę, otoczona przez ludzi, którzy czuli się tu u siebie. Rydell powiedział, że w pozostałych dwóch pionach znajdują się windy biegnące pod kątem, tak jak ta Skinnera. Jednak znajomy Subletta mówił, że zazwyczaj pilnuje ich więcej ludzi z IntenSecure. Wiedziała, że Sublett jedzie gdzieś za nią, a przynajmniej tak ustalili, zanim Rydell wysadził ich przed wejściem. Spytała go, dokąd teraz jedzie, a on odparł, że musi pożyczyć latarkę. Naprawdę go polubiła.

Trochę ją to niepokoiło. Chciałaby wiedzieć, jaki okazałby się w innej sytuacji. Zastanawiała się również, jak sama by się zachowała. Obaj z Sublettem pracowali przedtem dla firmy zabezpieczającej budynek, IntenSecure, więc Sublett zadzwonił do swojego kolegi i wypytał go o ochronę. Udawał, że zamierza ubiegać się o inną posadę. Razem z Rydellem wymyślili sposób, w jaki mogła dostać się do środka, przy czym miał ją ubezpieczać. Niepokoiło ją zachowanie Subletta, który sprawiał wrażenie, że zamierza popełnić samobójstwo. Kiedy zaczęli realizować plan opracowany przez Rydella, jakby zaczął żegnać się z życiem. Wciąż mówił o swojej apostazji, filmach, które mu się podobały, oraz o jakimś Cronenbergu. Był dziwnie spokojny, jak ktoś przeświadczony o swej nieuchronnej śmierci; jakby pogodził się z tym, chociaż wciąż martwił się swoim uczuleniem.

Zielone światło. Przejeżdża przez nie. W motelu przygotowali jej paczkę. W środku były szklanki. Zaadresowana do Karen Mendelsohn.

Zamknęła oczy, powiedziała sobie, że Bunny Malatesta naskoczy jej na głowę, jeśli nie doręczy przesyłki, po czym nacisnęła guzik.

— Tak? — odezwał się jeden z tych komputerów.

— Posłaniec z Allied Messengers, do Karen Mendelsohn.

— Przesyłka?

— Ma ją pokwitować.

— Mam autoryzację…

— Osobiście. Mam mieć jej podpis. Rozumiesz? Cisza.

— Rodzaj przesyłki?

— Myślisz, że je otwieram czy co?

— Rodzaj przesyłki?

— No — powiedziała Chevette — tu jest napisane „Sąd do Spraw Spadkowych w San Francisco” i jeśli nie otworzysz tych drzwi, panie geniuszu, to znajdzie się w pierwszym odlatującym tam samolocie.

— Proszę czekać — rzekł komputer.

Chevette spojrzała na doniczkowe rośliny przy drzwiach. Były wielkie, wyglądały na prawdziwe i wiedziała, że Sublett stoi za nimi, chociaż nie widziała go. W jednej ktoś zgasił cygaro, między korzeniami.

Drzwi uchyliły się odrobinę.

— Tak?

— Karen Mendelsohn?

— O co chodzi?

— Posłaniec z Allied, San Francisco. Zechce pani podpisać?

Chociaż nie miała niczego, żadnego formularza, żadnego kwitu.

— San Francisco?

— Tak tu jest napisane.

Drzwi otworzyły się trochę szerzej. Ciemnowłosa kobieta w długim, białym szlafroku frotte. Chevette zobaczyła, że tamta spogląda

na odznaki na kurtce Skinnera.

— Nie rozumiem — zdziwiła się Karen Mendelsohn. — Korzystamy wyłącznie z GlobExu.

— Są zbyt powolni — powiedziała Chevette, gdy Sublett wyszedł zza roślin w swoim czarnym mundurze. Chevette ujrzała swoje odbicie w jego szkłach kontaktowych, lekko wygięte na środku.

— Pani Mendelsohn — rzekł — obawiam się, że mamy pewien problem związany z bezpieczeństwem.

Karen Mendelsohn spojrzała na niego.

— Z bezpieczeństwem?

— Nie ma powodu do obaw — uspokoił ją Sublett. Położył rękę na ramieniu Chevette i wprowadził ją do środka, obok Karen Mendelsohn. — Panujemy nad sytuacją. Będziemy wdzięczni za współpracę.

38
Cudowna mila

„Wally” Divac, serbski gospodarz Rydella, niezbyt chętnie dał mu swoją latarkę, ale Rydell skłamał, że w IntenSecure załatwi mu coś lepszego i przyniesie mu to wtedy, kiedy zwróci pożyczkę. Może jeden z tych teleskopowych prętów z bezprzewodowym taserem na końcu; coś poważnego, profesjonalnego i może nawet półlegalnego. Wally był amatorem takich rzeczy. Lubił udawać, że jest policjantem. Tak jak większość ludzi niemal nie odróżniał prawdziwej policji od takiej organizacji jak IntenSecure. Przed domem miał znak firmy ochroniarskiej, ale Rydell z zadowoleniem stwierdził, że nie była to IntenSecure. Wally'ego niezbyt było stać na ich usługi, podobnie jak na nie używany samochód, chociaż zawsze twierdził, że jego wóz został „wypróbowany”, jakby pierwszy właściciel był jakimś wyrobnikiem mającym mu go dotrzeć. Jednak miał swój dom, w którym mieszkał, obłożony bladoniebieskim plastikiem podobnym do malowanego drewna i jedną z tych imitacji trawnika, które wyglądają lepiej niż prawdziwy AstroTurf. Ponadto posiadał dom w Mar Vista i parę innych. Jego siostra przybyła tu w 1994, a potem ściągnął i on, uciekając przed kłopotami w ojczyźnie. Nigdy tego nie żałował. Mówił, że to dobry kraj, tylko wpuszcza za dużo emigrantów.

— Czym jeździsz? — zapytał ze stopni odnowionego domu.

— Montxo — odparł Rydell. — Z Barcelony. Elektryczny.

— Mieszkasz w Ameryce — powiedział Wally, z siwymi włosami zaczesanymi do góry i ukazującymi pokryte szramami czoło. — Dlaczego jeździsz czymś takim?

Jego elegancki bmw stal na podjeździe; przez pięć minut wyłączał system alarmowy, żeby wyjąć latarkę dla Rydella. Ten przypomniał sobie, jak kiedyś w Knoxville nowe krótkofalówki wydziału narkotyków uruchomiły alarmy we wszystkich samochodach w promieniu kilku kilometrów.

— Hmm — powiedział — to naprawdę dobre dla środowiska.

— Ale niedobre dla twojego kraju — odparł Wally. — Kwestia image'u. Amerykanin powinien jeździć samochodem, z którego może być dumny. Bawarskim. A przynajmniej japońskim.

— Odniosę ci to, Wally — obiecał Rydell, trzymając wielką czarną latarkę.

— I coś jeszcze. Przyrzekłeś.

— Nie martw się.

— Kiedy zapłacisz czynsz?

— Kevin się tym zajmie.

Wsiadł do montxo i nadepnął sprzęgło. Samochodzik zakołysai się lekko na amortyzatorach, gdy silnik powoli zwiększał obroty. Wally pomachał mu ręką, wzruszył ramionami, a potem wycofał się do domu i zamknął drzwi. Rydell po raz pierwszy widział go bez tyrolskiego kapelusza.

Rydell spojrzał na latarkę, zastanawiając się, gdzie jest bezpiecznik. Nie było to wiele, ale musiał mieć jakąś broń. A ta była typowo obronna. Na ulicy mógłby łatwo kupić pistolet, lecz tym razem nie chciał mieć przy sobie broni palnej. Za jej posiadanie groził znacznie dłuższy wyrok. Potem pojechał z powrotem w kierunku „Gluta", nie spiesząc się na skrzyżowaniach i usiłując wybierać ulice z wydzielonymi pasami dla pojazdów elektrycznych. Wyjął telefon Chevette i wcisnął wybieranie numeru węzła w Utah, otrzymanego od Zjadacza Bogów w Paradise. Zjadacz Bogów to ten, który wyglądał jak góra, a przynajmniej tak się przedstawił. Rydell zapytał go, co to za nazwisko. Tamten odparł, że jest pełnej krwi Indianinem, ale Rydell raczej w to wątpił. Ich głosy też nie były realne; zdigitalizowana mowa. Zjadacz Bogów równie dobrze mógł być kobietą albo trzema różnymi osobami, jak również wszystkie te trzy widziane przez niego postacie mogły być jedną osobą. Pomyślał o kobiecie na wózku inwalidzkim, w „Dysydentach". To mogła być ona. Mógł to być ktokolwiek. Dlatego ci hackerzy byli nieuchwytni. Usłyszał sygnał aparatu węzła w Utah. Zjadacz Bogów odebrał telefon przy piątym dzwonku, jak zawsze.

— Tak?

— Paradise — powiedział Rydell.

— Richard?

— Nixon.

— Mamy twój towar na miejscu, Richard. Wystarczy sprężyć się i pchnąć.

— Wyceniliście usługę?

Światło zmieniło się. Ktoś zatrąbił, wkurzony brakiem przyspieszenia montxo.

— Pięćdziesiąt — rzekł Zjadacz Bogów.

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Rydell skrzywił się.

— Dobra — rzekł. — Do przyjęcia.

— Lepiej żeby tak było — powiedział Zjadacz Bogów. — Możemy bardzo uprzykrzyć ci życie nawet w więzieniu. Prawdę mówiąc, jesteśmy gotowi naprawdę ci dokuczyć. Linia zerowa w kiciu jest kiepska.

I założę się, że macie tam sporo przyjaciół, pomyślał Rydell.

— Jak oceniasz przybliżony czas reakcji od chwili wezwania?

Zjadacz Bogów beknął, celowo i głośno.

— Krótki. Dziesięć, góra piętnaście. Przygotowaliśmy to zgodnie z

umową. Twoi przyjaciele umrą ze strachu. Tylko staraj się trzymać z daleka. To będzie coś, czego nigdy nie widziałeś. Wkroczy nowy zespół, który dopiero rozpoczął służbę.

— Mam nadzieję — rzekł Rydell i przerwał połączenie.

Podał dozorcy parkingu numer apartamentu Karen Mendelsohn. Później nie będzie to miało żadnego znaczenia. Wepchnął latarkę za pasek dżinsów, pod kurtkę pożyczoną od Buddy'ego. Pewnie należała do ojca chłopaka. Powiedział Buddy'emu, że pomoże mu znaleźć jakieś mieszkanie, kiedy chłopiec przyjedzie do LA. Miał nadzieję, że Buddy nigdy nie zdoło tego zrobić, ponieważ tacy jak on odejdą najwyżej przecznicę od przystanku autobusu, zanim padną ofiarą jakiegoś miejskiego drapieżnika — błysk zębów i kół, a potem koniec z Billym. Jednak zdawał sobie sprawę z jego trudnej sytuacji. Chłopiec zajmował mały pokój w przyczepie mieszkalnej, z plakatami Fallona i Jezusa, ukradkiem uciekając w wirtualną rzeczywistość. Jeśli przynajmniej nie spróbuje, jak skończy? Rydell podziwiał Subletta, że ten wyrwał się z takiego otoczenia mimo alergii i wielu trudności. Jednak teraz Sublett niepokoił go. To kompletne szaleństwo, żeby martwić się o kogoś w takiej sytuacji jak ta, ale Sublett zachowywał się tak, jakby już nie żył. Po prostu przechodził od jednej czynności do następnej, jakby nic nie miało znaczenia. Jedyne, co jeszcze go obchodziło, to jego alergie.

Chevette też, Chevette Washington, tyle że ona niepokoiła go białą skórą pleców, tuż nad paskiem tych czarnych obcisłych spodni, kiedy leżała skulona na łóżku obok niego. Wciąż miał ochotę jej dotknąć; jej piersi, które opinały podkoszulek, kiedy siadała rano, a także tych ciemnych kosmyków włosków pod pachami. A teraz, idąc do kafejki u podstawy ruchomych schodów, czując, jak prostokątna obudowa latarki Wally'ego wbija mu się w kręgosłup, wiedział, że może nigdy nie mieć już okazji. Za pół godziny prawdopodobnie będzie martwy lub w drodze do więzienia.

Zamówił kawę z podwójną porcją śmietanki, zapłacił resztkami pieniędzy i zerknął na timexa. Za dziesięć trzecia. Kiedy poprzedniego wieczoru połączył się z motelu z komputerem osobistym Warbaby'ego, umówił go na trzecią. Zjadacz Bogów podał mu ten numer. Zjadacz Bogów mógł podać ci każdy numer. Warbaby wydawał się szczerze zasmucony tym, że słyszy jego głos. A także lekko rozczarowany.

— Nie spodziewaliśmy się tego po tobie, Rydell.

— Przykro mi, panie Warbaby. To ci cholerni Rosjanie. I ten pieprzony kowboj, ten Loveless. Weszli mi w paradę.

— Nie ma potrzeby kląć. Kto ci dał ten numer?

— Dostałem go przedtem od Hernandeza. — Cisza. — Mam te okulary, panie Warbaby.

— Gdzie jesteś?

Chevette Washington obserwowała go z łóżka.

— W Los Angeles. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli znajdę się jak najdalej od tych Rosjan.

Cisza. Może Warbaby zakrył słuchawkę dłonią. A potem:

— No cóż, chyba mogę zrozumieć twoje zachowanie, chociaż nie powiem, żebym je aprobował…

— Może pan tu przyjechać i wziąć je, panie Warbaby? I uznać, że jesteśmy kwita?

Dłuższa pauza.

— No cóż, Rydell — ze smutkiem — nie chciałbym, żebyś zapomniał, jak bardzo jestem tobą rozczarowany, ale owszem, mógłbym to zrobić.

— Tylko pan i Freddie, dobrze? Nikogo więcej.

— Oczywiście — rzekł Warbaby. Rydell wyobraził sobie, jak patrzy na Freddiego, który stuka w jakiś nowy laptop, usiłując wytropić rozmowę. Do węzła w Oakland, a potem do lewego numeru.

— Niech pan będzie tu jutro, panie Warbaby. Zadzwonię do pana pod ten sam numer i powiem, gdzie przyjść. O trzeciej. Punkt.

— Sądzę, że podjąłeś właściwą decyzję, Rydell — powiedział Warbaby.

— Mam nadzieję — odparł Rydell i rozłączył się.

Teraz spojrzał na timexa. Upił łyk kawy. Trzecia. Punkt. Postawił kawę na kontuarze i wyjął telefon. Zaczął wystukiwać numer Warbaby'ego.

Dotarli tam po dwudziestu minutach. Przyjechali dwoma samochodami, z przeciwnych stron: Warbaby i Freddie czarnym lincolnem z białym talerzem anteny satelitarnej na dachu, prowadzonym przez Freddiego, a potem Svobodov i Orlovsky w metalicznie szarym sedanie marki łada, zapewne wziętym z wypożyczalni. Patrzył, jak spotkali się, wszyscy czterej, a potem weszli na plac pod „Glutem”, obok tych kinetycznych rzeźb, kierując się do najbliższej windy, Warbaby smutny jak zawsze i podpierający się laską. Warbaby był w tym samym oliwkowym płaszczu i stetsonie, Freddie miał luźną i bardzo różową koszulę oraz laptopa pod pachą, a Rosjanie z wydziału zabójstw włożyli szare garnitury w takim samym kolorze jak łada, którą przyjechali. Odczekał chwilę, żeby sprawdzić, czy nie pokaże się Loveless, a potem zaczął wystukiwać numer telefonu w Utah.

— Proszę, Jezu — rzekł, licząc dzwonki.

— Kawa w porządku? — spytał młody Azjata z kafejki, spoglądając na niego.

— Niezła — rzekł Rydell, gdy Zjadacz Bogów podniósł słuchawkę.

— Tak?
— Paradise.
— Richard?
— Nixon. Są tu. Czterej oprócz Śmieszka.
— Ci dwaj Rosjanie, Warbaby i jego dżokej?
— Tak.
— A tamtego nie ma?
— Nie widzę go…
— Mimo to jego opis jest w pakiecie. Dobra, Rydell. Zaczynamy.

Klik. Rydell wepchnął telefon do kieszeni kurtki, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w kierunku windy. Chłopak z kafejki pewnie pomyślał, że nie smakowała mu kawa.

Zjadacz Bogów i jego przyjaciele, jeśli nie byli jedną osobą, na przykład jakąś zdziecinniałą staruszką na wzgórzach Oakland, mającą sprzęt wartości kilku milionów dolarów i negatywne nastawienie do rzeczywistości, zdaniem Rydella byli po prostu bandą popaprańców. Jeśli im wierzyć, to nie było rzeczy, której nie potrafiliby zrobić. Skoro jednak byli tak potężni, to czemu musieli się ukrywać i zbijali forsę, popełniając przestępstwa?

W akademii Rydell wysłuchał kilku wykładów na temat przestępstw komputerowych, ale były to suche wiadomości. Historia hackerów, którymi początkowo były po prostu sprytne dzieciaki, naciągające firmy telekomunikacyjne. Zasadniczo, powiedział gościnnie wykładający policjant federalny, każde przestępstwo będące niegdyś specjalnością białych kołnierzyków, zalicza się obecnie do przestępstw komputerowych, ponieważ teraz ludzie w biurach non stop z nimi pracują. Jednak są pewne przestępstwa, które można uznać za komputerowe w dawnym znaczeniu tego słowa, ponieważ zazwyczaj dokonywane są przez zawodowych przestępców, którzy uważają się za hackerów. Opinia publiczna, powiedział im federalny, wciąż spogląda na hackerów jak na swego rodzaju romantycznych skubańców, dzieciaki przenoszące wygódkę. Rozpuszczone bachory. W dawnych czasach, mówił, wielu ludzi nie wiedziało nawet, że wygódkę można przenieść, aż budzili się po uszy w gównie. Klasa Rydella posłusznie roześmiała się. Jednak nie dzisiaj, rzekł federalny; współczesny hacker jest równie romantyczny jak cyngiel gangu lodziarzy czy silnoręki naćpany pląsem. I znacznie trudniejszy do zatrzymania, chociaż jeśli dopadniecie go i przyciśniecie, to zwykle uda się zgarnąć jeszcze paru innych. Jednak oni przeważnie organizują się w małe grupy, z których składają się większe gangi, tak że chwyta się tylko członków jednej z grup, którzy nie znają innych ludzi i nic o nich nie wiedzą.

Zjadacz Bogów i jego przyjaciele, ilu by ich było, zapewne

tworzyli taką grupę, jedną z wielu wchodzących w skład Republiki Żądzy. A jeśli naprawdę zamierzali zrobić coś dla niego, to zapewne z trzech powodów: nie chcieli, aby San Francisco zostało przebudowane, ponieważ podobała im się obecna, niedoskonała infrastruktura; zarabiali na tym niezłe pieniądze — których on niestety nie miał — a ponadto wymyślili nowy sposób działania i chcieli go wypróbować. Ten ostatni powód wydawał się najistotniejszy, kiedy już postanowili mu pomóc.

Teraz, jadąc ruchomymi schodami, między wszystkimi tymi ludźmi, którzy żyli tu lub pracowali, powstrzymując chęć zerwania się do biegu, Rydell z trudem mógł uwierzyć, że Zjadacz Bogów i reszta zrobią to, co obiecali. A jeśli nie, no cóż, wpakują go w bagno.

Nie, powiedział sobie, zrobią to. Muszą. Gdzieś w Utah obraca się talerz, celując w kierunku wybrzeża i kalifornijskiego nieba. A z anteny, wprowadzone z kryjówki Zjadacza Bogów i jego przyjaciół, przesyłane są pakiety sygnałów. A tam gdzieś, wysoko nad „Glutem", nad całym obszarem LA, wisi Gwiazda Śmierci. Rydell ominął siwowłosego mężczyznę w stroju tenisowym i przebiegł kilka stopni ruchomych schodów. Dotarł pod miedziany cycek. Do małego pasażu wchodzili i wychodzili ludzie. Fontanna z wodą spływającą po wielkich poszarpanych płytach zielonego szkła. Obok niej szli Rosjanie, zmierzali ku białym ścianom kompleksu, w którym mieszkała Karen. Nie widział Warbaby'ego ani Freddiego.

3:32.

— Cholera — powiedział, pojmując, że nie udało się, że Zjadacz Bogów zawiódł go, a on skazał na śmierć Chevette Washington i Subletta, a nawet Karen Mendelsohn, znowu spróbował i nie udało się — tym razem po raz ostatni.

A wtedy te rzeczy wleciały przez długą szczelinę w szkle, na południe od boiska do piłki ręcznej, a on jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego. Było ich całe stado, dziesięć czy dwanaście i wszystkie całkiem czarne. Nie wydawały niemal żadnego dźwięku, lecz jakby płynęły w powietrzu. W luźnym szyku. Gracze na boisku znieruchomieli i patrzyli na nie. Były to helikoptery, ale za małe, aby pomieścić choć jednoosobową załogę. Mniejsze od tych mikroświetlnych. Dyskowate. Z francuskimi wieżyczkami strzelniczymi aerospatiale, jakie widuje się na migawkach z Mexico City, które zapewne były kontrolowane przez ECCCS, system komunikacji w nagłych wypadkach, uruchamiany przez Gwiazdę Śmierci. Jeden z nich przeleciał jakieś dwadzieścia stóp nad jego głową i Rydell dostrzegł pęk rur jakiejś broni maszynowej lub wyrzutni rakiet.

— Do licha — rzekł Rydell, spoglądając na przyszłość firm ochroniarskich.

— AKCJA POLICYJNA. ZACHOWAĆ SPOKÓJ.

Jakaś kobieta w pasażu zaczęła wrzeszczeć, raz po raz, jak jakiś mechanizm.

— ZACHOWAĆ SPOKÓJ.

Większość usłuchała; malował się na większości twarzy, tych twarzy mieszkańców wyżyn, o stanowczo zarysowanych szczękach. Ludzi w miękkich ubraniach trzepoczących w podmuchach śmigieł.

Rydell zaczął biec. Przebiegł obok Svobodova i Orlovsky'ego, patrzących na helikoptery, które opuściły się znacznie niżej i niedwuznacznie mierzyły do nich. Rosjanie rozdziawili usta, a połówkowe okulary Orlovsky'ego wyglądały tak, jakby zaraz miały mu spaść.

— NA ZIEMIĘ. JUŻ. ALBO OTWIERAMY OGIEŃ.

Mieszkańcy, szczupli i w większości jasnowłosi, stali nieruchomo, trzymając w rękach rakiety tenisowe lub papierowe reklamówki z pasażu. Obserwowali helikoptery oraz dziwnie spokojnymi oczami Rydella, który przebiegł obok nich. Minął Freddiego, który leżał na brzuchu na granitowych płytach, z wyciągniętymi nad głową rękami i leżącym między nimi laptopem.

— ZACHOWAĆ SPOKÓJ.

Potem ujrzał Warbaby'ego, leżącego na metalowej ławce, jakby siedział tam od zawsze, patrząc na przemijające życie. Warbaby też go dostrzegł.

— AKCJA POLICYJNA.

Laska stała obok, oparta o ławkę. Podniósł ją, powoli i z rozmysłem, a Rydell był pewny, że zaraz zostanie zastrzelony.

— ZACHOWAĆ SPOKÓJ.

Jednak Warbaby, smutny jak zawsze, tylko zasalutował mu, podnosząc laskę do ronda stetsona.

— RZUĆ TĘ LASKĘ.

Wzmocniony głos policjanta z oddziału antyterrorystycznego, ukrytego gdzieś w podziemiach City Hali East, obsługującego wieżyczkę strzelniczą przez zestaw teleprezentacyjny. Warbaby wzruszył ramionami, powoli, po czym odrzucił laskę. Rydell biegł dalej, przez otwarte drzwi i wpadł do mieszkania Karen Mendelsohn. Karen i Chevette Washington stały w progu, wytrzeszczając oczy.

— Do środka! — wrzasnął. Tylko gapiły się na niego. — Wchodźcie do środka!

Obok drzwi rosła kępa roślin, w terakotowej donicy sięgającej mu do pasa. Zobaczył wychodzącego zza niej Lovelessa, unoszącego ten mały pistolet; Loveless miał srebrzystą sportową kurtkę i lewą rękę na temblaku, a na twarzy mnóstwo mikroporowych plastrów w niezupełnie dobranym odcieniu, tak że wyglądał jak trędowaty. Uśmiechał się złowieszczo.

— Nie! — wrzasnęła Chevette Washington. — Ty parszywy mały pierdolcu!

Loveless przesunął lufę broni, trzymał ją przy głowie dziewczyny i Rydell zobaczył, jak uśmiech znika z jego ust. Zauważył, że bez niego Loveless wygląda, jakby nie miał warg.

— ZACHOWAĆ SPOKÓJ — przypominały wszystkim helikoptery, gdy Rydell wyrwał zza pasa latarkę Wally'ego.

Loveless nie zdążył nacisnąć na spust, co — trzeba przyznać — wywarło wrażenie na Rydellu. Skutki działania gazu pieprzowego były bardzo podobne do reakcji alergicznej Subletta, tylko znacznie gorsze i o wiele szybsze.

— Ty stuknięty, stuknięty pierdoło — powtarzała Karen Mendelsohn, z oczami podpuchniętymi jak po spotkaniu z rojem szerszeni. Obie z Chevette otrzymały niewielką dawkę gazu pieprzowego, a Sublett tak przestraszył się wiszącego w powietrzu oparu, że zamknął się w garderobie Karen i nie chciał wyjść. — Ty stuknięty, porąbany pierdoło. Czy wiesz, co narobiłeś?

Rydell siedział sobie w jednym z jej białych retrogresywnych foteli, słuchając porykujących na zewnątrz helikopterów. Później, kiedy wszystko się wyjaśni, stwierdzą, że Republika Żądzy zrobiła z Warbaby'ego i pozostałych krwiożerczych najemników opłacanych przez sonorańskich separatystów, którzy zgromadzili w apartamencie Karen wystarczającą liczbę materiałów wybuchowych, żeby wysadzić „Gluta" i okolice aż do Malibu. Ponadto wprowadzili także wątek zakładników, żeby zapewnić łagodną interwencję oddziału antyterrorystycznego. Chociaż kiedy przybyli tam, byłoby bardzo nieprzyjemnie, gdyby nie Karen, znany prawnik z „Gliniarzy w opałach". Na początku wściekali się, ale ludzie Pursleya najwyraźniej mieli swoje sposoby, żeby ich uspokoić. A najśmieszniejsze było to, że oni, Wydział Policji Los Angeles, nigdy nie wyjawią, iż jakiś hacker włamał się do systemu Gwiazdy Śmierci. Powtarzali, że dostali telefoniczną informację. Upierali się przy tym tak bardzo, że w końcu byli gotowi zapomnieć o całej reszcie.

Jednak kiedy tam siedział, słuchając Karen i stopniowo dochodząc do wniosku, że taak, jest stukniętym pierdołą, którego ona lubi, wciąż myślał o „Nightmare Folk Alt" oraz tamtej kobiecie i miał nadzieję, że nie ucierpiała, ponieważ Zjadacz Bogów potrzebował do swoich pakietów danych jakiś numer telefonu w LA, z którego niby to zadzwoniono z informacją. Rydell nie chciał podawać im numeru Kevina, a potem znalazł w portfelu telefon do tego sklepu na kawałku okładki „People" i podał go Zjadaczowi Bogów. Później podeszła do niego Chevette, z twarzą opuchniętą od gazu pieprzowego i spytała go, czy udało się, czy też wszystko się całkiem pochrzaniło? A on

odparł, że tak i wszystko gra, ale zaraz przyszła policja i było niezbyt wesoło, dopóki nie pojawił się Aaron Pursley z oddziałem prawników równie licznym jak siły policyjne, a potem sam Wellington Ma w granatowym blezerku ze złotymi guzikami. Tak więc Rydell w końcu poznał go osobiście.

— Zawsze cenię sobie spotkania z klientami — rzekł Wellington Ma, ściskając mu dłoń.

— Miło mi pana poznać, panie Ma — powiedział Rydell.

— Nie będę pytał, co pan zrobił z moją pocztą głosową — powiedział Wellington Ma — ale mam nadzieję, że to się nie powtórzy. Jednak pańska historia jest fascynująca.

Rydell przypomniał sobie Zjadacza Bogów i pięćdziesiąt tysięcy, mając nadzieję, że Ma i Karen nie będą o to wściekli. Nie przypuszczał, ponieważ Aaron Pursley już dwukrotnie powtórzył, że to będzie lepsze od morderstw Pooky Bear, natomiast Karen przyznała, że Chevette jest telegeniczna, promienieje młodością, a ponadto że Chrome Koran na pewno będzie chciał napisać do tego muzykę. Wellington Ma podpisał kontrakt z Chevette i z Sublettem, chociaż musiał podać papiery do garderoby, ponieważ Sublett nie chciał za nic z niej wyjść.

Z tego, co mówiła Karen, Rydell zrozumiał, że Chevette opowiedziała jej prawie wszystko, kiedy przetrzymywali ją tu z Sublettem, nie pozwalając zaalarmować IntenSecure. A Karen najwidoczniej dobrze znała się na tych okularach światła wirtualnego i umiała je włączyć, ponieważ przez większość czasu miała je na nosie i teraz wiedziała wszystko o Sunflower, czy jak tam się to nazywało. Mówiła Pursleyowi, że to bombowy materiał, ponieważ obciąży Cody'ego pieprzonego Harwooda, o ile dobrze rozegrają karty, a od dawna mu się należało, draniowi.

Rydell nawet nie miał okazji popatrzeć sobie przez te szkła.

— Panie Pursley? — Podszedł do faceta.

— Tak, Berry?

— I co teraz?

— No — odparł Pursley, skubiąc skórę pod nosem — ty i dwoje twoich przyjaciół zostaniecie aresztowani i przewiezieni na posterunek.

— Naprawdę?

Pursley spojrzał na swój wielki złoty zegarek. Wokół tarczy były osadzone diamenty, a pod spodem spory turkus.

— Za około pięć minut. Mniej więcej na szóstą zwołamy pierwszą konferencję prasową. Odpowiada wam to, czy najpierw chcecie zjeść? Możemy zamówić wam coś z restauracji.

— Przecież będziemy aresztowani.

— Kaucja, Berry. Słyszałeś o kaucji? Jutro rano wszyscy będziecie

wolni. — Pursley obdarzył go promiennym uśmiechem.

— Wyjdziemy z tego, panie Pursley?

— Berry — odparł Pursley — masz kłopoty, synu. Jesteś gliniarzem. W dodatku uczciwym. W opałach. Po uszy w spektakularnym i — przepraszam za wyrażenie — ewidentnie heroicznym gównie. — Klepnął Rydella w ramię. — Zespół „Gliniarzy w opałach" jest tu z tobą, chłopcze, i zapewniam cię, że wszyscy doskonale na tym wyjdziemy.

Chevette powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, żeby pójść do więzienia, ale czy mogłaby zadzwonić do San Francisco, do niejakiego Fontaine'a?

— Możesz dzwonić do kogo chcesz, kochanie — powiedziała Karen, ocierając chusteczką oczy Chevette. — Zarejestrują rozmowę, ale dostaniemy kopię. Jak nazywał się ten twój czarny przyjaciel, ten który został zastrzelony?

— Sammy Sal — odparła Chevette.

Karen spojrzała na Pursleya.

— Chyba weźmiemy Jacksona Cale — powiedziała. Rydell zastanawiał się, po co, ponieważ Jackson Cale był tym nowym czarnym gwiazdorem filmów telewizyjnych.

A potem Chevette podeszła i objęła go, cała przywarła do niego i tak jakoś spojrzała spod tej idiotycznej fryzury. I spodobało mu się to, chociaż miała czerwone oczy i ciekło jej z nosa.

39
Święto szarego dnia

W sobotę, piętnastego listopada, rankiem po czwartej nocy spędzonej u Skinnera, Yamazaki, w ogromnej jak namiot, wełnianej kurtce, pocerowanej i śmierdzącej woskiem, zjechał żółtą windą ubić interes z handlarzami. Niósł karton zawierający kilka dużych kawałków skamieniałego drzewa, lewe poroże jelenia, piętnaście płyt kompaktowych, wiktoriański bibelocik w kształcie porcelanowego dzbanuszka z wytłoczonymi literami „0X0" oraz napęczniały od wilgoci egzemplarz *The Columbia Literary History of the United States*.

Sprzedawcy wykładali towar, ranek był stalowoszary i pochmurny, więc Yamazaki był zadowolony z pożyczonej kurtki z kieszeniami pełnymi opiłków i jakichś małych metalowych elementów. Nie wiedział, jak zacząć rozmowę, ale sami przejęli inicjatywę, otaczając go, z imieniem Skinnera na ustach. Skamieniałe drewno uzyskało najlepszą cenę, potem dzbanek i osiem płyt kompaktowych. W końcu poszło wszystko oprócz historii literatury, która miała paskudne plamy od pleśni. Położył ją, z niebieskimi kartkami trzepoczącymi na słonym wietrze, na stercie śmieci. Trzymając w dłoni pieniądze, rozejrzał się za staruszką sprzedającą jajka. Ponadto, potrzebna im była kawa.

Właśnie dochodził do straganu, na którym prażono i mielono kawę, gdy w porannym tłumie dostrzegł nadchodzącego Fontaine'a, z postawionym kołnierzem długiego tweedowego płaszcza.

— Jak się ma stary, Scooter?

— Coraz częściej pyta o dziewczynę…

— Ona jest w więzieniu w LA — odparł Fontaine.

— W więzieniu?

— Dziś rano wychodzi za kaucją, przynajmniej tak powiedziała mi wczoraj wieczorem. Przyszedłem z tą wiadomością. — Wyjął z kieszeni telefon i podał go Yamazakiemu. — Ona zna ten numer. Tylko nie dzwoń za często do domu, dobrze?

— Do domu?

— Do Japonii.

Yamazaki zamrugał oczami.

— Nie. Rozumiem, że…

— Nie wiem, co robiła, kiedy nadeszła burza, ale byłem zbyt zajęty, żeby o tym myśleć. Podłączyliśmy zasilanie, ale mam na głowie rannego, do którego dotychczas nikt się nie przyznał. Wyłowiłem go w środę rano, z resztek czyjejś szklarni. Pod waszym mieszkaniem. Nie wiem, czy uderzył się w głowę, czy co, ale odzyskuje tylko na chwilę

przytomność, i zaraz znów mdleje. Poza tym nic mu nie jest, nie ma żadnych złamań. Na boku ma oparzenie, jakby ślad po kuli albo rozgrzanym pręcie…

— Nie zawieziecie go do szpitala?

— Nie — odparł Fontaine. — Nie robimy tego, chyba że o to poproszą, albo gdy ktoś jest umierający. Wielu z nas ma powody, żeby nie pokazywać się w takich miejscach, gdzie można sprawdzić dane osobowe w komputerach.

— Aha — powiedział Yamazaki, mając nadzieję, że dostatecznie taktownie.

— Właśnie, „aha" — rzekł Fontaine. — Jakieś dzieciaki chyba znalazły go pierwsze i zabrały mu portfel, jeśli jakiś miał. Jednak to wielki, zdrowy koleś i w końcu ktoś go rozpozna. Trudno, żeby nie, z tym ryglem na ptaku.

— Tak — powiedział Yamazaki, nie zrozumiawszy ostatniej uwagi — a ja wciąż mam twój pistolet. — Fontaine rozejrzał się na boki.

— No cóż, jeśli już go nie potrzebujesz, to po prostu wyrzuć go. Jednak ten telefon będzie mi jeszcze potrzebny. A właściwie, jak długo zamierzasz tu zostać?

— Ja… nie wiem — odparł szczerze Yamazaki.

— Będziesz po południu na dole, na paradzie?

— Paradzie?

— Piętnasty listopada. Urodziny Shapely'ego. Warto zobaczyć. Coś w stylu Mardi Gras. Wielu młodych ludzi zdejmuje ubrania, ale nie wiem, czy dopisze pogoda. No, to na razie. Pozdrów Skinnera.

— Tak, pozdrowię — powiedział z uśmiechem Yamazaki, gdy Fontaine ruszył dalej, a tęczowy pompon jego włóczkowej czapeczki pojawiał się i znikał w tłumie.

Yamazaki poszedł w kierunku kramu z kawą, wspominając kondukt pogrzebowy, tańczącą szkarłatną postać z pomalowanym na czerwono pistoletem maszynowym. Symbol śmierci Shapely'ego.

Morderstwo albo — zdaniem niektórych — samoofiarowanie Shapely'ego miało miejsce w Salt Lake City. Siedmiu jego zabójców, uzbrojonych po zęby fundamentalistów, członków białej rasistowskiej sekty zdelegalizowanej w kilka miesięcy po tym zamachu, nadal odsiadywało w Utah, chociaż dwaj z nich umarli później na AIDS, którym prawdopodobnie zarazili się w więzieniu, uparcie odmawiając przyjęcia szczepu wirusa opatentowanego w imieniu Shapely'ego. Milczeli w trakcie procesu, jedynie ich przywódca oświadczył, iż choroba jest karą boską spadającą na grzeszników i nieczystych. Ci chudzi mężczyźni z ogolonymi głowami i pustymi, nieprzeniknionymi oczami byli wysłannikami Boga i jako tacy na zawsze pozostaną na taśmach historii.

Jednak Shapely umierał bogatszy, rozmyślał Yamazaki, stając w kolejce po kawę. Może nawet był szczęśliwy. Widział, jak produkt z jego krwi powstrzymuje pochód ciemności. Teraz pojawiły się nowe plagi, ale żywa szczepionka wyhodowana ze szczepu wirusa Shapely'ego ocaliła niezliczone miliony istnień.

Yamazaki obiecał sobie, że pójdzie obejrzeć paradę z okazji urodzin Shapely'ego. Musi pamiętać, że powinien zabrać notebook.

Stał, wdychając zapach świeżo zmielonej kawy, i czekał na swoją kolej.

Podziękowania

Specjalne podziękowania składam Paolo Polledriemu, kuratorowi Działu Architektury i Wzornictwa Muzeum Sztuki Współczesnej w San Francisco. W 1990 roku pan Polledri, z okazji wystawy pt. „Wizje San Francisco", zamówił krótki utwór literacki, który zatytułowałem *Pokój Skinnera*, a także umożliwił mi nawiązanie współpracy z architektami — Ming Fungiem oraz Craigiem Hodgettsem, a z ich mapy miasta (przerysowanej przeze mnie jeszcze raz) zaczerpnąłem Skywalker Park, „Pułapkę" i wieżowce Sunflower. (Z innej pracy zamówionej na tę wystawę, wspaniałego eseju Richarda Rodriqueza *Sodoma — refleksje o stereotypie*, zaczerpnąłem wiktoriański wynajęty pokój Yamazakiego i melancholię.)

Określenia „światło wirtualne" użył naukowiec Stephen Beck, opisując rodzaj instrumentu wytwarzający „wrażenia optyczne zachodzące bezpośrednio w oku bez użycia fotonów" (Mondo 2000).

Przedstawiając Los Angeles Rydella, wykorzystałem opisy z przeczytanej przeze mnie *City of Quartz* Mike'a Davisa, a szczególnie jego obserwacje dotyczące prywatyzacji terenów będących własnością publiczną.

Jestem wdzięczny Markusowi, pseudo „Futro", jednemu z redaktorów „Mercury Rising", publikowanego dla i przez San Francisco Bike Messenger Association, który uprzejmie dostarczył mi kompletny zbiór wszystkich numerów czasopisma. Potem, przez prawie rok, nie dałem znaku życia, za co gorąco przepraszam. „Mercury Rising" powstał, by „informować, bawić, wkurzać i wszelkimi sposobami umacniać" środowisko posłańców. Pozwolił mi opisać miejsce pracy Chevette Washington oraz stworzyć jej charakterologiczną sylwetkę. Szczególne podziękowania kieruję do Steve'a Matthiassona, którego opowiadanie *Man Over Marin* zamieszczone w „Mercury Rising" było podstawą snu Chevette w rozdziale ósmym (chociaż przed ukazaniem się wydania książkowego nie rozumiałem, o co w nim chodzi).

Dziękuję także następującym osobom, którym wiele zawdzięczam — cenne merytoryczne uwagi lub wsparcie artystyczne w najważniejszych momentach pracy nad tą książką: Laurie Andersen, Cotty'emu Chubbowi, Samuelowi Delany'emu, Richardowi Dorsettowi, Brianowi Eno, Deborah Harry, Richardowi Kadreyowi, Markowi Lidlawowi, Tomowi Maddoxowi, Pat Murphy, Richardowi Piellischowi, Johnowi Shirleyowi, Chrisowi Steinowi, Bruce'owi Sterlingowi, Rogerowi Trillingowi, Bruce'owi Wagnerowi, Jackowi Womackowi.

Na specjalne podziękowania zasłużyła Martha Miliard, mój agent

literacki, wykazując zrozumienie i cierpliwość dla mojej opieszałości, oraz Deb, Graeme i Claire, moi kochani, za to, że jakoś znieśli ten czas, który spędziłem w piwnicy.

Vancouver, B.C.
styczeń 1993